



LOLLY WINSTON

Szczeście za dodatkową opłatą

*Próżną rzeczą jest oglądać upadek człowieka,
który jest absolutnie cnotliwy lub zepsuty do cna.*

ARYSTOTELES

Miłość niczego nie upiększa, lecz wszystko niszczy.

Łamie ci serce. Wszystko płacze.

Nie jesteśmy tu po to, by czynić rzeczy idealnymi.

Idealne są płatki śniegu. I gwiazdy. My nie.

RONNY CAMMARERI,

„WPLYW KSIĘŻYCA” (John Patrick Shanley, autor scenariusza)

TLR

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Elinor Mackey robiła właśnie porządek w stanowczo za ciężkiej torbiece i zastanawiała się, jakim cudem trafiła tam zepsuta głowica od zraszacza, gdy dowiedziała się, że jej mąż, Ted, ma romans.

Krząjąc się w słabo oświetlonej pralni, próbowała znaleźć w sobie energię, by zmierzyć się z setką firmowych e-maili na swoim laptopie. (Filtr zatrzymujący spam wyłapał „Rosyjskie nastolatki z drobnymi cycuszkami!“. Może powinna przesłać tę wiadomość dalej? Czy to możliwe, że mężczyźni naprawdę to lubią?). Może zrobi pitę ze szpinakiem na spotkanie kółka czytelniczego? Tak, wszyscy powinni przygotować greckie potrawy, bo przecież czytają „Iliadę“. Ostatnio jej myśli zdążyły w najróżniejszych kierunkach - niczym rączka dziecka, które nie potrafi trzymać się wyznaczonych linii i skacze po stronie, kolorując drzewa na niebiesko, a niebo na brązowo. Zaciskając w dłoni głowicę zraszacza, Elinor przypominała sobie, że miała ją wymienić w sklepie z artykułami żelaznymi. Tej sztuczki nauczył ją ojciec: trzeba zanieść zepsutą część, a usłużny sprzedawca pomoże znaleźć nową i wyjaśni, jak ją wymienić. Wzięła telefon, by zadzwonić do swojej przyjaciółki Kat i przypomnieć jej o greckiej kolacji. I wtedy właśnie usłyszała w słuchawce głos Teda.

- Gina, Gina - szeptał jej mąż. Elinor wstrzymała oddech, patrząc na pudełka z proszkami do prania stojące na półce nad pralką.

- Tęsknię za tobą - odpowiedziała cicho Gina, kimkolwiek była. Elinor upuściła głowicę na podłogę, wstała i wyłączyła suszarkę. Ted? Ma? Romans?

- Co to za hałas? - zapytał Ted.

- Nic nie słyszę - odparła Gina.

A może ktoś podłączył się do ich linii telefonicznej? Czasem w niewyjaśniony sposób przypadkowo włączasz się w rozmowę obcych ludzi. Elinor zdarzyło się raz coś takiego. Zaczęła wybierać numer, a po chwili słuchała studenta targującego się z nauczycielem o lepszy stopień.

- Nie możemy spotykać się tak często - powiedział Ted. To jednak on rozmawiał z pociągającą lekko nosem Giną. Ted, który nienawidził przyjęć i zawierania nowych znajomości! Ted, który sypiał w podartych spodniach od piżamy z postaciami kowbojów i Indian.

Elinor wypuściła powietrze, odsuwając usta od słuchawki, jakby wydmuchiwała dym.

- Powinniśmy o tym porozmawiać dziś wieczór. Ale nie przez telefon - powiedziała Gina. - Kończę pracę o szóstej. Chcę coś dla ciebie ugotować. - Przeciągnęła namiętnie słowo „ugotować“, jakby miała na myśli coś lubieżnego.

- Dobra - zgodził się Ted. Elinor mogła przysiąc, że słyszy w jego głosie lęk.

Romans. Czekwała, aż zawładnie nią zazdrość. Zamiast tego poczuła jednak litość. Litość dla Teda, dla ich małżeństwa. I zmęczenie, które pełzło wzdłuż kręgosłupa, zmuszając do pochylenia głowy.

Elinor przycisnęła do piersi pustą torbę. Jej zawartość leżała na suszarce. W college'u nosiła ogromną torbę, w której mogła przemycić sześciopak piwa na koncert rockowy. Teraz w jej dużej torbiece

krył się drogi skórzany portfel wypełniony po brzegi kartami kredytowymi i pokwitowaniami, palmtop, okulary do czytania, telefon komórkowy, tabletki na migrenę, tubka korektora pod oczy reklamowanego jako „wybawienie w buteleczce” i wielki pęk kluczy. Przeznaczenie co najmniej kilku z nich pozostawało dla niej tajemnicą.

Ted i Gina odłożyli słuchawki. Elinor przycisnęła telefon do mostka. Ted, romans. Ich rozpadające się małżeństwo.

Pobiegnij i powiedz mu, że musicie porozmawiać, powiedziała do siebie w duchu. Potem załatw sesję w poradni małżeńskiej. Dzięki wrażliwości i umiejętności, która kazała jej zająć się wszystkim na spokojnie, Elinor przeszła przez college, studia prawnicze i przepracowała piętnaście lat jako doradca do spraw personalnych w spółkach zajmujących się najnowszymi technologiami w Dolinie Krzemowej. Ostatnio jednak tę umiejętność zastąpiło przemożne pragnienie, by się położyć i odpocząć. A także zmęczenie, które rozkładało jej ciało jak grypa.

Dolegliwość ta zaczęła jej dokuczać, gdy przestali z Tedem starać się o dziecko. Przez rok próbowali sami bez powodzenia, potem przez dwa lata poddawali się badaniom i leczeniu, które obejmowało trzy zapłodnienia wewnątrzmaciczne i dwie próby zapłodnienia in vitro. Elinor raz zaszła w ciążę, lecz szybko poroniła. Zyskali jednak dzięki temu nadzieję, że kiedyś się uda. Zamiast tego skończyło się na diagnozie „niewyjaśniona bezpłodność”. Lekarz tłumaczył, że prawdopodobnie związana jest z wiekiem, dziesięciokilową nadwagą i rozszalałymi hormonami. Kiedy skończyła czterdzieści lat, czuła się jak chore zwierzę hodowlane nadające się tylko na ubój.

- Mogę iść do kina na film tylko dla chłopców? - zawołał Ted z holu. Wzdrygnęła się przestraszona. Uświadomiła sobie, że stoi jak otepiała, trzymając w dłoni skarpetkę bez pary.

- Yhm - odparła. Czasami chodzili do kina osobno. Ona lubiła filmy artystyczne i historyczne, Ted wolał te spod znaku „zabili go i uciekł”. Powiedz mu o romansie! Trzymana w dłoni skarpetka zadrzała.

- Jesteś tam? - W głosie Teda słychać było niepokój.

- Film! Jasne. Baw się dobrze! - krzyknęła z wymuszonym entuzjazmem. - Poczekaj... - dodała ciszzej.

Usłyszała, jak Ted przechodzi przez hol i kuchnię. Brama garażu podniosła się z łoskotem. Zrób coś! Elinor rzuciła skarpetkę i pobiegła przez hol. Jedź za nim. Pędząc do garażu, przypomniała sobie, że jej samochód jest w warsztacie. Odwróciła się i wypadła przez drzwi na patio. Pobiegła przez krzaki do domu swojej przyjaciółki Kat, by pożyczyć jej minivana.

- Wyjaśnię później - wysapała, wyrywając Kat kluczyki.

- Jesteś boso. - Kat spojrzała spod daszka czapeczki baseballowej naciągniętej na krótkie czarne włosy. Elinor doceniła brak krytyki w jej głosie; przyjaciółka jedynie stwierdziła oczywisty fakt. Była najmniej krytyczną osobą, jaką Elinor знаła.

Dogoniła Teda przy znaku STOP na końcu ulicy. Wyjęła zatknięte za kłapkę okulary przeciwsłoneczne Kat i skuliła się za kierownicą. W upalny sierpniowy dzień w samochodzie było duszno, wcisnęła

więc guzik klimatyzacji. Na małym ekranie z tyłu samochodu migał „Król Lew”, lecz nie miała pojęcia, jak wyłączyć to cholerstwo. „Niech Simba będzie królem naszych ziem!”, krzyczały radośnie zwierzęta, gdy Elinor przyciskała jeden guzik po drugim.

Ku jej zaskoczeniu Ted zjechał na parking przy siłowni. Elinor skręciła zbyt gwałtownie i wpadła na krawężnik. Czekająca na chodniku kobieta pomachała do Teda. Elinor rozpoznała ją ze swoich nielicznych wypraw do siłowni. Kobieta pracowała tam jako instruktorka. Po trzydziestce, szczupła i zgrabna, z długimi jasnobrązowymi włosami sięgającymi pośladków, których Elinor bardzo jej zazdrościła - drobnych, jędrnych i krągłych jak połówki jabłka. Czasami nosiła na obcisłym czarnym podkoszulku owalną przypinkę z napisem ZAPYTAJ MNIE O DIETĘ „ZONE”! Elinor zatrzymała się z dala od nich i patrzyła, jak instruktorka wsiada do samochodu Teda, wrzucając na tył swoją sportową torbę.

Wyjechała za nimi na autostradę prowadzącą na południe. Minęli kilka zjazdów, po czym skręcili w nieznaną okolicę. Ted zatrzymał się przed sklepem spożywczym Healthy Oats. Kobieta - Gina, tak to musiała być Gina - wysiadła i zaczęła podskakiwać z radości, jakby zabrał ją do Tiffany'ego. Kiedy ścisnęła Teda za rękę, rozejrzał się ukradkowo dookoła. Ted! Trzymać swoją flamę za rękę w biały dzień? Wyrwał dłoń, lecz Gina zdawała się tego nie zauważać. Gdy ruszyli w stronę sklepu spożywczego, stale trącała go ramieniem. Elinor wyłączyła silnik. W okolicy ich domu też znajdował się sklep Healthy Oats, lecz była tam zaledwie kilka razy, by kupić smakujące jak kreda koktajle z proteinami. Ceny były porażające.

Może to wytłumaczy, skąd wzięło się siemię lniane. Jakiś tydzień temu, kiedy szukała parasola, na tylnym siedzeniu samochodu Teda znalazła półkilogramowe opakowanie ostrych ziarenek. Pochodziło ze sklepu ze zdrową żywnością, w którym bardzo rzadko robili zakupy. Po bliższym zbadaniu zawartości Elinor przekonała się, że w torebce znajdują się drobnutkie ziarenka w kolorze miodu, lśniące i śliskie, co można było wyczuć nawet przez folię. W drugiej torebce znajdował się złoty proszek.

PEŁNOWARTOŚCIOWY POSIŁEK Z SIEMIENIA LNIANEGO.

- Na co ci to? - spytała Teda, stawiając torebki na ladzie w kuchni.

Na ich widok wzdrygnął się zaskoczony i poczerwieniał.

- To len - wyjąkał.

- W porządku. - Elinor roześmiała się. - Nie chciałam być wścibska. - Z jego reakcji można by wnioskować, że w torebce były magazyny pornograficzne albo papierosy.

Ted wdał się w niepotrzebnie długie wyjaśnienia, że siemię lniane to najzdrowszy sposób na spożywanie ziaren. Len jest bogaty w błonnik, tłuszcze omega-3 i fitoestrogeny, cokolwiek to jest. Tak przynajmniej twierdził doktor Edmunds. Jeśli zamierzasz jeść węglowodany, to powinny być złożone.

- Brzmi rozsądnie - odparła Elinor. - Kiedy widziałeś się z doktorem E.? - Nie zamierzała wcale rozpoczynać śledztwa w sprawie lnu, próbowała tylko nawiązać rozmowę z mężem. Ostatnio tak rzadko ze sobą rozmawiali.

- W zeszłym tygodniu - odparł Ted.

- Na konferencji w Monterey? - Ted, podiatra, spędził cały miniony tydzień na konferencji ze swymi kolegami po fachu. Ale doktor Edmunds był lekarzem rodzinnym.

- Na polu golfowym.

Ted nienawidził golfa. Podczas konferencji zazwyczaj wykręcał się od gry. Może jednak znów zaczął grać - i jeść siemię lniane.

- Zrobię ci naleśniki z siemieniem - zaproponował, zakręcając wreszcie wodę i wycierając ręce.

- Dobrze - odparła Elinor. - Naleśniki. - Bolała ją głowa.

Teraz słysząc przeraźliwe wycie alarmu samochodowego, Elinor miała ochotę wjechać minivanem Kat prosto w dostojną piramidę jabłek i truskawek ułożoną przed sklepem. Zadzwoń do poradni małżeńskiej, pomyślała, i umów się na jutro. Zostawiła jednak komórkę w domu razem z portfelem i butami. Lubiła bezpieczny kokon słonecznego gabinetu, orientalne dywany, półki pełne książek, drobinki kurzu leniwie wirujące w powietrzu. Kiedy razem z Tedem dyskutowali o tym, jak bezpłodność zrujnowała ich życie intymne, terapeutka - doktor Brewster - kiwała głową ze współczuciem i powtarzała, że to zjawisko powszechne. Kiedy Ted narzekał, że przez całe to leczenie Elinor jest podenerwowana i daleka, doktor Brewster wyjaśniła, że za te zmiany nastrojów odpowiedzialne są hormony. Elinor nic nie mogła na to poradzić.

Podczas pierwszych miesięcy badań i wizyt u lekarzy Elinor udało się zwalczyć hormonalny horror. Ćwiczyła jogę i wizualizację, chodziła na kursy malowania akwarelami. Wyobrażała sobie śpioszki firmy OshKosh i maleńkie kowbojskie buciki. Podczas pierwszego zapłodnienia in vitro w laboratorium oceniono ich dwa embriony i przyznano im ocenę A, najlepszą z możliwych. Elinor chciała zamówić naklejkę na zderzak: MOJE EMBRYONY OTRZYMAŁY OCENĘ A W SZPITALU STANFORDA! Ale podczas tego cyklu nic z tego nie wyszło.

- Coś jest ze mną nie tak - utrzymywała Elinor.

- To nie twoja wina - odparł Ted, biorąc ją w ramiona. - Kocham cię. Zróbmy sobie małe wakacje od tego wszystkiego. Jedźmy do Paryża.

Elinor odepchnęła go.

- *Non, merci* - powiedziała ponuro.

Podczas drugiego cyklu, gdzieś w okolicy dwudziestego zastrzyku, który Ted zrobił Elinor, hormony zupełnie nad nią zapanowały. Trzaskała drzwiami i warczała na męża. Obwiniała go o wszystko. Deszcz? Przebita opona? Nużące zebranie w pracy? Wszystko przypisywała Tedowi.

Pewnego ranka próbowała zniszczyć test ciążowy młotkiem, co okazało się niemożliwe. Szeptala do plastikowej płytki: „Pokaż. Mi. Różową. Kreskę”. Ułożyła test na papierowym ręczniku, umyła ręce i zamknęła oczy. Otworzyła. Nic. Popędziła do składziku, wyrwała młotek ze skrzynki z narzędziami, wróciła do łazienki i z całych sił walnęła w płytkę. Albo przynajmniej próbowała walnąć. Jeden cios nie odniósł zamierzonego skutku. Drugi wyszczerbił umywalkę, lecz płytka była tylko lekko wgnieciona. Elinor wpadła w szal. Szlochając, uderzała młotkiem raz po raz. Paliła ją twarz, kątem oka w lustrze zobaczyła

srebrną strużkę śliny wypływającą z ust. Wreszcie usiadła po turecku na podłodze i położyła sobie młotek na kolanach. Ted otworzył drzwi i patrzył oniemiały na siedzącą na podłodze Elinor, jakby była nieznajomą na ulicy, od której zdecydowanie lepiej trzymać się z daleka. Nigdy nie czuła się tak mało atrakcyjna. Wtedy właśnie ogarnęło ją zmęczenie, ciężkie jak fartuch chroniący przed promieniami Roentgena.

Terapeutka zachęcała Teda i Elinor, by zrobili sobie przerwę w leczeniu: wyjechali na urlop, wyszli razem na kolację, zapisali się na masaż. Mieli to zrobić wspólnie, ale Elinor tak naprawdę zrobiła sobie przerwę sama, chowając się przed Tedem i wybuchami wściekłości do pralni. Pranie i składanie ubrań było takie kojące - trudno chyba o łatwiejszą pracę. Wkładała do pralki niewielkie ilości bielizny, zupełnie niepotrzebnie, by tylko usłyszeć uspokajający szum suszarki. Najbardziej lubiła metalowy brzęk guzików i zamków - rozlegał się niczym przynoszący spokój metronom. Ona tymczasem wpatrywała się bezmyślnie w niebieski ekran laptopa. Kiedy opuszczała ją energia, przestawała nawet oddzielać kolory. Teraz wszystkie ich ubrania miały fioletowoszary odcień kojarzący się z brzydką pogodą. Ted zdawał się niczego nie zauważać. Nigdy nie grymasił i był jej za wszystko bardzo wdzięczny.

- Pozwól, że ci pomogę - mówił, gdy znajdował Elinor w pralni. - Nie powinnaś tego robić.

- Dlaczego nie? - pytała z niechęcią w głosie. Jakim cudem dotarła do etapu, na którym pranie własnej bielizny jest dziwne?

Ted przynosił kwiaty, gotował całe garnki zupy. Nie potrafiła mu dziękować. Ich życie intymne zanikło, bo seks prowadził tylko do rozczarowania. Elinor obsesyjnie robiła pranie i czytała powieści, zasztywając się w kojącej lekturze klasyki, którą czytała w college'u - „Anna Karenina”, „Wiek niewinności”. Tymczasem Ted z uporem maniaka ćwiczył na siłowni. Tak przynajmniej sądziła.

Co zabiera Tedowi i Ginie-z-siłowni tak dużo czasu? Czy całują się przy koszu z kaszą? Parking przy sklepie tarasowały wielkie samochody; wszyscy robili zakupy na kolację. Elinor nie miała pojęcia, co robi, gdy wyjdą ze sklepu. Musiała wzbudzić w sobie wściekłość. Anorektyczna zdzira z pociąganiem do alkoholu!

Wreszcie Ted i Gina wyszli ze sklepu, każde z wielką torbą zakupów. Papierową, nie plastikową. Po raz pierwszy Elinor dostrzegła, jak bardzo Ted schudł. Wspominał coś wcześniej o siedmiu kilogramach, ale dopiero teraz zauważyła, że spodnie na nim wiszą. Jej mąż był przystojny jak starzejąca się gwiazda futbolu ze szkoły średniej - mocno zbudowany, o szerokiej piersi, spadzistych ramionach, chłopcęcej twarzy, uroczych kurzych łapkach w kącikach oczu. Gina uśmiechnęła się do niego i zdmuchnęła z twarzy pasemko jasnobrązowych włosów. Do Elinor dotarło, że przez cały czas ich pobytu w sklepie nie wypuściła kierownicy z rąk. Ścisnęła ją, jakby chciała ją wygiąć. Czarne legginsy Giny podkreślały zgrabne łydki i odsłaniały pasek opalonej skóry nad białymi skarpetkami. Elinor sięgnęła po gniew, próbując jeszcze mocniej go rozniecić. Hej, Sandy Duncan! Załóż pieprzone spodnie! Przez chwilę wyobrażała sobie publiczną scenę, najgorszy koszmar Teda. Zrobiłby wszystko, byle tylko jej uniknąć. Ted, ty draniu! - mogłaby wrzasnąć przez parking. Ale to tylko upokorzyłoby ich oboje.

Ruszyła za nimi krętymi uliczkami nieznannej okolicy. Ted wydawał się dobrze znać trasę. Nie rozmawiali po drodze. Gina wyglądała przez okno od strony pasażera, a Ted patrzył przed siebie, ani raz nie spoglądając w lusterko wsteczne. Elinor udało się wyciszyć dźwięk „Króla Lwa”, lecz zwierzaki nadal mięgały na tylnej szybie minivana. „Czy wspominałam już, że zawstydzę mnie ten samochód?”, pytała co dzień Kat, niepracująca matka. Zaprzyjaźniły się bardzo szybko, kiedy odkryły, że mają takie samo ironiczne poczucie humoru i obie są absolwentkami anglistyki, które w college'u trochę zbyt dużo balowały. Elinor dostrzegła u Kat drogę, którą nie podążyla - matkę trzech synów, który?zy"uwielbiali grać z nią na podwórku w futbol. Z kolei Kat twierdziła, że Elinor jest jej drogą - odnoszącą duże sukcesy prawniczką, której mąż rozpromienia się za każdym razem, gdy opowiada o jej pracy. Oczywiście, większość z ich przyjaciółek miała zarówno świetnie płatną pracę, jak i wspaniałe dzieci. Ale Kat i Elinor wyznały sobie w sekrecie, że chyba nigdy nie byłyby do tego zdolne.

Wreszcie Ted zatrzymał samochód przed osiedlem małych domków, a Elinor zaczęła się zastanawiać, co powinna teraz zrobić. Do niedawna była prawdziwym asem w rozwiązywaniu problemów - łągo-dziła spory o odszkodowanie, odsuwała groźby sporów sądowych, radziła sobie z trudnymi pracownikami. Jeden z nich nie brał przepisanych lekarstw i twierdził, że główny księgowy rozmawia z nim za pomocą radia samochodowego. Jedna z kobiet próbowała wciągnąć tort weselny na listę wydatków służbowych. Teraz Elinor zapragnęła znaleźć łatwe rozwiązanie Problemu Giny. Wyobraziła sobie, jak rozstawia w salonie białą tablicę, a Ted siedzi przed nią na kanapie. Gina, pisze na tablicy, wdychając chemiczny zapach zmywalnego mazaka. A potem przekreśla imię wielkim znakiem X.

Kiedy Ted i Gina zaparkowali samochód, przejechała obok nich, spojrzała, do którego domu wchodzi, po czym wjechała na parking dla gości. Pod bosymi stopami poczuła ostry żwir, którym wysypana była alejka. Kiedy szła między budynkami na podwórko Giny, kropelki wody ze zraszacza uderzały ją w łydki.

Kuląc się za niskim rzędem świeżo posadzonych topoli, spojrzała przez taras na rozsuwane drzwi w nadziei, że Gina nie zasunęła kotar. Na parterze domku znajdowała się kuchnia połączona z salonem i jadalnią. Ted usiadł przy stole i bębnił palcami o blat. Gina zbiegła ze schodów w krótkim kimonie z zaczesanymi do tyłu mokrymi włosami. Zero makijażu, zero suszarki. Długie smukłe nogi. Elinor przesunęła dłonią po brzuchu.

Gina zabrała się za krojenie jarzyn. Kiedy wrzucała je do woka, pod sufit wzbijał się wielki obłok pary. Przez cały czas coś mówiła, kiwając głową z determinacją, potem kręcąc nią niepewnie. Po chwili wytarła policzki i nos rękawem kimona. Klótnia? Ted wyglądał ponuro. Elinor wywnioskowała to ze sposobu, w jaki siedział ze skulonymi ramionami. On cię nie kocha, Gino! - powiedziała do topoli. Na pewno zamierzają ze sobą zerwać. W tej jednak chwili Ted wstał od stołu i stanął za Giną. Odciągnął ją od kuchenki, objął ramionami w talii i wsunął dłonie za dekolt kimona. Gina zamknęła oczy i odchyliła głowę na jego pierś. Ted całował ją w szyję, ramiona; kimono opadło na podłogę w kuchni. Za nim osunęli się oni i

Elinor nic już nie widziała. Kochali się na podłodze, podczas gdy wok parował prosto w sufit. To efekty specjalne, z których utkane są romanse.

Elinor zakryła twarz dłońmi i uklękła. Błoto spod trawy oblepiło jej dżinsy, pluszcząc przy tym nieprzyjemnie. Chciała się cofnąć w czasie i wymazać dwa minione lata. Wyglądało na to, że filtr blokujący spam w ich życiu zepsuł się i zaczął przepuszczać najróżniejsze rodzaje śmieci: bolesne zabiegi medyczne, negatywne wyniki testów, bezsenne noce, a teraz także tę zdzirę w trykotach.

Nazajutrz, chowając pranie w szufladzie, Elinor znalazła pod podkoszulkami Teda książkę „Żyj zdrowo na diecie Zone”. Wewnątrz kieszonkowego wydania widniała data i dedykacja: „Kochany Tedzie, gratuluję osiągnięcia celu! Wiedziałam, że potrafisz. To przypomnienie kilku twoich ulubionych potraw. Uściski, Gina”.

Elinor przerzuciła strony poplamione składnikami potraw. Niektóre rogi były pozaginane, a przy przepisach narysowano serduszka. Wyglądały na system ocen, jak gwiazdki przy tytułach filmów. „Krokiety z soi” zdobyły tylko jedno serduszko, „Tęczowe jarzyny sauté” - trzy, a „Zupa krem z pomidorów z koniakiem” - cztery i pół.

Tego samego wieczoru Elinor przygotowała kolację z gotowych produktów Lean Cuisine. Zmęczeni i zapracowani często jedli z Tedem mrożonki, ser z grilla lub jajecznicę.

- Te dania to przede wszystkim węglowodany - oświadczył Ted, przesuwając widelcem zbyt zielony groszek, i odsunął talerz. - Próbuję ograniczyć węglowodany. A przynajmniej jeść tylko złożone.

- Tak? Od kiedy? - spytała Elinor. Może ugotujesz nam kolację Zone, miała ochotę wrzasnąć. - Od kiedy? - powtórzyła. Targający nią gniew syczał i brzęczał jak kaloryfery w starym domu, gdy włączy się ogrzewanie w pierwszy chłodny jesienny dzień. W powietrzu unosi się wtedy lekki swąd spalenizny, a dom trzeszczy i drży w posadach.

Ted wzruszył ramionami nad małą czarną tacką z makaronem i groszkiem.

- Nie wiem.

- Wydaje mi się, że wiesz. - Dedykacja w książce kucharskiej nosiła datę pierwszego czerwca. Razem z Giną ciągnęli swoje niskowęglowodanowe schadzki od co najmniej dwóch miesięcy.

Ted przekrzywił głowę i zmarszczył brwi.

- Wiem... - Chciała powiedzieć: „Wiem o Ginie. Wiem o romansie”, ale nagle ogarnęło ją niepoahamowane pragnienie, by wyrzucić stół na Teda. Przycisnęła dłonie do ud, by powstrzymać drżenie nóg; wyobrażała sobie, jak w oczach Teda staje się coraz mniej atrakcyjna, krzyczy, wrzeszczy, grozi i zakazuje. Nie potrafiła znaleźć sposobu, by stawić mężowi czoło ze stanowczością, wdziękiem i opanowaniem, jak sobie zamierzyła.

W końcu wstała od stołu i wyrzuciła niedokończone jedzenie do kosza na śmieci.

- Czasami - powiedziała, nie mogąc spojrzeć na męża - złożone węglowodany wydają mi się ciut zbyt złożone.

Następnego ranka Elinor obudził przenikliwy pisk piły. Była sobota, lecz Ted już wstał i w garażu pracował nad kredensem z drewna wiśniowego, który składał z gotowych elementów. Z wyjątkiem godzin spędzanych w siłowni od tygodni przesiadywał w garażu, zmagając się ze sobą i z drewnem. Kredens z drewna wiśniowego nie był im do niczego potrzebny, lecz szum narzędzi i strony zadrukowane szczegółowymi instrukcjami zdawały się koić skołatane nerwy Teda.

- Może dzięki temu czuje, że potrafi coś naprawić - zasugerowała delikatnie doktor Brewster podczas ich ostatniej sesji. Elinor żaliła się, że Teda obchodzi tylko ten kredens. Wiedziała, że brzmi to dość dziwnie, ponieważ ją obchodziło tylko pranie. Lecz kiedy Ted zrezygnował już z prób poprawienia jej nastroju i wycofywał się do garażu bądź siłowni, zaczęła za nim tęsknić. Dotarło do niej wreszcie, że zaczyna uważać jego obecność za coś oczywistego. Zaczęła się zastanawiać, jakie szaleństwo sprawiło, że irytował ją, gdy poświęcał jej mnóstwo uwagi, a potem drażnił, gdy usuwał się, by dać jej więcej swobody.

Leżała w łóżku, rozbita po niespokojnej nocy. Okulary i ciężki egzemplarz „Iliady” zamotały się w pościel. Znów zasnęła nad książką. W college'u uznała „Iliadę” za przeraźliwie nudną, lecz teraz lubiła uciekać do ociekającej krwią tragedii. Najbardziej podobał jej się przystojny Hektor, który toczył wojnę tylko dlatego, że jego zarozumiały brat zakochał się w kobiecie, która nie należała do niego.

W myślach przygotowała sobotnią listę rzeczy, które należy zrobić.

1. Pozbyć się kochanki męża.

Sama zajmie się Giną. Zapomni o poradni, zapomni o konfrontacji z Tedem. Uda się do samego źródła problemu. Przecież tym właśnie zajmowała się w pracy. Wzywała do siebie sprawcę i wykladała karty na stół. Nie chciała, żeby problem Giny za bardzo się skomplikował i nabrał dramatyzmu. W ciągu dwóch minionych lat miała dość dramatów w życiu. W myślach przebiegała różne wersje przemowy, którą wygłosi do Giny: „Wiem, że sypiasz z moim mężem. Przestań, proszę. Mamy swoje problemy, ale wszystko się ułoży...”. Nie, na pewno nie powinna tłumaczyć się Ginie ze swojego małżeństwa.

Wstała, umyła zęby i usiadła na brzegu łóżka, ściskając w dłoni bezprzewodową słuchawkę. Wreszcie wybrała numer informacji i uzyskała połączenie z siłownią. Brzęczącą w telefonie muzyczkę przerwał kobiecy głos. Elinor poprosiła, by umówiono ją na konsultację z Giną. Kobieta z radością oznajmiła, że za godzinę Gina ma wolny termin, bo ktoś właśnie odwołał spotkanie. To wielkie szczęście, bo Gina jest bardzo popularna.

- Wiem. - Elinor miała straszną ochotę na papierosa, choć nie paliła od czasów college'u. - Proszę mnie koniecznie zapisać! - Starła się, by zabrzmiało to wesoło. Zaniepokojona zajrzała do szafy. Co powinna włożyć na to spotkanie? Nigdy nie udało się jej zgłębić tajników sztuki kompletowania luźnego stroju do siłowni. Większość kobiet z jej przedmieść pędziła zaraz po ćwiczeniach do sklepu spożywczego w stylowych welurowych spodniach z pasującymi do nich bluzami z kapturem i wyglądały przy tym elegancko. Nawet nie były spocone. Jednakże ona zawsze czuła się brudna i niechlujna.

Wzięła prysznic i wyjęła z szafy dzinsy, biały sweter z dekoltem w serek, który podkreślał opaleniźną zdobytą podczas pracy na podwórku, i czerwone wysokie trampki. Miała nadzieję, że stworzy dzięki

temu wrażenie pewności siebie, która pozwala nie dbać o najnowsze trendy. Przez całą szkołę średnią nosiła trampki firmy Converse. Drobna i zabawna, zasłużyła sobie w kronice szkolnej na miano „najśłodziej”. W sekrecie nienawidziła tego określenia. Nie chciała być słodka. Chciała być piękna. Lecz jasne włosy, zadarty nos, drobne zęby i okrągłe policzki raczej nie mogły zostać uznane za seksowne w typowy dla gwiazdy kina sposób. W latach osiemdziesiątych próbowała pozbyć się najmniejszej choćby oznaki słodyczy, stawiając krótkie włosy na żelu, wkładając gumowe bransoletki i podarte bluzy od dresu. Kiedy oglądała swoje zdjęcia z tamtego okresu, nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Wyglądała, jakby miała na sobie kostium na święto Halloween. Kiedy wkroczyła do świata korporacyjnego zaczęła nosić spodnie, buty na płaskich obcasach i porządny francuski warkocz.

Przebiegając przez kuchnię, dostrzegła na ladzie torebkę siemienia. Ted co rano posypywał owoce i jogurt naturalny dwoma płaskimi łyżkami ziarenek. Wsunęła torebkę do torby. Może odda ją Ginie. Zostawiłaś swój przeklęty len w samochodzie mojego męża, powie.

Biorąc klucze, spojrzała na terminarz. Dwunasta w południe była podkreślona różowym mazakiem. Za godzinę miała zjeść lunch z Philem, prezesem swojej firmy, by omówić szczegóły fuzji. Phil chciał, by kwestiami dotyczącymi spraw personalnych zajęła się firma prawnicza z zewnątrz co było prawdziwym ciosem dla imponujących osiągnięć Elinor, która zawsze starała się rozwiązywać wszystkie sprawy sama, oszczędzając przy tym firmie sporo pieniędzy. Phil zaczął jednak podchodzić z rezerwą do nieobecności Elinor i jej drobnych pomyłek, które nasiliły się wraz z przeciągającym się leczeniem bezpłodności. Elinor bała się, że zostanie przesunięta na niższe stanowisko, zwolniona lub Bóg jeden wie co jeszcze. Ten lunch miał być pierwszym krokiem na drodze do triumfalnego powrotu do świata korporacji. W jego trakcie miała wygłosić mowę pt. „Potrzebujesz właśnie mnie”.

Ale po co? Kogo to obchodzi? Miała już dość przesiadywania w pracy do późnych godzin i w weekendy, bo jako jedna z nielicznych nie miała dzieci. Chwyciła telefon i wybrała numer asystentki prezesa, która siedziała przykuta do biurka nawet w soboty i niedziele.

- Zatrulałam się czymś - oznajmiła.

- On odwołał partię golfa, żeby się z tobą spotkać - upomniała ją asystentka. W firmie Elinor choroba nigdy nie była dostateczną wymówką, by opuszczać spotkania. Należało się stawić nawet pod wpływem leków i dmuchać zarazkami prosto w twarz kolegom.

- Wymiotuję. - Żałowała, że nie jest to prawdziwy powód zamiast: „Mój mąż ma romans”.

- To jedz grzanki - odparła chłodno asystentka.

- Dobra. - Elinor chwyciła kluczyki i zamknęła torbę. Idąc w stronę drzwi, czuła na ramieniu jej ciężar.

Wyjeżdżając z podjazdu, pomachała do Teda, który podniósł wzrok znad piły i odmachął do niej z uśmiechem. Ujrzała błysk białych zębów i zarys dołeczków w policzkach. Na moment zamknęła oczy, wyobraziła sobie jego zapach - trociny i dezodorant Mountain Spring - i zamarzyła, by przez resztę dnia mogli leżeć obok siebie na kołdrze. Ani cienia pożądania. Tylko miłość.

Elinor najbardziej kochała twarz męża. Dużą, przystojną irlandzką twarz. Chłopcę, która z wiekiem stała się trochę obwisła. Jeziora roztopionej czekolady zamiast oczu. Gęste, lśniące włosy, które chwyciła mocno, gdy się kochali. Nienawidziła męża i kochała jego twarz, nienawidziła siebie i... buch! - wjechała na krawężnik na końcu podjazdu. Ted podniósł wzrok, gestem dłoni dał jej znak, by zjechała w lewo i uśmiechnął się. Zatrzymała się na chwilę w cieniu wielkiego dębu rosnącego przed domem.

Po drugiej serii in vitro leżała pod tym drzewem, próbując się uspokoić. Tamta wiosna była bardzo upalna. Wieczorami po pracy wyciągała przed dom stary śpiwór i szukała schronienia na chłodnej trawie, czytając i drzemiąc. Ted dołączał do niej, przynosząc z garażu stary leżak.

- Czy mogę ci coś przynieść? - pytał.

Uderzał nerwowo dłonią w aluminiową poręcz leżaka, a rozlegający się przy tym cichy stukot obrączki sprawiał, że miała ochotę krzyknąć. Ta skłonność do irytacji bardzo ją martwiła. Co z nią było nie tak?

Teraz, jadąc w stronę siłowni, opuściła klapkę przeciwsłoneczną, by spojrzeć w lusterko. Przesunęła palcami przez długie do ramion włosy, które tym razem postanowiła rozpuścić. Kiedy tylko pozbędzie się kochanki męża, zafunduje sobie nową fryzurę. Może wybieli zęby. Podniosła klapkę na miejsce. Recepcjonistka wyjaśniła, że dziś Gina oceni, czego wymaga zdrowie i forma Elinor, i przygotuje plan ćwiczeń. Potem będą pracować, by osiągnąć wyznaczone cele. Problem polegał na tym, że celem Giny jest sypianie z Tedem, a celem Elinor pozbycie się Giny.

Gina czekała na nią w holu klubu. Wyglądało na to, że nie wie, z kim ma do czynienia. Kiedy wymieniły uścisk dłoni, przez twarz Giny przebiegł pusty-ale-sympatyczny wyraz. Czy Elinor znaczyła dla niej tak niewiele jak inne kobiety w średnim wieku odwiedzające siłownię? Palce Giny były długie i szczupłe. Ona sama miała na sobie czarne spodnie od dresu i koszulkę z kołnierzykiem. Długie jasnobrązowe włosy spięła wysoko w koński ogon, ale kilka wymykających się pasemek opadało jej na oczy. Była szczupła i jasna, lecz nie piękna. Miała zbyt płaską twarz i szeroko rozstawione oczy, które przypominały Elinor flądre. A kości policzkowe z pewnością nigdy nie złamią nikomu serca.

Usiadły przy stoliku w barku. Gina zadawała całą serię pytań, zapisując odpowiedzi drobnym, prostym pismem. Cała emanowała energią i ikrą. Zwinne palce, żwawe jajniki. Piękne jajeczka. Obok przy stoliku grupka mężczyzn na emeryturze popijała piwo, choć nie było jeszcze południa. Tego typu paradoksy podobały się Elinor w ich siłowni najbardziej: w barku można było kupić zarówno ciastka i piwo, jak i owocowe koktajle i sałatki. Chciałaby dołączyć do mężczyzn. Poddać się działaniu siły ciężkości i ojca Czasu.

- Wiek? - zapytała Gina. Na jej ustach załśnił różowy błyszczek.

- Trzydzieści dziewięć - skłamała Elinor. Nie miała problemu z ukończeniem czterdziestu lat, ale miała trudności z wypowiedzeniem tego liczebnika, zwłaszcza w obecności tej nazistki od fitnessu z pokolenia X, która romansowała z jej mężem.

- Prawdziwym problemem może być pani wiek - wyjaśnił łagodnie lekarz, kiedy Elinor początkowo nie mogła zająć w ciąży. Choć nie czekała z niecierpliwością na czterdzieste urodziny, nigdy nie myślała, że mogą one stanowić medyczny problem.

- Naprawdę? Wygląda pani wspaniale - powiedziała Gina, nie podnosząc wzroku.

Zgubiłam pupę, chciała powiedzieć Elinor, jakby mogła ją tu odnaleźć w dziale rzeczy zagubionych. Przez moment żałowała, że nie jest to prawdziwa konsultacja ze specjalistką od fitnessu. To puste i próżne, ale starzejąc się, najbardziej nie znosiła wędrówki pośladków na południe po dwóch dekadach siedzenia na dupsku dla korporacyjnej Ameryki. Gdzieś po drodze straciła figurę - drobną sylwetkę w rozmiarze 4, którą miała przez całe życie. Potem po leczeniu bezpłodności spuchł jej brzuch, który teraz wyglądał jak przejrzały melon. Nie miała nic przeciwko dwóm brązowym plamkom, które pojawiły się na dłoniach, ani zmarszczkom w kąciakach oczu, ale bardzo chciała odzyskać swoje ciało.

Gina oświadczyła, że po skończeniu z papierkami zważy Elinor i przeprowadzi test wysiłkowy oraz analizę tkanki tłuszczowej. Potem poleci jej ćwiczenia, takie jak spinning i joga.

Torebka z siemieniem spoczywająca w torebce Elinor była kojąco ciężka, jakby zwinął się tam kot. Przez całą drogę do siłowni wściekała się, lecz teraz nie przychodziło jej do głowy nic, co mogłaby powiedzieć Ginie. Była zbyt zmęczona. Od mniej więcej dwóch lat nie przespala spokojnie ani jednej nocy. Podczas zebrań w biurze i telekonferencji z trudem utrzymywała otwarte oczy, lecz od drugiej nad ranem leżała bezsennie, kompletując zawrotną listę problemów: pobranie jajeczek od innej kobiety, adopcja (za granicą czy w kraju?), rosnące rachunki medyczne i formularze ubezpieczenia.

- Co chciałaby pani osiągnąć podczas ćwiczeń? - zapytała Gina.

Pewnego razu, spacerując po plaży na Hawajach, Elinor zobaczyła kobietę łowiącą ryby. Początkowo wzięła ją za mężczyznę. Kiedy jednak podeszła bliżej, uświadomiła sobie, że to kobieta z pięknymi, krótko obciętymi siwymi włosami. Ubrana w szorty khaki i czarny podkoszulek, miała umięśnione i opalone nogi. Była mocno zbudowana i piękna jak otaczająca ją sceneria. Jednakże w pewnym sensie była pozbawiona płci - ani kobieta, ani mężczyzna, po prostu osoba, która uśmiechała się do słońca, a migoczący ocean rozciągał się przed nią niczym piękny dywan. Łowiła ryby. Wyglądała na spokojną i pogodzoną z życiem. Nie martwiła się już o kurze łapki ani o to, jak jej sflaczałe pośladki będą wyglądać w tankini. Elinor chciała powiedzieć Ginie, że taki właśnie ma przed sobą cel.

Gina pochyliła się nad stolikiem i wpatrywała uważnie w Elinor. Jej szeroko rozstawione oczy w kształcie migdałów były zielone, a cera nieskazitelna. Opadające na oczy pasemka włosów nadawały jej zdecydowanie seksowny wygląd.

- Stracić siedem kilo - oznajmiła Elinor. - I ujędrnić...

Wszystko, chciała powiedzieć. Nie zamierzała się jednak do tego przyznać kochance swojego męża. Odchrząknęła.

- Ujędrnić pośladki. Rzadko chodzę na siłownię. Jestem zbyt zajęta. - Odnoszę sukcesy, miała na końcu języka. Może nie w sprawach, które liczą się w tej chwili. Ale w tych, które liczyły się wcześniej.

Czy wiedziałaś, że jeśli mieszkasz w Holandii i zamarzną ci rury, masz prawo do jednego płatnego dnia urlopu? W sprawach międzynarodowego prawa pracowniczego Elinor była kopalnią wiedzy.

- Po pierwsze... - zaczęła Gina. - Jeśli pani pozwoli, przyjdę do pani do domu i zrobię porządek w szafkach.

Elinor parsknęła śmiechem.

- I umyje pani podłogi?

- Pozbędę się wszystkich węglowodanów - powiedziała z naciskiem Gina. - Makaronu, chleba i płatków.

- Płatków? - zapytała Elinor.

- Płatki są najgorsze!

- Uch... - Zabierasz mi męża i moje ulubione płatki śniadaniowe? Elinor rozważyła nieprawdopodobny scenariusz: Gina w ich domu robi porządek w szafkach. Razem z Tedem pocą się w jasno oświetlonej kuchni. Wszystko wychodzi na jaw. Wyrzuty sumienia. Przeprosiny. A co ważniejsze: porozumienie. Gina już nigdy więcej się do nich nie zbliży.

- Dobrze - odparła w końcu. - Ale musimy się umówić wieczorem. Pracuję w ciągu dnia.

- Jasne.

- Mój mąż też będzie w domu. Nie przeszkadza to pani? On też chce jeść mniej węglowodanów. No, w zasadzie już to robi. Zaczął beze mnie. - Elinor nie mogła znieść goryczy w swoim głosie. Może kiedy pozbędą się już Giny, wyjadą razem gdzieś w tropiki. Będą jedli gotowane na parze ryby, brązowy ryż i moczyli się w wielkiej dwuosobowej wannie. Biegali po plaży i kochali się na marmurowej posadzce luksusowego pokoju w hotelu. Elinor dotrzyma kroku mężowi. Pożądanie i ćwiczenia. To brzmi nie najgorzej.

- Wspaniale - oświadczyła Gina. - Mogę pieprzyć was oboje. - Elinor jest pewna, że powiedziała: pomóc. Mogę pomóc wam obojgu.

Kiedy Elinor posypywała estragonem trzy piersi z kurczaka, czuła potrzebę udowodnienia mężowi i jego kochance, że potrafi gotować. Gina miała się zjawić w ich domu za czterdzieści pięć minut. Elinor zabrała się więc za niskotłuszczową, ubogą w węglowodany kolację - piersi kurczaka opiekane z przyprawami, cukinię faszerowaną serem ricotta, grzybami i cebulą, sałatę masłową posypaną wszechobecnym siemieniem, a na deser świeże jagody z odrobiną tylko bitej śmietany. Zaczęła powoli nakrywać do stołu na trzy osoby.

Ted przestawił kanał małego kuchennego telewizora na program o węglu. „Koks, zbyt drobny do używania w procesie wytapiania stali, używany jest w małych piecykach służących do ogrzewania i gotowania”, mówił narrator.

- No proszę - powiedział Ted. Interesowały go przede wszystkim czyste fakty. Szczegóły, które nie wymagały wyrażenia swojej opinii.

- Dlaczego trzy? - zapytał, patrząc na ułożone na stole podkładki.

- Przyjdzie dziewczyna, która być może dołączy do mojego kółka czytelniczego. - Elinor ułożyła serwetki i sztuce. Niebawem to wszystko będzie należeć do przeszłości. Odzyskają swoje dawne życie.

Ted nie odrywał wzroku od ekranu.

Elinor jeszcze raz posypała kurczaka tymiankiem i estragonem, bojąc się, że będą zbyt mdłe - tak mdłe jak seks z Tedem, zanim w ogóle przestali się kochać. Zastanawiała się, czy matka Jerry Hall naprawdę wypowiedziała kiedyś te osławione słowa: „Aby utrzymać przy sobie mężczyznę, musisz być pokojówką w salonie, kucharką w kuchni i dziwką w sypialni”. Gina była dziwką w kuchni. Elinor umożliwił jej to w iście nowatorski sposób. Tymczasem ona sama zobojętniała zarówno w sypialni, jak i w kuchni. Może dlatego, że musiała zobojętnieć na fotelu ginekologicznym, by odsunąć od siebie ból podczas badań i zabiegów. „To tylko małe ukłucie”, mawiał lekarz. Dlaczego nie używają prawdziwego określenia? Ból. To może zabołec. Zamiast tego pojawiały się eufemizmy: ukłucie, uszczypnięcie. Pewnego dnia, gdy Elinor poddawała się zabiegowi usunięcia cyst na jajnikach, które były wynikiem stosowania leków, pozwolili, by Ted jej towarzyszył.

- Ściśnij mnie za rękę - szepnęła słodko. Elinor skrzywiła się, gdy ukłucie bólu przeszło ją aż do biodra. Ręka Teda była mocna i ciepła; jedyna rzecz na tej planecie, która dawała pociechę.

Nagle rozległ się dzwonek do drzwi. Elinor upuściła pojemnik z białym pieprzem, który z brzękiem spadł na podłogę. Wytrzeła ręce i wyszła do holu. Jeszcze zanim otworzyła drzwi, zerwała przez głowę fartuch, zbyt podmiejski i matronowaty.

Gina stała na werandzie. Miała na sobie długą, farbowaną w koła spódnicę, malutki biały podkoszulek i skórzane sandały z wąskich paseczków. Nad niskim paskiem spódnicy widać było kawałek jej płaskiego opalonego brzucha. Elinor miała ochotę zatrzaskać jej drzwi przed nosem.

- Wejdz - powiedziała.

Ted wyłączył telewizor i wyszedł do holu, zachowując się jak na uprzejmego męża przystało. Na widok Giny gwałtownie odrzucił głowę do tyłu. Gina otworzyła szeroko oczy, lecz natychmiast je zmrużyła, a przerażenie zastąpił uśmiech. Wyraz jej twarzy wykonał nagły zwrot.

- Gino, to mój mąż, Ted - powiedziała Elinor.

Ted lekko uściśnął dłoń Giny.

- Miło mi cię poznać. - Otworzył drzwi szafy. - Mogę wziąć twój płaszcz?

Elinor zmieszana się. W szafie pełno było rupieci, z których większość stanowiła testament jej sportowych porażek. Poplątana skakanka, zakurzone buty sportowe, za mały kombinezon narciarski.

- Przecież ona nie ma płaszcza - powiedziała do Teda. Mimo to stał z głową ukrytą w szafie, jakby chciał w nią zanurkować.

- Mogę ci zaoferować coś do picia? - zapytała Elinor.

- Masz sok pomidorowy? - Na ręce Giny zabrzcęzały cienkie bransoletki.

Ted zamknął drzwi szafy. Razem z Giną pracowicie unikali kontaktu wzrokowego. Jak dotąd Elinor dałaby im pięć minus za udawanie, że się nie znają.

- Niestety nie - powiedziała do Giny. - Może być dietetyczna cola?

- Och, sztuczny słodzik - usłyszała w odpowiedzi. - To jedna z rzeczy, których będziemy musieli się pozbyć. - Najwyraźniej próbowała być stanowcza, ale w jej słowach pobrzmiwała nerwowość.

To ty jesteś jedną z rzeczy, których musimy się pozbyć, pomyślała Elinor, prowadząc Ginę do kuchni.

- Ależ ja cię znam - oświadczył w końcu Ted. - Z klubu.

- Pod pachami pojawiły mu się plamy potu.

- Tak. - Gina przekrzywiła głowę i zmrużyła oczy.

- Dużo ćwiczysz.

Położyła na ladzie małą wagę kuchenną i kołonotatnik. Elinor podała jej szklanekę soku pomarańczowego. Jeśli on też ma jakieś wady, nie chciała o nich słyszeć.

- Ale w programie Weight Watcher sztuczne słodziki są dozwolone - powiedziała do Giny, patrząc oskarżycielsko na Teda. - To o co chodzi? - Bolała ją szczeka. Teraz, gdy znów odnalazła w sobie gniew, marzyła, by się w nim pławić. W nienawiści do kapryśnych guru od diet. W pogardzie do świata.

- No cóż, moje panie - powiedział Ted. - Mam pracę...

- Miałam nadzieję, że zjemy razem kolację - zaprotestowała Elinor. - Porozmawiamy.

Ted zamarł w drzwiach.

- Nie mogę zostać na kolację. - Gina postawiła na blacie nietknięty sok.

- Naprawdę? Ale przecież lubicie razem jadać - powiedziała Elinor. Nagle od intensywności tego spotkania zakręciło się jej w głowie. Miała ochotę usiąść na podłodze. Odwołać tę szaloną konfrontację.

Ted oparł dłoń na klamce i odwrócił się lekko w stronę obu kobiet.

Gina zachichotała nerwowo.

- Co takiego?

- Sypiać razem? Jadać? Same dobre rzeczy - Elinor wyciągnęła książkę kucharską „Zone” z ukrycia w szufladzie na chleb (Ted nigdy by tam nie zajrzał!) i pomachała nią w ich stronę.

- Elinor - powiedział Ted. Stał zwrócony twarzą do niej, plecami do Giny z błagalnym wyrazem w oczach. Postarzał się w jednej chwili; był szczupły po intensywnych ćwiczeniach, lecz w szary, niezdrowy sposób, nie radosny, różowy.

- Ted - odparła Elinor.

Proszę, mówiący jego oczy. Przepraszam i proszę.

- Lepiej sobie pójdę. - Gina zabrała wagę i notatnik. Spoglądając na nieprawdopodobnie szczupłą talię Giny,

Elinor przypomniała sobie, jak swobodnie Ted przeszedł przez pokój w jej mieszkaniu i jak szybko wsunął dłonie pod cienki szlafrok, by dotknąć jej piersi. To on zrobił pierwszy ruch. Nagle nie mogła już dłużej znieść przebywania w kuchni z tą dwójką. Nie mogła znieść swojego domu. Przez ostatnie kilka dni snuła fantazje o wyjeździe z Tedem na Hawaje - kąpielach na golasa, wpatrywaniu się w gwiazdy i spaniu

do późna. Poszperała nawet w Sieci i wybrała ośrodek na Big Island, wzdychając na myśl o ostatniej wizycie na Kona Coast. Wyjechali stamtąd cudownie zmęczeni po zbyt dużej dawce słońca, seksu i rumu. Ale teraz chciała wyjechać sama. Zostawić tych dwoje z wykresami węglowodanów i mdłymi piersiami z kurczaka. Może zanim coś się naprawi, trzeba pozwolić, by rozpadło się zupełnie.

- To ja muszę iść - powiedziała do Giny. Otworzyła szafkę, wyciągnęła torebki z siemieniem i płatkami i wcisnęła jej w ramiona. Gina wzdrygnęła się, jakby Elinor zamierzała powalić ją na ziemię, a potem spojrzała z zaciekawioną na torebki.

- Zabierz to sobie! - Popędziła na górę, by się spakować. Zupełnie jak na filmach. Osoba, która w takich sytuacjach odchodzi pierwsza, czuje się na swój sposób wyzwolona. Jak ktoś, kto wstał rano pierwszy lub pierwszy zanurkował w chłodnym basenie. Co będzie jej potrzebne? Kilka strojów do pracy, rajstopy, buty, wygodna piżama, pantofle, przybory toaletowe, płyn do kąpieli, czasopisma, „Iliada”. Spakowała wszystko do małej czarnej walizki. Była prawdziwą mistrzynią w szybkim pakowaniu się na niespodziewane wyjazdy służbowe. Pojedzie do hotelu Fairmont w centrum. Zamówi coś do pokoju. Naleśniki z prawdziwym syropem klonowym.

Schodząc po schodach, niemal wpadła na Teda. Ominęła go i ruszyła w stronę drzwi wejściowych. Na jego widok czuła, że ma nogi jak z gumy.

Ted sięgnął po walizkę, próbując ją zatrzymać.

- Nie odchódź - powiedział. Wyglądało na to, że Gina sobie poszła.

Elinor odwróciła się, by spojrzeć na męża. Był równie zmęczony jak ona. Widziała to wyraźnie. Wiele razy, kiedy myślała w nocy, że on śpi, a on, że ona, nie spali oboje. Odkrywali to rankiem, gdy potykali się o siebie w kuchni. Zamiast oglądać nieczule niebieskie cyfry na swoim zegarze z budzikiem, Elinor chciała odwrócić się na bok i objąć Teda, porozmawiać z nim. Lecz choć nie mogła zasnąć, a może właśnie dlatego, była zbyt zmęczona, by się ruszyć.

- Poszła już - powiedział Ted. - Posłuchaj, wiem, że wszystko może się ułożyć.

Elinor ścisnęła rączkę walizki i przeciągnęła ją obok Teda.

- Kocham cię - rzucił, podnosząc w rozpaczy głos.

Ja też cię kocham, pomyślała Elinor. Kochałam. Kocham. Ale to już nie ma nic do rzeczy. Prawda?

- Co zamierzasz zrobić? - zapytał, gdy otworzyła drzwi.

- Co zamierzam zrobić? - Wyobraziła sobie, jak Ted odpina spodnie i opada na podłogę w kuchni Giny. - Zadzwoń do dalajlamy. Jak myślisz: w książce telefonicznej znajduje się pod D czy pod L? Położę się na mojej macie do jogi, będę wcierać mleczko sojowe w moje trzecie oko i wyplatać koszyki z bekonu z indyka. Spędzę cały tydzień w „Zone”.

Kiedy zrobił krok w jej stronę, wycofała się na werandę. Może w hotelu wreszcie uda się jej przespacerować całą noc. Przeniosła wzrok z męża na stojący na podjeździe samochód. Na moment zamknęła oczy i wyobraziła sobie, jak wsuwa się w wykrochmaloną hotelową pościel. Czego oni używają do prania, że jest

taka czysta? Sztywna, biała czystość - symbol nowego początku. Krochmal? Cokolwiek to jest, wydaje się mniej przyjemne. Bardziej nie z tego świata.

Otworzyła oczy. Ted stał w holu, nie chcąc przejść przez próg. Nie lubił wychodzić z domu boso, nawet żeby zabrać gazetę z podjazdu.

- Przepraszam. - Wyciągnęła rękę.

Pragnęła poczuć satysfakcję, jaką daje zamknięcie za sobą drzwi. Zatrzasnęła je głośno, pozostawiając za nimi bladą twarz Teda. Do widzenia. Zeszła z werandy. W połowie drogi do samochodu zatrzymała się jednak. Życie nigdy nie przypomina filmu. Przynajmniej nie jej życie, bo zostawiła kluczyki w domu, na blacie w kuchni. Wciągnęła głęboko chłodne wilgotne powietrze i próbowała zebrać siły, by wrócić. Potem przypomniała sobie o skrytce. Kilka lat temu, gdy przymocowała magnetyczne pudełko do podwozia od strony kierowcy w swoim nowym samochodzie, zastanawiała się, czy kiedykolwiek zatrzasnie kluczyki. Próbowała wyobrazić sobie jeden z możliwych scenariuszy: śpieszy się bardzo na parkingu w pracy lub załadowuje zakupy do bagażnika. Nigdy jednak nie byłaby w stanie wyobrazić sobie tego wieczoru.

Ruszyła dalej ciemnym podjazdem, zatrzymując się raz jeszcze na widok spadającej gwiazdy na horyzoncie, tuż nad linią drzew. Duża i jasna ciągnęła za sobą zielony ogon. Perseidy. Zaznaczyła w kalendarzu deszcz meteorytów, by razem z Tedem mogli się wybrać na swoją doroczną wyprawę na podwórko na tyłach domu, z leżakami i kocami. Widziałem jedną! - krzyczeli do siebie zazwyczaj, nieomal współzawodnicząc ze sobą. Zeszłego lata na widok każdego meteorytu wypowiadała życzenie o dziecko. Choć nie była przesadna, traktowała takie życzenia bardzo poważnie. Będąc małą dziewczynką, zawsze długo czekała nad świeczkami urodzinowymi na torcie, aż na lukrze pojawiały się kałuże roztopionego wosku. Próbując zająć w ciążę, wypowiadała życzenia nad wszystkim, począwszy od znalezionych monet, a skończywszy na rzęsach na policzku. Teraz podniosła głowę, by spojrzeć w niebo. Zgodnie z relacjami w gazetach, dziś wieczór spadnie około stu pięćdziesięciu meteorytów na minutę. Następny zielony ogon sprawił, że wciągnęła gwałtownie powietrze. Zamknęła oczy. Po raz pierwszy nie była pewna, czego sobie życzyć.

ROZDZIAŁ DRUGI

Romans był skończony. Jadąc do pracy w upalny sierpniowy poranek - trzydzieści minut przerzucania biegu z dwójki na trójkę i z powrotem w godzinie szczytu do praktyki podiatrycznej w Menlo Parku - Ted wypuścił powietrze, zupełnie jakby od tygodni wstrzymywał oddech.

Minionego wieczoru, kiedy Elinor pobiegła na górę, powiedział Ginie, że już nigdy się nie spotkają. Skinęła głową i ruszyła w stronę drzwi. W jej postawie kryła się duma - wyprostowane ramiona, podbródek wysunięty do przodu, książki kucharskie pod pachą. Gdy minęła go w holu, poczuł słodko-świeży zapach jej perfum China Rain. Jednakże kiedy Elinor zeszła na dół, ona też odeszła, a drzwi zatrzęsnęły się lekko, acz zdecydowanie po raz drugi tamtego wieczoru. Stojąc samotnie w pustym domu, poczuł pogardę do samego siebie. Nie mógł winić żony za to, że odeszła, i był pewien, że jego kochance będzie się teraz wiodło o wiele lepiej.

Odczekał godzinę, a potem zadzwonił na komórkę Elinor. Zameldowała się w hotelu Fairmont w centrum miasta.

- El - zaczął błagalnie. - Już z nią skończyłem. Proszę, wróć do domu. Kocham cię. Tak bardzo mi przykro. Zacznijmy jeszcze raz. Wrócimy do poradni, do doktor Brewster.

- Może i był snobem, ale nienawidził nazywać psychoterapeutów doktorami, zwłaszcza że tak niewiele lekarstw mieli do zaoferowania.

- Wzięłam kąpiel - odparła Elinor. - Woda tutaj jest naprawdę gorąca. - Mówiła zupełnie jak dziecko. - I wanna jest ogromna. - Ugryzła coś chrupiącego. Podczas leczenia nie wolno jej było brać kąpieli. Oświadczyła, że zakazano jej dwóch rzeczy, z których czerpała największą pociechę: gorącej kąpieli i wielkiego kieliszka wina. Ted poczuł się urażony, że nie znalazł się w tym gronie. - Podoba mi się mój szlafrok - ciągnęła. - W hotelach wszystko jest takie czyste. - Jej głos był maniakalnie spokojny, co zdenerwowało Teda. Wrzeszcz na mnie, pomyślał.

- Mogę zamówić profesjonalne sprzątanie domu - zaproponował. - Zatrudnić jedną z firm, które się w tym specjalizują. - Uderzył pięścią w blat. Od pół roku nie miał pojęcia, co powiedzieć swojej żonie. A kiedyś kończyli za siebie zdania i śmiali się ze swoich dowcipów. Teraz na dźwięk każdego wypowiedzianego przez niego słowa Elinor wzdrygała się lub marszczyła brwi.

Wyjaśniła, że potrzebuje czasu tylko dla siebie. Musi sobie zrobić wakacje od życia. Oczywiście oznaczało to również wakacje od Teda, kobieciarza, cudzołózczy.

- To wcale nie musisz wracać do domu - powiedział.

- Możemy pojechać gdzieś razem. Może na Bermudy? - Elinor bardzo się tam podobało. Powiedziała, że piasek jest różowy. Daltonista Ted próbował to sobie wyobrazić.

- Może - odparła El. Jej obojętność była upiorna.

Teraz Ted stał w kolejce do świateł przy wjeździe na autostradę. Dzień był duszny i pochmurny, a niebo miało szary kolor farby do gruntowania samochodów. Ted zdjął wieczko jogurtu i zaczął go jeść

plastikową łyżeczką. To jeden z niewielu węglowodanów, na jakie pozwalał sobie w ciągu dnia. Romans się skończył, lecz on będzie się trzymał narzuconego przez Ginę reżimu. Pomogła mu przejść na dietę Zone i wystartować w triathlonie. Od lat nie czuł się tak zdrowo. Teraz postanowił utrzymać wagę. Przez ostatnie dwa miesiące doświadczał dziwnego paradoksu: czuł się jednocześnie wyśmienicie i parszywie. To efekt diety opartej na bekonie z indyka i uprawiania seksu z niewłaściwą osobą. Będzie musiał znaleźć inną siłownię.

Podczas trzech miesięcy trwania romansu Ted kilkakrotnie zrywał z Giną w myślach. Ćwiczył swoją przemowę pod prysznicem i w drodze do pracy: Jesteś wspaniałą kobietą, miał zamiar jej powiedzieć, wyobrażając sobie dzielącą ich bezpieczną odległość przy stoliku w restauracji, ale kocham moją żonę. Wiem, że poznasz kogoś innego. Nie takiego starego pierdołę jak ja. Ted miał czterdzieści pięć lat i ciężko pracował nad ostatnią przemową. Co za dupek. Głupek, kłamca i oszust. Czy tak trudno było powiedzieć: „Nic z tego, jestem żonaty”.

Jednakże Ginę przyciągało do niego właśnie to, że jest żonaty.

- Jesteś dorosły - szeptała ze smutkiem. Stanowił zdecydowane przeciwieństwo jej byłych partnerów, „niegrzecznych chłopców”, którzy mieli wyroki za jazdę pod wpływem alkoholu lub stracili pracę. Mimo że na każdą wzmiankę o nich Gina przewracała oczami, sama myśl o nich rozpaliała w piersi Teda ogień zazdrości.

Wrzucił trójkę, co przyniosło krótkotrwałą ulgę. Choć Gina miała obsesję na punkcie zdrowego żywienia, twierdziła, że w diecie potrzebna jest odrobina tłuszczu. Pewnego razu zrobiła mu smażone na żeliwnej patelni jajka z grubymi plastrami wolnego od azotanów bekonu. Czując jego zapach, zamarzył o śniegu i chacie w głuszy, o spoconym seksie pod flanelową pościelą. Gina od czasu do czasu paliła też trawkę, czemu towarzyszyła miniprzemowa o znacznie większej szkodliwości alkoholu dla zdrowia.

Uprawiali seks w szalonych miejscach - w samochodach, w parku, zakopani w koce z bagażnika Giny. Wozila w aucie zwiniętą pościel, którą określała jako łóżko-w-worku. Przygotowała ją, kiedy w kraju ogłoszono Pomarańczowy Alert, a w gazetach drukowano listę rzeczy, które należy zgromadzić: wodę, baterie i latarki, przekąski i koce w samochodzie na wypadek, gdyby trzeba było się nagle przenieść w inne miejsce lub utknęło gdzieś po drodze. Albo na wypadek gdyby trzeba się było pieprzyć w parku pod starym śpiworem pachnącym ogniskiem. Tamtego dnia pod drzewem mózg Teda ogarnęło tak wielkie podniecenie i strach, że był pewien, iż skończy się to tętakiem. Nawet kiedy jechali do domu Giny, nigdy nie udało im się dotrzeć do łóżka. Łagodziła ból, z którego nie zdawał sobie sprawy, dopóki jej nie poznał. Wszystko wydarzyło się tak szybko i było takie cudowne, a potem tak złe i straszne. Zupełnie jakby zaczął wachać klej lub napadać na banki.

Sunąc dwie długości za bmw, zaczął się zastanawiać, jak doszło do tego, że stosunki między nim i Elinor tak się poplątały. Wszystko zaczęło się chyba od leczenia bezpłodności. Na początek ich pożycie seksualne sprowadziło się do klinicznej porażki. Nawet ich pocałunki wydawały się przymusowe. Elinor podstawiała mu policzek jak wyciągniętą do uścisku dłoń lub czystą serwetkę. Nie oznaczało to wcale, że

była oziębła, lecz teraz stale się martwiła - miała na tym punkcie prawdziwą obsesję i ciągle opowiadała o najnowszych badaniach, o których czytała, akupunkturze lub pobraniu jajeczek od innej kobiety. Potem stracili zdolność do porozumiewania się. Elinor była przekonana, że milczące zdumienie Teda oznacza, że nie słucha, co do niego mówi. A on po prostu nie umiał znaleźć żadnej właściwej odpowiedzi. Na koniec stracili godność. Ted potrafił określić dokładnie moment, gdy stracił swoją: stało się to w dniu, kiedy na korytarzu szpitala upuścił próbkę spermy, która potoczyła się pod wielką lodówkę.

Ted nienawidził terapii in vitro. Po raz pierwszy w jego zawodowym życiu przytłaczały go informacje medyczne. Nigdy nie uważał, że powinien za wszelką cenę panować nad swoim życiem, lecz skomplikowane przeszkody, które musieli pokonać - zastrzyki, ultrasonografie, pobieranie jajeczek, wszczepianie embrionów - sprawiły, że poczuł się oderwany od rzeczywistości. A lubił wszystko naprawiać. W college'u spędzał całe godziny na podjeździe, naprawiając starego plymoutha. Można było podnieść maskę i zidentyfikować wszystko, co się pod nią kryło. Tęsknił za starym silnikiem V-8 tak samo, jak tęsknił za Johnnym Carsonem i domem, w którym dorastał. Teraz, kiedy zaglądał pod maskę swojego audi, lśniąca elektroniczna masa zdawała się z niego szydzić.

Rankiem pierwszego dnia, gdy miała się odbyć operacja pobierania jajeczek, denerwował się jak diabli. Czy stawka mogła być jeszcze wyższa? Jezu. Kiedy dotarli do kliniki, siedział z Elinor, gdy pielęgniarka podłączała kroplówkę z valium. El uśmiechała się do sufitu, jakby był jej starym przyjacielem. Patrząc, jak się odpręża, poczuł wielką ulgę. Pocałował ją w czoło i oba chłodne policzki. Potem zgodnie z instrukcjami ruszył do dyżurki pielęgniarek po klucz do Pokoju. Cha, cha: klucz wisiał na plastikowym breloczku w kształcie plemnika. Szedł więc korytarzem, ściskając w dłoni plastikowy plemnik.

Później Elinor chciała się dowiedzieć wszystkiego o Pokoju. Ted powiedział jej, że jest to po prostu łazienka z kabiną i dużym czarnym fotelem podobnym do tych, na których oddaje się krew. I z mnóstwem magazynów. Nie, nie były to egzemplarze „Newsweeka”! Zniszczone, poplamione, z białymi naklejkami z napisem: WŁASNOŚĆ KLINIKI, NIE ZABIERAĆ. Elinor uznała, że to cholernie zabawne. Na początku dostrzegała jeszcze humor i ironię w leczeniu. Jedną z rzeczy, które Ted kochał w swojej żonie, było jej mroczne poczucie humoru. Była też mądra, zabawna i piękna.

- Jak się udała randka z kubeczkim? - zażartowała.

- Och, co za romantyzm! - odparł.

Ted śmiał się, lecz jednocześnie bał się straszliwie, że coś popłącze z próbką, kiedy już Elinor przeszła przez całe to piekło: cztery zastrzyki hormonów dziennie przez dziesięć dni, by jej organizm wytworzył więcej jajeczek. Uda miała posiniaczone od ukłuc, a brzuch tak opuchnięty od pęcherzyków jajowych i płynu, że chodziła na czubkach palców, krzywiąc się z bólu. A teraz ta operacja. Kiedy niósł swoją próbkę do laboratorium, martwił się anestezjologiem Elinor. Wyglądał na dwanaście lat! A jeśli coś schrzani i poda jej za dużo środka usypiającego? Po drodze do laboratorium zgubił się w plątaninie korytarzy. Jesteś lekarzem, powiedział sobie. Opanuj się. Mimo to ręce nadal mu drżały. Kubeczek wysunął się z palców jak żywa ryba. Miał go nieść w brązowej torebce, którą mu wręczono, ale zniszczył ją w Pokoju i

wyrzucił. To była zupełnie inna historia. W mgnieniu oka jego próbka potoczyła się pod wielką lodówkę zamkniętą na kłódkę. Ted opadł na czworaki i zajrzał pod lodówkę, która grzechotała i mruczała. Dojrzał leżący przy ścianie kubek, uwięziony pod metalową pętlą. Przycisnął policzek do podłogi i wsunął dłoń pod lodówkę.

Tkwiał na kolanach z zadartymi wysoko pośladkami z ręką wsuniętą aż po łokieć w kurz i lepki brud, gdy usłyszał nad sobą męski głos.

- Czy mogę w czymś pomóc?

Białe adidas, niebieski fartuch. A nad nim brodata twarz.

- Wtoczył się tam kubek z moją próbką. - Ted słyszał panikę w swoim głosie.

Mężczyzna uklęknął i zajrzał pod lodówkę.

- O rany - powiedział.

Nie mogli dosięgnąć kubka ani przesunąć lodówki. Mężczyzna - pielęgniarz, jak głosił jego identyfikator - mógł wezwać kogoś z obsługi, by przesunąć maszynę, lecz z jakiegoś powodu zabrałoby to więcej czasu niż czterdzieści pięć minut przeznaczonych na dostarczenie próbki. Ted musiał wrócić do dyżurki pielęgniarek. Wrócić po klucz i wrócić do Pokoju. Nie był pewny, czy znów mu się uda. Udało się, ale był przekonany, że druga próbka nie jest tak dobra jak pierwsza, mimo że doktor Weston zapewniała go, że będzie w porządku.

Ale nie była albo nawaliło coś innego, bo zapłodnienie in vitro nie powiodło się.

- Adoptujmy - powiedziała Elinor, gdy zobaczyła negatywny wynik testu. Kiedy dostali wiadomość, odwołała spotkania w pracy, przyjechała do domu i przez dwadzieścia cztery godziny leżała na kanapie zwinięta w kłębek. Zaraz potem jednak zaczęła szperać w Internecie i z entuzjazmem zaprezentowała plan B obejmujący spotkanie w agencji adopcyjnej. Ted bał się, że ten proces okaże się dla nich za trudny. Ich bliskim przyjaciółom świeżo adoptowane dziecko odebrała kapryśna biologiczna matka. Zagraniczna adopcja innej pary padła w ostatniej chwili, kiedy już pojechali do Rosji.

- To nie jest wyprawa na zakupy do Searsa, kiedy wyjmujesz kartę kredytową - argumentował. Nie był pewny, czy jest przygotowany na takie rozczarowanie. Poza tym adopcja przeprowadzona za granicą mogła pociągać za sobą problemy medyczne, które złamią im serce. - Nie możemy na jakiś czas odpocząć? - zapytał zażenowany faktem, że w tych sprawach nie jest tak silny jak Elinor. Co się stanie, jeśli przebrną przez kolejne zapłodnienie, a ona znów poroni? Nie zniesie tego jeszcze raz.

Elinor utrzymywała jednak, że nie ma czasu na odpoczynek, spróbowali więc ponownie, mimo że szanse były dużo mniejsze. Ted czuł, że wąski paseczek na statystycznym kołowym diagramie doktor Weston kurczy się coraz bardziej. Rezygnacja wydawała się najlepszym wyjściem. Jednakże kiedy to powiedział, okazało się, że nie potrafi okazać wsparcia.

Ted wjechał w końcu na autostradę 280 i wrzucił piąty bieg. Nad otwartym szyberdachem świszczowało powietrze. Podniósł wzrok na wzgórza nad autostradą, nadal wysuszone na pieprz po letnich upałach.

Był pewien, że kiedy przestaną chodzić do lekarza, odzyskają swoje dawne życie. Będą chodzić na wycieczki, podróżować. Lecz zamiast odzyskać zapał do życia, Elinor zdawała się je porzucić. Wycofała się do pralni. W jej głosie zaczęła pobrzmiwać pogarda.

- Mam to gdzieś - odpowiadała, gdy pytał, czy ma ochotę iść na spacer lub czy zrobić jej kolację albo wypożyczyć film. Ja też przez to przechodzę, miał ochotę krzyknąć. W końcu on także się wycofał. Chodził na długie spacery, do siłowni, no i wreszcie wylądował pod starym śpiworem Giny.

W czasie leczenia zapisał się na program dietetyczno-treningowy w siłowni. Doszedł do wniosku, że może to pomóc jego spermie, w której liczba plemników zmieniała się z miesiąca na miesiąc. („Hm, dość kleista”, powiedział lekarz z pokolenia X, marszcząc brwi na widok wyników z laboratorium. Podczas następnego cyklu powiedział: „Tym razem niezwykle niska ruchliwość”. To niech pan się spuści do kubka! - chciał krzyknąć Ted.) W końcu wszystko zaczęło się wydawać daremne z wyjątkiem wypadów do siłowni. Im dłużej tam chodził, tym lepiej się czuł. Czysty przykład odruchu Pawłowa. Teraz uświadomił sobie, że w pewnym momencie zaczął się cieszyć na spotkania z Giną. Nie w romantyczny czy seksualny sposób. Chciał tylko otrzeć się o jej optymizm.

- Świetnie pan sobie radzi, doktorze - mówiła, uśmiechając się nad podkładką do pisania z jasnobrązowymi pasmami opadającymi na oczy. - Zrobił pan największy postęp ze wszystkich moich podopiecznych. Powinien pan wystartować w triathlonie! Pomogę panu w treningach na rowerze i w basenie. - Ted był wzruszony jej wiarą w jego możliwości.

Mimo to samo uwiedzenie zaskoczyło go zupełnie. Doszło do niego podczas testu przeprowadzanego po dziesięciu tygodniach programu. Byli razem w gabinecie na górze. Gina zmierzyła mu ciśnienie i sprawdziła puls spoczynkowy. Mówiła z ożywieniem o baseballu i zawodnikach, zupełnie jakby byli gwiazdami filmowymi. Jako fanka Red Soksów była pewna, że w tym roku jej ukochana drużyna dotrze do fazy play-off. Ted biegał na bieżni, a potem Gina raz jeszcze zmierzyła mu puls.

- Idealnie, panie doktorze - powiedziała. Po raz setny już zaczął nalegać, by mówiła mu po imieniu. Lecz Gina wydawała się zauroczona jego zawodem.

- Jestem tylko podiatrą - powiedział. - A nie chirurgiem mózgu.

- Stopy są bardzo ważne - nie ustępowała. Potem pisząc coś na jego karcie, przesunęła lekko palcami po wewnętrznej stronie jego ramienia. Ted zadrzał. Jej dłoń objęła i ścisnęła jego nadgarstek. Podniosła jego palec wskazujący i wsunęła go do ust. Powoli.

- Jestem żonaty, Gino - powiedział.

- Wiem - odparła ze smutkiem. A potem zażartowała bez przekonania: - Małżeństwo fatalnie wpływa na talię. - Puściła rękę Teda i wypadła z pokoju, pozostawiając go z pragnieniem, by doszło do czegoś więcej. Nienawidził siebie za to. Za to, że chciał poczuć więcej radości, więcej optymizmu i uwagi, więcej ciepła jej ust.

Myśl o ciepłych ustach Giny, wspomnienie o tym, jak leżeli w parku pod śpiworem, kiedy udało się jej zdjąć mu spodnie (na pewno jej pomagał!) i zaczęła lizać wewnętrzną stronę jego ud, a gdy zaczęło się

ściemniać, całą resztę - Jezu, mogli ich aresztować! - przeszła Teda jak dreszcz. Potrząsnął mocno głową jak pies, który otrzepuje się po wyjściu ze stawu. Na sekundę zamknął oczy. Kiedy je otworzył, znajdował się na szczycie wzgórza i widział przed sobą całe morze światel stopu. Jechał teraz szybko, szybciej, niż myślał. Czuł przyprawiający o mdłości przyływ adrenaliny, a potem zwolnił, zredukował bieg, skręcił gwałtownie, zahamował i bum, wpadł na starego pikapa wypełnionego grabiami, kosiarkami, dmuchawami i łopatami. Ciężarówka wpadła na jadące kilka cali przed nią bmw, które uderzyło z hukiem w zielonego passata. Ten z kolei wpadł na inny samochód, którego Ted nie widział. Nagle grabie z pikapa spadły na jego przednią szybę. Znajdował się teraz na pierwszym pasie z prawej. Koszula przykleiła mu się do pleców. Zjechał na pas awaryjny, wyrzwał zza zębów grabi i zgasił silnik.

Aby uniknąć przejeżdżających samochodów, wysiadł od strony pasażera. Z trudem przeszedł po stromym zboczu, zajrzał przez okno do ciężarówki i przeprosił trzech mężczyzn ściśniętych na siedzeniu.

- Telefon? - zapytał jeden z nich i uśmiechnął się. Na dwóch zębach miał srebrne korony. Ted sięgnął do kieszeni po telefon, ale zaraz zobaczył, że dwóch innych kierowców już dzwoni.

Wyschnięta trawa i gałęzie jeżyn wbijały mu się w nogawki spodni, kiedy szedł z boczem, by przeprosić kobietę.

- Tak mi przykro - powiedział przez zamknięte okno. - Pewnie zrujnowałem pani dzień.

- Słucham? - zapytała, opuszczając szybę od strony pasażera.

- Ja tylko... - Ted otarł czoło rękawem. - Przepraszam.

- Uch, nie ma sprawy - odparła, stukając w klawisze palmtopa.

- To moja wina - powiedział Ted do funkcjonariusza tuż po przyjeździe policji. - Zagapiłem się.

Już w samochodzie zapiął pas, choć na razie na pewno nigdzie nie pojedzie. Gliniarz kiwnął głową i sprawdził jego prawo jazdy i dowód rejestracyjny. Powiedział, że takie rzeczy stale się dzieją. Ten posuwający się w żółwym tempie sznur samochodów to prawdziwy koszmar. Ted żałował, że policjant jest aż tak wyrozumiały. Zasługiwał na karę. A przynajmniej na reprimendę.

Kiedy policjant zebrał już wszystkie informacje, samochody powoli, jeden po drugim, włączyły się do ruchu. Ted próbował wsunąć dokumenty z powrotem do schowka, lecz był zapchany śmieciami. Znalazł tam plastikowe widelczyki, nitkę dentystyczną, serwetki i słomki. Jezu, El, pomyślał. Elinor przypominała chomika, gromadziła dosłownie wszystko. Na całe pół godziny zapomniał, że jego żona porzuciła dom, porzuciła pewnie i jego. Zwinął śmieci ze schowka w kulkę i wrzucił na tylne siedzenie. W takim stanie nie mógł prowadzić.

Przesunął się na siedzenie pasażera i wysiadł z samochodu. Czując pod podeszwami butów kamyki i wyschniętą ziemię, zszedł ze wzgórza, by usiąść. Ostra trawa kłuła go w nogi. Spojrzał na zegarek: ósma pięćdziesiąt. Jego pierwszy pacjent siedział w poczekalni od dwudziestu minut. Wyjął z kieszeni komórkę. Trzy nieodebrane połączenia. Nie chciał tam jechać. Zadzwoił do gabinetu i poprosił do telefonu swojego wspólnika, Larry'ego, który zgodził się go zastąpić.

- Wszystko w porządku, druhu? - zapytał Larry.

- Elinor wyprowadziła się.

- Jezu. Tak mi przykro.

- Tak... - Ted poczuł w gardle ucisk dwóch minionych lat. - No cóż - rzucił. Miał ochotę opowiedzieć Larry'emu o Ginie i o tym, jak wszystko sieprzył. Ale Larry musiał pędzić, by przyjąć wszystkich czekających pacjentów. Rozłączyli się.

Ted przycisnął kolana do piersi, balansując trochę niebezpiecznie na wyschniętym wzgórzu przy autostradzie. Ruch się nasilił. Samochody mijaly go z hukiem, a gorące powietrze ciągnęło za spodnie jak prąd przyboju.

W każde czwartkowe popołudnie między pierwszą a czwartą Ted przyglądał się swojej starości. Wtedy właśnie chodził z wizytami po domu opieki Shady Glen, by „obcinać i przycinać”, jak mawiali z Larrym. Obcinać paznokcie u nóg starszym pensjonariuszom.

Kiedy wszedł do domu, podwójne rozsuwane drzwi zamknęły się za nim z szumem. Zatrzymał się na gumowej macie i przesunął dłońmi po białym fartuchu. Wziął głęboki oddech i natychmiast tego pożalował. Smród uryny, fasolki z puszki i odór niemytych ciał wycisnął mu łzy z oczu. Po naciśnięciu brzęczyka wszedł do wielkiej wspólnej sali. Wisiała tam biała tablica wypełniona drukowanymi literami.

Dziś jest: 12 sierpnia.

Pogoda: Ciepło.

Na lunch jemy: Spaghetti i klopsiki.

Jesteście w: San Jose, Kalifornia.

Kobieta skulona na wózku przeżuwała kartkę z życzeniami.

Tedowi w podiatrii najbardziej podobało się to, że zwykle był w stanie pomóc ludziom i ulżyć im w bólu - bez względu na to, czy oznaczało to wycięcie odcisku czy operację złamanego śródstopia. Jednakże praca w Shady Glen przytłaczała go poczuciem bezsilności. Paznokcie u nóg starych ludzi - niemożliwie grube i pofałdowane - uparcie wrastały w ciało, powodując ból. Ted odnosił wrażenie, że zamiast pomagać tym ludziom, podtrzymuje jedynie ponure status quo. To samo poczucie bezsensu towarzyszyło mu podczas zapłodnień in vitro, kiedy nie mógł zrobić nic, by poprawić sytuację lub pomóc Elinor.

Pierwsza pacjentka, pani O'Leary, nie była tak stara jak pozostali pensjonariusze. Powalił ją guz mózgu. Siwe włosy miała ostrzyżone krótko jak u komandosa, a niedawna operacja pozostawiła nad jedną ze skroni wgłębienie wielkości piłki do golfa. Jedno oko miała stale zamknięte. Twarz opuchła od sterydów, a po radioterapii wypadły jej wszystkie zęby z wyjątkiem jednego. Wyglądała jak latarnia z wydrążonej dyni.

Widok Teda przyniósł jej wyraźną ulgę. Siedziała wyprostowana na łóżku, a otwarte oko miało błagalny wyraz.

- Curtis! - szepnęła głośno.

- Nie, proszę pani - odparł Ted. - Jestem doktor Mackey. Przyszedłem obejrzyć pani stopy. - Kiedy odsunął pościel, by zbadać jej suche różowe paznokcie, podenerwowanym szeptem wyliczała nieprawi-

dłowości, których dopuszczają się w domu: pielęgniarki ukradły jej książeczkę czekową, a ktoś zbudował w jej pokoju kryty most. Czy mógłby napisać oświadczenie dla prasy?

Ted myślał początkowo, że powinien pomagać pacjentom chwycić lepszy kontakt z rzeczywistością, korygując ich starcze fantazje. Nauczył się jednak, że przynosi im większą pociechę, kiedy ich rozbawia.

Naprawdę? Wyobraża sobie pani? Co za odwaga! Pacjenci czuli wyraźną ulgę, widząc, że ktoś ich przynajmniej słucha i żywo reaguje.

Paznokcie pani O'Leary nie były takie złe, bo miała dopiero sześćdziesiąt lat. Kiedy skończył je obcinać, przycisnął do krawędzi miękkie poduszeczki.

- Boli? - zapytał, by się upewnić, że wrastające paznokcie już jej nie dokuczają.

- O wiele lepiej - westchnęła kobieta.

Ted wtarł jej w stopy krem, a potem przykrył je kołdrą. Zmęczony siedział przez chwilę na krześle przy łóżku.

- Jak się miewasz, mój drogi? - spytała pani O'Leary. Choć była zupełnie stuknięta, należała do grona najmilszych pensjonariuszy. Inni wrzeszczeli na Teda, oblewali go wodą, obnażali swoje zwiędnięte genitalia.

- Żona mnie porzuciła - oświadczył niespodziewanie.

- Ta Margaret to niezłe ziółko - powiedziała konspiracyjnym szeptem pani O'Leary, podnosząc głowę z poduszki i wybałuszając na Teda jedno oko.

Pokręcił głową.

- Kocham ją.

Nie powinien był chować książki kucharskiej do szuflady w komodzie. Jej odkrycie było dla Elinor bardzo bolesne. Ale on nie był najlepszym konspiratorem. Podczas trwania romansu nie musiał zresztą wymyślać wyszukanych kłamstw. Elinor nie miała ochoty spędzać z nim czasu, więc mógł chodzić, gdzie chciał i kiedy tylko przyszła mu ochota. Nigdy nie pytała, gdzie był. Trudno było namówić ją do wyjścia z pralni lub gabinetu. Co wieczór robił dla niej kolację, a ona wychodziła tylko po to, by ją zjeść. Potem Ted sprzątał, a ona wracała do swoich zajęć, jakiegokolwiek one były.

- Nie możesz posiedzieć w kuchni i porozmawiać ze mną, kiedy gotuję? - pytał ją. Ale kiedy to robiła, było mu tylko przykro. Krzyżowała ramiona na piersi, jakby było jej zimno, i przerzucała gazetę, wcale jej nie czytając. Potwierdzali, że dzień minął im dobrze. Nawet się już nie kłócili.

Ted wyciągnął rękę, by rozprostować zaciśnięte na pościeli palce pani O'Leary. Poglądził je delikatnie.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział. Nauczył się, że sekret właściwego podejścia do pacjenta jest bardzo prosty: wystarczy dotknąć jego ręki lub ramienia. Wszystko, byle mocno nie naciskać. Wstał. - Proszę się zbytnio nie martwić.

Przyciągnął do łóżka stół z lunchem.

- Lody waniliowe - powiedział, zrywając kartonowe wieczko z pojemnika. - Proszę zjeść. Wapno dobrze pani robi. - Lecz pani O'Leary już zasnęła.

Ted spojrział na zdjęcie stojące na stoliku. Pani O'Leary w sukni ślubnej, z masą kruczoczarnych loków otaczających rumianą twarz. Jej mąż, z lekko wystającymi zębami, uśmiecha się do obiektywu. Tańczą, niemal unosząc się w powietrzu.

- Posłuchaj - powiedział do telefonu agent z towarzystwa ubezpieczeniowego Teda później tego dnia - nie musiałeś być aż tak szczery.

Ted parsknął śmiechem, który rozległ się nagle jak szczeknięcie.

- Nie wolno ci mówić nic do innych kierowców - ciągnął agent. - Masz czekać na przyjazd policji - westchnął.

- Opowiedz mi swoją wersję wydarzeń.

Moją wersję? No tak. Jechałem za szybko i rozmyślałem o lasce, którą robiła mi w parku dietetyczka z mojej siłowni, a potem wpakowałem się w tył ciężarówki i spowodowałem niezły zator na autostradzie.

- Jechałem za szybko - powiedział do agenta. - Nagle wjechałem na wzgórze, a inne samochody zwolniły. Zagapiłem się. Miałem kłamać?

- Jasne, że nie - zaprotestował agent. - Ale teraz twoje stawki ubezpieczeniowe pójdą ostro w górę. Stracisz niżkę za bezwypadkową jazdę...

Nie dbał o to. Stracił już przecież swój status Dobrego Męża.

- Jaki jest cel tego telefonu? - zapytał agenta. - Poza zjechaniem mnie jak burą sukę?

- Uspokój się. Musiałem usłyszeć od ciebie, co się wydarzyło.

- I powiedziałem ci. To była ewidentnie moja wina. Czy jego rozpadające się małżeństwo to też jego wina?

Im bardziej Elinor chciała mieć dziecko, tym mocniej czuł, że idzie w odstawkę. W ciągu tych wszystkich miesięcy zwróciła się w głąb siebie i przeciwko niemu - jakby to przez niego nie mogli począć dziecka. Kiedy jej dotykał, wzdrygała się lub odsuwała. Czasami kiedy wchodził do pokoju, podskakiwała przestraszona, zaskoczona jego obecnością. Zaczął się czuć niepotrzebny, a potem wręcz odrażający.

Kiedy zasugerował przerwę w leczeniu, oskarżyła go, że nie chce mieć dzieci. Jakoś nie potrafił jej przekonać, że naprawdę chce. Zawsze marzył o trzech dziewczynkach. Małe dziewczynki rozkładały go zupełnie. Kiedy Elinor poroniła, wypił mocnego drinka jeszcze przed południem, co zdarzyło mu się zaledwie kilka razy w życiu.

Nie chciał jednak już dłużej poświęcać ich małżeństwa na ołtarzu szalonych zastrzyków i wizyt u lekarza. Snuł fantazję, że pewnego dnia wróci do domu (to była prawdziwa fantazja, gdyż Elinor zawsze wracała po nim), a stojąca przy kuchence Elinor powita go wiadomością o ciąży. To by dopiero było coś. Porwie Elinor w ramiona, zaniesie na kanapę i obsypie jej twarz pocałunkami.

Agent rozwodził się dalej nad tym, że jedna z kobiet twierdzi, jakoby uszkodził jej szyję. Ted wiedział doskonale, że ból po urazie kręgosłupa szyjnego spowodowanego szarpnięciem pojawia się dopiero na drugi dzień, ale przemilczał to.

- Prześlij mi papiery - powiedział do agenta i zdecydowanym ruchem odłożył słuchawkę. Uświadomił sobie, że przez całą rozmowę ścisnął w ręce but. Dopiero co wszedł do domu i przebierał się, by pójść pobiegać. Ścisnął but ze specjalną wkładką antywstrząsową, nie mogąc nagle znieść jego praktyczności. Otworzył przesuwane szklane drzwi od sypialni i cisnął but na podwórko, zupełnie jakby była to piłka do futbolu. Przeleciał przez cały trawnik i wylądował w krzewach jałowca. Tęsknił za futbolem. Nie grał od szkoły średniej. Zdjął drugi but. Prowadź rękę łokciem, przesun stopę do przodu, stań przodem do zawodnika, do którego podajesz. Bingo. But zniknął na podwórku sąsiadów.

Ted odwrócił się do łóżka o prawdziwie królewskich rozmiarach. Było za duże, nawet kiedy spali w nim razem z Elinor. Za nic nie położy się w nim sam. Przez ostatnie dwa miesiące przesypiali noce, prawie się nie dotykając. Elinor rzucała wymagane „Kocham cię” i zapadała w sen, niemal zanim zdążył odpowiedzieć. Leżał więc, marząc, by jak kiedyś mogli porozmawiać przed zaśnięciem. Marząc, by się kochali.

- Jak ci minął dzień? - pytał ze złością bardzo głośno, budząc Elinor.

- Co? - sapłała. - Świetnie! Spałam już!

Teraz przygnębiał go fakt, że kiedy myślał o seksie, przychodziła mu do głowy Gina. Musiał się wysilać, by przypomnieć sobie intymne chwile z własną żoną. Zerwał krawat z szyi i rzucił go w stronę szafy, gdzie wylądował udrapowany na adidasie Elinor. Wszedł do garderoby, zebrał buty i zaczął ciskać nimi na podwórko. Adidasy, chodaki, traperki. Jego, jej, wszystkie, które wpadły mu w ręce. Pieprzyć to. Co stało się z kobietą, z którą się ożenił? Musi ją odzyskać. Ściągnąć z powrotem do domu, a potem do poradni małżeńskiej. Dowiedzieć się, co się do diabła z nimi porobiło.

Zamknął przesuwane drzwi, a potem poszedł do łazienki, by wziąć długi prysznic.

Kiedy przebrał się w dżinsy, podkoszulek i adidas - jeden musiał przynieść z trawnika - poczuł się dużo spokojniej. Chwycił książkę telefoniczną i zadzwonił do hotelu Hyatt w centrum miasta. Zamelduje się zaledwie jedną ulicę od Elinor. Ona na pewno pomyśli, że to zabawne. Zadzwoni i zaprosi ją na posiłek dostarczony do jego pokoju przez obsługę. Neutralne terytorium. Terapeutka zawsze piała o tym z zachwytem.

W hotelu zerwał pościel z łóżka i wyjrzał z okna pokoju na czwartym piętrze w stronę Fairmontu. Miał jednocześnie zimne i spocone dłonie. W końcu podniósł telefon, by zadzwonić do El.

- Wiesz, że tutaj też mamy room service? - Zaśmiał się nerwowo.

Elinor mówiła spokojnym, nieobecny, lecz oficjalnym tonem. Wcale nie była rozbawiona. Nie mogła zjeść z nim kolacji, bo zaraz się wymeldowuje i jedzie na lotnisko. Wybiera się na dwa tygodnie do matki, która właśnie wróciła z rehabilitacji po operacji kolana. Elinor miała dość urlopu.

- Pozwól, że cię odwiozę - powiedział.

- Dziękuję, kochanie - odparła. - Kat mnie zawiezie.

Słyszając jej coraz spokojniejszy głos, wpadał w coraz większą panikę. Mówiła tak, jakby wszystko już zaplanowała. A jeśli to oznacza opuszczenie go na zawsze? Poczł pieczenie w krtani, jakby utknęła tam pigułka.

- Zadzwoń do mnie, kiedy już dotrzesz na miejsce - powiedział, kładąc się na łóżku.

Elinor przypominała odjeżdżający pociąg. Drzwi zamykały się z sykiem, a wagony nabierały prędkości. Ted biegł po peronie.

Elinor obiecała, że da mu znać, iż bezpiecznie dotarła na miejsce, ale potem potrzebuje prawdziwych wakacji i podczas tych dwóch tygodni nie chce z nim rozmawiać. Zadzwońi do niego, kiedy już wróci.

- I potem pójdziemy do poradni? - zapytał. - Umówię nas na wizytę.

- Dobrze - Elinor zawiesiła głos. - Jak się miewasz?

- Super - odparł, natychmiast żałując sarkazmu, który zabrzmiał w jego głosie. Bardzo chciał, by wszystko odbywało się w kulturalny sposób. - Miałem mały...

- Myślisz, że operacja kolana powinna złagodzić ból mamy? - Elinor oddychała z wysiłkiem, pakując swoje rzeczy. - Mówiła, że teraz bardziej ją boli.

- Wypadek. Och, rokowania są zwykle bardzo dobre. Nawet u starszych osób. Powinno przestać ją boleć, zwłaszcza po jeszcze kilku tygodniach fizjoterapii.

- Poczekaj, jaki wypadek? - Usłyszał, że przestała chodzić po pokoju.

- Samochodowy. Nic wielkiego. Wszystko jest w porządku. - Postanowił nie wdawać się w szczegóły. - Posłuchaj, może twoja mama zamieszka z nami? To oczywiście zależy od jej stanu zdrowia. - No pięknie. Jakby to mogło ocalić ich małżeństwo. Zacisnął pięści, próbując zwalczyć poczucie bezradności.

- Ona nigdy się nie zgodzi. Hej! - Głos Elinor zabrzmiał radośniej. Ted pomyślał, że może ma dla niego dobre wiadomości. Może wpadła na pomysł, jak wszystko między nimi poukładać. - Przepłynęłam dziś pięćdziesiąt długości w basenie hotelowym.

- Och. Rewelacja. - Prawdziwą rewelacją było to, że jego żona mieszka w hotelu Fairmont zamiast w domu! - Myślisz... Nie chciałabyś porozmawiać? - Wstał z łóżka. - El, chcę, żebyś wiedziała, jak bardzo mi przykro.

Elinor westchnęła.

- Na tym polega cały problem. Nie sędę, żebym była zdolna do jakichkolwiek rozmów. Mogę krzyczeć, mogę rozbijać różne rzeczy, ale chyba nie mogę rozmawiać.

- To krzycz.

- Nie... - Zawiesiła głos, zaczęła płakać, a potem wzięła głęboki oddech. - Nie chcę.

Świetnie. Udało mu się sprawić, że poczuła się jeszcze gorzej.

- Proszę wejść! - zawołała do kogoś za drzwiami. - Muszę pędzić - powiedziała do słuchawki. - Porozmawiamy. Jasne, że tak. Potrzebuję tylko czasu. Jezu Chryste, Ted.

- Wiem - odparł. - Ja... Bezpiecznej podróży.

- Dzięki. Pa.

- Kocham cię. - Sygnał. Za późno.

Ted odłożył słuchawkę i spojrzał na ogromne łóżko w pokoju hotelowym. Otworzył walizkę, wyjął szczoteczkę, umył zęby, wypłukał szczoteczkę, a potem schował z powrotem do walizki i zasunął zamek. W hotelu jest tak samo pusto i samotnie jak w domu. Zazdrościł Elinor wakacji i zmiany scenerii. Samolotu, na który musiała zdążyć. Listy zakupów czekającej na ladzie w kuchni matki. Spełnienia, jakie niesie ze sobą opieka nad drugą osobą. Wziął walizkę i pokręcił głową. Zameldował się w hotelu tylko po to, żeby zadzwonić do żony i umyć zęby.

Kręciło mu się w głowie i drżały ręce. W drodze z hotelu Ted uświadomił sobie, że nie jadł nic od śniadania. Zatrzymał się w Country Kitchen Café, gdzie podają zdrowe, kojące jedzenie. Zamówił zupę z czarnej fasoli, kurczaka z grilla, brązowy ryż i talerz owoców.

Kiedy kelnerka odeszła, zakrył twarz dłońmi. Dzień wydawał się długi jak cały tydzień. Nie chciał wracać do domu. A do diabła, może spać w samochodzie. Pocierał twarz i czoło, aż zabolowały go oczy. Kiedy je otworzył, zobaczył najpierw wirujące plamki, a potem bardzo atrakcyjną stopę wystającą z boksu tuż przed nim. W miejscach publicznych zawsze był trochę krótkowzroczny i koncentrował się na stopach i butach.

Spojrzał na proste długie palce z pomalowanymi na różowo paznokciami. Stopa miała zaskakująco dobry kształt. Żadnych zgrubień ani koślawego palucha. Na jednym palcu lśnił srebrny pierścionek. Fioletowe japonki firmy Reef. Świetny wybór, jeśli ktoś zamierza nosić klapki. Wokół kostki opadały miękko fałdy długiej spódnicy. Gina. Szeroka spódnica w tureckie wzory Giny. Pięknie uformowana różowa stopa Giny.

Podniósł wzrok i zobaczył tył jej głowy. Długie jasnobrązowe włosy, gładkie i miękkie. Pojedyncze pasma były cienkie, lecz w swej masie tworzyły gęstą zasłonę, przez którą tak cudownie przesuwają się dłonie, w której można się ukryć. Gina. No cóż, to przecież ona poleciła mu tę restaurację.

Ted wsunął się do swojego boksu i opuścił brodę na pierś.

- Zmęczony? - zapytała kelnerka, stawiając przed nim talerz owoców.

- Zmaltretowany - Wyjrzał zza krawędzi boksu. Na stoliku Giny stały dwa nakrycia. Jej towarzysz pewnie wyszedł do łazienki. Gina odchyliła głowę do tyłu, zbyt szybko pijąc białe wino. Zawsze tak robiła, gdy była zdenerwowana. Choć rozpierała ją pewność siebie, zawsze czaiła się w niej jakaś nerwowość lub chęć zadowolenia innych. Pewnego razu Ted ujął jej policzki w dłonie, wytrzymał jej spojrzenie i powiedział:

- Odpreż się.

Może była zdenerwowana, bo umówiła się na randkę. Ted wychylił się jeszcze bardziej, pośliznął na winylu wyścielającym kanapę i omal nie zsunął na podłogę. Złapał się za blat stołu, potracając przy tym szklankę. Rozlała się woda. Towarzysz Giny pił jakiś napój gazowany zamiast wina. Może to jeden z jej chłopaków z wyrokiem. Ted nie mógł znieść myśli o tym miłośniku pepsi całującym Ginę. Ktoś inny do-

tykał jej ust, wydętych, zawsze lekko słodkich i lśniących od delikatnego różowego błyszczku. Gina świetnie całuje. To właśnie najpierw zauroczyło Teda. Sposób, w jaki przesuwała językiem po jego ustach, skubała jego dolną wargę i gryzła ją lekko, wywołując dreszcz aż na czubku głowy. Potem wciągała jego wargę do ust i powoli ją ssała, dając znać, że lepsze dopiero nadejdzie. Ted uderzył o blat nasadą dłoni. Był zazdrosny o puste miejsce przy stole. Jezu. I to próbując pogodzić się z żoną. Wsunął się z powrotem do boksu i wbił widelec w półksiężyc melona.

Z ukrytej za rogiem łazienki wyłonił się szczupły chłopiec i podszedł do stolika Giny. Na oczy opadała mu gęsta grzywa loków w kolorze miodu. Miał jakieś osiem lat. Opadł ciężko na kanapę naprzeciw Giny, jakby coś go pokonało.

Kim jest ten dzieciak? - zastanowił się Ted, trzymając kawałek melona na widelcu jak flagę.

W tej właśnie chwili chłopiec wskazał palcem na coś za Tedem. Gina odwróciła się z uniesionym podbródkiem i lekko rozchylonymi ustami. Na ścianach restauracji wisiały najróżniejsze rzeczy - od głów łosi po zdjęcia sław kategorii B.

Gina otworzyła szeroko oczy i usta.

- Ted. - Uśmiechnęła się, lecz zaraz opanowała, tłumiąc radość towarzyszącą zwykle ich spotkaniom. - Ted?

- Cześć. - Pomachał lekko kawałkiem melona. Nadeszła kelnerka, opierając na biodrze talerz z sałatką Teda.

- Chce się pan do nich przysiąść? - Zrobiła krok w stronę boksu Giny.

- Ja... - Ted opuścił widelec.

- Jasne. - Gina zaśmiała się nerwowo. - Przysiądź się koniecznie. - Przesunęła się na kanapie, by zrobić mu miejsce.

Chłopiec zmarszczył nos i wsunął do ust frytkę. Ted przełknął ślinę i oparł szeroko rozstawione dłonie na blacie, by zebrać się na odwagę.

ROZDZIAŁ TRZECI

Nie powinno się obcinać włosów tydzień po odkryciu, że twój mąż sypia z inną kobietą. Jednakże Elinor przez całe życie kierowała się zdrowym rozsądkiem i dokąd ją to zaprowadziło?

Pochyliła się nad umywalką w łazience domu matki w Ohio i przyjrzała swemu odbiciu w lustrze. Jej proste jasne włosy były równo obcięte na końcach i opadały tuż poniżej ramion. Zbyt rozsądne. Rozsądne włosy splecione we francuski warkocz, buty na niskich obcasach, pełna sukcesów kariera. Problemy z jakością jajeczek. Zapragnęła czegoś bardziej seksownego. Postrzępionej fryzury, którą widziała w czasopismach na zdjęciach gwiazd filmowych. Szalonej grzywy różnej długości, z pasmami opadającymi załotnie na oczy. Zebrała włosy nad czołem, by sprawdzić, jak będzie wyglądać. Kiedy je puściła, opadły grzecznie na miejsce, zbyt gęste i uparte, by udało się je zmierzić.

Wyszła do saloniku, gdzie na kanapie leżała matka z jedną nogą uniesioną na poduszce. W dół od kolana biegła czarna drabinka szwów. W popielniczce na stoliku obok palił się papieros. Wraz z upływem lat Beatrice skurczyła się. Teraz przypominała łuskę kukurydzy owiniętą w niebieski frotowy szlafrok.

- Mamo, masz jakieś ostre nożyczki? - Elinor podniosła głos, by przekrzyczeć ryczący telewizor.

- Kretyn! - krzyknęła matka pogrążona w porannym rytuale wyszydzania uczestników programu „The Price Is Right”. Nie odrywając oczu od Boba Barkera, wskazała palcem - W pralni.

- Auuuu - żaliła się publiczność, kiedy kobieta za nic nie potrafiła odgadnąć ceny mikrofalówki.

Zęby Boba Barkera były jedynym źródłem światła w ciemnym saloniku. Sam Bob był chudy, pomarszczony i opalony na złoty kolor. Elinor odciągnęła zasłony. Czowała się winna, że to wszystko ją przynębia - mroczny, pachnący stęchlizną apartament i widok matki leżącej przez cały dzień przed telewizorem. W mieszkaniu unosił się zapach nikotyny, lizolu i wieprzowych kielbasek, które matka co rano przypalała na patelni. Otworzyła przesuwane drzwi, by wpuścić trochę świeżego powietrza.

Beatrice wyciągnęła palec w stronę telewizora.

- O, teraz się wściekają. - Westchnęła. - Dlaczego w ogóle oglądam to badziewie?

- Nie czytasz już? - Elinor miała nadzieję, że nie zabrzmiało to zbyt krytycznie. Kiedyś matka czytała jedną książkę tygodniowo.

- Stale czytam jeden i ten sam akapit. Moja koncentracja zniknęła razem z gęstością kości. Nie mogę czytać, nie mogę otwierać słoików, nie mogę tańczyć.

Irytacja, jaką budził w Beatrice proces starzenia się, niepokoiła Elinor.

„Przy odrobinie szczęścia w ogóle się nie obudzę” - powiedziała do telefonu przed operacją.

- Nigdy nie lubiłaś tańczyć - przypomniała teraz matce Elinor.

- Nie? No widzisz, nawet nie pamiętam.

- Ależ tak. - To zabrzmiało jak oskarżenie. Matka wskazała palcem Boba Barkera.

- Ten facet wygląda, jakby go wysuszyli na słońcu.

- Mogę ci coś podać? - Elinor starała się nadać głosowi radosne brzmienie. - Może pożyczę jakieś filmy. - Gdy matka odwróciła wzrok, zgasła jej papierosa.

- Mogłabyś zabrać mnie na tył domu i zastrzelić.

Elinor poczuła, że zaczyna jej drgać podbródek i pieką ją oczy.

- Nie mów tak.

Beatrice walczyła z poduszkami, by usiąść i spojrzeć na córkę. Kiedy ich oczy spotkały się, przez jej twarz przebiegł cień.

- Kochanie, ja tylko żartuję. - Wyłączyła głos w telewizorze. - No, rozchmurz się dla starej mamy.

Elinor przypomniała sobie głos ojca, który umarł na atak serca, gdy była na pierwszym roku studiów prawniczych.

„Uśmiechnij się, Ellie” - mawiał często, szturchając ją lekko w ramię. Była poważnym dzieckiem, zawsze coś czytała. „Nic mi nie jest” - odpowiadała. Ludzie sądzili, że marszczy brwi ze złości, podczas gdy ona tylko się koncentrowała. Najwyraźniej koncentrowała się na złych rzeczach. Kiedy najważniejsza była dla niej kariera, powinna była zwrócić uwagę na swój zegar biologiczny. Kiedy zwracała uwagę na swój zegar biologiczny, powinna była skoncentrować się na mężu.

„Dlaczego odkładała pani urodzenie dziecka?” - spytała terapeutka w poradni małżeńskiej podczas ich pierwszej wizyty. Elinor wyjaśniła, że nie miała takiego zamiaru. Poznała Teda, gdy miała trzydzieści pięć lat; pobrali się siedem miesięcy później, kiedy miała ich już trzydzieści sześć. Wkrótce po trzydziestych siódmym urodzinach odstawiła pigułki i zaczęła brać witaminy. Przez rok starali się począć dziecko. Kiedy skończyła trzydzieści osiem lat, ginekolog wręczył jej listę klinik leczących bezpłodność. Gdy razem z Tedem znaleźli odpowiedniego lekarza, wpisali się na listę oczekujących, zrobili wszystkie badania, przeszli przez trzy zapłodnienia wewnątrzmaciczne, poronienie i okres rekonwalescencji, histeroskopię i dwa nieudane zapłodnienia in vitro, nadeszły jej czterdzieste urodziny. Nagle miała czterdzieści lat i była bezdzietna. Czy mogła wykazać się jeszcze większą aktywnością?

- Przykro mi, że jestem taka ponura, kochanie - oznajmiła Beatrice. - Nie czuję się najlepiej.

- Wiem. - Elinor włączyła głos w telewizorze. Matka chciała po prostu obejrzeć swój program. Powinna przestać mieszać się do wszystkiego. Nagle dotarło do niej, jak bezradny musiał czuć się Ted, kiedy próbował ją pocieszać w czasie leczenia.

„Mogę ci coś podać?” - pytał czule. Kiedy potrząsała głową, wyglądał na rozczarowanego i wiedziała, że sprawiła mu ból.

- Kochanie, wiesz, że możesz już wrócić do domu. - Beatrice uśmiechnęła się, przekrzywiła głowę i spojrzała zdziwiona na Elinor. - Poradzę sobie sama. Naprawdę. Jedź do tego swojego uroczego mężusia.

Elinor nie zwracała matce głowy wieściami o romansie Teda i wiadomością, że jej małżeństwo wisi na włosku.

- Nie mogę zmienić biletu - odparła, choć prawdopodobnie za opłatą mogłaby to zrobić. Poza tym lubiła pomagać matce - rozdzielać lekarstwa, przygotowywać posiłki na tacy, zmieniać okłady z lodu,

trzymać ją pod kruche ramię, gdy wieczorem razem wchodziły po schodach. Chciała czuć się potrzebna. Tego właśnie oczekiwała, pragnąc dziecka: chciała mieć kogoś, kim mogłaby się opiekować. Zapinać kurtkę, wycierać nos, koić nerwy. Tymczasem zupełnie przeoczyła fakt, że to Ted potrzebował jej przez cały ten czas - potrzebował miłości, seksu, uwagi, towarzystwa. Wszystkich elementów dobrego małżeństwa.

W pralni były tylko nożyczki profilowane. Może właśnie dzięki nim uda się jej uzyskać artystyczny nieład. Rozłożyła gazetę na umywalce. Wyciągnęła nad głowę pasmo włosów i szybko je ucięła. Włosy zostały jej w dłoni, miękkie i jedwabiste. Natychmiast zaczęła za nimi tęsknić. W przeciwieństwie do większości swoich przyjaciółek nie musiała farbować włosów. Na żółtozłotym odcieniu długo nie było widać siwizny. Może lepiej byłoby je zapuścić. Długie blond włosy aż do pasa. To dopiero byłoby seksowne.

Przyjrzała się sobie w lustrze. Ted mówił, że ma twarz w kształcie serca i ta uwaga sekretnie ją podniecała. Ona uważała, że ma za długą twarz i zbyt spiczasty podbródek. Gdzie widziała nos podobny kształtem do pyska mopsa, Ted dostrzegał nos w kształcie guziczka. Zawsze potrafił sprawić, że czuła się bardziej atrakcyjna, niż wydawała się sobie w istocie.

- Wygląda pani wspaniale na swój wiek - świergotała Gina w siłowni. Kiedy rozpuściła koński ogon, żeby go mocniej związać, jej jasnobrązowe włosy opadły aż do pasa: cienkie, postrzępione i zwiewne. Jak u studentki college'u.

Elinor nie wiedziała, jak powinna się wściekać z powodu romansu męża. Chciała albo polecieć do domu, wpaść do siłowni i walnąć pięścią prosto w uroczy przodozgrzyz Giny, albo zwinąć się w katatoniczną kulkę w nogach łóżka matki. Nie potrafiła się wściekać w dorosły sposób. Z godnością.

Krótsze, postrzępione pasmo włosów wyglądało na uroczo zaniedbane. Elinor podnosiła kolejne i szybko cięła. Włosy opadały z szumem na gazetę, prosto na kolumnę z poradami „Drogiej Abby”.

Droga Abby: Mój mąż ma romans. Elinor obcinała włosy na czubku głowy, próbując przypomnieć sobie, jak robi to fryzjerka. Nożyczki dźwięczały i skrzypiały. Po chwili mała kopka włosów pokryła krzyżówkę i horoskopy.

Ciach, trzask. *Abby, mogłam być miłsza dla Teda.* Elinor nie potrafiła znieść obojętności Teda w stosunku do adopcji i jego wyraźnej ulgi, kiedy zrezygnowali z leczenia. Tego denerwująco rześkiego kroku. Warczała na niego za mało istotne wpadki, na przykład gdy zapomniał odebrać pranie z pralni chemicznej. Gniew wylewał się z niej, zanim zdążyła go powstrzymać, zupełnie jakby wymiotowała na podłogę, bo nie zdążyła dobiec do łazienki. Zgorzknienie okazało się jednak złym mechanizmem obronnym, zupełnie jak owad, który umiera po wbiciu żądła.

„Dla mnie to też jest trudne” - nie ustępował Ted. W jego głosie dźwięczało poczucie winy, jakby nie wolno mu było tego powiedzieć.

„Wiem, kochanie” - odpowiadała. Ale on musiał tylko zapelnąć kubeczek spermą! Wiedziała jednak, że mimo to nie było mu łatwo. Obcy ludzie krytykowali jego spermę, nadzieje na zostanie ojcem ma-

łały. Może Ted też potrzebował poczuć się seksowny. Elinor rzuciła nożyczki na blat w łazience, myśląc o nagim płaskim brzuchu Giny nad paskiem nisko opuszczonych spodni od dresu. O tym, jak dłoń Teda obejmowała ją w pasie, gdy szli razem do Healthy Oats.

Ted może sobie wcisnąć swoje siemię do tyłka. Ciach, trzask, ciach, trzask, ciach. Nienawidziła myśli, że za nim tęskni. Tęskniła za jego zapachem, który przypominał sosny, i ciepłem jego muskularnego ciała w łóżku. Za mocnymi udami, mocnymi rękami, opadającymi ramionami. Uściskami, które odgradzały ją od reszty świata. Tęskniła za tymi kilkoma minutami, które spędzali rano w łóżku, gdy zadzwonił już budzik i wyglądali przez okno na ogród. Ted zawsze budził się w dobrym nastroju. Nawet jeśli wieczorem się pokłócili, rankiem był jak nowy. I zawsze śmiał się z dowcipów Elinor, choćby były straszliwie mroczne. Po pierwszej randce zadzwoniła do matki i powiedziała: „Powoli mnie zdobywa”.

Nalegała, żeby nie dzwonił do niej do Ohio. Porozmawiają, kiedy wróci do domu. Do tego czasu wszystko sobie poukłada. Na razie jednak z niczym się nie uporała. Co wieczór rozmawiała z Kat. Mówiąc o romansie, odczuwała mieszaninę wdzięczności i winy. Nie chciała być bohaterką dramatu.

- To takie oklepane - mówiła.

- Czuć się parszywie to nic złego - pocieszała ją Kat. - Zrób sobie wakacje.

Elinor uwielbiała Kat, bo sama nigdy w niczym nie potrafiła dostrzec dobrych stron. (Kiedy nie masz dzieci, możesz spać do późna! Możesz polecieć do Paryża!)

Wiele par potrafi zapomnieć o romansie, poradziłyby jej prawdopodobnie Abby. Ciach, trzask.

Może więc potrafi wybaczyć Tedowi. Na pewno. Ciach, ciach, trzask, ciach. Ale nie teraz, kiedy gniew kipiał tuż pod jej skórą. Przerazający gniew. Wczoraj kiedy poszła do sklepu po jogurt dla matki, wpadła w panikę na widok atrakcyjnej kobiety w spodniach do jogi w dziale z nabiałem. A jeśli ten romans się nie skończył? Jeśli Ted nadal tkwi w związku z Gina i jej siemieniem?

Ciach, ciach, ciach. Jeszcze kilka pasemek. Kiedy wróci z Ohio, umówią się na wizytę u doktor Brewster. Ciach. Klótnie w jej gabinecie jakimś cudem zawsze przynosiły efekt. Ciach, ciach. Ciach. Trochę krócej po bokach.

Odsunęła się od umywalki, kontemplując postrzępioną fryzurę. Z tyłu była trochę dłuższa, niż zamierzała. Ale miała już dość strzyżenia. Po powrocie do domu pójdzie do fryzjera, żeby wszystko poprawić. Nadać całości wyrazu.

Pochyliła się do przodu i zdmuchnęła włosy z szyi suszarką, którą znalazła pod umywalką. Ciepło ogrzało jej skórę na głowie. Kiedy się wyprostowała, włosy sterczały na wszystkie strony, odzwierciedlając jej emocje.

- Och! - wykrzyknęła matka na widok nowej fryzury. Uśmiechnęła się. - Sama to zrobiłaś? Urocze.

- Tak myślisz? - Elinor zająknęła się, ciągnąc za koniuszki włosów. - Myślisz, że spodoba się Tedowi? - Chciała odzyskać włosy. Odzyskać talię. Funkcje jajników. Życie intymne. Bikini. Męża.

- Kochanie... - Beatrice zgasiła telewizor i spuściła chorą nogę z kanapy. Poklepała zachęcająco poduszki, by Elinor usiadła obok niej.

Opadła na kanapę i oparła głowę na ramieniu matki okrytym miękkim szlafrokiem. Beatrice gładziła ją po plecach bez słowa. Nigdy o nic nie pytała, lecz w tej chwili Elinor żałowała, że matka nie jest wścibska.

- Mamy z Tedem problemy - powiedziała cicho.

- Och, kochanie. - Elinor wtuliła czoło w suche, ciepłe zagłębienie przy szyi matki, wdychając kojący zapach maści.

- Chodzi o bezpłodność? Tyle przeszliście...

Kiedy Elinor objęła matkę za plecy, przeraziła ją kruchość jej kręgosłupa.

- Tak. I jeszcze parę innych rzeczy. Beatrice kiwnęła głową.

- To poronienie było dla was bardzo ciężkim przeżyciem. Ale przynajmniej wiecie, że możecie mieć dziecko - dodała dużo weselszym tonem.

Po poronieniu wiele osób podobnie ich pocieszało. Lecz Elinor wstydziła się przyznać, że ona od początku wiedziała, że może mieć dziecko. W college'u poddała się aborcji. Jej chłopak, Caleb, poeta i kolega ze studiów prawniczych, zginął w wypadku samochodowym w czasie przerwy na Święto Dziękczynienia. Elinor wróciła do szkoły w szoku. Pewnej nocy wypiła za dużo koktajli kamikadze i przespała się z Jamesem Slandlerem, sobowtórem Toma Cruise'a, który był miły, czuły i durzył się w niej od czasu, gdy byli przeciwnikami w debacie. Ponieważ miała złamane serce, ogarnęło ją melodramatyczne poczucie, że straciła chęć do życia. Poszła więc do pokoju Jamesa i nie chciała się martwić brakiem zabezpieczenia. Tylko ten jeden raz nie użyła środków antykoncepcyjnych i bum, zaszła w ciążę. Od tamtej pory błędnie sądziła, że jest płodna jak królik.

James był uroczy. Zawiózł ją do kliniki aborcyjnej, przynosił koktajle czekoladowe i zrywał stokrotki. W tamtym czasie Elinor była pewna, że dokonała właściwego wyboru - najpierw studia, potem dziecko. Na zasadzie kontrastu, jej matka, studentka z samymi szóstkami, zaszła w ciążę na pierwszym roku stanowego uniwersytetu Ohio, kiedy razem z jej ojcem wypili za dużo piwa po meczu futbolowym. Beatrice zrezygnowała ze studiów, zamieniając Yeatsa i Keatsa na doktora Spocka i pieluchy. Urodziła Elinor i już nigdy nie wróciła na uczelnię.

- Od początku wiedziałam, że mogę mieć dziecko - wyznała Elinor, przyglądając się pajęczynie szwów na kolanie matki. - Miałam aborcję. Dawno temu. W college'u. - Podniosła wzrok na Beatrice. Na twarzy matki malował się wyraz tak pełnej akceptacji, że miała ochotę wybuchnąć płaczem. - Myślałam, że to słuszna decyzja.

- Bo była, kochanie. - Beatrice delikatnie układała pasemka świeżo ostrzyżonych włosów Elinor.

- Może powinnam była urodzić wtedy. - Kiedy nie mogli z Tedem począć dziecka, Elinor zaczęła snuć fantazje o „dziecku z college'u", które byłoby już nastolatką, kłócącą się pewnie o pozwolenie przekłucia pępka lub pójście na koncert rockowy w powszedni dzień.

- Nie, nie. - Beatrice pokręciła głową. - Tak myśmy postępowały. Nie miałyśmy takiego wyboru jak wy. - Ostatnie słowa wypowiedziała ze smutkiem, po czym nagle urwała. - Och! Nie chciałam wcale powiedzieć, że każda minuta z tobą nie była dla mnie wielkim szczęściem. Byłaś takim słodkim dzieckiem.

- Mam nadzieję. - Elinor zawsze czuła się trochę winna, że to przez nią matka nie mogła skończyć studiów.

Siedziały w milczeniu, wpatrując się w ciemny ekran telewizora. Elinor zaczęła tęsknić za Bobem Barkerem.

- Wybór... - powtórzyła za matką. - To taka bajka, wiesz? - Oparła głowę na kościstym ramieniu Beatrice. Elinor zawsze gorąco popierała wolność wyboru, ale nigdy nie przyszło jej do głowy, że pewnego dnia nie będzie go miała w ogóle. Wiele rzeczy można odłożyć na później, lecz posiadanie dziecka niekoniecznie do nich należy.

Ted trochę zbyt ciężko opadł na kanapę w boksie w Country Kitchen Café i Gina lekko podskoczyła. Oboje zaśmiali się nerwowo. Gina ścisnęła go lekko, po przyjacielsku. On dotknął jej ramia, opalonego pod cienkimi paseczkami trykotu do jogi. Pod lekkim materiałem widać było zarys jej piersi. Ted odwrócił wzrok.

- To mój syn, Toby - powiedziała. Patrzyła na chłopca z uśmiechem, niemal pękając z dumy.

- Twój... syn? - Nigdy nie mówiła, że ma syna. Czy były u niej w domu jakieś zdjęcia?

Chłopiec spojrzał na niego spod kręconej czupryny.

- Toby do niedawna mieszkał ze swoim ojcem.

- Och. - Ted podmuchał na łyżkę z zupą, choć wcale nie była już gorąca.

Gina siliła się na wesołość, lecz widać było wyraźnie, że jest zdenerwowana. Dopiła wino i zamówiła mrożoną herbatę. Mieszała ją bez końca, aż kostki lodu zaczęły się topić.

Toby westchnął i zaczął uderzać rytmicznie łyżką w blat stolika.

- A teraz muszę mieszkać tutaj. - Na dźwięk pogardy w jego głosie Tedowi zrobiło się żal Giny.

- To świetnie - odparł.

- Ojciec Toby'ego wraca do szkoły - wyjaśniła Gina - więc często nie będzie go w domu.

Toby kopnął w nogę od stołu, aż zachybotwały się szklanki.

- Ile masz lat? - Ted nabrał łyżkę papkowej zupy z czarnej fasoli.

- Dziesięć.

- Zjedz sałatkę, kochanie. - Gina wskazała palcem kopkę zieleniny obok frytek.

Toby zmarszczył nos. Ciężar loków zdawał się przyciągać jego głowę do blatu. Łokcie, za duże w stosunku do reszty ciała, pokrywały brązowe strupy. Drapał je nieustannie.

- Nie rób tego, kochanie. - Gina sięgnęła do dłoni syna. Toby cofnął się, chowając ręce pod stół. - Ktoś tutaj jest szczególnie podatny na wypadki i na dodatek ma egzemę - wyjaśniła, zwracając się do Teda.

Ted zamówił pół butelki chardonnay. Kelnerka przyniosła ją razem z dwoma kieliszkami. Ted starał się nie pić zbyt szybko.

Gina skinęła głową w stronę Toby'ego.

- Musi skończyć z tym McDonaldem. Próbuję przekonać go, żeby jadł co najmniej jedną małą sałatkę dziennie. - Srebrne bransoletki zadźwięczały cichutko, gdy wbiła widelec w swoją własną sałatkę.

Teda irytował sposób, w jaki zwracała się do Toby'ego w trzeciej osobie - jakby go tu wcale nie było. Nie przypominał sobie, by wcześniej kiedykolwiek go denerwowała. Jakże mogło być inaczej, skoro ograniczali się do ćwiczeń na stepperze, jedzenia przygotowanych w domu posiłków i seksu.

Toby przyglądał się Tedowi ze zmarszczonymi brwiami. Skrzyżował przy tym ramiona, by móc podrapać oba łokcie jednocześnie.

- Wiedziałaś, że osoba, której ścięto głowę, może pozostać przytomna do czterech minut, bo w jej mózgu nadal krąży krew? - Zadając Tedowi to pytanie, Toby wyprostował z entuzjazmem plecy.

- Naprawdę? - Ted odłożył widelec i napełnił najpierw kieliszek Giny, potem swój.

- Tak, ale prawdopodobnie nie odczuwa żadnego bólu.

- Ma zamiłowanie do upiornych historii - westchnęła Gina, odwracając się do Teda. - Ted jest lekarzem - powiedziała do Toby'ego.

- To nie są żadne historie - zaprotestował Toby. - To anegdoty. Są prawdziwe. - Z jednego ze strupów zaczęła sączyć się krew. - Jakim lekarzem? - zapytał Ted z nadzieją w głosie. - Chirurgiem?

Gina podała synowi serwetkę, którą przycisnął do łokcia.

- Podiatrą. Ale przeprowadzam drobne operacje.

- Super!

- Powiedz, jaki jest twój ulubiony przedmiot w szkole?

- Historia. Ale jeszcze jej nie mamy. Tylko jakieś głupie gadki o społeczeństwie. Bzdury o Plymouth Rock. A ja lubię prawdziwą historię. No wiesz, Grecję i Rzym. Oglądam kanał „Historia”, a mój dziadek ma książki z kapitalnej serii o dawnych dziejach.

Zazwyczaj Ted bardzo się przejmował, że nie udaje mu się powiedzieć niczego, co wzbudzi zainteresowanie dzieci. Zadać pytań, które zmuszałyby ich do udzielenia dłuższej odpowiedzi, a nie do krótkiego bąknięcia. Ale ten dzieciak mówił bez przerwy.

- Nie możemy zmusić Toby'ego, żeby zaczął czytać podręczniki - powiedziała lekko poirytowana Gina - bo stale czyta książki dziadka.

- No proszę - rzucił Ted.

- A ona nic nie czyta - oświadczył Toby.

- Ależ czytam. - Gina przestała jeść i ułożyła podkładkę równo z brzegiem stolika.

- Tak, te głupie książki o odżywianiu. Kupa bzdur i tyle.

Ted ze zdziwieniem zauważył, że Gina i jej syn zwracają się raczej do niego niż do siebie nawzajem.

- No cóż, te bzdury pomogły mi schudnąć siedem kilo - powiedział do Toby'ego.

- No tak. Wiesz, kto to Cynceron? I jak umarł? Chciał, żeby Rzym stał się republiką, ale Marek Antoniusz nie chciał i zamordował go. A wiesz, co się potem stało?

- Oddychnij, Toby. - W głosie Giny zadźwięczała irytacja.

- Cynceron został zamordowany? - zapytał Ted. Wiedział, że zamordowano Cezara, ale nie pamiętał, co takiego napisał ani zrobił Cynceron. Dla niego był tylko jeszcze jednym facetem z Rzymu, którego imię zaczynało się na C. Elinor spodobałby się ten dzieciak.

- Tak. Odrąbali mu głowę i ręce i przybili je do muru Forum Romanum. - Wymawiając słowo „odrąbali”, Toby uderzył w stół niczym karateka. Kieliszek Giny przewrócił się i wino oblało jej trykot. Cofnęła się gwałtownie, po czym przycisnęła serwetkę do piersi.

- Przepraszam - rzucił Toby, nie spuszczać wzroku z Teda, swego słuchacza mimo woli. - Tak. I właśnie wtedy republika zaczęła schodzić na psy.

Ted bardzo chciał pomóc Ginie, ale nie miał odwagi spojrzeć na trykot do jogi, a już na pewno go dotykać. Podał jej tylko swoją serwetkę.

- Czy zasady naszej republiki nie są oparte na ich? - zapytał Toby'ego.

- Tak! - wykrzyknął chłopiec, przybijając Tedowi słowną piątkę.

- Jezu, prawie już nic nie pamiętam - powiedział Ted do Giny. - Wszystko w porządku?

Gina kiwnęła głową, wzruszyła ramionami i odłożyła serwetkę. Na jej piersi widniała plama z wina w kształcie Ameryki Południowej.

- W zeszłym roku Toby uczestniczył w programie GATE dla szczególnie zdolnych i utalentowanych uczniów w stanie Maine, gdzie mieszka jego ojciec - powiedziała do Teda. - Ale przestał odrabiać zadania i pogorszyły mu się stopnie. Więc tutaj nie może dołączyć do GATE.

- Gate? - zapytał Ted, czując, że się rumieni. Był zażenowany faktem, że zna na pamięć szczegóły ubioru Giny. Indiańska spódnica miała kopertowy fason i zdejmowało się ją, rozwiązując jeden węzeł. Można ją potem było pociągnąć, jak toreador płachtę. Biały trykot do jogi też był jednoczęściowy. W kroczu znajdowały się trzy małe zatrzaski, które można było rozpiąć delikatnym pociągnięciem. Czasami Gina nosiła pod trykotem majtki, czasem nie. Jeśli nosiła, to Ted szybko odsuwał je na bok i wsuwał palce w Ginę, zawsze zaskoczony ciepłą wilgocią. Ona wyginała plecy w łuk i gryzła go w koniuszek ucha. Zaraz potem siadała na nim okrakiem, a on przeciągał jej trykot przez głowę i rzucał na podłogę.

- To zaawansowany program... - zaczęła wyjaśniać Gina. Była wyraźnie dumna z Toby'ego. Dumna i jednocześnie rozdrażniona.

Ted odsunął talerz z zupą. Odchrząknął.

- Guzik mnie to obchodzi - rzucił Toby z nachmurzoną twarzą. - Nawet nie chcę tu chodzić do szkoły. - Znow zaczął kopać w stół.

- Toby przyzwyczaił się do mieszkania z ojcem - wyjaśniła Gina. Próbowała przesunąć dłonią po lokach syna, lecz jej palce utknęły w ich gęstwinie. Toby odwrócił głowę, by się od niej uwolnić.

Ted wbił widelec w banana na talerzu z owocami.

- To owoc, który ma najwięcej węglowodanów - powiedziała z uśmiechem Gina.

- Tak? - Ted wsunął banana do ust.

- Gorszy od lodów. - Uniosła brwi. - I taaaki dobry. - Jej złota skóra nie wiadomo jakim sposobem migotała maleńkimi iskierkami.

- Potrzeba półtorej godziny, żeby spopielić ciało dorosłego człowieka średniego wzrostu - oświadczył Toby. - No wiesz, kiedy poddają ciało kremacji.

- Rozsypcie mnie w lesie sekwoi - rzuciła Gina. Toby wyjął z plecaka książkę i pogрузzył się w lekturze.

„Zbiór okropności. TYSIĄC STRASZLIWYCH I PRZERAŻAJĄCYCH FAKTÓW!” głośiła z dumą okładka.

- Zapisalem się do klubu Y - powiedział Ted do Giny. Chciał oficjalnie ogłosić separację z jej siłownią.

Gina zgodziła się, że Y jest całkiem niezły, lecz osobiście poleciłaby inny. Jej oczywiście był najlepszy, wzięwszy pod uwagę otwarty basen i przeszklone studio do jogi. Mówiąc to, rozglądała się po sali.

Ted poczuł przemożne pragnienie, by zedrzeć z niej trykot zębami. Taki nagły i przerażający przymus - tak właśnie wyobrażał sobie syndrom Tourette'a. Powinien był wrócić do domu i usmażyć sobie na kolację hamburgera. Obejrzeć mecz. Gina dopytywała się, czy trenuje do drugiego triathlonu. Pokręcił głową. Teraz było już pewnie za późno. Ale znalazł grupkę facetów, z którymi grywa w piłkę nożną dwa razy w tygodniu. Gina utrzymywała, że może jeszcze zacząć treningi. Najwyraźniej była przekonana, że Ted może osiągnąć wszystko, co tylko zamyśli. Do stolika podeszła kelnerka i oświadczyła, że kończy już pracę, ale zajmie się nimi ktoś inny.

Kelner, Derrick, zjawił się z pytaniem, czy mają ochotę na deser. Nie spuszczał wzroku z Giny, lecz ona zdawała się tego nie zauważać. Dotknęła, Teda ramienia, proponując mu sorbet cytrynowy. Poczul się jak dupek, bo uwaga, jaką obdarzała go Gina, napelniała go dumą. Widzisz, Derrick, krzychało jego ego, ona woli mnie. Zrezygnował z deseru, bo choć niewiele zjadł, nie był już głodny.

- Nie smakowała ci zupa? - zapytała Gina, gdy kelner zabierał talerz.

Ted wzruszył ramionami.

- Lepiej jest jadać w domu - powiedziała. - Posłuchaj mnie, nazistki od diet. - Wypiła łyk wina. - Traktuję tę pracę stanowczo zbyt poważnie.

- Nie, jesteś w tym dobra.

- Powinieneś gotować - oświadczyła Gina ze smutkiem. - Powinieneś ugotować kolację dla Elinor.

- Odeszła - poinformował. - To znaczy, wyjechała na kilka tygodni do matki.

- Prze...

- Chciała się nią zająć po operacji kolana. Niedługo wróci. - Pożałował nagle, że podzielił się tą informacją. - Jest...

- Ktoś ma zadanie do odrobienia - rzuciła Gina.

Samochód Giny stał samotnie w rogu po drugiej stronie parkingu. Ted przypomniał sobie, że zawsze parkowała daleko, żeby mieć okazję do dodatkowego ruchu. Kiedy zegnali się przed restauracją, pocałowała go lekko w policzek. Suchy, lecz miękki pocałunek wywołał iskrę.

- Miło cię było zobaczyć. - Poglądziła w roztargnieniu loki Toby'ego. Pograżony w lekturze chłopiec stał oparty o biodro matki.

- Świetnie - odparł. Zbyt entuzjastycznie. Zakaszła cicho. - Dobrze - dodał.

Gina kiwnęła głową z uśmiechem. Przebiegła oczami po jego twarzy, jakby chciała z niej coś wyczytać.

- Toby - powiedział Ted, wyciągając rękę do uścisku. Natychmiast poczuł się jak idiota. - Nie daj się w tych bitwach.

- Powinienem pokazać ci moją książkę o bitwie pod Salaminą - odparł chłopiec, mrużąc oczy. - Ten jeden facet...

- Powodzenia w triathlonie. - Gina skierowała chłopca w stronę samochodu i szybko go wyprzedziła. Zawsze zegnała się bardzo szybko; teraz też odeszła nagle, pozostawiając Teda, który pragnął czegoś więcej. I przeklinał samego siebie za to pragnienie.

Kiedy Elinor otworzyła frontowe drzwi, by zabrać poranną gazetę, znalazła na werandzie ogromny bukiet koralowych róż. Swoich ulubionych.

- Och! - Jej oddech uniósł się jak mgiełka. Nie lubiła czerwonych róż, które są tak idealne, że wyglądają sztucznie. Czerwone róże oznaczały zazwyczaj, że ktoś poszedł z kimś do łóżka albo że ma u kogoś krechę. Ted wiedział, że ona lubi naturalne kwiaty.

Może ktoś przysłał róże dla matki. Sięgnęła po bilecik.

Wracaj do domu. Przywieź mamę. Może już latać.

Zadzwoń do mnie. Kocham cię. Potrzebuję cię. Wróć.

Dość długa i szczegółowa wiadomość jak na bilecik dołączony do kwiatów. Elinor wyobraziła sobie sprzedawcę w kwaciarni, który próbował wszystko zapisać i odczytał gotową wiadomość Tedowi. Było jej przykro, że to przez nią musiał uciekać się do takiej metody porozumiewania. Wiedziała, że odmowa porozmawiania z mężem przez telefon jest nielogiczna. Ale chciała mu powiedzieć tylko właściwe słowa. Słowa, dzięki którym on znów ją pokocha. Uświadomiła sobie to teraz, kiedy stała na werandzie, przyciskając kwiaty do piersi i wdychając ich pełen nadziei zapach. Wiedziała, że mąż nadal ją kocha. Ale może już nigdy nie pokocha jej tak jak kiedyś.

Ted postanowił skończyć ten cholerny kredens, zanim Elinor wróci do domu. Posprzątać bałagan w garażu. Jeśli będzie pracował całą noc, może mu się uda. El najwyraźniej niewiele to wszystko obchodziło. Myślał, że będzie zadowolona z nowego miejsca na porcelanę, srebra, świeczniki i wszystkie te durnostojki, których nigdy nie używali. Ale widział, że z trudem wzbudza w sobie entuzjazm do jego projektu i stara się nie urazić jego uczuć. Nie była domatorką, nie potrafiła budować gniazda. Uważała się za zbyt wielką

intelektualistkę, by dbać o takie drobiazgi. Z wyjątkiem ogródka. Zawsze bardzo troszczyła się o rośliny i kwiaty.

Nagle ogarnął go porażający strach, że Elinor nie wróci. A raczej że wróci, ale nie do niego. Dlaczego nie chce z nim rozmawiać? Przecież to nie ma sensu. Czy chce podjąć jakąś decyzję? Czy w Ohio toczy się jego proces o niewierność? Czy nie powinien być przynajmniej obecny na swoim własnym procesie?

Dzięki Bogu wycie piły zagłuszyło jego niepokój. Czysty zapach trocin przynosił ukojenie i przypominał o nowym początku. Podniósł instrukcję, by sprawdzić, jak zrobić żłobkowany róg, który musiał skończyć, zanim przymocuje spód. Zupełnie się w tym pogubił. Powinien był wybrać coś łatwiejszego, a nie ten skomplikowany mebel w stylu królowej Anny, ze wszystkimi wygięciami i inkrustacjami. Postanowił zająć się szufladami.

Zdenerwował go fakt, że ucieszył się ze spotkania z Giną w restauracji. Dlaczego nigdy nie powiedziała mu, że ma dziecko? Dziwny chłopak. Ale sympatyczny. Cholera, Elinor musi wrócić do domu, zanim zupełnie straci rozum. Narysował dwa znaki X w miejscu, gdzie na szufladach pojawią się metalowe uchwyty. Przycisnął ołówek tak mocno, że złamał się grafit. Sięgnął po elektryczny śrubokręt.

Podczas trwania romansu Ted lubił spotykać się z Giną poza siłownią - kiedy nosiła długie spódnice i sandały i rozpuszczała włosy. Przypomniał sobie dzień, gdy razem palili trawkę i uprawiali seks na tylnym siedzeniu jej samochodu. Swój zostawił w klubie po pracy i pojechali jej wozem na przejażdżkę pod pretekstem, że Gina pokaże mu ścieżkę, po której mógłby biegać. Kiedy opuścili teren klubu, wcisnęła zapalniczkę i zapaliła jointa. Mimo wewnętrznych ostrzeżeń Ted też postanowił spróbować. Zatrzymał dym w płucach, zakaszłał, wypuścił dym i poczuł, jak odpływa z niego stres całego dnia. Wyobrażał sobie, że biegnie za samochodem niczym pies i próbuje ich dogonić. Wybuchnął śmiechem. Gina uśmiechnęła się lekko.

- Nie powinno się palić i prowadzić - powiedziała, wjeżdżając w ciemną alejkę. Ted podał jej jointa. Zaciągnęła się, wypuściła dym, odchyliła głowę i zamknęła oczy.

- To moja jedyna wada - powiedziała. Zakręciła kilka razy ramionami i westchnęła zadowolona, jakby ktoś podrapał ją w swędzące plecy.

A śpianie z żonatym mężczyzną? - chciał zapytać Ted. A jednak wolał nie wiedzieć nic więcej o jej życiu intymnym, obecnym lub przeszłym.

Gina uśmiechnęła się szerzej, otworzyła drzwi po swojej stronie, wysiadła i uchyliła tylne drzwi.

- Chodź - powiedziała, chichocząc. - Przejedźmy się chwilę z tyłu. - Wsunął się na tylne siedzenie obok niej. Jedli winogrona prosto z torby. Wypłukała je starannie, a woda z butelki spływała po jej rękach. W oddali zapaliły się uliczne lampy. Jedli i wpatrywali się w zagłówki przednich foteli.

- Jesteśmy już na miejscu? - zachichotała Gina. Zrzuciła sandały i pochyliła się, by go pocałować. Jej usta były ciepłe i słodkie od winogron. Potem zdjęła bieliznę i rzuciła ją za siebie. Sięgnęła do spodni Teda i rozpięła mu pasek i rozporek.

Ted powiedział „nie”, lecz zabrzmiało to jak „ner”. Przez cały czas zastanawiał się, co będzie, jeśli ktoś ich zauważy. Przed samochodem nie było jednak żadnego domu, tylko krzaki. Ulica za nimi też była ciemna i pusta. Potem nie dbał już o nic. Gina usiadła na nim okrakiem, opierając kolana po obu stronach jego nóg. Podniosła spódnicę, która opadła wokół nich, tak że nic nie było widać. Miękki materiał łaskotał Teda w ręce. Jednym szybkim ruchem wygięła plecy w łuk i osunęła się na niego. Potem znów uniosła się, oddalając się od niego całkowicie i pochyliła głowę, by nie uderzyć o sufit samochodu. Ted ścisnął ją za uda, które były zaskakująco mocne. Gina zamarła. Ted pomyślał, że to koniec. W porządku. To szaleństwo. Ale Gina znów osunęła się na niego i odpłynął.

- Jestem dorosły, do cholery - powiedział teraz do wiśniowego kredensu. Panuję nad moim życiem, nad własnymi popędami. Tak jest! Trzask! Dla podkreślenia swych słów przebił pięścią drzwiczki kredensu. Ręka utknęła w poszarpanym drewnie i nie mógł nią poruszyć. Dłoń zaczęła pulsować bólem. Stał tak w swoim własnym garażu z ręką po łokieć wbity w drzazgi, kiedy usłyszał z podjazdu głos swego sąsiada, Carla.

- Frustracja potrafi dać w kość, prawda? - Carl parsknął śmiechem i pomachał do Teda.

Ted odwrócił się i pomachał do niego wolną ręką.

- Cholerne zawiasy. - Następnym razem zamknij drzwi do garażu.

Carl, emerytowany urzędnik państwowy, który niedawno rzucił palenie cygar, dwa razy dziennie chodził na spacer, by wypełnić sobie czas przeznaczony wcześniej na dymka po lunchu i kolacji. Pokręcił głową ze śmiechem.

- Elinor znowu wyjechała służbowo? - zapytał. Emerytowani sąsiedzi wiedzą wszystko. Kiedy psują się zraszacze, kiedy twój samochód przez kilka dni nie stoi na podjeździe. Ted i El uważali to za prawdziwe szczęście. Jaka wspaniała, bezpieczna okolica. Teraz jednak Ted marzył o anonimowości.

- Tak - skłamał, wrywając rękę z drzwiczek. Krew i drzazgi oblepiły jego elegancką koszulę, bo nie zawracał sobie głowy, by się przebrać. Rękaw podarł się zupełnie.

- Stary, mogę ci w czymś pomóc? - Carl podszedł do garażu. - Może trzeba to zszyć.

- Nie, to nic. - Krew wsiąkała w krawat. - Lepiej pójdę do domu i się umyję. - Ruszył w stronę kuchennych drzwi. - Nic mi nie jest! - zawołał przez ramię, przyciskając guzik, by zamknąć drzwi do garażu. Zostawił Carla na podjeździe.

Staruszek stał z szeroko otwartymi ustami, trzymając ręce w kieszeniach.

Wykręcając numer telefonu, Elinor była zdenerwowana. Jeden telefon nie naprawi ani nie zniszczy całego małżeństwa, powtarzała sobie w duchu. Podziękuj mu tylko i powiedz, że wkrótce wracasz.

Kiedy Ted odebrał telefon, usłyszała jakiś szelest. Słuchawka wypadła mu z ręki, lecz szybko ją podniósł.

- Halo? - zapytała niepewnie.

- Elinor! - Ted był zaskoczony, zdyszany.

- Jak się miewasz? Co się dzieje? - Była zdenerwowana jak dziecko, jakby Ted był kolegą ze szkoły, który bardzo się jej podoba.

- Ja... Nic takiego. Skaleczyłem się.

- Nic ci nie jest? - Usiadła na łóżku matki i gładziła palcami supełkową narzutę z szenili. Jej dobrze znana, nierówna powierzchnia uspokajała ją.

- Chyba nie. Och, to takie głupie.

- Co takiego?

- Przebiłem drzwiczki pięścią.

- W domu? - Pomimo swojej słodyczy i zdolności do współczucia Ted był bardzo wybuchowy. Łatwo tracił cierpliwość, często walił w coś pięściami i rozbijał różne rzeczy. Jednakże celem tych wybuchów niemal zawsze był on sam i szybko potem wracał do równowagi.

- Nie, w kredensie.

Kredens. Elinor poczuła się winna, że tak mało ją obchodził, że nie mogła znieść przywiązania Teda do najmniejszego szczegółu. Ale dlaczego tak się działo? Nie chciała przecież, by skupiał swoją uwagę wyłącznie na niej. Może dlatego, że w zmaganiach z kredensem znalazł ukojenie, a jej nic nie mogło pocieszyć. Jeśli nie liczyć prania. Mogła mu pomóc z tym kredensem. Czytać na głos instrukcję. Zamiast tego odrzucała każdy jego pomysł na wspólny powrót do równowagi.

- Nic ci nie jest? - powtórzyła pytanie.

- Jasne, że nie.

- Ted. Bardzo dziękuję za kwiaty. Są piękne. I za liścik. Ja... - Wstała z łóżka. - Dziękuję.

- To przeprosiny. Wiem, że mam krechę.

- Nie. Nie masz żadnej krechy. Wpadliśmy w gówna. Oboje.

- Tak? - zapytał ze smutkiem Ted.

- Wracam do domu. Przepraszam, że nie chciałam z tobą rozmawiać. Bałam się, że wszystko jeszcze bardziej popsuję.

- Zostaw to mnie.

- Kocham cię - powiedziała. - Do zobaczenia wkrótce.

Ted stał półnagi przed rozbitym kredensem. Pulsującą rękę owinał ścierką do naczyń. Podskoczył przestraszony, gdy w kuchni zadzwoniła komórka. Potykając się, wszedł do domu. Miał nadzieję, że to znów Elinor. A może to Bóg, który dzwoni, by powiedzieć, że zaszła pomyłka. Minione trzy lata w ogóle się nie wydarzyły. Nie są bezpłodni, nie miał romansu, jego żona nie pojechała do Ohio. I nie rozbil przed chwilą kredensu, nad którym pracował od dwóch miesięcy.

- Ted? - rozległ się w słuchawce lekko ochrypły głos Giny.

- Gina?

- Cześć. Chciałabym o czymś z tobą porozmawiać... Muszę się z tobą zobaczyć, jeśli nie masz nic przeciwko temu. - W jej głosie pobrzmiwało zdenerwowanie. - To kwestia logistyczna.

- No cóż - rzucił. Ależ z niego idiota. Nie powinien był pożerać jej wzrokiem, mówić, że jego żona wyjechała z miasta.

- Muszę już kończyć - powiedziała. Ted usłyszał w tle, że coś się rozbiło. - Możesz do mnie wpaść jutro wieczorem? Około siódmej?

- Ja... - Ted był zaskoczony jej pełnym niepokojem tonem.

- Do zobaczenia więc?

- Ale...

Odłożyła słuchawkę.

Ted zaczął dokonywać obliczeń w głowie. Liczył do tyłu do ostatniego razu, kiedy spał z Giną. Czy mogła być w ciąży? Czyż nie byłaby to diabelska ironia, na którą w pełni zasługiwał? Gina bierze pigułkę, ale zdarzały się już bardziej szalone rzeczy. Jezu! Zaczął odchodzić od zmysłów. Zupełnie jakby zapłodnił Ginę swoimi szalonymi fantazjami na jej temat. Próbował uspokoić się myślą, że Gina na pewno powiedziała mu o tym przy kolacji. Taak, w obecności Toby'ego? Ale czego innego mogła chcieć teraz?

Wykończony przeszedł do saloniku i opadł na kanapę, opierając skaleczoną rękę na poduszce. Powinien wstać i zrobić sobie drinka - czystą wódkę z zamrażarki, największe źródło węglowodanów. Spróbował zebrać w sobie energię, by wstać.

A oto konkluzja całej sytuacji: Gina była pełną życia młodą kobietą, a on nieosiągalnym staruchem. Kiedy już wyświadczy jej tę przysługę, jakakolwiek by miała być, najprawdopodobniej nie będzie już chciała mieć z nim nic wspólnego. Czekał, aż na tę myśl ogarnie go poczucie ulgi, ale nic takiego nie nadeszło.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Przestań się gapić, chciała powiedzieć Elinor do dziecka zwiniętego na kolanach kobiety siedzącej obok niej w samolocie. Jego błękitne oczy - zbyt wielkie w drobnej buzi - wpatrywały się uporczywie w Elinor. Mrugnij, no już! Wyrzała przez okno na pas startowy, czując pod powiekami piekące łzy. Maluchy poniżej roku życia są takie mięciutki i wyglądają jak niedopieczony ciasto. Mogłyby być czymkolwiek dzieckiem, naprawdę. Niemowlak z siedzenia obok zapiszczał. Elinor odwróciła się i zmusiła do uśmiechu. Matka zdmuchnęła włosy z czoła i uśmiechnęła się przeproszająco. Elinor od dawna martwiła się, że wysłała paskudne prądy. W Ohio rozgoryczenie ustąpiło miejsca przebaczeniu i optymizmowi. Teraz jednak czuła, że znów ogarnia jej ciało jak żar unoszący się z chodnika.

Chciała powiedzieć kobiecie, że jej bobas jest słodki, a ona smutna, bo nie może mieć dzieci. Ale to byłoby zbyt wiele. Poza tym czy to w ogóle jest ważne? Kiedy ten fakt przestanie definiować każdy moment jej życia?

Dziecko szarpnęło się i rzuciło poplamiony śliną smoczek do stóp Elinor.

- Przepraszam - powiedziała matka.

- Proszę się nie przejmować. - Elinor schyliła się, by podnieść smoczek za pomocą chusteczki i podała go matce, przywołując na twarz kolejny współczujący uśmiech. Potem odwróciła się i oparła głowę o chłodne okno z pleksiglasu.

Dzieci powinno się kochać, a nie odwracać od nich. Elinor nie martwiła się już, że nie może mieć swojego. I tak nie była zachwycona swoim kodem genetycznym - gen alkoholizmu po dziadku, jej melancholijna natura. Była raczej rozczarowana, że nie może urodzić dziecka Teda. Że nie mogą mieć syna obdarzonego jego inteligencją i jego chłopięcą urodą. Kiedy tylko Ted brał na ręce malucha na jakimś przyjęciu, Elinor czuła ucisk w gardle.

Usiadła wygodnie i otworzyła „Iliadę”. Bogini Atena otoczyła głowę Achillesa aureolą ognia, by przestraszyć Trojan. Achilles stracił zbroję, lecz jego matka załatwiła mu specjalną tarczę stworzoną przez bogów. Elinor nie lubiła Achillesa, bo kierował się pragnieniem zemsty i zawsze mógł liczyć na ratunek od bogów. Co to za bohater, któremu mamusia załatwia specjalną tarczę?

Kiedy stewardesa z trzaskiem zamknęła pojemnik na bagaż podręczny, Elinor aż podskoczyła na siedzeniu. Wsunęła palec w dziurę na kolanie dzinsów. W domu matki znalazła starą parę lewisów 501 i kowbojki. Zostawiła je w czasie wcześniejszych odwiedzin - były to ubrania, które zdecydowanie wolą nosić, lecz teraz rzadko miała ku temu okazję, zważywszy na jej korporacyjny status. Odnosiła wrażenie, że na drodze do pełnej sukcesów kariery bizneswoman zostawiła w szatni własną tożsamość. Pociągnęła końce swoich obciętych włosów. Przed wyjazdem z Ohio pojechała do miasta i zrobiła sobie pasemka - dzięki nim wyglądała i czuła się młodziej. Marzyła, by móc sobie jeszcze rozjaśnić psychikę.

Samolot zagrzechotał, zatrzęsł się i wystartował. Achilles ścigał Hektora, starły się włócznie. Dziecko zaczęło krzyczeć. Achilles wbił miecz w gardło Hektora. Dlaczego nie potrafi zabierać do podró-

zy czasopism jak normalna osoba? Kiedy samolot osiągnął wysokość przelotową, ciało Hektora z rozłożonymi muskularnymi kończynami wleczono przez ulice.

Rzędy domków i basenów w dole zwały się w patchwork brązowej ziemi i białych chmur. Choć Elinor pragnęła wyrwać się z domu, znaleźć się daleko od Teda, jego lali z siłowni, bekonu z indyka, ich zagrożonego małżeństwa i swojej wymagającej pracy - uświadomiła sobie teraz, że tak naprawdę chciała uciec od siebie samej. Chciałaby uciec w tropiki i zostawić za sobą swój wiecznie toczący się monolog.

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów Elinor nie cieszyła się z powrotu do pracy. Nagle wzajemne stosunki między pracownikami wydały się jej błahe. Pomyślała o katalogu w komputerze, który tytułowała SKARGI, ZAPACHY. Zgodnie z prawem w miejscu pracy zabrania się „obraźliwego zachowania każdego typu”. Łatwo jest określić i zareagować na molestowanie seksualne i jawną wrogość. Elinor zaczęła się jednak bać bardziej niejasnych, trywialnych zarzutów, z których wiele znalazło się ostatnio w kategorii „zapachy”. Trafiła tam kobieta, która codziennie na lunch gotowała w mikrofalówce rybę, facet z nieprzyjemnym, kwaśnym zapachem ciała, kierowniczką biura owiana duszną chmurą Chanel No 5. Ich szefowie chcieli, by Elinor udzieliła im porady prawnej, jak sobie z nimi radzić. Świat korporacyjny stał się tak sformalizowany, paranoiczny i pełen sporów, że nie można było nikogo spokojnie posadzić i dać mu do zrozumienia, co robi nie tak. Zamiast pisać typowe dla siebie dyplomatyczne odpowiedzi, Elinor pozwoliła, by skrzynka wypełniła się po brzegi, podczas gdy ona ukrywała się w pralni.

Pod samolotem pojawiły się strzępiaste chmury. Może powinna wziąć dłuższy urlop? Przysługiwał jej już od roku. Ted chciał, by zrobiła sobie wolne na czas terapii in vitro, żeby mogła się porządnie odprężyć. Elinor była jednak pewna, że bez pracy oszaleje. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że siedzi w domu pomiędzy wizytami u lekarza, odkreśla dni na kalendarzu, czeka na wyniki badań. Potrzebowała swojej pracy, bo nad nią przynajmniej miała kontrolę. Ale obrzydło jej to, odkąd przekonała się, że nie potrafi kontrolować nawet swojej własnej biologii ani życia seksualnego swojego męża.

Co będzie robić podczas urlopu? Może niebawem także ona zacznie zgadywać ceny urzędzeń Boba Barkera. Liczyła, że weźmie urlop po narodzinach dziecka. Oszołomiona brakiem snu, będzie sama przygotowywać jedzenie dla maluszka. Oparła głowę o okno, marząc, by mogła się przez nie przebić i odlecieć.

Kiedy Ted wszedł do mieszkania Giny, zakreśliło mu się w głowie od zapachu oleju sezamowego i imbiru z woka oraz woni jej perfum China Rain.

- Cześć. - Gina lekko dotknęła go w ramię. Wyglądała na zmęczoną i miała podkrążone oczy. Workowate spodnie od dresu i stary męski podkoszulek zwisały z jej ciała i wyglądały na równie pokonane jak ona.

- Toby! - zawołała w stronę gościnniej sypialni.

- Minutkę! - krzyknął chłopiec.

- Wyłącz to, proszę! - Ted był zaskoczony widokiem tak wzburzonej Giny. W siłowni zawsze uciekała się do pochwał i słów łagodnej zachęty, by motywować swoich podopiecznych. A jednak w kontaktach z synem nie potrafiła się zdobyć na podobną finezję.

Z gry komputerowej dobiegł wielki huk.

- Jeszcze tylko dziesięć minut - rzuciła Gina. - Mrożonej herbaty? - zapytała Teda.

- Jasne. - Wszedł za nią do kuchni. Napelniła dwie szklanki lodem, naląła herbatę i wrzuciła plasterki cytryny.

- Wszystko w porządku? - spytał Ted. Gina dwa razy gotowała dla niego kolację w tej małej wąskiej kuchni, gdy Elinor kryła się w pralni, odmawiając mu jedzenia. Co on tu teraz robi? Powinien był polecieć do Ohio i zrobić Elinor niespodziankę.

Gina kiwnęła lekceważąco głową i postawiła szklankę na stole. Nie wypila nawet jednego łyka.

- Czy mogę cię prosić o przysługę?

Koszula przykleiła się Tedowi do spoconych pleców między łopatkami.

- Jasne.

- Toby potrzebuje korepetytora. Jest bardzo zdolny, ale ma problemy z koncentracją. Potrzebuje pomocy w matematyce i przedmiotach ścisłych. Ja nie potrafię mu pomóc. Kiedy siedzimy razem, zawsze dochodzi do katastrofy. Wynajęłam ucznia ze szkoły średniej, lecz Toby dał mu niezły wycisk i chłopak już nie wróci. - Wbiła wzrok w podłogę. - Wyjaśniłam Toby'emu, że jeśli nie będzie pracował z korepetytorem raz w tygodniu, będzie musiał chodzić na zajęcia w lecie, co oznacza, że zostanie tutaj, Boże ucho- waj, zamiast pojechać do Maine. To zwróciło jego uwagę. Zapytał, czy ty mógłbyś mu pomagać. - Odwróciła się od Teda, by umyć naczynia w zlewie. - Wyjaśniłam mu, że jesteśmy tylko znajomymi. - Zaśmiała się i potrząsnęła głową. - Ale jak dotąd tylko ty spodobałeś mi się w Kalifornii. - Odwróciła się od zlewu i uniosła brwi. - Widzisz, czego można dokonać w pół godziny?

Od chwili gdy poznał Ginę, otaczała go niesłabnącym podziwem, którego nigdy nie rozumiał. Mylisz się, chciał jej powiedzieć. Czy dlatego z nią sypiał? Bo sprawiała, że czuł się ważny, godny uwagi? Jakież to narcystyczne.

- Umieraj! - krzyknął Toby w swoim pokoju.

- Chcę, żeby mu się tu podobało. - Gina wycierała blaty, mimo że i tak były czyste.

- Dlaczego nigdy mi o nim nie mówiłaś? - zapytał Ted, starając się, by nie zabrzmiało to jak krytyka.

- Bo to zbyt skomplikowane - odparła bezbarwnym tonem i spuściła głowę. Ten temat był dla niej wyraźnie bolesny. - I żenujące. Jakaż matka nie sprawuje opieki nad swoim dzieckiem? Mam oczywiście przydzieloną wspólną opiekę, lecz Toby postanowił, że w czasie roku szkolnego nie będzie ze mną mieszkać. - Niesłabnąca radość Giny i jej optymizm wydały się teraz Tedowi jeszcze bardziej chwalebne, zważywszy na to, że najwyraźniej nie miała łatwego życia. Chciał ją pocieszyć, nie obejmując przy tym. Zrobił krok w jej stronę i wsunął rękę do kieszeni.

- Byliście małżeństwem? Pokręciła głową.

- Nie. Spotykaliśmy się przez kilka miesięcy. On łowi homary. - Spojrzała obojętnie na skórki przy paznokciach. Ted nie potrafił rozszyfrować jej uczuć do ojca Toby'ego. - Toby zawsze mieszkał ze mną, a

lato spędzał z ojcem. Kiedy skończył osiem lat, oświadczył, że woli mieszkać z ojcem w Maine. Teraz Rod wraca do szkoły, by studiować architekturę krajobrazu. Jego żona nie chce, by Toby z nimi mieszkał, ponieważ Roda przez większość wieczorów nie będzie w domu. Toby kocha ją, mimo że ona nie chce go tam widzieć. Sama nie ma dzieci. - Przycisnęła dłoń do dłoni, najwyraźniej próbując zapanować nad sobą. - Mój syn woli mieszkać z kobietą, która nie lubi dzieci.

Ted zrobił jeszcze jeden krok w jej stronę, zaciskając ukryte w kieszeniach dłonie w pięści.

- Och, Gino. To na pewno jest związane z dojrzewaniem. Toby jest przecież nastolatkiem. - Czytał artykuły o tym, jak rozchwiane emocjonalnie są dzieci w tym wieku.

- On mnie kocha. Ale mnie nie lubi. - Wylała swoją herbatę do zlewu. - Ale to nieistotne. Najważniejsze jest teraz to, żeby przebrnął przez rok szkolny. Tak więc... - zawiesiła głos. - Wiem, że to dziwna prośba, ale zastanawiałam się, czy nie mógłbyś pomagać mu w lekcjach. - Znow zaczęła wycierać blaty.

Wahanie w jej głosie uzmysłowiło Tedowi, że nie chciała go o to prosić.

Podniosła na niego wzrok - trochę zmieszany, trochę nieśmiały, przede wszystkim jednak zmęczony.

- Moglibyście spotykać się w bibliotece. Oczywiście beze mnie.

- Eee... - rzucił Ted. Jesteś bierny, usłyszał głos Elinor. Pozwalasz, by życie samo ci się przytrafiało. Bądź bardziej aktywny. Usiadł na barowym stołku przy blacie.

- Ojciec Toby'ego jest tak mało konsekwentny. Nie dzwoni, mimo że obiecał, czasami nie odzywa się całymi tygodniami. A potem wynagradza mu wszystko wielkimi prezentami. Powiedziałam mu, że dzieci potrzebują stałej miłości, takiej na co dzień, bardziej niż wielkich prezentów. - Gina zorientowała się, że bezmyślnie szoruje blat i wrzuciła gąbkę do zlewu. - Od tamtego wieczoru Toby mówi o tobie niemal bez przerwy. - Skrzyżowała ramiona i przycisnęła je do brzucha.

Ted poczuł się głupio na myśl, że mu to pochlebia. Ale Toby prawdopodobnie po prostu potrzebuje w swoim życiu mężczyzny. Może mógłby przedstawić Ginie tego młodego wysportowanego pacjenta, któremu w zeszłym tygodniu operował śródstopie. Jak on się nazywał? Był chyba wolny. Myśl o tym przystojnym dzieciaku z Giną wywołała iskrę zazdrości, która go zaskoczyła. Wsunął dłonie pomiędzy kolana.

- To chyba nie jest najlepszy pomysł - powiedział w końcu. - Przykro mi. - Odchrząknął. - Elinor wraca do domu. Chcemy się pogodzić. Dzwoniłem już do poradni i umówiłem nas na wizytę.

- To dobrze - odparła.

- Martwię się więc...

- Mówiłam serio. To dobrze. - Odwróciła się tyłem do niego. - Lubię Elinor. Naprawdę ją polubiłam, kiedy się spotkałyśmy. - Szybkim ruchem złożyła ścierkę do naczyń.

- Toby to wspaniały dzieciak, ale ja...

- Wiesz, nigdy wcześniej nie spałam z żonatym mężczyzną.

- Och. - Ted nie miał pojęcia, do czego zmierza ta rozmowa.

- Chciałam tylko, żebyś o tym wiedział. To był poważny błąd i jest mi bardzo przykro. - Odwróciła się do niego. Jeszcze nigdy nie widział, by była tak strapiona i zmęczona.

- Nie chciałbym, żeby Toby zbyt się do mnie przywiązał. - Ted wstał i odsunął stół. - Na pewno znajdziesz korepetytora przez college. Poza tym jesteś urodzoną nauczycielką. Nauczyłaś mnie przecież, jak używać wszystkich tych ustrojstw w siłowni.

Gina kiwnęła rezolutnie głową.

- To był szalony pomysł. Powoli zaczynam wpadać w rozpacz. - Zaczęła masować sobie skronie. - Muszę się zebrać w sobie.

- Gino. - Ted przekrzywił głowę, by spojrzeć jej w oczy. - Masz tak pochlebną opinię o wszystkich. Zawsze wszystkim pomagasz. Spróbuj potraktować tak samo i siebie. - Wiedział, że zabrzmiało to głupio i bardzo w stylu New Age.

- Naprawdę? Tak, masz rację. W porządku - powiedziała z roztargnieniem, wysuwając się z kuchni.

- Toby? - zawołała. - Ted tu jest. Chcesz się z nim pożegnać?

Toby wszedł do saloniku.

- Hej! Miałeś dziś jakieś operacje? - Jego opalone chude kończyny wystawały z workowatych spodenek kąpielowych i czarnego podkoszulka z rysunkiem wielkiego białego komara i napisem OBÓZ ITCHALOT.

- Nie, tylko badania. Jak było w szkole?

Toby przewrócił oczami i podrapał się w kolano.

- Jakież dzieciaki zrobiły mu psikusa - powiedziała Gina.

- Tak. - Toby nachmurzył się. - Nasypali mi do szafki piłeczek pingpongowych. Wysypały się, kiedy ją otworzyłem, ale to ja miałem kłopoty.

- Jestem pewien, że jakoś uda ci się odplącić pięknym za nadobne - powiedział Ted.

Twarz Toby'ego rozjaśniła tak wielka nadzieja, że Ted wzdrygnął się i rozkaszał. Zakrztusił się śliną albo powietrzem. Kaszłał, aż zabrakło mu tchu, i rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby mu ulżyć. Spojrzał najpierw na drzwi i okno - wyjścia awaryjne - a potem na Toby'ego. Gina poklepała go w plecy i podała wodę. Wreszcie złapał oddech.

- Chcesz zagrać w ryzyko? - zapytał Toby. Ted dysząc ciężko, wypił łyk wody.

- Ted musi już iść, kochanie - powiedziała Gina.

- Dlaczego? - Toby kopnął dywan.

- Możemy chwilę pograć - odparł Ted, ocierając czoło. W końcu może ich już nigdy więcej nie zobaczyć. I przerażała go myśl o pustym domu: o jedzeniu kolacji w towarzystwie Larry'ego Kinga i zasnieniu z przemądrzałą prezydentką pogody.

- Super. - Toby wyjął pudełko spod stolika do kawy. - Możemy zacząć dzisiaj i skończyć kiedy indziej. Schowam wszystko tutaj. - Poklepał stolik.

- Tylko pół godziny. - Gina rzuciła Tedowi zaniepokojone spojrzenie.

Ted usiadł naprzeciwko chłopca na skórzanej kanapie, chłodnej, miękkiej i wygodnej. Zarumienił się na wspomnienie, jak leżeli na niej z Giną, a on przesuwiał palcem wzdłuż jej kręgosłupa. Zawsze marzył o skórzanej kanapie.

„Zbyt dyskotekowa” - oświadczyła jednak Elinor. - „Na widok skórzanych kanap czuję, że powinienam wciągać kokę w Los Angeles z ludźmi uczesаныmi w kucyk”.

Toby podniósł wzrok na matkę. Gina uśmiechnęła się, opierając dłonie na biodrach.

- Ty nie będziesz grać, prawda? - zapytał chłopiec z nadzieją w głosie.

Gina odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę kuchni, zmuszając się do słabego uśmiechu.

- Nie martw się.

- Wiesz, twoja matka jest świetna we wszystkich dyscyplinach sportu znanych na naszej planecie - powiedział Ted. - Tenis, koszykówka, do wyboru, do koloru. - Aby urozmaicić ćwiczenia, Gina czasami rzucała z nim w klubie do kosza albo grała w tenisa.

- Zgoda, ale ja nie lubię sportu. - Toby ustawił na planszy neutralnych żołnierzy piechoty z karabinami wymierzonymi w Teda.

Ted wyciągnął rękę nad Skandynawią i chwycił chłopca za rękę, zaskoczony swoją zuchwałością. Ścisnął małe, lepkie palce.

- Toby?

- Co? - Chłopiec spuścił brodę na piersi i spojrzał na Teda zza loków opadających mu na czoło.

- Bądź dobry dla mamy. Ona nie ma lekko, więc musisz jej trochę odpuścić.

Toby otworzył szeroko usta i kiwnął głową.

- Chcesz grać czerwonymi? - zapytał w końcu Ted.

Toby ponownie kiwnął głową. Otworzył pięść pod palcami Teda, lecz nie cofnął dłoni. Miał taką ciepłą skórę. Wreszcie Ted puścił jego rękę. Poklepał go po dłoni, a potem po ramieniu.

- Dobra. - Toby skinął lekko głową i zaczął odliczać swoją artylerię.

- Pewnego dnia - powiedział Ted, wskazując na włoski but na planszy - może pojedziesz do Rzymu i obejrzysz Forum Romanum. Wiesz, słyszałem, że nadal można tam zobaczyć monety wtopione w kamienie z czasów najazdu barbarzyńców.

- Już to widzę - rzucił Toby. - Jakby ktoś chciał mnie gdzieś zabrać.

Do pokoju weszła Gina i postawiła przed Tobym szklankę z lodem, a obok niej butelkę piwa korzennego.

- Robię dla ciebie mrożoną pizzę z serem - powiedziała. - Twoją ulubioną.

- Dzięki. - Toby nawiązał z nią kontakt wzrokowy, co jak zauważył Ted, należało w ich wzajemnych kontaktach do rzadkości. - Pytałem mamę, czy mógłbyś mi pomagać w lekcjach, a ona powiedziała, że może...

- Kochanie - przerwała mu Gina. - Ted ma teraz mnóstwo pracy. Jest bardzo zajęty.

- Wiesz, co ci powiem? - odparł Ted. - Będę ci pomagał, dopóki nie znajdziemy studenta, który będzie mógł mnie zastąpić. Może raz lub dwa. - Forma „my” zawisła w powietrzu, a Ted natychmiast chciał ją cofnąć. Uświadomił sobie jednak, że w trakcie ich związku nic nie zrobił dla Giny. Ona pomagała mu z dietą i ćwiczeniami, dostarczała motywacji, kupowała książki, przynosiła domową zupę. A co on zrobił dla niej? Nic. Nigdy nie dał jej nawet najmniejszego prezentu.

- Stewardesy, proszę się przygotować do lądowania. - Elinor obudziła się. Oczy piekły ją od suchego powietrza, usta miała jak sklezione. Śniło jej się, że trzyma na kolanach odciętą głowę Hektora i gładzi jego zmierzwiłone włosy. Kiedy zapaliło się światelko ZAPIAĆ PASY, nie mogła już wstać, żeby umyć twarz i zęby. Na pewno wyglądam okropnie, pomyślała. Sięgnęła do torebki w poszukiwaniu gumy do żucia. Zaraz potem wyjęła krople do oczu, balsam do ust, szminkę, róż do policzków i puder. Czy Ted będzie czekał w budynku czy na parkingu? Jak się umówili? Marzyła o prysznicu. Spojrzała w zamglone lustro puderniczki na swoje zapuchnięte odbicie. Lata poświęcone na czytanie do późna dokumentów prawnych pozostawiły pomiędzy jej brwiami dwie głębokie zmarszczki, które nadawały jej zrzędlawy wygląd. Musnęła policzki różem i pomalowała usta, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że trochę przesadza.

Niecierpliwe oczekiwanie paliło Teda w żołądek, gdy w grupie ludzi stał tuż za barierkami bezpieczeństwa. Zdecydowanie wołał, gdy można było podejść aż do samej bramy.

- Hej! Jeju! - zawołał, gdy dostrzegł, że Elinor wchodzi na ruchome schody i razem z pozostałymi pasażerami zmierza w stronę strefy odbioru bagażu. Miała krótko obcięte, postrzępione włosy. Były też jaśniejsze. Przebiegła wzrokiem po tłumie oczekujących. Ted schował się za wyższym mężczyzną, ciesząc się, że może obserwować swoją żonę, jakby była zupełnie obcą osobą. Jego obcą osobą. Miała na sobie dzinsy i kowbojki, które nosiła przez cały czas, gdy się poznali. Wtedy była potargana w bardzo seksowny sposób - dzinsy, wysokie buty i jeden z powyciąganych swetrów Teda lub jedna z bluz narzucona na halkę. Kontrast bardzo kobiecej koronki i kokardek zawsze bardzo go podniecał.

Elinor nie patrzyła już na tłum. Przyciskała do piersi puchową kurtkę i marszczyła brwi, jakby zrezygnowała ze spotkania z Tedem.

- El! - zawołał i pomachał rękami nad głową.

Dostrzegła go, uśmiechnęła się nieśmiało, pomachała raz do niego i zeszła ze schodów.

Przez chwilę na widok jej krótkich włosów Ted poczuł zdenerwowanie. Kiedy się pobrali, Elinor miała włosy prawie do pasa. Lubił podnosić je z ramion, przyciskać usta do jej karku i odnajdywać to ciepłe wilgotne miejsce, które pachniało jabłkami. Ale potem dostała awans w pracy i im dłużej pracowała, tym krótsze stawały się jej włosy. A jeśli pachnące jabłkami miejsce w ogóle zniknęło?

Ted przecisnął się przez tłum i sięgnął po dłoń Elinor.

- Wyglądasz wspaniale.

- Naprawdę? - Zaśmiała się i chwyciła w dłoń garść włosów.

Ted odgarnął pasemka opadające jej na oczy i próbował założyć je za uszy.

- Naprawdę. - Wyciągnął ją z tłumy i wziął w ramiona.

Zamknął oczy i wciągnął zapach jej perfum. Kiedyś uznawał go za bardzo seksowny. Teraz przynosił mu ulgę i uspokajał; to było coś, na co mógł zawsze liczyć, jak leżąca co rano na podjeździe gazeta. Mile widziana, lecz niekoniecznie podniecająca. A teraz te włosy. Pocałował ją mocno w usta i poczuł, jak sztywnieją jej plecy. Odchrząknęła mu prosto w ucho, a potem w końcu rozluźniła się w jego ramionach.

Ted cofnął się o krok.

- Już myślałem, że nigdy nie wrócisz. - Zadzwoił kluczem w kieszeni i przesunął palcami po ząbkach każdego z nich. To mu zazwyczaj pomagało zapanować nad nerwami.

Elinor wzruszyła ramionami i przywołała uśmiech na twarz.

- Ale jestem.

Zatrzymali się na lunch w niemal pustej restauracji, gdzie wybrali boks na tyłach. Ted usiadł obok El, więc oboje wpatrywali się w ścianę. Wsunął palce przez dziurę w jej dżinsach i łaskotał ją w kolano. Elinor zaśmiała się nerwowo. On też się śmiał, ale nie bardzo wiedział z czego. Kiedy podeszła kelnerka, zamówił dwa jasne piwa.

Elinor sięgnęła po szklankę i Ted zauważył, że nie ma na palcu obrączki.

- Gdzie jest twoja obrączka?

- Zdjęłam ją.

- Ale nadal jesteśmy małżeństwem. - Zabrzmiało to trochę jak pytanie, a trochę jak stwierdzenie.

Elinor wierzchem dłoni wytarła pianę z górnej wargi.

- Czuję się teraz trochę pomiędzy.

- Pomędzy - powtórzył Ted.

- Może powinnam się wyprowadzić. Kiedy będziemy chodzić do doktor Brewster. Nie wiem, czy chcę z tobą mieszkać, kiedy jestem nadal tak bardzo wściekła.

- Co takiego? Dopiero co przyjechałaś. Nie możesz się wyprowadzić. Jak mielibyśmy się pogodzić?

- W powrocie Elinor najlepsze było to, że nie będzie już musiał spędzać ani jednej minuty sam w pustym domu. - El, możesz być wściekła. Masz do tego prawo. - Ted mówił za szybko i podniósł głos. Nic nie mógł na to poradzić i wcale o to nie dbał. Przyciągnął Elinor do siebie. Po pierwszych łykach piwa czuł, że zaczyna boleć go głowa. - Chcę tylko, żeby wszystko było jak dawniej.

Pasma włosów opadły jej na rzęsy. Ted chciał całować jej czoło, nos, usta. Chciał po prostu całować swoją żonę.

- Ale nie może być - powiedziała Elinor. - I na tym polega cały problem. - Zaczęła skubać naklejkę na butelce piwa. - Poza tym sądzę, że to fachowo nazywa się zaprzeczenie.

Ted zniżył głos.

- Fakt, że nie chcę analizować wszystkiego w najdrobniejszych szczegółach, nie oznacza, że wszedłem w fazę zaprzeczenia. Dlaczego nie możemy po prostu zacząć wszystkiego od nowa? - Ścisnął szklankę. Śliska od skroplonej pary wysunęła mu się z rąk. Piwo rozlało się na stół i kapało mu na spódnie. - Cholera. - Wytarł blat i spódnie papierowymi serwetkami.

- Musimy iść do doktor Brewster. To wymaga sporej pracy.

- Wiem - odparł Ted. Praca to słowo klucz. Odrzucił zwitek mokrych serwetek. Nie był wcale leniwy ani niechętny, ale dlaczego wszystko musiało przychodzić im tak ciężko? Miał nadzieję, że pojedą na weekend do okręgu winiarskiego. Będą się kochać w łóżku ze śmiesznym baldachimem w jednym z pensjonatów i martwić, że usłyszą ich sąsiedzi. Oczywiście nie mógł oczekiwać, że Elinor szybko zapomni o jego romansie. Przesunął palcami przez jej włosy, zakładając pasemka za uszy.

- Posłuchaj, El. Wiem, że moje zachowanie było absolutnie nie do przyjęcia. Zrobię wszystko, by to naprawić.

- To chodź ze mną do doktor Brewster.

- Oczywiście, że do niej pójdziemy. Nie zapominaj, że to ja umówiłem nas na wizytę. - Ted przeknął ślinę, tłumiąc zdenerwowanie.

Przez długą chwilę milczeli oboje.

- Myślisz, że nam się uda? - zapytał w końcu Ted i natychmiast przestraszył się tego pytania. - Wszystko naprawić? - Uświadomił sobie, że prawie szepcze.

Kelnerka w czarnych spodniach, białej wykrochmalonej koszuli i małej czarnej muszce zjawiła się z ich lunchem.

- Proszę uważać. Talerze są gorące - ostrzegła. Elinor sięgnęła po frytkę.

- Może. Bardzo tego chcę. - Zjadła jeden kęs, po czym odsunęła talerz. - Zamierzam wziąć długi urlop.

- Świetnie. - Ted przestał jeść sałatkę. - Chwileczkę, nie zamierzasz chyba wyjechać z miasta?

Elinor zdrapała resztki naklejki z butelki.

- Nie. Chcę po prostu zrobić sobie wolne. - W jej głosie pobrzmiwał niepokój, jakby nie była do końca pewna swojej decyzji. - Naprawdę chcę się skoncentrować na swoim małżeństwie.

Na jej małżeństwie. Ted odnosił wrażenie, że czasami chodziło wyłącznie o małżeństwo Elinor i jej bezpłodność, a on był tylko zmienną w algebraicznym równaniu jej życia. Praca, dom, mąż, dziecko.

- Jeśli chcesz zrobić sobie wolne, może gdzieś pojedziemy - zaproponował. - Do parku narodowego Yosemite, a potem nad jezioro Tahoe.

- Zobaczymy. Najpierw przekonajmy się, jak poradzimy sobie w poradni.

- Dobrze. Żadnych rozrywek. - Ted czuł się jak dziecko forsujące lepszy wybór miejsca na letnie wakacje. Otworzył usta, ale postanowił nic nie mówić.

- Trochę na pewno się rozerwiemy - zaprotestowała słabo Elinor.

Ted ścisnął jej drobną dłoń w swojej. Pomyślał o długich palcach Giny - szczupłych i zwinnych, jak reszta jej ciała - w porównaniu z małą, szorstką dłonią Elinor z obgryzionymi paznokciami. Wściekało go, że Gina tak nagle pojawia się w jego myślach - jak jakiś szalony tik, udar mózgu. Zamknął oczy i skupił się na ciepłych palcach Elinor. Zaczął je lekko masować. Były takie małe i niedoskonałe. Uwielbiał to. Chciał ją chronić. Ale nie był pewny przed czym.

- Osiem tygodni? - Phil, prezes firmy Elinor, nie był zachwycony wieścią, że w końcu zdecydowała się wykorzystać zaległy urlop i zrobić sobie długie wakacje. Rozparł się w wysokim czarnym fotelu, niemal tak dużym jak dentystyczny.

- Zachęcałeś mnie do tego od miesięcy - przypomniała mu Elinor.

- Tak. - Phil roześmiał się z rezygnacją. - Ale nigdy nie sądziłem, że to zrobisz. - Założył ręce za głowę i wyjrzał posepnie przez okno.

Prawdopodobnie żałował, że Elinor nie wzięła urlopu na czas terapii in vitro - kiedy była wyjątkowo rozkojarzona i pracowała zaledwie czterdzieści pięć godzin tygodniowo. Teraz, kiedy już skończyła leczenie, na pewno miał nadzieję, że powróci do sześćdziesięciogodzinnego kieratu i zrezygnuje z myśli o powiększeniu rodziny.

- Potrzebuję czasu, by zorganizować sobie życie - wyjaśniła Elinor.

- Nie mam pojęcia, jak sobie bez ciebie poradzimy.

- Na pewno będziecie musieli zamknąć tę budę - zażartowała. - Nie martw się. Pogonię wszystkich, zanim sobie pójde. - Chciała go uspokoić, ale tak naprawdę denerwował ją sposób, w jaki funkcjonowały firmy z Doliny Krzemowej. Ich szefowie zawsze kazali ci wierzyć, że jesteś niezastąpiona. Pewnego razu, kiedy Elinor harowała przy jednej z niewielu spraw, która miała trafić na wokandę sądu, Phil powiedział jej: „Jesteś najlepszym rozgrywającym, a my zaraz zagramy w Super Bowl!”. Wybuchnęła śmiechem, słysząc tę niedorzeczną analogię. „Dobra, trenerze” - powiedziała, zabierając kolejny stos akt i lunch składający się ze spalonego popcornu na swoje biurko. - Nie martw się - powtórzyła teraz. Poza tym miejscem też toczy się życie, dodała w duchu. To znaczy, jeśli nie pozwoliłeś mu się rozpaść na kawałki, przesiadując właśnie tutaj.

Tydzień przed rozpoczęciem urlopu Elinor pracowała do późna, by nadrobić zaległości i zostawić biuro w porządku. Kiedy wreszcie docierała wieczorem do domu, Ted był już po kolacji i leżał w łóżku, często spał. Elinor brała prysznic, wkładała koszulę nocną i wsuwała się do łóżka obok męża. Wzdychała lekko, czując ciepło jego ciała. Zaspany Ted często przewracał się na bok, by ją pocałować. Ona łaskotała go w twarz mokrymi włosami lub całowała w sam środek twardego brzucha. Wreszcie, w trzecią noc, kocharali się.

Elinor zapomniała już, jak to jest, gdy dotyk nie jest nierozzerwalnie związany z medycyną i badaniami. Podczas leczenia bezpłodności doszła do tego, że każdy kontakt z drugim człowiekiem sprawiał jej przykrość. Wystarczyło, by Ted tylko lekko ją musnął, a ona natychmiast się odsuwała. Wiedziała, że rani jego uczucia, ale żaden dotyk nie sprawiał jej już przyjemności. Ból sprawiał jej nawet ubrania, ocierając się bezlitośnie o tkliwy brzuch i posiniaczone uda. Przyjemność sprawiało jej tylko pływanie. Pozbawiona ciężaru przepływała kolejne długości w basenie, a woda całowała jej skórę. Jednakże godziny przeznaczone dla dorosłych na pobliskiej pływalni kończyły się zbyt szybko i do wody wpadały z krzykiem dzieci ze swoimi piankowymi przyrządami do pływania. Elinor szybko uciekała, pędząc owinięta w ręcznik do ciepłego wnętrza samochodu.

Teraz, gdy mąż przesunął palcami po wewnętrznej stronie jej ud, poczuła pieszczotę zamiast ostrego klucia. Nie mogła jednak w pełni się odprężyć, bo w głowie stale przesuwiała się z krzykiem taśma. Ona jest ładna, szczupła i młoda! Te jedwabiste włosy. Długie nogi. Czy jest lepszą kochanką? Elinor miała wielką ochotę wyciągnąć z Teda szczegóły jego romansu. Na przykład jakich środków antykoncepcyjnych używali? Ted był jednak taki czuły i delikatny, całował ją i dotykał, jakby nic się nigdy nie wydarzyło. Elinor walczyła ze sobą, by zapomnieć, że gdzieś w ciemności pokoju czai się ROMANS, który wiernie im towarzyszy.

Pierwszego ranka po rozpoczęciu urlopu Elinor próbowała się odprężyć przy kawie i krzyżówce, lecz rozciągający się przed nią pozbawiony obowiązków dzień sprawiał, że puls znacznie jej przyspieszył. Nie miała nic do roboty pomiędzy teraz a zbliżającą się wizytą u doktor Brewster. Przygnębiał ją fakt, że musi się zobaczyć z lekarzem, by dojść do porozumienia z mężem. Wyglądało na to, że muszą korzystać z pomocy z zewnątrz, by ratować swoje małżeństwo - najpierw seks, teraz miłość.

Wstała wcześniej z Tedem i kiedy brał prysznic, usmażyła mu białka z jajek. Doszła jednak do wniosku, że wyglądają blado i mało apetycznie. Wyrzuciła je więc do śmieci i przykryła przesyłkami reklamowymi, nienawidząc w duchu Giny. Kiedy Ted wszedł do kuchni, uderzyło ją, jak bardzo jest przystojny - świeżo ogolona, zarumieniona po prysznicu twarz, ciemnozielona koszula, która podkreślała brązowe oczy i miękkie brązowe włosy, wesoły żółty krawat, mocne opadające ramiona, wąska talia, zdecydowana linia szczęki. Nagle przeszła jej ochota na wizytę w poradni i wyciąganie brudów. Chciała przede wszystkim pielęgnować nowo odkryty podziw dla męża - pragnęła, by się ugruntował na dobre, jak warstwa farby, której pozwala się wyschnąć przed nałożeniem następnej.

Ted musiał pędzić, miał zaplanowaną operację. Kiedy pocałował ją na pożegnanie, jego usta smakowały pastą do zębów. Stała na werandzie i patrzyła, jak wycofuje samochód z podjazdu. Czuła się porzucona. Podczas gdy on pracował nad swoją formą, ona rozkładała na czynniki pierwsze swoje życie. A jednak on nie chciał wyruszyć na wzburzone wody kryzysu wieku średniego bez niej - pragnął jeździć na rowerze, chodzić na wycieczki, nurkować w Australii. Jego entuzjazm do tych czynności wprowadzał Elinor w zdenerwowanie. Bała się, że nie potrafi dotrzymać mu kroku, że nie jest dla niego odpowiednim towarzyszem. Bała się, że go rozczaruje.

Trzyliterowe słowo oznaczające kawałek jedzenia. Elinor spojrzała na krzyżówkę i wpisała „kęs”. Potem wyjrzała przez okno na róże, które nadal kwitły. Po piętnastu latach pracy w świetle jarzeniówek, wchłanianiu promieniowania emitowanego przez monitor komputera i wdychaniu dusznego powietrza biura, chciała się znaleźć na świeżym powietrzu. Zabrała kawę, gazetę i „Iliadę”, chwyciła stary koc z szafy i wyszła na trawnik przed domem.

Rozłożyła koc pod dużym dębem i oparła się o nierówny pień. Czuła pod plecami jego kojącą siłę. Odsunęła krzyżówkę i książkę i popijała kawę, obserwując kobiety z sąsiedztwa przejeżdżające ulicą SUV-ami i minivanami. Niektóre z nich na jej widok zwalniały, przyglądały się badawczo, a potem machały niepewnie. Z wyjątkiem Kat Elinor nie znała dobrze żadnej z mieszkających w sąsiedztwie żon. Ich

wspólnym mianownikiem były dzieci. Spotykały się na basenie i przyjęciach z okazji Halloween. Nie było sensu, by brali udział w tych imprezach z Tedem sami, bez dzieci.

Kiedy dawniej pytano ją, czy ma dzieci, mawiała: „Wciąż próbujemy” albo „Jakoś nie mieliśmy do tej pory szczęścia na tym polu”. To jednak wywoływało reakcję w postaci niechcianych rad, od akupunktury po zażywanie syropu robitussin. Teraz po prostu mówiła „Nie”.

Dopiła kawę, położyła się na wznak i spojrzała w niebo przez baldachim z liści. Dąb był artretyczny, lecz wspaniały, prawdopodobnie starszy od niej i od wszystkich domów w okolicy.

Na ulicy zatrzymał się samochód.

- Panienko? Wszystko w porządku? - zawołał starszy pan. - Upadła pani?

- Nic mi nie jest. - Elinor usiadła. - Wyrrywam tylko chwasty! - Wyrwała kępkę trawy i wyrzuciła ją wysoko w powietrze.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Mój nauczyciel twierdzi, że za dużo mówię. - Toby wiercił się i kopał stolik w kawiarence księgarni Barnes & Noble. Pianka z kawy w kubku Teda rozlała się na blat. - Mama też tak mówi. Za dużo i za szybko. Mam siedzieć spokojnie i więcej słuchać. Ale czego? Nikt nie mówi przecież nic ciekawego.

- Staraj się nie kopać w stół, dobrze? - Gdyby Tedowi udało się go zmusić, żeby skoncentrował się na ułamkach, chłopiec miałby szansę zaliczyć jutro test.

- Przepraszam. - Nad górną wargą Toby'ego widać było wąsy z bitej śmietany i karmelu.

Jego duże przednie zęby, wyszczerbione na końcach, wbijały się w dolną wargę, pozostawiając dwa czerwone wgłębienia. Chłopiec znajdował się teraz na tym niezgrabnym etapie, kiedy niektóre części jego ciała wydawały się za duże w stosunku do reszty; wielkie guzowate łokcie i kolana stale się z czymś zderzały. Wydał dolną wargę i przestał co prawda kopać, lecz bębnił grubymi palcami w blat stolika. Kiedy Ted zmarszczył brwi, wsunął dłonie pod uda. Mimo to jedna noga podskoczyła i uderzyła w stół. Z kubków wylały się napoje.

- Przepraszam! - zawołał błagalnie Toby. - Skoro nie mogę kopać, muszę bębnić.

Ted wytarł kawę i mleko zwiłkiem serwetek.

- Nie ma sprawy, kolego.

- W szkole muszę siedzieć na dłoniach i liczyć.

Ted zaczął się zastanawiać, czy Gina nie powinna zabrać chłopca do pediatry.

- Liczę tylko do pięciu, ale za to bardzo szybko. O tak: jedendwatrzydziesięć, pięćdziesięć, jeden. Sufit w klasie jest wyłożony płytami, co bardzo pomaga w liczeniu. Są w nich takie małe dziurki i je też mogę liczyć. Nic na to nie poradzę, ale przy liczeniu poruszam ustami. Więc Todd Francis mówi: „Z kim rozmawiasz, paskudna mordo?”. Przeklina jak nikt w szkole. Opowiedziałem o nim tacie. Odparł, że

Todd będzie pracował w Burger Kingu, a ja zostanę prezesem wielkiej spółki giełdowej. - Toby oblizał spierzchnięte usta.

- Myślisz, że mógłbym zostać prezesem?

- Nie, jeśli nie zajmiemy się tymi ułamkami. Będą ci potrzebne w czasie prezentacji dla zarządu.

- Dobra. Cieszę się, że będziesz mi pomagał. - Szczerze Toby'ego podbiła Teda. - To o wiele lepsze od siłowni - dodał. - Mama uważa, że powinienem być zadowolony, bo mają tam basen. Ale zawsze aż roi się od rozwrzeszczanych dzieciaków, a dorośli krzyczą, jeśli wsuniesz choćby jeden palec na ich tor do pływania. Lubię siedzieć w barku, bo mają tam klimatyzację, i grać na moim game boyu, ale ona zawsze chce, żebym wyszedł na zewnątrz. - Toby siorbał swój napój i rozglądał się po kawiarni, kiwając się rytmicznie do dudniącego basu płyty z muzyką jazzową. - Powinniśmy zawsze tu się uczyć.

Ted pochylił się nad stołem.

- Posłuchaj, stary, pomogę ci dzisiaj i może w przyszłym tygodniu, ale potem...

- Wiem, że rzuciłeś moją mamę.

- Ja... - Ted nie wiedział, co Gina powiedziała chłopcu.

- Fatalnie, bo byłeś jej najlepszym chłopakiem.

- Ja naprawdę nie...

- Inni to totalna porażka. Shane? Nawet nie mógł prowadzić samochodu. Miał wyrok za jazdę po pijanemu.

- Wyrok. - Czy Gina spotykała się z tamtym w tym samym czasie co z nim? Myśl, że tylko on mógł ją uszczęśliwić, to przejaw arogancji. Ale żeby sypiała z innymi mężczyznami?

- Tak. Ten Shane. Podjeżdżał pod dom taksówką. Co za palant. Z jej wszystkich facetów tylko ty nie jesteś totalną ofiarą. No tak, był jeszcze Barry z agencji koncertowej. Zna Eminema, też mi coś. Mało mnie to obchodzi, a nawet jeszcze mniej. Ale jest dla mnie bardzo miły. Dziwne, traktuje mnie jak najbardziej popularne dzieciaki w szkole. No wiesz, chce, żebym go polubił, i jednocześnie trochę się mnie boi.

- Chce zdobyć twoją sympatię. - Ted przesunął w jego stronę arkusz z ułamkami.

- Zgadza się. Ma mnóstwo pieniędzy. Tylnie siedzenie w jego samochodzie jest naprawdę super. Ma tam ogrzewanie, głośniki i klapkę, którą można opuszczać. Ale poważnie? Uważam, że mama najbardziej lubi ciebie. Nadal.

- Wiesz, że jestem żonaty. - Ted nie potrafił myśleć na tyle szybko, by za nim nadażyć. Sparzył się w język gorącą kawą.

- Chodzi o to, że tamci faceci są pewnie przystojniejsi od ciebie, ale wiem, że ciebie najbardziej lubi. I chyba nie tylko dlatego, że jesteś lekarzem. Dużo o tym mówi, to prawda, ale chyba tak zwyczajnie najbardziej cię lubi.

- Twoja matka jest bardzo miłą kobietą... - Ted nie miał pojęcia, jak wrócić do ułamków.

- A ten cały Shane? To zwykły świr. Pracuje przy instalacji świetlików w dachach z jakimś drugim facetem, bo nie zarabia dość pieniędzy w swoim głupim zespole. Zawsze ma na ubraniu kawałki izolacji i

jakieś śmieci. Pije alkohol i ma bzika na punkcie mojej mamy. Kiedy dzwoni, mama mówi, żebym nie odbierał. Jego numer wyświetla się na ekranie telefonu.

W tle huczał blender, a ekspres do kawy syczał ze złością. Ted próbował przekrzyknąć hałas.

- Dobra, musimy pomyśleć o jutrzejszym teście. - Skoncentrował się na zadaniach. - Wiemy, że $\frac{5}{10}$ jest równe $\frac{1}{2}$, gdyż $\frac{1}{2}$ razy $\frac{5}{5}$ wynosi $\frac{5}{10}$. Dlatego ułamek dziesiętny 0,5 jest równy $\frac{1}{2}$ lub $\frac{2}{4}$...

- Wziął głęboki oddech.

- Dlaczego umawiałeś się z moją mamą, skoro jesteś żonaty? - Toby spojrział na niego, mrużąc oczy.

- To był błąd. Mieliśmy z żoną problemy. To była moja wina. Twoja matka nie miała z tym nic wspólnego. Małżeństwo to czasami bardzo trudna sprawa.

- Nic o tym nie wiem, bo moi rodzice nigdy się nie pobrali.

- Wiem, kolego, ale oboje bardzo cię kochają.

- Tak? Mama mówi, że jestem owocem randki na jedną noc.

Ted nie miał pojęcia, jak nadać tej informacji pozytywny wydźwięk.

- Powiedziała ci to?

- Nie. Ale słyszałem, jak mówi to do swojej przyjaciółki. Co to w ogóle znaczy?

- Tylko to, że twoi rodzice krótko się spotykali. Ale choć nie mieszkają razem, bardzo im na tobie zależy.

- Tak? Jej całe życie to pomyłka. - Toby zamknął z trzaskiem podręcznik do matematyki i skrzyżował ramiona na piersi. - Chcę mieszkać z tatą. Powinieneś pomóc mi napisać do niego list.

- Toby, teraz musimy się pouczyć. A ty musisz dać swojej mamie jeszcze jedną szansę. Bardzo się stara, żebyś był szczęśliwy.

- Hej, Kiełku! - Głos dobiegł z drugiego kąta kawiarni.

Ted odwrócił się i dostrzegł masywnego chłopca w odwróconej daszkiem do tyłu czapeczce baseballowej, który zmierzał w ich stronę.

- Co tu porabiasz, Owocowy Sereczku?

- To Jamie. - Toby zniżył głos i nie spuszczał wzroku z Teda. - Zawsze nabija się z mojego lunchu.

Ted rzucił Jamiemu groźne spojrzenie. Chłopiec wycofał się do alejki z wydawnictwami poświęconymi ogrodnictwu. Przez krótką chwilę Tedowi wydawało się, że widzi Kat, która przerzuca strony dużej książki z kwiatami na okładce, lecz okazało się, że to tylko podobna do niej kobieta z krótkimi czarnymi włosami. Niepokój rozsadzający mu pierś potwierdził, że nie powinien był tu przychodzić, nie mówiąc o niczym Elinor.

- Spróbuj jak to jest, gdy dietetyczka przygotowuje ci lunch do szkoły - skarżył się Toby. - Tortille z pełnoziarnistej mąki, wypełnione tofu i podobnym świństwem. Kiedyś na podłogę wypadł kiełek fasoli i teraz wszyscy tak na mnie mówią. A te batony z proteinami? Wyglądają super, jak czekolada, ale smakują jak gówno. Wiesz, co jest w tym wszystkim najsmutniejsze? - Znów zaczął kopać w stół. - Ona przygoto-

wuje ten lunch przez godzinę poprzedniego wieczoru. Teraz po prostu wyrzucam go do śmieci i kupuję sobie jedzenie za pieniądze od ojca. Ale w tym tygodniu już mi się skończyły. - Toby odwrócił wzrok i wzruszył ramionami.

- Tłumaczyłeś to mamie? Pokręcił głową.

- Nie potrafię z nią rozmawiać!

- Potrafisz. - Ted wyjął portfel z kieszeni. - Twoja mama jest świetnym słuchaczem. Powiedz jej, co się wydarzyło, a ona na pewno przygotuje ci inny lunch albo da ci pieniądze. - Podał mu piętnaście dolarów. - Na razie staraj się aż tak bardzo nie przejmować. - Ted zapomniał już, jakie stresy można przeżywać, będąc dzieckiem. Pożałował Toby'ego, który musiał przenieść się do szkoły w Dolinie Krzemowej. Tutejsze szkoły były podobno najlepsze w kraju, ale panowała w nich również szalona rywalizacja. Wymagający, ambitni rodzice zmuszali dzieci, by pracowały jak mali prezesi. - To tylko na lunch, zgoda?

Toby wahał się przez chwilę, potem wziął banknoty, złożył i wsunął do niebieskiego nylonowego portfela zapinanego za rzepy. W wewnętrznej klapce widać było legitymację szkolną i kartkę z danymi rodziców wypełnioną przez Ginę. ALERGIA NA JAD PSZCZELI, głosiła informacja zapisana jej starannym charakterem pisma. Licha jakość tego portfela chwyciła Teda za serce. Co dnia wysyła się dziecko w świat i nikt nawet nie wie, jakie tam na nie czyhają niebezpieczeństwa.

Ted kupił paczkę kart katalogowych, by zrobić fiszki, i w końcu obaj zaczęli przedzierać się przez ułamki. Kiedy wychodzili ze sklepu, powiedział Toby'emu, żeby znalazł jakąś książkę dla siebie. Oczywiście chłopiec wybrał tomiszczce o średniowiecznych rycerzach i zbrojach.

- Nawet konie mają zbroje - powiedział z przejęciem, przesuując palcami po zdjęciu konia na okładce.

Ted wybrał nowość zatytułowaną „Przeciwtuleniacze - źródło zdrowia i młodości”.

- Kupimy ją dla mamy. - Gina miała bzika na punkcie antyoksydantów pokarmowych. - To może być prezent od ciebie. - Rozpaczliwie pragnął zasypać przepaść między Giną i Tobym, przepaść, w którą powoli sam zaczął wpadać.

Toby przestąpił z nogi na nogę.

- Nie chcę jej niczego dawać.

Ted pochylił się w jego stronę, wdychając zapach potu i korektora.

- Musisz uważać, by nie ranić uczuć mamy. To bardzo ją smuci.

- Ja ją zasmucam? - Toby kopnął stół ze stosem książek kucharskich. - Ja? - Kopnął raz jeszcze i książki rozsypały się na podłogę. Zaciskając dłonie w pięści, patrzył ze złością na Teda. - Ja ją zasmucam!

- Proszę pana! - zawołała sprzedawczyni zza lady z napisem „Informacja”. - Proszę powiedzieć synowi, żeby pozbiierał te książki.

Ted był przekonany, że już nigdy nie będzie musiał wrócić do ciemnej poczekalni w poradni małżeńskiej, choć była kojąca, emanowała spokojem i empatią. Wschodni dywan i kanapy w kwiaty zdawały się mówić: „Wiemy, że wszystko spieprzyłeś. Nie ma sprawy. Pod warunkiem że przyniosłeś ze sobą

książeczkę czekową". Nagle przestała mu się podobać empatia doktor Brewster. Ted i Elinor mówili jej, jak okropnie się czują, jak wszystko się pogmatwało, a ona kiwała ze zrozumieniem głową. To się zdarza. Proszę się nie przejmować, że wszystko jest do niczego.

Ted i Elinor siedzieli obok siebie na ratanowej kanapie, nieśmiali i zdenerwowani jak dwoje uczniów szkoły średniej na potańcówce. Ted sięgnął do nitek wystających z dziury na kolanie dżinsów Elinor. Zwinął jedną między palcami, dziwiąc się, że jest taka miękka.

- Masz opalone nogi - powiedział.

- Czytałam na trawie pod drzewem.

- To dobrze. - Przed tą wizytą starannie dobierali słowa, jakby szukali najmniej śliskiego kamienia, który pomoże im przejść przez strumień.

- Dobrze się czujesz? - zapytał. - Wyglądasz wspaniale.

Elinor miała na sobie stary podkoszulek z Talking Heads. Nie włożyła stanika. Wyglądała na wypoczętą - nie miała cieni pod oczami ani zmarszczek na czole.

- Świetnie - odparła. Ale wcale nie czuła się świetnie. Między nimi też świetnie się nie układało. Wolałaby, żeby Ted przestał zadawać te głupie pytania.

Wyciągnęła nogi i schyliła głowę, dotykając czołem kolan. W college'u dużo tańczyła i nadal była niesamowicie gibka. W poczekalni panowała cisza przerywana jedynie cichym brzmieniem muzyki fortepianowej dobiegającej z wieży w rogu. Tuż za nią pyszniła się wielka roślina w doniczce. Coś ze spiczastymi liśćmi i kwiatami. Ted nie miał pojęcia, czy jest prawdziwa. Elinor nienawidziła sztucznych roślin, a Ted nienawidził faktu, że nie potrafi ich odróżnić. Po czym miał to poznać? Ogarnęła go nieodparta chęć, by cisnąć doniczką o ścianę. Zamiast tego zaczął strzelać knykciami.

Już w gabinecie doktor Brewster patrzyła, jak El jedna po drugiej wyciąga chusteczki - *szu, szu, szu* - z pudełka stojącego na stoliku. Choć w domu rzadko płakała, gdy tylko znaleźli się w tym gabinecie, tam pękała. Zawsze była osobą, która robiła właściwą rzecz we właściwym miejscu - ten talent do szufladkowania sprawił, że była tak dobra w swojej pracy.

- Zupełnie jakby ciebie to nie poruszyło - mówiła teraz, odnosząc się do faktu, że nie mogą mieć dzieci. Ted nie potrafił uwierzyć, że jeszcze nie doszli do romansu.

- To nieprawda. - Może nadeszła już najwyższa pora, by wypowiedział swoje zdanie na ten temat. - Nie poruszyło mnie to w ten sam sposób jak ciebie, dlatego dochodzisz do wniosku, że nie miało to na mnie żadnego wpływu. Takie rozumowanie jest całkowicie błędne.

- To ty powinieneś być prawnikiem. - Elinor odwróciła wzrok. - W każdym razie jakoś udało ci się przebrnąć przez ten pieprzony ból. - Elinor twierdziła, że przeklinanie bez ograniczeń jest jedyną korzyścią, która płynie z faktu nieposiadania dzieci.

- Chciałem mieć córkę! - Ted pochylił się w jej stronę i spojrzał jej w oczy. - Chciałem mieć małą dziewczynkę. - Zawsze bał się to powiedzieć, jakby nadzieja mogła sprowadzić złą karmę.

Elinor wyglądała na zaskoczoną. Zniżyła głos.

- Widzisz, nie wiedziałam o tym, bo nigdy o niczym nie mówisz. Chcesz tylko cofnąć czas lub ruszyć ostro do przodu, w ogóle nie rozmawiając.

- Dlatego, że wszystko co mówię, umniejsza tylko twój ból. Fizyczny, którego nigdy nie doświadczę. Nie mam szans go doświadczyć, ponieważ nigdy nie wsuwam stóp w strzemiona na fotelu ginekologicznym.

Terapeutka kiwnęła głową. Ted poczuł się, jakby zdobył punkt w meczu tenisowym.

Ulicą przejechał samochód, rozpryskując kałuże. To był jeden z niewielu deszczowych dni tego lata. W gabinecie tykała i szumiała klimatyzacja.

- Och - powiedziała cicho Elinor. - Rozumiem, o co ci chodzi. - Była pełnym współczucia słuchaczem. To kolejna cecha, która sprawiała, że odniosła sukces w swoim zawodzie. I w pewnym sensie właśnie dlatego tak trudno było być jej mężem. Słuchała uważnie, doszukując się znaczenia w słowach swego rozmówcy. Ted zawsze żałował, że jego wypowiedzi nie są dość głębokie.

- Trzeba zrozumieć - powiedziała swoim przyciszonym głosem doktor Brewster - że wielkie wydarzenia, takie jak choroba, utrata dziecka lub bezpłodność, wpływają na ludzi w bardzo różny sposób. Kobieta i mężczyzna mogą reagować i radzić sobie z tym problemem zupełnie inaczej. Żona złości się na męża, że nie jest tak smutny jak ona, choć w rzeczywistości rzadko tak bywa. Jak na ironię oddala to partnerów od siebie, w czasie gdy najbardziej siebie potrzebują.

Elinor znów zaczęła płakać, mnąc w palcach chusteczkę.

- Bezpłodność i niewierność to dwa poważne problemy w małżeństwie - dodała terapeutka.

Elinor skinęła głową. Skinęła też doktor Brewster. Ich zgoda zawisła ciężko w powietrzu. Ted marzył, by móc otworzyć okno.

- Wiem, że ten romans jest niewybaczalny - powiedział. - Bardzo chciałbym cofnąć...

- Ale nie możesz.

- Wiem, Elinor. Wiem! - Usłyszał, że podnosi głos, ale nie mógł się powstrzymać. Miał ochotę odrywać sobie rękę i podać ją obu kobietom. - Dlatego właśnie powinnaś być wściekła. Może powinniśmy zacząć krzyczeć. Wrzeszcz na mnie!

Doktor Brewster pochyliła się w ich stronę, jakby oglądała program, który dopiero teraz ją zainteresował. Zawsze miała na sobie ubranie w przygaszonych kolorach beżu i brązu. W takiej samej tonacji utrzymane były tapety, dywan i meble w gabinecie - ta tweedowa neutralność złościła Teda.

- Ale my nie powinniśmy krzyczeć. - Machnął ręką w stronę terapeutki. - Nie. Mamy słuchać muzyki poważnej, drzeć chusteczki na strzępy i spokojnie omawiać nasze uczucia.

- A co czujesz? - zapytała terapeutka Elinor. Spojrzała na Teda i marszcząc brwi, dała mu znak, żeby na chwilę się uciszył.

Ted westchnął ciężko, a potem próbował zamienić gwałtownie wciągnięte powietrze w kaszel.

- Może to dobrze, że Suzie Koniec-Z-Risottem wkroczyła w nasze życie - mruknęła Elinor. - Może musieliśmy się rozstać, żeby móc znów być razem.

Na wzmiankę o Ginie Ted wyprostował plecy.

- Przepraszam - rzuciła niemądrze Elinor. - Nie potrafię wypowiedzieć jej imienia.

- Dlaczego przepraszasz? - zapytała doktor Brewster.

- Nie lubię, gdy jestem zgorzkniała - odparła obronnym tonem Elinor. - To tak jak z grypą, tylko jeszcze gorzej, bo jakby nigdy nie miało minąć. Nienawidzę tego. - Zaśmiała się słabo. - Jestem rozgoryczona faktem, że jestem rozgoryczona.

- Ale byłaś na mnie zła jeszcze przed romanssem - zauważył Ted.

Zapadła cisza i Elinor kiwnęła głową. Jej zapuchniętą twarz pokrywały czerwone plamy. Ted próbował wyciągnąć do niej rękę, lecz jego własny ciężar zdawał się wbijać go w fotel, śliski i wgłębiony jak rękawica do baseballu.

Wreszcie pochylił się i chwycił Elinor za rękę. Ścisnął ją, może odrobinę za mocno.

- Jak się teraz czujesz? - zapytała doktor Brewster.

- Okropnie - odparła ze szlochem Elinor. - Już to ustaliliśmy! Czuję się okropnie, Ted też. Co jeszcze ustaliliśmy?

Doktor Brewster wstała i otworzyła szufladę biurka. Wyjęła dwa żółte notatniki i podała je Elinor i Tedowi razem z długopisami.

- Chcę, żebyście sporządzili listę dziesięciu rzeczy, które w sobie nawzajem kochacie. Zapiszcie wszystko, co przychodzi wam do głowy, a potem znów porozmawiamy.

Ted był zdumiony szybkością, z jaką długopis Elinor przesuwiał się po papierze. Przeraziła go jego własna pusta kartka. Uwielbiał w swojej żonie milion rzeczy, ale zebranie myśli na jakikolwiek temat zawsze trochę u niego trwało.

Elinor zamarła. Ted czuł, że rzuca mu ukradkowe spojrzenia.

Napisał więc: *Poczucie humoru, inteligencja, piękna, gładkie kolana, idealne zęby*. Przypomniawszy sobie, jak podczas przyjęć zęby Elinor błyskały w drugim końcu pokoju, jak zawsze potrafiła wszystkich rozśmieszyć. *Etyka pracy, humor*. Nie, humor już zapisał. Wykreślił go więc, dochodząc do wniosku, że Elinor i terapeutka pomyślały pewnie, że zmienił zdanie w jakiejś kwestii. Szybko dopisał do listy: *Ogromna wiedza na temat krzesel*. To niesamowite, że potrafiła odróżnić krzesła w stylu Ludwika XIV, XV i XVI. Miało to coś wspólnego z oparciami i nogami. Ona naprawdę była przekonana, że to meble wywołały rewolucję francuską. W ogóle miewała na różne tematy zabawne teorie, jak choćby ta.

„Zastanów się” - mówiła. - „Arystokraci nakładali na ludzi cholernie wysokie podatki, żeby mogli oblepiać swoje krzesła złotem. Nie wkurzyłoby cię to?”.

Miała też swoją teorię głoszącą, że to kofeina wywołała rewolucję przemysłową.

„Dlaczego więc nie wybuchła w Brazylii, skąd pochodzi kawa?” - dopytywał Ted. „Hmmm, dobre pytanie” - wpadała w zamyślenie.

Kiedyś przez cały czas rozmawiali o podobnych rzeczach. A przecież próbowali tylko powiększyć rodzinę!

Ted uświadomił sobie, że wpatruje się w przestrzeń, podczas gdy Elinor i doktor Brewster przyglądają mu się wyczekująco. Odwrócił się do El. Wyglądała na urażoną, pewnie dlatego, że nie pracował nad swoją listą. Ona już przyciskała notatnik do piersi.

- Chciałabyś odczytać swoją listę? - Doktor Brewster zwróciła się łagodnie do Elinor.

- Przystojny - zaczęła. - Silny i wysportowany. Gęste, idealne włosy. Cudowne bicepsy. Naprawdę.

Ted poczuł, że się rumieni. Nigdy nie uważał siebie za przystojnego mężczyznę. Był przecież krępy i głupi.

- Nieśmiały w uroczy sposób. Uprzejmy, miły dla pacjentów. Czasami może zbyt miły. Wysłuchuje całej historii ich życia, a w poczekalni zbiera się tłum. - Elinor zmarszczyła brwi. - Nie potrafi długo się gniewać, ale zbyt łatwo się zniechęca i czasami ma humory. Przepraszam, to negatywna cecha. - Pomięła coś, co zapisała.

Ted chciał to usłyszeć, chciał poznać swoje inne negatywne cechy.

- ...ciężko pracuje, jest miły dla starszych ludzi - ciągnęła Elinor. - Świetnie robi zastrzyki, o wiele lepiej niż pielęgniarka, to pewne. Jest zabawny, ma silne dłonie, jest dobrym nauczycielem. - Podniosła wzrok na doktor Brewster lekko zażenowana. - Nauczył mnie rzucać piłką do softballu.

- To wspaniale. Kiedy się z kimś żyje, łatwo zapomnieć o takich rzeczach. Ted?

Ted nie musiał spoglądać na listę, by wymienić wszystkie rzeczy, które kochał w swojej żonie. Lista była bardzo długa: mądra, zabawna, piękna, dowcipna, wspaniała prawniczka, rewelacyjnie gra w scrabble, nie dba, co pomyślą inni, a jednak bardzo się o nich troszczy, miła dla swoich współpracowników, wie wszystko o krzesłach, uwielbia przebywać na świeżym powietrzu, dba cudownie o ogród, wspiera go. Przynajmniej do niedawna, dodał w myślach. Nie oznaczało to wcale, że El przestała go wspierać, tylko że dziwnym sposobem przestali razem żyć. Każde z nich krążyło teraz po własnej orbicie i nie potrafili się odnaleźć. Co innego Gina. Zawsze potrafiła podnieść go na duchu i poprawić mu nastrój. Zadrżał na tę myśl i z ulgą usłyszał, że doktor Brewster proponuje im plan: raz w tygodniu będą przychodzić do niej na spotkania, a dwa razy umawiać się na randkę. Podczas jednej z nich powinni rozerwać się gdzieś poza domem, a drugi raz zrobić coś razem w domu.

- Może to być coś, czym od dawna chcieliście się zająć. Możecie razem ugotować kolację albo iść na spacer po okolicy - zasugerowała. - Możecie też po prostu posiedzieć razem i poczytać. Starajcie się nie planować zbyt wielu niezwykłych rzeczy. Nie musicie przez cały czas chodzić do drogich restauracji i jadać kolacji przy świecach.

Ted potarł twarz. Dwa miesiące temu w laboratorium łączyli jego plemniki z jajeczkami Elinor, a teraz mieli umówić się na randkę.

- Ted, masz jakiś pomysł? - zapytała doktor Brewster.

- Pomysł? - Wyłączył się na chwilę z rozmowy.

- Na neutralne miejsce na randkę.

- Kręgielnia? - rzucił. El lubiła grać w kręgle. Tanie piwo, tłuste frytki, buty ślizgające się po podłodze. „Zupełnie jakby podłoga była tabliczką ouija”, powtarzała zawsze Elinor. - W Camp David - dodał na głos.

Elinor zaśmiała się z jego żartu, ocierając policzki.

Ted uśmiechnął się.

- Świetnie. Jesteśmy umówieni.

Kręgle. Zupełnie jakby po raz pierwszy od roku powiedział to co trzeba.

Ted obudził się w środku nocy i w jednej chwili zorientował się, że Elinor nie ma w łóżku. Spojrzał na radio z budzikiem. Była druga nad ranem, a Elinor zniknęła. Wyciągnął rękę i przesunął po zimnej pościeli obok. Pojechała do Ohio. Nie, była w domu. Przecież razem położyli się spać. Czytali, pocałowali się na dobranoc, próbowali się przytulić, doszli do wniosku, że jest im niewygodnie, i każde z nich przesunęło się na swoją stronę łóżka.

- El? - W łazience i w holu nie paliło się światło. Przeklinając pod nosem, Ted wstał z łóżka. Naciągnął dres i wyszedł do holu.

- El? - Zajrzał do pralni. Ona zawsze znajdzie coś do wyprania, nawet jeśli są to ręczniki plażowe albo maty do opalania. Ale w pralni też było ciemno. Zamrugał, włączając światło w kuchni, a potem otworzył drzwi do garażu. Oba samochody stały na miejscu. Gabinet Elinor, jadalnia, salonik. Ciemno, ciemno, ciemno. Sięgnął do klamki przy drzwiach wejściowych i zdziwił się, że są otwarte. Założył japonki i wyszedł na werandę. Nocne powietrze było chłodne i wilgotne, a latarnie uliczne rzucały bursztynowy blask. Światła centrum miasta barwiły niebo na różowo. Ted obrzucił spojrzeniem trawnik przed domem i dostrzegł pod dębem jakiś kształt.

- El! - zawołał głośnym szeptem. Przebiegł przez trawnik i znalazł Elinor zwiniętą w śpiworze na starym kocu z poduszką pod głową. Spała głęboko w pozycji embrionalnej zasłonięta przez gruby pień. Jezu, każdy przejeżdżający z bocznicy mógł ją tam znaleźć. Ted uklęknął i pogładził ją po policzku. - Elinor?

Obudziła się gwałtownie, zerwała i spojrzała na niego, mrużąc oczy.

- Już czas iść do poradni? - Zmarszczyła brwi i znów zamknęła oczy.

- Czas iść do łóżka. Kochanie, co ty tu robisz?

- Wyłączyłam zraszacze - powiedziała, jakby to wszystko tłumaczyło.

Przycisnęła podbródek do piersi i oblizała usta. Ted usiadł obok niej, czując przez koc moką trawę.

- Nie mogłam spać - zamruczała.

- Ale nie możesz spać tutaj.

- Czemu nie?

- Po pierwsze, to niebezpieczne. - Pocałował ją w czoło. - Chodźmy do domu.

- Połóż się ze mną. - Przesunęła się na kocu. Rozpięła śpiwór i próbowała naciągnąć go na Teda. Udało się jej przykryć jedno udo. Potem znów zasnęła. Ted upewnił się, że nikt nie czai się na ulicy, położył się na boku i objął ją ramieniem w talii, chowając twarz w jej włosach.

Skóra Elinor była ciepła i wilgotna. Zamknął oczy, przesuwając palcami po miękkim jedwabiu jej koszuli. Ujął w dłoń jej pierś, masował żebra. Była taka drobna. To pierwsze, co zauważył u swojej przyszłej żony. Poznali się latem. Jego kumpel Duncan pracował w tej samej firmie prawniczej co El i zaprosił go na firmowy piknik. Kiedy zaczął się mecz softballu, Elinor siedziała sama przy stole piknikowym, popijając piwo. Ted zapytał, czy przyłączy się do gry.

„Dobra, czas na wyznanie” - powiedziała. - „Jeszcze nigdy nikomu o tym nie mówiłam. Nie potrafię”. Ted wybuchnął śmiechem.

Powiedziała, że nikt nigdy nie nauczył jej, jak rzucać i łapać piłkę do softballu. Jako dziecko była mołem książkowym i musiało jej nie być w szkole w dniu, kiedy się tego uczyli. Od tamtej pory w tajemnicy bała się letnich pikników i wszechobecnych meczów softballu. Ted postanowił, że tego dnia też nie zagra, i razem z Elinor siedzieli, rozmawiali i pili piwo, aż wszyscy sobie poszli i zaczęło się ściemniać. W ciągu następnych kilku tygodni spotykali się po pracy i nauczył ją, jak rzucać i łapać piłkę. Siedem miesięcy później byli małżeństwem.

A jeśli pojawią się gliny? - zastanawiał się, powoli zapadając w sen pod drzewem. Otworzył oczy. Czy można dostać mandat za spanie na swoim własnym frontowym trawniku? Wciągnął zapach mokrej trawy. Wszyscy w sąsiedztwie mieli ogrodników, ale Ted wolał pielęgnować zieleń sam. Cholera, był chyba jedyną znaną mu osobą, która miała na własność kosiarkę. Bardzo lubił bezmyślność koszenia, grabienia i przycinania, nawet tępy ból w krzyżu, który pojawiał się później.

Elinor poruszyła się, zakaszła i odwróciła się twarzą do Teda. Otworzyła oczy. Były jasne i niemal rozpalone. Wyciągnęła rękę, by dotknąć jego policzka, lecz szybko ją cofnęła, jakby parzyła ją jego skóra. Włosy sterczały jej wokół głowy jak aureola. Ted przesunął palcem po zarysie jej szczęki.

- Uwielbiam nasz dom - powiedziała.

- Naprawdę? - Kupiła go, zanim się poznali, lecz nie zносиła go, bo krył w sobie mnóstwo kosztownych pułapek, na których naprawę nie miała dość czasu, umiejętności ani pieniędzy. Po ślubie zabrali się do pracy razem z Tedem. Zerwali linoleum, wymienili szafki i sprawili sobie nawet rozpadającą się półcieżarówkę, by mieć czym jeździć do sklepu z materiałami.

- Skoro go tak uwielbiasz, to chodźmy do środka - zażartował Ted.

- Kocham to wszystko - powiedziała, wysuwając rękę ze śpiwora. - Kocham to drzewo.

Ted połaskotał ją w wewnętrzną stronę ramienia, o co kiedyś zawsze go prosiła.

- Kochałam nasze prawie dziecko - zamruczała. - Naszą zygotę.

- Wiem. - Pochylił się, by pocałować ją w czoło.

Potem wsunął ręce pod jej talię, podniósł ją z ziemi i wniósł do domu.

W łóżku ze śmiechem wyjął liście z jej włosów i ułożył szeleszczące na szafce nocnej. Pociągnął za górny guzik dzinsów.

- Pamiętam, jak robiłem to dawno temu - powiedział, rozpinając rząd guzików jednym szarpnięciem.

Czuł na uchu ciepły oddech Elinor. Uniósł jej biodra, by zsunąć spodnie i majtki. Kochali się. Bez powodu. Nie po to, żeby splodzić dziecko lub podtrzymać statystyczną średnią, która pojawiła się w jakimś głupim magazynie dla kobiet, ani żeby pogodzić się po kłótni. Nie dlatego, że jedno z nich chciało, a drugie nie miało ochoty. Kochali się, bo Elinor nie mogła spać w domu, a Ted na zewnątrz, i dlatego, że było im z tym dobrze.

Elinor zachichotała.

Ted wzdrygnął się i zatrzymał wsparty nad nią na rękach.

- Co jest? - zapytał zakłopotany.

- Pomyślałam o tych wszystkich latach, gdy martwiłam się o zabezpieczenia.

W piątkowy wieczór w kręgielni był tłum ludzi. Z radia specjalizującego się w klasycznym rocku grzmiał Led Zeppelin, a nad głową migały kolorowe światła. Ted obserwował, jak Elinor przesuwając się pod podłogę z jedną nogą podwiniętą z tyłu i puszczając kulę, która wylądowała w samym środku alejki. Elinor stała jak posąg, gdy kula toczyła się i wpadała w kręgle. Zbiła wszystkie. Odwróciła się, wymachując pięściami nad głową, a spod robionego ręcznie na drutach starego swetra Teda wysunęła się koronka jej halki.

- Skopałaś mi tyłek - powiedział, gdy podeszła do niego trochę zdyszana.

Gdy zapisywał wynik na arkuszu, usiadła mu na kolanach. Piwo było zimne, grillowany ser ciepły i przyjemnie tłusty, a kark jego żony znów pachniał jabłkami. Poczł erekcję. Elinor też musiała ją wyczuć przez spodnie, bo zakręciła delikatnie biodrami.

- Na pewno nie wiedziałeś, że w tej kręgielni mają też takie tancerki. - Odwróciła się, by go pocałować. Jej usta były zimne i lekko gorzkie od piwa.

- W tej kręgielni mają wszystko, czego w tej chwili mi trzeba. - Uniósł jej włosy i polizał w kark.

- Państwo Szukający Pokoju Do Wynajęcia...

- Dziwi cię to? - Ścisnął ją za uda i wysunął się spod niej, by rzucić kulę.

Stanął w pozycji gotowej do rzutu. Na chwilę zamknął oczy, nasłuchując kakofonii padających kręgli i śmiechu. Wciągnął zapach stęchlizny, skwaśniałego piwa i dymu z papierosów. Te mało przyjemne zapachy wydały mu się dziwnie kojące. Kręgielnia przypominała maszynę czasu. To mógłby być jakikolwiek rok z jego życia. Otworzył oczy i rzucił. Kula uderzyła w alejkę trochę zbyt mocno, skręciła na prawo i zbiła tylko trzy kręgle.

- Dobrze. - Elinor zapisała jego wynik.

- Beznadziejnie. - Wytarł dłonie o dzinsy.

- Hej, doktorze Mackey! - rozległ się nagle jakiś głos.

Ted odwrócił się i ujrzał Toby'ego, który przedzierał się przez tłum z szerokim uśmiechem na twarzy. Poczł ucisk w piersi, gdy spoglądał za niego, by sprawdzić, czy jest z nim Gina.

- Toby, cześć, co tu robisz? - zapytał.

- Przyjęcie urodzinowe. - Toby wzruszył nieśmiało ramionami na widok Elinor. Wskazał na grupkę rozkrzyczanych chłopców kilka alejek dalej.

- Miło było cię zobaczyć - powiedział zdecydowanym tonem Ted. Toby wyglądał na urażonego. Cofnął się o kilka kroków i skrzyżował ręce, by podrapać się w strupy na łokciach.

- Nie przedstawisz mnie? - zapytała Elinor.

- Pani Mackey? - Toby zawinął miękkie palce buta, który był jakieś dwa rozmiary za duży.

- Tak. - Elinor uśmiechnęła się. - Jak masz na imię?

- Toby.

- Miło cię poznać, Toby. - Uścisnęła jego piegowatą dłoń i wyciągnęła paczkę drażetek M&M z orzeszkami.

- Mam alergię na orzechy - zamruczał Toby, jakby cukierki go obraziły. Kopnął puste krzesło, które z grzechotem przesunęło się po podłodze.

- Dziecko pacjenta? - Elinor uśmiechnęła się do Teda.

Ted odchrząknął.

- Czy twoja mama jest nową pielęgniarką w gabinecie? - zapytała Elinor Toby'ego.

- Zgadza się. - Toby spojrzał na Teda. - Moja mama jest pielęgniarką. Nie zna nawet tabliczki mnożenia.

- To syn Giny Ellison. No wiesz. - Ted znów zakaszał suchym bezproduktywnym kaszlem, zupełnie jakby miał w gardle liście. - Gina, trenerka w siłowni.

Elinor uśmiechnęła się sztywno do Toby'ego.

- Nie chodzimy już do tej siłowni.

- Tak, jest beznadziejna - zgodził się Toby. Pochylił się do przodu, a na jego twarzy malował się wyraz, jakby zaraz miał rozpocząć dziesięciminutową tyradę. - Dlatego wolę, gdy doktor Mackey zabiera mnie do księgarni.

- Ach tak? Do księgarni? - Elinor odwróciła się do Teda.

- Nie powiedziałeś mi, że ona ma dziecko - rzuciła przez zaciśnięte zęby.

- Nie wiedziałem. Dowiedziałem się niedawno. - Ted zniżył głos. Miał nadzieję, że Toby go nie słyszy.

- Niedawno? Jak bardzo niedawno?

- Kiedy byłeś w Ohio.

- A ty zabierałeś go do księgarni? - Elinor odwróciła się do Toby'ego z bezradnym wyrazem twarzy.

- Wygląda na to, że jest twoim wielkim fanem.

- Wpadłem na nich któregoś dnia. Potem poszliśmy razem z Tobym do centrum handlowego i pomogłem mu w zadaniach domowych. Raz. - Najlepiej jest mówić prawdę. Był to winien swojej żonie.

- Uczyliście się? Jeden raz? - Elinor spojrzała na chłopca.

- Pomagał mi w ułamkach - odparł z dumą Toby. - Napisałem test na osiemdziesiąt dwa procent!

- Zadanie domowe - powiedziała z niedowierzaniem Elinor.

- Tak, ale zapowiedziałem, że nie mogę mu już dłużej pomagać. Zgadza się, Toby? - Ścisnął chłopca za ramię.

Toby znów kopnął krzesło.

- Tak. A może mógłbyś mi pomagać u was w domu? - Spojrzał na Elinor. Zwracał się do niej, a w jego głosie zabrzmiało rozpaczliwe błaganie.

- Co takiego? - rzucił Ted. - Nie, Toby. - Zacisnął palce na jego ramieniu i odwrócił go od Elinor.

- Przepraszam. - Elinor wstała, zarzuciła torebkę na ramię i przecisnęła się obok nich, kierując się w stronę tylnych drzwi kręgielni. Kiedy mijała automaty do gry, zaczęła biec.

- Toby, musisz wrócić na swoje przyjęcie. - Ted położył dłoń na małych, ostro zarysowanych łopatkach chłopca i popchnął go lekko.

- Hej, Kiełek! Rusz tyłek, twoja kolej! - krzyknął jeden z chłopców. Toby odwrócił się od Teda i ruszył w przeciwnym kierunku w stronę szatni.

Ted odwrócił się na pięcie i pobiegł za Elinor ciemnym wąskim korytarzem. Pod jego stopami przesuwiał się czerwono-czarny dywan w szalony wzór z kul i kręgli.

- Buty! - krzyknął na niego głos z głośnika. - Nie wolno wychodzić w tych butach na zewnątrz!

Ted wypadł przez drzwi, uderzając się przy tym boleśnie w biodro. Elinor wsiadała już do samochodu.

- Co zamierzasz zrobić? - zawołał za nią. - Zostawić mnie tutaj?

Elinor opuściła szybę.

- Możesz wrócić do domu z gośćmi z przyjęcia.

Ted zdyszany dopadł do samochodu. Elinor odwróciła się do niego z płonącymi policzkami.

- Nie powiedziałeś mi, że ona ma dziecko.

- El, on wie, że jestem żonaty. - Ted oparł dłonie o drzwi samochodu, jakby próbował utrzymać go na miejscu. Na zewnątrz nadal było jasno. W powietrzu czuło się chłód, ale z asfaltu bił żar.

- Nie zdradzasz mnie więc z ośmiolatkiem? - Elinor włączyła silnik.

- On ma dziesięć lat. Jest mały jak na swój wiek. - Ted powiedział to obronnym tonem, choć wcale nie chciał, by tak to zabrzmiało.

- Jezu, Ted. - Elinor była raczej poirytowana niż wściekła. - Dobra. Zerwałeś z nim więc. Zerwałeś z dziesięcioletnim synem swojej byłej kochanki.

Ted kiwnął głową.

- Co się z nami, do cholery, dzieje? - krzyknęła Elinor w przestrzeń parkingu. Na jej szyi pojawiły się dwie pulsujące żyły. - Dlaczego tak utrudniamy sobie życie?!

- El, proszę...

- Co: proszę?

- Proszę, nie kłóćmy się. Powiedziałem ci już wszystko. To koniec, obiecuję ci. Wpadłem na nią, kiedy byłaś w Ohio, i raz pomogłem jej dziecku odrobić zadanie, bo ma problemy w szkole i jeszcze nie znaleźli korepetytora. To tyle. Skończone.

- Ile razy będzie się to jeszcze kończyć, Ted? - Zmarszczyła brwi, jakby koncentrowała się w wyjątkowo dużym ruchu ulicznym.

- Dobra. Wiem.

- To słodki dzieciak - powiedziała spokojnym głosem. Chwyciła kierownicę i zmrużyła oczy. - Zupełnie niepodobny do matki.

Pochyliła się i zaczęła się z czymś szarpać pod deską rozdzielczą. Kiedy znów pojawiła się w oknie, podała Tedowi buty do gry w kręgle.

- Poczekaj, muszę wrócić i zapłacić. - Kiedy Ted odwrócił się w stronę kręgielni, usłyszał, jak bieg przeskakuje na pozycję „drive”.

- Tak, oczywiście. Weź taksówkę, dobrze? - powiedziała lekko przepraszającym tonem i powoli ruszyła. - Wyprowadzam się z domu - zawołała przez ramię.

- Co? Nie możesz... Jak możemy być małżeństwem, kiedy ty wyprowadzasz się z domu i nawet nie nosisz obrączki?

Elinor zwolniła, odwróciła głowę i rzuciła mu spojrzenie, które oznaczało jedno: chyba nie mówisz poważnie.

- Posłuchaj, już nie będę więcej pomagał Toby'emu. I tak nie miałem takiego zamiaru. Ja... - Podniósł kamień i rzucił nim w ścianę kręgielni.

Elinor nacisnęła pedał gazu i spod tylnych kół posypał się żwir.

- Do zobaczenia w poradni? - zawołał Ted.

Elinor zahamowała tak gwałtownie, że zatrzymał ją pas bezpieczeństwa. Wychyliła się przez okno i pokręciła głową.

- Chyba nie. Muszę odpocząć od naszych randek. - Kiwnęła w stronę kręgielni. - Czy jak to chcesz do cholery nazwać. - Samochód znów ruszył.

Elinor wyjechała z parkingu, nawet nie spoglądając w lusterko wsteczne.

- Pozwól, że to ja się wyprowadzę! - krzyknął za nią Ted, przyciskając do piersi zakurzone buty.

W gardle czuł piekący smak keczupu i piwa. Powoli zapadał zmierzch.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Z mężczyznami, których kochała Gina, zawsze było coś nie tak: za dużo pili, tłukli przedmioty, wystawiali czeki bez pokrycia lub nie mogli utrzymać pracy. Ted był przedstawicielem nowej kategorii. Żonaty. Można to było spokojnie dopisać do listy nieodpowiednich cech.

Dlaczego nie mogła stracić głowy dla mężczyzny, jakiego powinna kochać? Na przykład dla Boba. Kiedy przespalili się pierwszy raz, powiedział, że ją kocha, i chciał zabrać Paryża. Chciał, żeby się do niego wprowadziła. Gina chodziła z nim nadal na kolacje i do kina, ale nie połączyła ich żadna chemia. Kiedy przyjeżdżał po nią, jego nerwowy entuzjazm sprawiał, że chciała wyskoczyć z samochodu. A na dodatek całował najgorzej na ziemi. Gdy do jej ust wsuwała się masa gąbczastego języka, który wydawał się nie mieć koniuszka, myślała tylko o tym, by napić się wody.

„Do diabła z chemią” - powiedziała jej przyjaciółka Donna. - „Bob jest partnerem w jednej z najlepszych firm prawniczych w Dolinie! Chemia pojawi się później”.

Gina miała nadzieję, że tak się stanie. Ale z doświadczenia wiedziała, że chemia nigdy nie pojawia się później, lecz znika zupełnie.

Chciała pojechać do Paryża. Chciała tulić się pod wieżą Eiffla. Z Tedem.

Czy była jedną z tych dysfunkcyjnych kobiet, które potrafią kochać tylko tych mężczyzn, którzy ich nie kochają?

Ale przecież Shane ją kochał i ona na początku też go kochała. Na pewno łączyła ich chemia. Zakochała się w nim w barze - z pewnością nie było to najlepsze miejsce - gdzie grał w zespole. Podczas gdy wokalista miotał się po scenie jak przyszła gwiazda MTV, Shane zamknął oczy i szarpał struny gitary basowej z powagą, która wzruszyła Ginę. Czarne włosy opadające w nieładzie na ramiona otaczały jego bladą twarz jak ramka. W prostych dżinsach i podkoszulku wyglądał na szczupłego i sprawnego. Kiedy wreszcie go poznała - tydzień później, pomiędzy występami - nie mogła uwierzyć w uderzający kontrast błękitnych oczu, kruczoczarnych włosów i jasnej cery. Seks z Shane'em był jednocześnie miły i intensywny. Był chyba najlepszym kochankiem, jakiego miała. Mimo że blisko czterdziestoletni, miał ciało studenta - szczupłe, lecz muskularne, z gładką piersią i kaloryferem zamiast brzucha, nad którym wcale nie musiał pracować. Był zbyt próżny, by ćwiczyć lub obsesyjnie planować dietę. Jego postrzępiona fryzura i styl ubierania się - dżinsy, podkoszulki i koszule flanelowe - przywoływały na myśl lata siedemdziesiąte ubiegłego wieku, co Gina początkowo uważała za urocze - jakby mógł ją ze sobą zabrać do łatwiejszych czasów.

Rankami zawsze robił dla niej śniadanie, śpiewając głupie piosenki przy smażeniu omletu z serem i smarowaniu grzanek dżemem. Mimo że był prawdziwym facetem - palił marlboro i na wewnętrznej kostce miał wytatuowanego węża - był wielkim domatorem. Jego matka zginęła w wypadku samochodowym, gdy miał szesnaście lat, a ojciec pracował na nocną zmianę, musiał się więc zająć czterema młodszymi siostra-

mi. Jako nastolatek nauczył się gotować, prać, a nawet prasować. Nie miał nic przeciwko odkurzaniu mieszkania Giny lub wygłupianiu się, żeby tylko ją rozśmieszyć.

Szybko jednak przekonała się, że problemem Shane'a jest alkohol. Za dużo pił, nie kładł się spać do zwariowanych godzin, za szybko jeździł, palił i przeklinał. Kiedy pił, jego nastrój przechodził przez kolejne fazy: od czulego przez figlarny, sarkastyczny, nachmurzony, aż po złość. Gdy ogarniała go wściekłość, był w nieustannym ruchu; chodził tam i z powrotem i ciskał gromy. Bynajmniej nie kierował swoich tyrad do Giny; zazwyczaj były to abstrakcyjne wywody na temat przemysłu muzycznego lub obojętnych klientów w barze. Jednakże jego gniew szalał jak pożar, który wymknął się spod kontroli, a jego przypadkowość sugerowała, że mógłby bez trudu zaatakować i ją.

Do tego wszystkiego dochodziła jeszcze zazdrość. Pewnego wieczoru Gina popełniła błąd i powiedziała mu o Tedzie. Było to, jeszcze zanim się z nim związała. Shane zapytał ją o pracę i kto jest jej ulubionym klientem. Dorastając z czterema siostrami, nie miał problemu, by rozmawiać o takich sprawach. Wyznała mu, że Ted jest jej bardzo wdzięczny za uwagi i pomysły, że jest bardzo spragniony pochwał i zachęty. Dziwiło ją to i bardzo cieszyło. Jego żona była ambitną prawniczką i wyglądało na to, że nie poświęca mu dość uwagi. Sprawiała wrażenie wściekle niezależnej i niczego nie potrzebowała (Gina skrycie podziwiała obie te cechy).

„Założę się, że ten facet cię kocha!” - powiedział oskarżycielsko Shane, uderzając pięściami w stół. Wypił już cztery piwa, a po każdej butelce coraz bardziej podnosił głos. Gina szybko zmieniła temat i zaczęła podkreślać, jak zaniedbany, gruby i stary jest Ted, a potem zaczęła wypytywać Shane'a o zespół.

Dwa kieliszki tequili później uderzył ją. W zasadzie nie było to uderzenie, a pchnięcie. Mimo to zabolalo i pozostawiło na jej ramieniu siniaka. Popełniła błąd, mówiąc, że nie można obwiniać ludzi siedzących w barze o to, że rozmawiają, gdy zespół gra. Ona sama gawędziła z jakimś facetem podczas ostatniego występu. Właśnie wtedy Shane popchnął ją na ścianę w kuchni. Kiedy stała do niej przygwożdżona, uwięziona przez jego wściekłość i śmierdzący piwem oddech, całe uczucie do niego wyparowało. W jednej chwili zrozumiała, że Shane byłby w stanie skrzywdzić ją i jej syna i bum - koniec. Chciała myśleć, że było to z jej strony bardzo racjonalne i szlachetne, ale nic z tych rzeczy. Po prostu zakochiwała się i odkochiwała w okamgnieniu. Nie zdarzało się to często, ale gdy już do tego dochodziło, wszystko odbywało się gwałtownie jak huk pioruna.

Tak właśnie było z Tedem. Pewnego ranka w klubie siedział po drugiej stronie jej biurka i opowiadał, jak poprzedniego dnia pomagał sąsiadowi szukać psa. Pies pobiegł na wzgórze za ich domami i Ted przez dwie godziny włóczył się po zaroślach i kłujących krzakach jeżyn, aż w końcu znaleźli psa na podwórku innego sąsiada, gdzie wyjadał jedzenie z kociej miski. Był cały pokryty rzepami i Ted musiał przeprowadzić drobny zabieg podiatryczny: obcinaczem do paznokci wyjął jeden z nich spomiędzy poduszeczek tego biedaka. Gina pochyliła się, by zawiązać but, słuchała, śmiała się, podziwiała dobroć Teda. Kiedy podniosła głowę, zaskoczyło ją, jak bardzo jest przystojny. Poczwała falę gorąca płynącą z piersi do twarzy. Cholera, kocham tego faceta. A niech to! Żonatego! Przez kilka tygodni starała się nie patrzeć mu

w oczy. Zauroczyła ją jego twarz. Szeroka irlandzka twarz z pełnymi ustami, które tak łatwo rozciągały się w uśmiechu. Głęboko osadzone brązowe oczy i miękkie koniuszki uszu, które prosiły się, by je skubać ustami.

Próbowała wyrzucić Teda z myśli. Mimo że zerwała z Shane'em, dzwoniła do niego i zachęcała, by chodził na spotkania AA. zaproponowała, że pójdzie razem z nim. Odparł, że nie chodzi się tam z matką. Wiedziała, że za tym sarkazmem kryje się whisky z colą. Zaraz potem Shane rzucił picie i wydzwaniał do niej co wieczór. Tęsknił za nią. Kochał ją. Pragnął jej. Potrzebował. Rozmawiali przez telefon całymi godzinami. Powiedziała wszystko, co przychodziło jej do głowy, by okazać mu pomoc i wsparcie. Znow razem sypiali i seks był namiętny, wolny i doskonały, ale ona go już nie kochała. (Czy jej serce kiedykolwiek skonsultuje się z nią w tych sprawach?)

Tymczasem dowiedziała się, że Ted ma problemy z żoną. Pewnego dnia podczas ćwiczeń zaproponowała, by wybierali się w weekendy w teren, bo ćwiczenia z partnerem są o wiele zabawniejsze.

„Podczas takiej wyprawy jesteście na świeżym powietrzu, rozmawiacie i nawet nie przyjdzie wam do głowy, że ćwiczycie” - powiedziała.

„Zakładasz, że moja żona chce ze mną zrobić cokolwiek” - odparł Ted.

Smutek i frustracja w jego głosie zaskoczyły Ginę. Próbowała ukryć przerażenie i odwróciła się, by zwiększyć obciążenie na bieżni.

„Czyż to nie jakaś prawidłowość?” - zapytała wesoło. - „Na początku myśli się, że wiele nas łączy, i zanim się człowiek zorientuje... Umawiałam się kiedyś z facetem, który twierdził, że uwielbia targi staroci, a kiedy sprawa zrobiła się poważna, nie chciał się ze mną spotykać”. - paplała bez sensu. Nie miała pojęcia, jakim cudem zawsze zdobywa się na wesołość. Ale taka była już w szkole podstawowej. Ładna, uśmiechnięta dziewczynka. Nie nadęta, lecz radosna. Pełna optymizmu. Tyle że nigdy wobec siebie, zawsze wobec innych. Dlatego została trenerką.

Ted zaczął biec, uśmiechając się do niej. Jego żona nie chciała nic z nim robić? Jak to, do cholery? Ona miałaby bzika na punkcie tego faceta. Zadrżała i udała, że boli ją głowa. Skróciła wspólną sesję, pozostawiając Teda, by sam się rozciągał.

Kiedy spali ze sobą po raz pierwszy, w jej domu, Ted całował ją tak szaleńczo (lekkie, ciepłe pocałunki na całym ciele), obejmował ją tak mocno i przeżył tak potężny orgazm, że mogła go tylko jeszcze bardziej pokochać.

A potem Barry, odnoszący sukcesy promotor koncertów, umówił się z nią przy stocie krewetek w Healthy Oats. Gina niezwłocznie się zgodziła, a niepokój związany z umawianiem się z obcym mężczyzną natychmiast ukoilo poczucie, że powinna zrobić wszystko, byle tylko jej serce zapomniało o żonatym Tedzie. Zmuszała każdą część swego ciała, by Barry jej się spodobał. Ale był... taki gładki. Mówił na nią „mała” i czuła się przy nim jak dziewczyna na pokaz - jak luksusowy dodatek podobny do jego roleksa czy jaguara. A jednak było to lepsze niż randki z Bobem, który obsypywał ją prezentami i zapraszał na wystawne kolacje, a ona wiedziała, że nie potrafi odwzajemnić jego uczuć.

Żaden mężczyzna nie podobał się jej tak bardzo jak Ted, który był przecież o wiele mniej atrakcyjny niż Shane. Miał przystojną twarz, ale jego ciało było porozbijane po latach grania w futbol i piłkę nożną. Jedna kostka była spuchnięta jak pomarańcza - pamiątka po złamaniu podczas meczu koszykówki. Kolana i golenie pokrywały mu czerwone blizny, wyglądające niemal jak oparzenia. Lubiła całować wszystkie te niedoskonałości. Potem przesuwiała językiem po wewnętrznej stronie jego ud, aż zaczynał drżeć. Nigdy nie kochała nikogo tak mocno i nienawidziła myśli, że wszystko wymyka się spod kontroli.

Jej klienci nie mieli dość siły woli, by zapanować nad apetytem i regularnie ćwiczyć. Gina nie miała jej, gdy przychodziło zapanować nad porywami serca. Batoniki? A kogo to obchodzi? Nie rozumiała, dlaczego ludzie tak wariują na punkcie jedzenia. Jedna klientka, która nawet nie była gruba, dręczyła się z powodu budyniu czekoladowego. „Zjadłam jedno opakowanie” - powiedziała do Giny zrozpaczona, jakby podpaliła budynek.

„Nie ma sprawy” - pocieszała ją Gina. - „Zapomnij o tym. Wsiadaj na rower i niech zadziałają endorfiny!”. Zjedz sałatkę, chciała powiedzieć, miskę truskawek, zjedz cokolwiek. Kogo to obchodzi? To tylko jedzenie. Weź się w garść. Lecz kiedy przychodziło do Teda, Gina nie potrafiła wziąć się w garść.

Była szalenie szczęśliwa na dwadzieścia cztery godziny przed spotkaniem z nim i w czasie, gdy byli razem, a kiedy się rozstawali, ogarniał ją porażający smutek. Wiedziała, że to niezdrowe. A jednak nie mogła przejść na dietę lub ćwiczyć, by pozbyć się z organizmu tej toksyny.

Walczyła z pragnieniem, by powiedzieć Tedowi, że go kocha. Była zbyt dumna, by powiedzieć to pierwsza. I prawdopodobnie jedyna. Nie, to nie to. Bała się, że kiedy tylko to wyzna, on ucieknie. Dla mężczyzn wyznanie „kocham cię” jest równoznaczne z „chcę czegoś od ciebie”. Zupełnie jakby chciało się pobrać od nich nerkę. Gina nic od Teda nie chciała. Nie chciała niczego i chciała wszystko. Nie chciała rozbijać jego małżeństwa. Chciała tylko codziennie z nim sypiać. Nie, wystarczyłoby co drugi dzień. Tak, zdecydowanie. W niektóre dni robili to dwa, a nawet trzy razy. Potem Ted wracał do domu do żony.

Kocham cię, kocham, kocham! chciała krzyknąć, gdy jedli na lunch sałatkę.

Minęły dwa miesiące i Ted nie powiedział, że ją kocha, bo tak nie mogło być. Był żonaty. Kochał swoją żonę. Był dobrym człowiekiem. A to oznaczało, że sypiając z nią, czuł się parszywie. Wiedziała o tym, bo wzdychał ciężko, gdy siedział na brzegu łóżka, zanim wziął prysznic i ubrał się przed powrotem do domu. A jednak nadal zapraszał ją na lunch, pokrywał jej twarz pocałunkami, jęczał „jesteś piękna”, gdy w nią wchodził. Pewnego razu odwróciła głowę, by nie zobaczył, że płacze.

Jak żona mogła go odrzucić?

„Nawet na mnie nie patrzy” - wyznał pewnego dnia, ćwicząc na stepperze. Był bardzo smutny. Smutny i ogarnięty wyrzutami sumienia z powodu sypiania z nią. Dlatego wiedziała, że musi z nim zerwać. Nigdy dotąd nie sypiała z żonatym mężczyzną. Przecież robią to tylko moralne bankrutki. Poza tym nie podobało się jej, że jest dla kogoś pieprzonym opakowaniem budyniu.

Telefon od ojca Toby'ego, który powiedział, że syn musi z nią zamieszkać, okazał się więc błogosławieństwem. Błogosławieństwem okazała się też konfrontacja, do której doprowadziła Elinor Mackey.

Zerwali ze sobą. Wcześniej czy później zapomni o Tedzie i zakocha się w odpowiednim mężczyźnie. (Wcześniej, poproszę!). Tymczasem zamierzała poświęcić uwagę wyłącznie synowi.

Dwa lata wcześniej Toby złamał jej serce, oświadczając, że chce mieszkać z tatą w Maine i tam chodzić do szkoły. Może powinna się była zorientować, że to nadciągą. Toby powoli zaczął się od niej oddalać. Nie chciał się już przytulać. W środku nocy nie przychodził przestraszony do jej pokoju i nie chciał, by razem śpiewali. Choć był już dużym chłopcem, nadal lubiła go przytulać - podnosić, kołysać w powietrzu i łaskotać, aż zaczynał błagać o litość.

„Nie mam miodu za uszami!” - krzyczał, gdy rzucała go na ziemię i odsuwała duże uszy, by całować miękką różową skórę.

„Ależ masz, właśnie tutaj!” - nie ustępowała.

Dotyk wytwarza kanały, przez które do naszych dzieci płynie poczucie bezpieczeństwa, przeczytała w jakimś artykule. Jednakże tuż po swoich ósmych urodzinach pewnego ranka w drodze do szkoły Toby oświadczył, że nie chce już, by go przytulała.

„Ależ oczywiście” - odparła Gina, próbując nie okazać, jak mocno ją zranił. - „Chodzi ci o pożegnanie przed szkołą”.

Toby wiercił się i drapał.

„W domu też” - rzucił, wyglądając przez okno.

„Dobrze, kochanie” - powiedziała. - „Miłego dnia!” - rzuciła wesoło za nim, gdy wysiadał z samochodu. Zacisnęła szczęki, by się nie rozplakać, i poczuła ból w uszach.

„Dziękuję” - powiedział niezwykłym dla niego uprzejmym, dorosłym tonem. Potem zatrzęsnał drzwiami i ruszył w stronę szkoły, nie machając jej na pożegnanie.

To musiało być normalne. Zwłaszcza u chłopców. Gina zanotowała sobie w pamięci, by trzymać czułość na wodzy, szczególnie w miejscach publicznych. Rozumiała, przez co przechodził jej syn; niełatwo jest mieć rozwiedzionych rodziców (choć tak naprawdę nigdy nie była żoną jego ojca). A jednak gdy wprowadził się do niej ponownie, nie była przygotowana na taką pogardę. Nie mogła się doczekać powrotu Toby'ego - wyprała pościel ze Spidermanem, ułożyła na jego biurku przybory szkolne, kupiła batoniki z muesli i jabłka na lunch. Kiedy Toby wysiadł z samolotu, wydał się jeszcze bardziej cudowny. Dla tych rzęs mogłaby umrzeć. W kontraście z piaskowymi włosami rzęsy Toby'ego były niemożliwie czarne, długie i podwinięte na końcach - zupełnie jak sztuczne! Skórę na jego opalonych rękach pokrywały jasne włoski, piegi i blizny. Kochała jego niezdarność. Nadal był małym chłopcem! Oparła się pragnieniu, by mocno go przytulić, i zamiast tego przesunęła żartobliwie palcami przez jego włosy.

„Mamo!” - powiedział poirytowany.

„Co takiego?” - odparła udając, że ta reakcja jej nie dobiła.

Od tamtego dnia nie była w stanie zrobić nic, co zadowoliłoby jej syna. W dodatku zdążyła zerwać z Tedem i nie widując go, czuła się tak, jakby ktoś umarł. Jeszcze nigdy nikt, z kim się spotykała na poważnie, nie zniknął z jej życia tak nagle. Jakoś udało się jej pozostawać w przyjaznych stosunkach ze

swoimi byłymi. Życie było zbyt krótkie, by żywić urazę. Ale cierpiała z tęsknoty za Tedem. Miała migreny, wymiotowała.

Pomysł, by Ted udzielał Toby'emu korepetycji, był szaleństwem. Ale Toby co wieczór wisiał na telefonie, błagając ojca, by mógł wrócić „do domu”. Do domu w zimnym Maine, żeby znów mieszkać ze swoją lodowatą macochą. Toby po raz pierwszy nie zadzwonił do ojca wieczorem po spotkaniu z Tedem. Zakochał się w nim tak szybko jak Gina.

„Naprawdę? Pomagałaś mu przygotować się do triathlonu?” - dopytywał w drodze do domu. - „Wiesz co? On chyba cię lubi. Mamo, on świata za tobą nie widzi! Dlaczego się z nim nie umawiasz?” - Był to jedyny raz, kiedy Toby wydawał się z niej dumny. Uświadomiła sobie, że zawsze pragnęła tego tak mocno jak jego miłości: żeby był z niej dumny. A przynajmniej, żeby się jej nie wstydził.

„Jest żonaty” - musiała wyznać. Przyszło jej to z trudem; z pewnością nie był to powód do dumy.

„Co takiego?” - spytał z niedowierzaniem Toby. Długo wyglądał przez okno. - „No to zawsze może się rozwieść”.

Co się do diabła działo? Pod wieloma względami Toby był taki dorosły.

„Dlaczego wciąż umawiasz się z tym popapranym idiotą Shane'em i z tym nieudacznikiem Barrym? Dlaczego nie możesz sobie znaleźć miłego faceta jak doktor Mackey?”

„Barry nie jest nieudacznikiem” - zaprotestowała słabo.

Toby przewrócił oczami i kopnął w deskę rozdzielczą.

„Powinnaś umawiać się z doktorem Mackeyem”.

„Umawiałam się z nim!” - krzyknęła, po dziesięciu dniach nieustającej pogardy syna tracąc w końcu panowanie nad sobą. - „Znalazłam go sobie. Umawiałam się z nim. Ale zerwaliśmy. On jest żonaty!” - Nigdy nie rozmawiaj ani nie spieraj się ze swoim dzieckiem, jakby było twoim rówieśnikiem, usłyszała słowa krytyki z poradnika dla rodziców. Zjechała na pobocze, by się opanować.

„Przepraszam, kochanie” - powiedziała. Głos jej drżał, gdy wyglądała spódnice. - „Wiem, że nie powinnam aż tyle mówić. Chciałam ci tylko wyjaśnić, dlaczego już nigdy nie spotkamy się z doktorem Mackeyem”.

Toby skinął głową. Potem zacmokał językiem jak zawsze, gdy się nad czymś zastanawiał.

W ciągu następnego tygodnia raz po raz rozwodził się nad tym, że Ted byłby najlepszym korepetytorem. W końcu, jak idiotka, Gina poddała się i poprosiła Teda o przysługę.

A teraz z jakiegoś niewyjaśnionego powodu, Bóg jeden wie dlaczego, bo przecież pogodził się z żoną, Ted postanowił, że będzie pomagał Toby'emu w lekcjach regularnie co tydzień, zamiast raz czy dwa, jak początkowo ustalili. Powiedział Ginie, żeby pozdejmowała ogłoszenia w college'u; nie było już potrzeby nikogo szukać. Mimo że nie sypiali razem, widywanie Teda przez krótki czas było dużo lepsze niż niewidywanie go wcale. Do diabła, była żalosna. Najgorsze było jednak to, że dwóch mężczyzn, których kochała najbardziej na świecie - Toby i Ted - w ogóle o nią nie dbało. Nienawidziła ich za to. Ze strony Toby'ego spotykała ją pogarda, a ze strony Teda litość. A przecież nie ma nic gorszego od litości. Widziała ją

w oczach Teda. Biedna Gina, nie dość, że Toba daje jej w kość, to jeszcze nie ma pojęcia o matematyce. To prawda, nie potrafiła robić działań na ułamkach. Nie była przecież prawnikiem korporacyjnym.

Wolałaby już chyba, żeby jej nienawidzono. Wolałaby być suką, z którą każdy musi się liczyć. A już na pewno chciałyby wrócić do szkoły średniej. Była kapitanem drużyny cheerleaderek i zwyciężyła w wyborach na najsympatyczniejszą uczennicę. Dzieci śmiały się z jej entuzjazmu.

„Wiesz, jak chłopaki nazywają cheerleaderki?” - pewnego dnia zapytała ją w szatni Amanda Cranson, unosząc brwi na widok krótkiej spódniczki Giny. - „Ekipa do pieprzenia”.

Gina próbowała znaleźć jakąś ostrą ripostę. Ale stała tylko zmieszana, nienawidząc swojego wesołego usposobienia.

„Nic o mnie nie wiesz” - powiedziała w końcu, sięgając drżącymi dłońmi po papierowy ręcznik. Amanda wychodziła już jednak z szatni prosto w morze rozkrzyczanych dzieciaków w holu, na których widok Gina poczuła ucisk w żołądku.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ted nie mógł znieść myśli o mieszkaniu w domu bez Elinor, przekonał ją więc, że to on powinien się wyprowadzić. Podpisał odnawianą co miesiąc umowę na wynajęcie umeblowanego mieszkania, żalując, że nie może jej odnawiać co tydzień. Albo co oddech. Chciał poprosić agenta, żeby go obudził, gdy żona już mu wybaczy i znów będzie mógł się wprowadzić do domu. Kiedy przestanie myśleć o seksie z Giną przez cały czas, nawet kiedy bada halluksy.

W domu spakował średnią walizkę, biografię Ulyssesa S. Granta, którą zamierzał przeczytać od zawsze, i pół kilo bekonu z szuflady w zamrażarce. Na widok bekonu Elinor uniosła brwi. Nie odzywali się do siebie.

Tapicerka mebli w saloniku wynajętego mieszkania miała tłustawy połysk, który sprawił, że Ted miał ochotę oglądać telewizję na stojąco. Do niedawna mieszkanie było wykorzystywane jako przejściowe lokum dla pracowników przenoszących się do Doliny w okresie jej rozkwitu. Teraz, gdy gospodarka trochę zwolniła, za obniżoną stawkę mogli się tam wprowadzać bankruci tacy jak Ted. Chcemy, byś z dala od domu czuł się tu jak w domu, głosiła leżąca przy telefonie broszura reklamowa. Jak w piekle z dala od piekła. Telewizor był przymocowany do ściany. Ted włożył bekon do lodówki, a butelkę wódki do zamrażarki. Niezła dieta. A przecież był lekarzem.

Mieszkanie pomalowano na ciemne, męczące kolory, co zdawało się najnowszym trendem. Gdy rozpakowywał walizkę, bordowe ściany przytłoczyły go. Krwistoczerwony odcień zdawał się wysysać światło nie tylko z pokoju, lecz również z powietrza. Ted poczuł, że ogarnia go klaustrofobia. Przeciągnął walizkę do nieco jaśniejszego, pomalowanego na beż z różowym odcieniem saloniku. Rozłożył kanapę i zapadł się na miękkim środku. Cienki materac owinał się wokół niego jak placek *taco*. Pościel pachniała lekko stęchlizną. Przypominał sobie, jak razem z Elinor malowali kuchnię i salonik. Wybrała bladożółty

kolor - ananasowy lód - bo miał jej zdaniem „przyciągać światło”. Kiedy patrzył, jak otwiera i miesza puszkę z farbą, poczuł wdzięczność, że jest żonaty.

Włączył telewizor i wyciszył faceta, który krzyczał coś o ciężarówkach. Przerzucając stos poczty zabranej z domu, znalazł list z towarzystwa ubezpieczeniowego:

Szanowny Panie Mackey!

W oparciu o przeprowadzone dochodzenie podjęliśmy decyzję w sprawie odpowiedzialności za wypadek, do którego doszło 12 sierpnia. Zgodnie z prawem stanu Kalifornia kierowca może zostać uznany za sprawcę wypadku, jeśli jego działania bądź ich brak stanowiły co najmniej 51% przyczyny wypadku. Nasze dochodzenie wykazało, że Theodore Mackey był w 100% odpowiedzialny za ten wypadek, gdyż nie wykazał się właściwą ostrożnością...

Elinor nalegała, by bez względu na decyzję towarzystwa i policji zgłosił się do sądu i oświadczył, że nie ponosi żadnej winy.

„Postaw na biurokratyczny bałagan” - powiedziała. - „Może się okazać, że gliny nie przyjdą, a ty się wywiniesz. Nie podniosą nam wtedy stawki ubezpieczenia”.

„Ale ja jestem winny”. Tedowi działało na nerwy, że biurokracja mogła zignorować ten fakt.

„To nie ma znaczenia” - upierała się. - „Przecież nie popełniasz krzywoprzysięstwa, twierdząc, że nie jesteś winny”.

Luki prawne. Ted westchnął i zamknął oczy. Kiedy je znów otworzył, dostrzegł robaka krocącego przez podłogę w kuchni. Karaluch? Ten leniwy dupek z agencji mógł mu znaleźć coś lepszego niż to obśkurne pudełko do butów. Idąc do kuchni, czuł pulsowanie krwi w uszach. Brązowy robak zamarł pod jego spojrzeniem. To jakiś gatunek żuka. Mimo to Ted chwycił leżącą na blacie książkę telefoniczną i unieszkodliwił go jednym ciosem.

- Pieprzony brud! - Walenie w podłogę książką telefoniczną przyniosło mu ulgę. W tym miejscu wydawało się jak najbardziej uzasadnione. Skulony na czworakach raz po raz uderzał w żuka, aż pozostała po nim tylko brązowa smuga.

- Hej! - rozległ się przytłumiony okrzyk z mieszkania poniżej. - Zamknij się!

- To ty się zamknij! - wrzasnął Ted. Uniósł książkę wysoko nad głowę i rąbnął nią w podłogę z całej siły. - Zamknij! Się! Do! Cholery! - Walił i krzyczał, aż zaczęło palić go w gardle, rozboleła głowa i ręce. Doświadczył jednego z tych rzadkich momentów, gdy ból jest bardzo miłym uczuciem.

Jedynym na co Ted czekał przez cały tydzień, było spotkanie z Giną i Tobym. Gina sprawiała wrażenie zadowolonej, że pomaga jej synowi, lecz trzymała się na dystans. Spotykała się teraz z promotorem koncertów, ewidentnie nadzianym facetem. Kiedy ostatni raz przyjechał po Toby'ego, widział, jak wyjeżdżają z parkingu jaguarem. Gina pomachała Tedowi, śmiejąc się z czegoś, co powiedział Richie Rich. Ted nie powiedział Ginie, że jest w separacji z Elinor. Martwił się, że to tylko skomplikuje jej życie. Wolał jej pomóc, przyczyniając się do tego, że ocena Toby'ego z matematyki podskoczy do co najmniej trzy plus.

Pewnej soboty w drodze do domu Giny dostrzegł sklep Toys'R'Us i wstąpił, by kupić prezent dla Toby'ego.

- Jakie gry lubią teraz dziesięcioletni chłopcy? - spytał nastoletniego sprzedawcę przy szklanej gablocie, w której zamknięte były gry komputerowe. Wyglądało na to, że dzieciak czekał cały dzień, by ktoś zadał mu takie pytanie.

- Na jaki odtwarzacz? - dopytywał się. - Xbox 360? - Chłopak z dwoma srebrnymi kółkami w uchu zacierał ręce z uciechy.

Ted nie miał pojęcia.

- PS2?

Ponowne wzruszenie ramion.

- Ma game boya. Jaka jest najbardziej coolerska gra na coś takiego? - Ted skrzywił się, wypowiadając słowo „coolerska”. Ależ z niego stary idiota. - Macie coś, gdzie jest dużo bitew?

Sprzedawca zareagował na jego pytanie pełną entuzjazmu listą za i przeciw. W końcu Ted wybrał grę, która jego zdaniem mogła okazać się dość krwawa dla Toby'ego, nie wprawiając przy tym Giny w przerażenie.

Przy kasie obejrzał kolekcję nieznanymi figurek (gdzie się podział Superman i Batman?), po czym kupił na dokładkę pudełko samochodzików.

- Au! Auuuuuuuuu! - Krzyk Toby'ego unosił się w powietrzu, gdy Ted szedł w stronę domku Giny, ściskając pod pachą pakunek ze sklepu z zabawkami. Zaczął biec. Toby wypadł z żywopłotu i skakał po podjeździe na jednej nodze. - Pszczoły! - wrzeszczał ze ściśniętą, czerwoną twarzą, a po jego piegowatych policzkach płynęły łzy. - Pszczoły!

- Wszystko w porządku, kolego - powiedział Ted, choć wcale nie był tego pewny.

Za Tobym wybiegła Gina ze strzykawką w dłoni. Na widok Teda odrzuciła głowę do tyłu.

- Dzięki Bogu! - Wyciągnęła strzykawkę w jego stronę. - On musi to dostać. - Drżały jej ręce. - Ma alergię.

Toby zatrzymał się, zamknął oczy i czekał na zastrzyk. Ted wziął strzykawkę i zobaczył, że pszczoła użądliła go nie tylko w stopę. Czerwone ślady widniały na całej nodze.

Serce zaczęło mu bić gwałtownie na myśl, że Toby może doznać wstrząsu anafilakrycznego.

- W porządku, kolego - powtórzył. - W porządku. - Zdjął zieloną zatyczkę ze strzykawki i szybko zrobił Toby'emu zastrzyk w udo. - To proste - zwrócił się do Giny.

- Można to zrobić nawet przez ubranie. - Elinor zawsze wychwalała go za umiejętność bezbolesnego robienia zastrzyków. Jak na ironię cała sztuczka polega na szybkim wbiciu igły, podobnie jak na zerwaniu plastra jednym pociągnięciem.

- Tata potrafi to robić. - Toby patrzył rozniewany na Ginę.

Ciało chłopca zwiotczało. Kiedy epinefryna zaczęła działać, pochylił się do przodu, unosząc na palcach.

- To boli! - krzyczał. Miał wyraźnie opuchnięty język i nie oddychał tak swobodnie, jak powinien.

- Och, kochanie - powiedziała Gina, wyciągając do niego rękę. - Wpadł na gniazdo pod tarasem - wyjaśniła Tedowi.

- Nie podchodź do mnie! - krzyknął na nią Toby. - Dlatego nienawidzę bawić się na dworze!

Gina cofnęła się kilka kroków w stronę domu i skuliła, obejmując w talii.

- Nic ci nie jest? - zapytał Ted.

Pokręciła głową.

- Skurcze żołądka.

- Posłuchaj, jedźmy na ostry dyżur. - Ted starał się mówić spokojnie, popychając równocześnie Toby'ego w stronę samochodu. - Może trzeba będzie ci zrobić jeszcze jeden zastrzyk, bo pszczoły użądliły cię wiele razy.

Toby zawahał się, więc Ted pochylił się i wziął go na ręce, podnosząc jednocześnie z trawy grę komputerową. Zdziwił się, jaki chłopiec jest lekki i długonogi - zupełnie jak pajak. Strupy na jego rękach ocierały mu się o skórę.

- Au, au, au. - Toby uderzał rytmicznie głową o pierś Teda.

Gina pobiegła za nimi.

- Wiem, kolego - powiedział Ted. - Wiem.

W szpitalu wszyscy uznali, że Ted jest mężem i ojcem.

- Ściśnij tatę za rękę - powiedział młody lekarz w izbie przyjęć, robiąc Toby'emu kolejny zastrzyk z epinefryny. Tatę. Słyszac to, Ted poczuł wyrzuty sumienia. Nie wyprowadził jednak lekarza z błędu. Nie zrobiła tego też Gina. Ani Toby. Paznokcie chłopca wbiły się w dłoń Teda, gdy epinefryna wypełniła jego kończyny.

Gina patrzyła na nich z wózka stojącego obok Toby'ego, trzymając między kolanami różowe wiaderko. Kiedy przyjechali na ostry dyżur, Hinduska, która rozcięła sobie rękę sekatorem, zaplamiła całą podłogę krwią przeciekającą przez prowizoryczny opatrunek ze ścierki. Ktoś powiedział: „Prawie widać ścięgna” i Gina niemal nie zemdlała. Tedowi jakoś udało się ją podtrzymać i jednocześnie przytrzymać Toby'ego, dopóki nie pojawiła się pielęgniarka z wózkiem dla Giny.

W oczach Toby'ego zapłonęła panika.

- Moje płuca!

- Oddychaj przez nos - powiedział lekarz. Nie mógł mieć więcej niż trzydzieści lat. Ted przysunął twarz do twarzy Toby'ego, zacisnął usta i wciągnął powietrze głęboko przez nos, by mu zademonstrować, jak powinien oddychać. Toby nie spuszczał z niego wzroku. Zaczęli oddychać razem. Kiedy po drżących policzkach chłopca popłynęły łzy, Ted poczuł nieodparte pragnienie, by go stamtąd zabrać, choć wiedział, że znajdują się w najbezpieczniejszym dla niego miejscu.

Kolejny zastrzyk sprawił, że Toby zaczął walić piętami w łóżko. Pielęgniarka przykryła go jeszcze jednym kocem. Chłopiec kręcił głową na boki i poruszając ustami, zaczął liczyć.

- Przez nos - przypomniał mu Ted.

Stanął za Tobym, gdy lekarz pochylił się nad chłopcem, by poświecić mu w oczy cieniutką latarką. Gina skuliła się nad wiaderkiem.

- Nie martw się, kochana - powiedziała do niej pielęgniarka.

- Koniec z zastrzykami - oświadczył lekarz, poklepując Toby'ego po nodze. - Będziemy cię teraz obserwować.

Jesteś bardzo dzielny, miał ochotę powiedzieć Ted, lecz przypomniał sobie, że ta uwaga złościła Elinor najbardziej.

„Jeśli jeszcze jeden z tych młodych stażystów powie mi, że jestem dzielna, uduszę go słuchawkami” - piekliła się. - „Powinni pytać pacjenta, jak się czuje, a nie mówić to za niego”.

- Jak się miewasz, kolego? - zapytał Ted.

Nogi Toby'ego już tylko lekko się trzęsły.

- Nienawidzę pszczoł.

Ted skinął głową.

- Jesteś bardzo odważny. - Lekarz poklepał Toby'ego po ramieniu. - Jaka jest twoja ulubiona dyscyplina sportu?

- Historia - powiedział rozkojarzony chłopiec, spoglądając na matkę.

- Ma bzika na punkcie historii - wyjaśnił Ted.

- No proszę. Wydaje mi się, że szybko będziesz mógł wrócić do książek. - Wychodząc z pokoju, rzucił Tedowi spojrzenie pt. „Musi pan być bardzo dumny z syna”. Ted pochylił się, by pocałować zmierzwione włosy chłopca. Zdziwił się, jak bardzo są miękkie. Toby patrzył w drugą stronę, a Gina nic nie zauważyła, więc pocałunek wydał się kradzioną przyjemnością.

- Kochanie, byłeś bardzo dzielny - powiedziała Gina w drodze do domu. - Jestem z ciebie dumna.

- Widzisz już, dlaczego nie lubię wychodzić z domu - rzucił ponuro Toby. - Dlaczego nie pozwalasz mi siedzieć w pokoju i czytać?

Gina zamknęła oczy.

- Wiesz - zaczął Ted - te głupie pszczoły mogły cię dopaść, gdy szedłeś do samochodu, żeby pojechać do centrum handlowego.

- I co z tego? - odparł Toby. - Mogłem umrzeć. - Strzelał oczami na prawo i lewo, obserwując mijającą scenę.

- Nigdy na to nie pozwolimy - powiedział Ted. Chciał natychmiast cofnąć liczbę mnogą i „nigdy”, bo to sugerowało stałość z jego strony.

Jechali w milczeniu. Wreszcie Toby odpiął pas i nachylił się, by porozmawiać z Tedem.

- Wiedziałeś, że Guillotin to facet?

- Ciągniesz mnie za włosy, kochanie. - Gina pochyliła głowę do przodu, by wyswobodzić z uścisku syna długie włosy.

- Przepraszam. - Toby położył drobną dłoń na zagłówku Teda. - Wiedziałaś, że był lekarzem, który wynalazł gilotynę? Doszedł do wniosku, że najszybciej można kogoś zabić, ścinając mu głowę.

- Auć - powiedział Ted.

- Tak. Ostrze ważyło czterdzieści dwa kilogramy. To więcej niż ja! - Toby opadł na swoje siedzenie.

- Toby, kochanie, dopiero co wyszliśmy ze szpitala.

- Gina chwyciła się za czoło. - Zapnij pas.

- Dobra. A wiedziałaś, że gilotyna miała kółka i w czasie rewolucji wozili ją po Paryżu? Tak zabili Ludwika XVI. I tę panią, Marię Antoninę. Wiesz, co jest napisane w mojej książce?

- Co takiego? - zapytał Ted.

- Że ona nigdy nie powiedziała: „Niech jedzą ciastka”.

- Toby był tym wyraźnie urażony. Zapiął pas.

- Naprawdę? - zapytał Ted. - Dobrze jest kwestionować fakty.

Gina pokręciła głową.

- Jakim cudem trafił mi się taki geniusz? - Nacisnęła guzik, by opuścić nieco szybę. Wiatr zwiewał jej włosy z policzków. Zamknęła oczy, wygięła plecy i uniosła twarz. Jej ciało tworzyło długi łuk, począwszy od brody, przez gardło, rowek między piersiami, brzuch, aż po brzeg długiej czerwonej spódnicy w batikowane wzory. Ted przełknął ślinę i odwrócił wzrok na drogę. W szpitalu zajął się wszystkim: Tobym, Giną, papierkami potrzebnymi do zwolnienia. W wypadku Elinor nie mógł zrobić nic, by pomóc, a przy Tobym i Ginie wystarczyło, jeśli się tylko pokazał. Potrzebowali go. Czy to takie dziwne, że był za to wdzięczny? A do diabła, ten facet od jaguara też pewnie potrafiłby wszystko załatwić. Musiałby tylko wypisać czek.

- Stew's Steak Shack! - krzyknął Toby na widok restauracji. Przestraszył Ginę.

- Możemy się zatrzymać?

- Nie. - Gina zmarszczyła brwi.

- Proszę?

- Proszę? - powtórzył jak echo dziecinnym tonem Ted, próbując być zabawny.

Gina uśmiechnęła się.

- Czemu nie? - powiedziała w końcu. - Stek nie jest wcale zły.

Usiedli we trójkę w okrągłym boksie, Toby w środku. Ted i Toby zamówili hamburgery. Gina zachęcała Teda, by zamówił swojego bez bułki.

- Tak świetnie sobie radzisz - powiedziała. Ted wyprostował plecy i wciągnął brzuch.

- Na deser możesz zjeść ciasto truskawkowe bez ciasta - dodała. Mówiła spokojnie, bez cienia stanowczości w głosie. Ted lubił, gdy tak się z nim cackała.

Kiedy jedli, po liściach lodowej sałaty spłynął keczup, plamiąc koniuszki palców Teda. Chwył się za nadgarstek, pomachał ręką przed nosem Toby'ego i skrzywił się.

- Łeeeeee - jęczał, naśladując ofiary rodem z filmów klasy B. Keczap kapał jak sztuczna krew.

Toby wybuchnął śmiechem.

- Super! Zupełnie jak ta babka, która zraniła się sekatorem! - Podskoczył na kanapie, a oni razem z nim.

Gina westchnęła i uśmiechnęła się do syna. Jej oczy lśniły.

- Hej, nic się nie nauczyliśmy! - powiedział nagle Toby.

- W przyszłą sobotę - odparł Ted. - Przyjadę i ci pomogę.

- Ale we czwartek mam test. - Zaniepokojony Toby wstał z miejsca.

- Dobra - powiedział Ted. - Będę we środę o piątej.

- Pokażesz mi, jak się robi zastrzyki? - zapytała Gina. Toby przewrócił oczami.

- Mamo, to jest takie proste.

Zjedli stek, hamburgery, sałatki i zamówili ciasto z truskawkami. Kiedy restauracja powoli zappełniała się rodzinami, które przychodziły na kolację, Ted uświadomił sobie nagle, że jest szczęśliwy.

Kiedy Toby wziął już prysznic i położył się do łóżka, Ted wyjął samochodziki - ułożone w przegródkach jak w wielkim pudełku czekoladek - i położył mu je na kolanach. Toby wydał usta.

- To zabawki dla pierwszaków - powiedział, odsuwając pudełko na kółdrze.

- Toby! - skarciła go Gina.

- Przepraszam. - Opadł na poduszki.

- Popatrz. - Ted wyjął zza pleców grę. Toby natychmiast usiadł.

- Nooooo! Ale chciałem taką mieć! - Uderzył pięściami w kółdrę, a potem przybił Tedowi piątkę. -

Dziękuję!

Ted spojrział na opartą o framugę Ginę. Na jej twarzy widniało coś pomiędzy skrzywieniem a uśmiechem. Powinien był ją najpierw zapytać o tę grę. Nieustannie walczyła z Tobym, by mniej siedział przed ekranem - poświęcał całe godziny na gry i oglądanie telewizji.

- Możesz w nią grać, dopiero kiedy skończysz odrabiać lekcje - powiedziała.

- Dobra - zgodził się Toby, rozrywając folię.

Gina uśmiechnęła się słabo. Ted poklepał Toby'ego po głowie i wyszedł z pokoju, by dać im trochę prywatności.

Stanął w holu przy drzwiach wejściowych i zadzwonił kluczykami w kieszeni, w nadziei że zostanie to odebrane jako zamiar jak najszybszego wyjścia. Prawda wyglądała jednak tak, że nie miał ochoty wracać do ponurego mieszkania.

- Herbaty? - zapytała Gina, zamykając drzwi do pokoju Toby'ego.

Ted wypuścił kluczyki z dłoni.

- Chętnie.

Siedzieli na dwóch końcach kanapy i popijali miętową herbatę.

Gina wpatrywała się w pusty kominek, jakby naprawdę płonął tam ogień.

- Czy Elinor wie, że pomagasz Toby'emu w lekcjach?

- Nie. - Gorący brzeg kubka parzył go w usta.

- Ted, nie możesz jej okłamywać. - Stanowczym ruchem Gina postawiła kubek na szklanym blacie stolika. Nagły hałas przestraszył Teda. - Zatajenie to też kłamstwo.

- Wyprowadziłem się. - Zaczął sznurować but, by zyskać na czasie.

Dlaczego nie potrafił rozmawiać z kobietami?

Gina wpatrywała się w swoje stopy oparte o brzeg stolika.

- Próbujecie się pogodzić? Chodźcie do poradni?

- Nie. Już nie. Nie chce tam ze mną chodzić.

Gina opuściła ramiona.

- Czy Toby wie?

- O czym?

- Że nie mieszkasz z Elinor?

- Nie.

- To dobrze. Nie mów mu, proszę. - Westchnęła i skrzyżowała nogi, by usiąść w pozycji kwiatu lotosu. - Nie chcę, by robił sobie nadzieje na... cokolwiek.

- Dobrze.

- Przepraszam za tę grę - powiedział po długiej chwili milczenia Ted. - Powinienem być najpierw cię zapytać.

Kiwnęła głową.

- Staram się, by mniej siedział przed ekranem.

- Wiesz, niektóre dzieci nie palą się do uprawiania sportów i zabawy na świeżym powietrzu. Kiedy grałem w futbol w szkole średniej, widziałem, jak rodzice namawiają dzieci, żeby były lepszymi sportowcami. Może nie powinnaś zmuszać Toby'ego, żeby wychodził...

- Dziękuję za rodzicielskie rady, doktorze Mackey. - Ted jeszcze nigdy nie słyszał takiego sarkazmu u Giny. - Może nie potrzebuje mi pan mówić, że jestem beznadziejną matką. Może już to wiem.

- Gino, nie. O mój Boże. - Ted przysunął się do niej na kanapie. - Jesteś wspaniałą matką. Przepraszam. Wtykam nos w nie swoje sprawy.

Gina odsunęła się.

- Ludzie, którzy nie mają dzieci, zawsze sądzą, że poradziliby sobie z wychowaniem lepiej od tych, którzy je mają. Gdyby to było moje dziecko, ple, ple, ple.

- Nie chciałem cię pouczać.

- Oczywiście, ty i Elinor bylibyście wspaniałymi rodzicami. To dopiero ironia losu, prawda? Wykształceni ludzie mający rewelacyjne posady nie mogą mieć dzieci, podczas gdy my, okropni degeneraci, mnożymy się jak króliki. Dlaczego ludzie tacy jak ja w ogóle mają dzieci? - Odwróciła się do Teda, odgarniając opadające na oczy włosy. - Bo je mamy, dlatego! Zaszłam w ciążę, to był przypadek, ale urodziłam

dziecko. Nie miałam żadnego planu jak jakiś yuppie. Nie czekałam, aż dziecko wpasuje się w moje życiowe plany. Kiedy wy wybieraliście ogrzewanie podłogowe, ja rodziłam dziecko. A teraz mnie ochrzaniaasz, bo nie jestem idealna.

- Ja... - zająknął się. Nie chciał wyjść na dupka samochwałę, ale ona też mogła potraktować go łagodniej. - Gino, przepraszam. Wcale nie o to mi chodziło. Chyba tylko myślałem na głos. Naprawdę. Uświadomiłem sobie, że Toby'emu nie jest łatwo, gdy nie dorównuje ci w sporcie. Jesteś wspianiałą matką.

- Nie, nie jestem. - Zaczęła masować sobie skronie.

- Może jestem durniem... - przysunął się bliżej do niej, ujął jej dłoń w swoją i zaczął ją masować, pocierając po kolei każdy ze smukłych palców - ale nie mam ogrzewania podłogowego. - Szturchnął ją lekko, próbując zmusić do śmiechu.

Gina sięgnęła po chusteczkę.

- Jedna z moich klientek ma. - Cicho wydmuchała nos. - Ona też poddawała się terapii in vitro.

- Przepraszam - powtórzył Ted.

Gina odwróciła jego rękę i przesunęła palcami po wewnętrznej stronie łokcia. Ted poczuł, jak przez całe jego ciało przebiegł rozkoszny dreszcz. Kiedy się odprężył, poczuł, że zapada się w skórzane poduchy kanapy. Wyciągnął rękę i chwycił Ginę za ramię niezręcznym gestem - zupełnie jakby próbował wysiąść z łodzi. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że kiedy on próbował ją rozbawić, ona stawiała go do pionu. Robiła to już od miesięcy. Wyciągała go z żalostnej otchłani pogardy dla samego siebie i czarnej rozpacz. A teraz przez niego uznała, że jest złą matką.

Zamknęła oczy.

- Nie jesteś durniem. Życie byłoby o wiele łatwiejsze, gdybyś był.

Wylądowali w garderobie w sypialni Giny, bo tam jeszcze jedne zamknięte drzwi oddzielały ich od pokoju Toby'ego. Ted położył ją na wznak, odsuwając na bok pary adidasów i zwijając jej pod głową bluzę od dresu. Jednym mocnym szarpnięciem rozwiązał pasek jej kopertowej spódnicy. Potem przesunął dłońmi po gładkim wnętrzu ud. Zsunął z niej bieliznę i rzucił ją za ramię, co doprowadziło ją do śmiechu. Potem wsunął się w nią, kryjąc twarz w jej włosach i wdychając zapach jej perfum China Rain. Gładziła go po plecach, a ten dotyk był bardziej czuły i terapeutyczny niż ich wcześniejsze szalone zbliżenia. Podniósł głowę, by na nią spojrzeć. Jej twarz oświetlało żółte światło wpadające przez szpary w drzwiach. Zielone oczy były na wpół przymknięte. Kiedy znów ukrył twarz w jej włosach, pogarda dla samego siebie ustąpiła miejsca żarowi i ekstazie.

Kiedy późno wieczorem jechał do domu, ulice lśniły od lekkiego deszczu. Jechał bardzo powoli, bojąc się powrotu do obskurnego mieszkania. Choć nie był religijny, nagle poczuł pragnienie modlitwy. Nie był jednak pewny, o co chce się modlić. Szanował religie innych, lecz nigdy nie wybrał żadnej dla siebie. Zabawne, ale podczas podróży po Europie razem z Elinor niemal codziennie zwiedzali kościoły i katedry. Oboje uwielbiali ich architekturę, przepych i muzykę, głębokie akordy organów dudniące im w ciele.

- My, poganie, nie możemy się dość nasycić tymi katedrami - śmiała się Elinor.

Tęsknił za nią. Jak mógł tak bardzo pragnąć Giny i tęsknić za żoną? Jego stopa zawisała pomiędzy pedałami gazu i hamulca. Nie jechał, nie zatrzymywał się ani nie zjechał na pobocze. Dryfował.

Nagle w lusterku wstecznym pojawiły się migoczące czerwone i niebieskie światła. Wóz policyjny. Oczywiście. Pewnie wyglądało, że jest pijany. Zatrzymał się. Gliniarz zaświecił latarką w okno od strony pasażera.

- Coś się stało?

- Nie.

- Jechał pan zbyt blisko ścieżki rowerowej.

- Mam dużo na głowie. Postaram się lepiej skoncentrować. - Jechał zbyt blisko ścieżki rowerowej. Bardzo chciałby się do niej zbliżyć jeszcze bardziej. Objąć. Wysiąść z samochodu i zwinąć w kłębek na ulicy tuż przy białej linii.

- Pił pan?

Ted pokręcił głową.

- Przez ostatnie trzy godziny wyłącznie herbatę.

- Proszę wysiąść z samochodu.

Ted wysiadł i posłusznie wykonał test na trzeźwość - liczył do tyłu od stu, potem po kolei przykładał palce do kciuka. Kiedy demonstrował, że bez trudu może iść po linii prostej, przejechał jakiś samochód i zatrzymał się na światłach. Przez zalaną deszczem szybę Ted rozpoznał swojego pacjenta Rolfa Anderssona, starego Szweda, który miał problemy ze zgrubieniami na stopach. Andersson wypowiedział bezgłośnie jego nazwisko, po czym odwrócił wzrok.

Jeśli zamierzasz przeżywać kryzys wieku średniego, powinieneś robić to w wielkim stylu. Kupić sobie dodge'a vipera, chodzić do solarium. Z pewnością nie powinieneś wykonywać testu na trzeźwość w deszczu, marząc tylko o tym, by po wypiciu litrów ziołowej herbaty iść wreszcie do łazienki. A już na pewno nie powinien cię zauważyć twój pacjent i odwrócić głowy ze wstydem.

- W porządku - powiedział surowym tonem gliniarz. - Może pan jechać.

Ted wsiadł do samochodu i zapiął pas. Funkcjonariusz poklepał drzwi.

- Ale proszę patrzeć na drogę. Zdziwiłby się pan, ile wypadków powoduje brak koncentracji u kierowców.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Hermione nie planowała rozciąć sobie nadgarstków na przyjęciu z okazji narodzin dziecka. Ale przytłoczył ją nieoczekiwany splot różnych okoliczności: crescendo fletów na płycie z koncertem Vivaldiego, malinowy sorbet tworzący bąbelki w wazie do ponczu, tarta ze sznureczkami sera, które zwisały jak gumki z ust jednej z kobiet, okrzyki „Aaaaaach!” i „Jakie słodkie!” odbijające się echem w salonie, gdy jeden po drugim otwierano prezenty. Kiedy kobiety otoczyły kręgiem jednorazowe pieluchy i torby, Hermione stała przy bufecie i rozcinała sobie nadgarstek srebrną łąpatką do ciasta. Oczywiście łąpatka nie była dość ostra, by spowodować poważne obrażenia. Może powinna się przebić widelczykiem do ciasta. Albo rzucić się twarzą do wazy. Lub przestać chodzić na takie przyjęcia. Tak, zdecydowanie powinna dać sobie z tym spokój. Od tej pory będzie tylko wysyłać prezenty i kartki. A prezenty będzie zamawiać przez Internet, żeby oszczędzić sobie wizyt w Toys'R'Us lub Baby Gap. Przyjaciółki nie potrzebowały jej na tych przyjęciach; stała z oczami pełnymi łez, a jej smutek powoli wypełniał cały pokój.

- Co piszesz?

Elinor podniosła wzrok znad notatnika i zobaczyła nad sobą Kat. Stała w cieniu dębu, opierając dłonie na kolanach, zdyszana i skrzywiona po porannym biegu.

- Otworzyłam wczorajszą pocztę i okazało się, że dostałam zaproszenie na przyjęcie z okazji narodzin dziecka. Piszę odpowiedź. - Elinor zamknęła kolonotatnik. Postanowiła, że kiedy wróci do domu, zadzwoni do gospodyni z przeprosinami, że nie będzie mogła przyjść.

- Te przyjęcia to prawdziwy koszmar. - Kat opadła na koc i naląła sobie kawy z dzbanka. Jej długie nogi były opalone od biegania i pływania. Elinor zawsze podziwiała to, że przyjaciółka jest tak bardzo wysportowana i ładna w zwyczajny sposób: miała drobne rysy i krótko jak u chłopaka obcięte włosy.

- Czy już nikt nie kładzie się na ziemi i nie patrzy w niebo? - spytała Elinor, przeciągając się. Głowę oparła na zwiniętym w kulkę dresie. Po niebie, niczym na pasie transmisyjnym, płynęły poszarpane białe chmury, zbijając się w kłęby i pasma.

- Piękna z ciebie ozdoba trawnika. - Kat była chyba najmiłszą ze wszystkich przyjaciółek, jakie kiedykolwiek miała. Sąsiadce zupełnie odbiło i rozłożyła się obozem pod drzewem, a ona nie mówi jej, że zwariowała, tylko po prostu siada obok. Spotykały się pod tym drzewem co rano, kiedy Kat odwiozła już dzieci do szkoły. Jeśli padał deszcz, rozmawiały przez telefon, stojąc przy oknach w jadalni. W ten sposób mogły korzystać z dodatkowych pomocy wizualnych („Myślisz, że ten płaszcz pasuje do tej sukienki? Czeka, odwróć się”). Kat nazywała to wideokonferencjami przez okno w jadalni.

- Ja tylko sobie leżę, a cała okolica uważa, że miałam wylew - powiedziała Elinor, podziwiając koronkowy wzór z zielonych liści na tle niebieskiego nieba.

- Trzeba jakoś nazwać to drzewo. - Kat spojrzała na gałęzie, mrużąc oczy. - Może Stella.

- Wydaje mi się, że to facet.

- Drzewny facet?

- Warren - postanowiła Elinor, wyciągając rękę, by dotknąć nierównej szarej kory. Kiedy natrafiła na mech, skrzeszył się jej w palcach.

- Warren - powtórzyła Kat. - Twój nowy facet?

- Jest stale przy mnie.

- Moja przyjaciółka Elinor umawia się z drzewem - oświadczyła Kat.

Elinor uderzyła pięścią w miękką trawę.

- Ted umawia się z dziesięciolatkiem? Świetnie. Ja umawiam się z drzewem.

- To bardzo małowmne drzewo. Silny, milczący typ.

- Zgadza się. Nie musimy o wszystkim gadać. Nie musimy przeprowadzać sekcji naszej znajomości, jakby była żabą na lekcji biologii.

Kat westchnęła.

- Bardzo chcę cię wspierać, ale smutno mi, że się poddaliście. Jestem pewna, że Ted nadal bardzo cię kocha.

Elinor usiadła za szybko i zakręciło się jej w głowie.

- Gdy przestajesz próbować wszystko naprawić, ogarnia cię wielka ulga. Czuję się, jakbym przestała walić głową w mur.

Kat skinęła, lecz nic nie powiedziała. Już miała się oprzeć plecami o pień, kiedy Elinor dostrzegła strumyczek soku w kolorze melasy płynący wzdłuż rowków kory.

- Uważaj. Co to takiego?

Pochyliły się, by lepiej przyjrzeć się paskudztwu. Obok strumyczka maszerował rząd brązowych żuków. Elinor chwyciła kamień i zaczęła je rozgniatać.

- Żeby to tylko nie były szkodniki!

Kat zerwała but i pomagała jej rozgniatać owady, które rozbiegły się we wszystkich kierunkach.

- Do południa muszę upiec i udekorować trzydzieści babeczek - powiedziała, waląc butem coraz mocniej.

- A supermarket?

- Powinam je upiec sama. - Rzuciła but na trawę.

- A kto tak mówi? - Elinor cisnęła kamień obok buta i odwróciła się od żuków.

- Mamusina policja. Jeśli pracujesz na pełnym etacie, możesz kupować babeczki w supermarkecie. Ale jeśli siedzisz w domu, masz je piec i dekorować sama. - Kat położyła się na wznak, stawiając ostrożnie na brzuchu kubek z kawą. - Oczywiście niektóre matki i pracują, i pieką. W przeciwieństwie do mnie potrafią odróżnić mąkę tortową od zwykłej.

- Jeśli rozbiłabyś im głowy, zobaczyłabyś w środku kable - powiedziała Elinor. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że wraca ze szpitala z noworodkiem, nie mówiąc już o tym, że ma dziecko chodzące do szkoły i piecze dla niego babeczki. Cisnęła jeszcze jeden kamień, tym razem tak mocno, że aż zabolęła ją ręka.

- Gina na pewno upiekłaby babeczki z niczego. - Na koc weszła mrówka. Rozgniotła ją kciukiem. - Albo z pełnoziarnistej mąki z siemieniem.

- Dzieci tylko by się pochorowały. - Kat zmarszczyła brwi. - Hej, wydaje mi się, że teraz właśnie walisz głową w mur.

Elinor uderzyła czołem w pień dębu. Bum, bum, bum. Auć, auć, auć. Kora skaleczyła jej czoło. Potarła bolące miejsce.

- Nie mogę przez minutę się powściąkać?

- Jasne, że możesz.

Podczas sesji w poradni, w obecności Teda i terapeutki, Elinor powstrzymywała się przed krytykowaniem Giny. Nie chciała okazać palącej ją zazdrości, która była taka nietwarzowa. Chciała być ponad to. Opanowana. Z klasą.

- Ona chyba jest buddystką. Próbowала namówić mnie do przeczytania książki o buddyzmie, która miała być pierwszym krokiem w „odchodzeniu od jedzenia”.

Kat zmarszczyła nos.

- To także typ uroczej hipiski. - Elinor mówiła coraz szybciej. Uklęła, unosząc palec w niebo. - Tak jest. Pieprzone namasté i te sprawy. Ma bzika na punkcie zdrowego trybu życia, ale pali trawkę...

- Naprawdę?

- Kiedy zapytałam Teda, jak się to wszystko zaczęło, powiedział, że to właśnie ziele doprowadziło ich po raz pierwszy do łóżka. A co doprowadziło ich do palenia ziele? Jestem bardzo ciekawa. Idziesz do osobistego trenera, żeby się naćpać? - Elinor zawiesiła głos. - Hm, w zasadzie to by nie było takie złe. - Usiadła na piętach. - W zasadzie. Zatem jest buddystką, ale sypia z żonatymi mężczyznami. Nienawidzę tych niedoszłych hipisek w drugim pokoleniu. Ona nie jest dość stara, żeby być hipiską! Buddyzm, trawka i niewierność. Co za hipokrytka. Hipokrytka!

- Och, El. - Kat zanosła się od śmiechu. - Widzisz? To właśnie Ted w tobie uwielbia.

- Może tak tłumaczyła sobie pieprzenie się z moim mężem. Nie ma żadnych zobowiązań, nie pozostaje w żadnym związku. Ani z ciasteczkami z kremem, ani z żonatymi klientami.

Elinor przyciągnęła kolana do piersi i zwinęła się w kłębek. Odwróciła głowę, by oprzeć skroń na szorstkim wojskowym kocu.

- Ja byłabym okropną buddystką. Przywiązuję się do wszystkiego. Nawet do tego drzewa.

Elinor poczuła, że Kat gładzi ją po kolanach. Miała palce lepkie od soku.

- Wiesz, czego ci trzeba? Wyprawy do spa! Elinor usiadła i wyjęła liść z włosów.

- Nienawidzę spa. Tych rozszepowanych ociekających wodą paniuś. Leżenia w ciemności i słuchania głupiej muzyki New Age z elektronicznymi mewami. - Zebrała na tackę kubki po kawie i łyżeczki. - Zauważyłaś, że ta muzyka nigdy do niczego nie zmierza? Nie ma początku, środka ani końca. To muzyczny odpowiednik niepościelonego łóżka. Doprowadza mnie do szału.

- Ale gorące kamienie...

- I zawsze próbują ci wcisnąć przy wyjściu te cholernie drogie kremy. Osiemdziesiąt dolarów za uncję peelingu do twarzy ze spermy australijskich kangurów. Sprzedaż zawsze jest połączona z delikatnym odwoływaniem się do poczucia twojej wartości. „Och! Mogłabyś być śliczna, gdybyś tylko kupiła ten nieprzyzwoicie drogi olejek z węża. Peeling z soli”. Nie, dziękuję. To jak wcieranie soli w rany.

Na twarzy Kat malował się wyraz oscylujący pomiędzy frustracją i urazą.

Elinor ścisnęła ją za rękę.

- Och, przepraszam. Widzisz teraz, czego mój mąż we mnie nie uwielbia? - Podniosła tacę i wstała.

- Chodź, napijemy się piwa i zagramy w bilard. Ja stawiam.

- Zgoda.

- A babeczki? - Elinor była tak pochłonięta sama sobą, że zapomniała o obowiązkach Kat.

Kat rozgniotła dłonią żuka spacerującego po kocu.

- Supermarket.

Bez względu na porę dnia we wnętrzu tawerny Raya i Eddiego panował idealny półmrok, w którym wszyscy wyglądali młodo. Wieczorami w barze tłoczyli się budowlańcy, którzy rozbierali domy w stylu rancza, by zastąpić je minirezydencjami w stylu hiszpańskiej hacjendy. Od czasu do czasu po wyprawie do miasta Elinor, Ted, Kat i jej mąż zatrzymywali się tam na drinka przed snem. Zazwyczaj byli elegancko ubrani na wyjście do modnej restauracji lub filharmonii, lecz Elinor zawsze czuła się tu jak w domu, bo zwyczajność tego miejsca była równie kojąca jak wielka flanelowa piżama.

Teraz w środku było tylko kilku studentów z pobliskiego college'u - grali w rzutki i pili piwo za dolara z plastikowych kubków. Elinor i Kat usiadły przy barze i zamówiły po kieliszku tequili z piwem na popitkę. Kiedy Elinor wypiła tequilę, poczuła żar w brzuchu i palący smak cytryny na wargach. Przeciągnęła przez głowę bluzę od dresu, by się ochłodzić. W jedwabnej halce było jej znacznie wygodniej. Technicznie rzecz biorąc, została w bieliźnie. Nie miała jednak pewności. Przez tak długi czas nosiła ubrania odpowiednie do biura, że zebranie garderoby na urlop sprawiło jej problem. Wiedziała tylko, że już nigdy nie włoży ciuchów marki Dockers. Barman spojrział ukradkiem na jej pierś. Elinor opuściła głowę i dostrzegła, że halka opada głęboko w środku dekoltu. Przez jedwab widać było sutki. A, do diabła. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz czuła się seksownie.

- El - szepnęła Kat, zakrywając usta wierzchem dłoni. - Jesteś pewna, że to się nosi bez koszuli na wierzchu?

Elinor wypiła jeszcze jeden kieliszek, krzywiąc się i wciągając powietrze przez zaciśnięte zęby.

- Chyba tak. Nie wiem. - Tequila wypaliła jej niepokój i obawy. Zamówiła trzeci kieliszek.

- To halka, czyli bielizna.

- A kogo to obchodzi? - Elinor popijała piwo, a bąbelki łaskotały ją w podniebienie. Picie było niebezpiecznie przyjemne. Odwróciła się do Kat. - Wiesz, jakie to szczęście, że mamy piersi? Że nie mamy raka? - Wspólna przyjaciółka Elinor i Kat zmarła zeszłej wiosny na raka piersi. Ich sąsiadka, Joanna Fried, właśnie zaczęła chemioterapię.

Kat kiwnęła głową, oderwała naklejkę z piwa i ułożyła ją na barze.

- Mamy szczęście pod wieloma względami. Świątujemy je więc, pijąc tequilę w samej tylko bieliznie?

- Chyba tak. - Elinor odchyliła głowę i spojrzała przez grube dno kieliszka. - Tequila to jest to. Nienawidzę cosmopolitanów. Czy mogę tak to ująć?

- Możesz. Ale jesteś pewna, że dobrze się czujesz? Przypominasz Thelmę i Luizę w jednym ciele.

Elinor beknęła, a w jej gardle zaczęło coś bulgotać.

- Zaraz wracam.

Zsunęła się ze stołka i ruszyła bosą przez starą drewnianą podłogę do łazienki. Do stóp przyklejały się jej łupki po fistaszkach i kurz. Starła się, by chwiejny krok po nadmiarze tequili wyglądał na zamierzony, w sam raz do rytmu piosenki The Steppenwolf dobiegającej z szafy grającej.

Dwóch studentów grających w bilard podniosło na nią z uśmiechem wzrok. Śmiali się z niej czy do niej? Nie wpadaj w paranoję, powiedziała tequila. Elinor zatrzymała się, oparła mocno dłonie na stole do bilardu i pochyliła nad zielonym filcem w stronę chłopaków.

- Podoba wam się moja fryzura? - zapytała.

- Jasne!

- Sama obciąłam włosy.

- Super! - Obaj chłopcy mieli przypominające kaloryfery brzuchy. Wyglądali jak reklama młodości.

- Wiecie, ile teraz na przedmieściach kosztuje strzyżenie?

Chłopcy wzruszyli ramionami ze śmiechem.

- Sto piętnaście dolarów. Dlatego właśnie zmarnowałam dziesięć najlepszych lat w biurówcu. Żeby mnie było stać na strzyżenie za sto dolarów.

- Koszmar - powiedział jeden z chłopców. Był przystojny i podobny do Jamesa Deana - dzinsy, biały podkoszulek i wilgotne włosy, jakby przed chwilą wyszedł spod prysznica.

Elinor uświadomiła sobie z przerażeniem, że jest starsza od pani Robinson i od Blanche DuBois. Czterdziestka to nowa trzydziestka! zaczęła ją natychmiast przekonywać tequila.

- Mogę postawić ci drinka? - zapytał James Dean.

- Nie, dziękuję. - Elinor zakryła dłonią usta w obawie, że znów beknie.

- Daj spokój - nie ustępował chłopak. - Jedno piwo nie zaszkodzi.

- Dobra.

U jej boku nagle wyrosła Kat.

- Wyzywasz ich?

- Jasne. - Elinor poszukała w kieszeni ćwierćdolarówek i położyła dwie na stole. Udało się jej ostatecznie pozbyć torebki. Zmniejszyła obciążenie do gotówki, kluczyków do samochodu, prawa jazdy i błyszcząca do ust.

- Chcę być w twojej drużynie - powiedział chłopak, który proponował jej piwo.

- Doprawdy? - Elinor ruszyła w jego stronę, obchodząc stół. Z szafy rozległa się piosenka Steviego Raya Vaughana. Chłopak objął ją ramieniem w talii i pociągnął do tańca. Miał ciepłą i wklęsłą pierś, płaską jak jego brzuch. Wszystko było w nim doskonale. Pachniał papierosami marlboro i piwem. Pachniał college'em.

Kat zebrała kule, nie spuszczać Elinor z oka.

Chłopak odciągnął Elinor od stołu, lekko popychając ją w stronę korytarzyka przy automacie telefonicznym i toaletach. Elinor zamknęła oczy. Pomarańczowe światło migało jak neon. Usłyszała, jak Kat mówi do drugiego chłopaka:

- Przechodzi przez ciężki okres w życiu.

- Kapuję! - odparł chłopak. Trzasnęły rozbite kule. - Grasz.

Chłopiec od tańca pieścił szyję Elinor. Jego policzek był niesamowicie miękki.

- Jesteś świetna. - Powiedział: „świetna”. Nie stara. Nie szalona. Świetna. W pewnej chwili przypadkowo wpadł na ścianę.

- Ups! - zawołał. Elinor poczuła nagły przypływ sił. Podniosła mu rękę nad głowę, przycisnęła nadgarstki do ściany i wsunęła kolano między uda. On pochylił się, by ją pocałować. Ile lat minęło od czasu, gdy pocałowała innego mężczyznę, a nie męża? Pewnie sześć. Jesteście w separacji, powiedziała tequila. Wnętrze ust chłopaka było chłodne i smakowało piwem. Elinor chciałaby go zabrać do domu. Jako nagrodę od Raya i Eddiego.

- Wstępujecie do drużyny zapaśniczej? - Kat zajrzała do korytarzyka.

- Och, jest tutaj moja mama - zachichotała Elinor i odsunęła się od chłopaka. - Tylko się trochę zabawiamy. - Oblizła wargi wilgotne po pocałunku. - To lepsze niż masaż gorącymi kamieniami - dodała. - I tańsze.

- Nie wiem, czy Warren by to pochwalił. - Kat uniosła brwi.

- Warren to twój mąż? - Chłopak pociągnął za szlufkę dzinsów Elinor.

- Narzeczony - powiedziała ochryple Elinor. Pochyliła czoło w stronę chłopaka jak byk, który zaraz zaatakuje.

- Aha. - Chłopak nie przejął się zbytnio tą informacją. Uśmiechnął się i puścił szlufkę.

- Na twoim miejscu uważałabym. - Kat poprowadziła Elinor za ramiona w stronę łazienki. - Warren to wielki facet.

- Też mi coś! - Chłopak wybuchnął śmiechem, cofając się o krok.

Elinor pomachała do niego, gdy Kat wprowadzała ją do damskiej toalety. Ramię w ramię przeciśnęły się przez drzwi. Toaleta nie chciała przestać wirować i tequila też nie chciała zostać na miejscu. Elinor rzuciła się do umywalki i puściła zimną wodę. Zwymiotowała i dopiero potem spryskała twarz. Gorzki smak palił jej gardło. Podniosła wzrok. Rozmyte odbicie w lustrze było przerażające - blada twarz, zapadnięte oczy i przyklejone do czoła wilgotne włosy.

- Rewelacja - powiedziała do Kat.

- Nie przejmuj się. - Kat przycisnęła jej do czoła i policzków wilgotne papierowe ręczniki. - Jesteś ozdobą przyjęcia.

Kac Elinor obudził się przed nią, wbijając jej kołki w głowę, gdy wyłaniała się z kleistych odmětów snu. Jak udało się jej dotrzeć do domu? Taksówka, przypomniała sobie z ulgą. Przypomniała sobie też chłopaków - nie dowiedziała się nawet, jak mieli na imię - pochylających się do okna taksówki, by się z nią pożegnać. Kat przycięła szybą rękaw koszuli jednego z nich. Elinor pomyślała, że to najzabawniejsza rzecz, jaką w życiu widziała. Złapałyśmy jednego! - zawyla.

„Proszę się nie martwić, już wymiotowała” - przypomniała sobie słowa Kat zwrócone do kierowcy. Urocze.

Poranne światło sączyło się przez zaciągnięte zasłony. Przespała całe popołudnie i noc. Wciąż miała na sobie dzinsy i halkę. Na stoliku nocnym dostrzegła dużą szklankę wody, dwie tabletki ibuprofenu i liścik od Kat:

Zadzwoń do mnie. Całuski.

Elinor zastanawiała się właśnie, co zrobi jej lepiej : grzanka czy dalszy sen, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Kiedy spuszczała nogi z łóżka, czuła, że są zdrętwiałe i ciężkie.

Otworzyła drzwi. Na progu stał mężczyzna o szerokiej piersi ubrany w spodnie khaki i elegancką koszulę. Był łysy, czubek głowy lśnił w słońcu.

- Dzień dobry - powiedział wesoło.

Elinor spojrzała na papiery, które trzymał w ręce. Przez jedną straszną chwilę wyobraziła sobie, że to prawnik, który przyniósł jej papiery rozwodowe od Teda. Przycisnęła dłoń do czoła i poczuła, że zbiera się jej na wymioty.

- Dobrze się pani czuje?

- To zależy. Czego pan chce?

- Jestem miejskim arborystą. - Spojrzał nieśmiało na swoje traperki.

- W porządku. - Elinor nie miała pojęcia, że taki zawód w ogóle istnieje.

Mężczyzna podał jej wizytówkę.

NOAH ORCH. GŁÓWNY ARBORYSTA I CHIRURG DRZEW.

- Niektóre z drzew w okolicy są chore. - Machnął ręką w stronę ulicy. - Obawiam się, że pani drzewo jest zarażone grzybem.

Elinor wyszła na werandę. Osłoniła oczy dłonią, by dojrzeć w porannym blasku słońca, które drzewo wskazuje mężczyzna. Warrena.

- To brzmi okropnie. Czy ten grzyb jest jadalny?

Mężczyzna wybuchnął śmiechem, odchylając głowę do tyłu. Miał starannie przycięte szpakowate wąsy i jednak nie był całkiem łysy. Z tyłu głowy widniał pasek szpakowatych włosów w kształcie litery U.

- Bardzo mi przykro - powiedział. - Straci pani to drzewo.

- Och, ale... - Pod Elinor ugięły się kolana. Musiała koniecznie zjeść krakersa i wziąć prysznic. Usiadła na werandzie, czując przez spodnie nieprzyjemnie zimny beton. - Czy nic pan nie może zrobić? Czymś go spryskać?

Noah Orch (co to w ogóle za nazwisko?) pokręcił głową.

- Przykro mi. To naprawdę piękne drzewo. - Przycisnął papiery do piersi i spojrzał z szacunkiem na Warrena.

Zaczął tłumaczyć, że drzewo zaatakowała zgorzel.

- Widzi pani te owady? To korniki. Zjadają powoli drzewo.

Elinor oparła czoło na kolanach i zamknęła oczy. Ten ranek musi się szybko skończyć. Spojrzała na pustą ulicę.

- A chirurgia? Nie może go pan zoperować?

- Chirurgia drzew to tak naprawdę tylko ładna nazwa wycinania.

Elinor odwróciła głowę i oparła na kolanach policzek, patrząc z boku na Noaha Orcha.

- Przepraszam. Mam za ciężką głowę. Noah przekrzywił swoją i uśmiechnął się.

- Jest pani dziś na zwolnieniu? Elinor skinęła głową.

- Widzi pan, to drzewo dopiero niedawno zaczęło mi się podobać.

- O, to miłe. Większość ludzi nawet nie zauważa drzew.

- Skrzywił się. - Miasto przyjedzie w poniedziałek.

- Całe miasto?

- Służby zajmujące się drzewami. Z piłą.

- Jezu. I pan to nazywa chirurgią?

- Przepraszam. To normalny krąg życia - dodał, próbując ją pocieszyć. - Ale zasadzimy pani nowe drzewo. Mamy listę zaaprobowanych przez miasto drzew. Będzie pani mogła coś z mężem wybrać.

- Mój mąż... Nie ma go. Jesteśmy w separacji - powiedziała w końcu. Była przekonana, że uda się jej spłacać hipotekę i zajmować się domem bez Teda, ale wybór nowego drzewa przerażał ją. To jedna z rzeczy, które najbardziej podobały się jej w małżeństwie: nawet najbardziej przyziemne decyzje podejmowało się z partnerem.

- Przykro mi - powiedział Noah, wsuwając czubek buta w szczelinę werandy.

Elinor odwróciła głowę i znów oparła czoło na kolanach. Nie będzie płakać w obecności człowieka, który nazywa się Noah Orch.

- Matka Natura jest czasami okrutna, prawda? - powiedziała do betonu. - Potrafi czasami być prawdziwą dziwką.

- Jakże pragnęła w to nie wierzyć.

- Wiem - odparł ku jej zaskoczeniu Noah.

Elinor podniosła głowę i odwróciła się do niego. Jego wąsy i baki wydały jej się zaskakująco gęste, zważywszy na to, jak niewiele włosów miał na głowie. Był przystojny - należał do grona atrakcyjnych

osób, które wcale nie uważają się za obdarzone urodą. Elinor od tak dawna nie całowała się z mężczyzną z wąsami. Czy kiedykolwiek spała z łysym? Dlaczego się nad tym zastanawia? Najpierw te dzieciaki w ba-rze, a teraz facet od drzew. Dostrzegła brak obrączki na palcu Noaha. Może musi zdejmować ją do pracy. Mogłaby się zaplątać w sprzęt do przycinania drzew.

Noah wskazał drzewa rosnące po drugiej stronie trawnika.

- Tamten cyprys też jest w tarapatach. Chyba ma uszkodzone korzenie. Korzenie cyprysów rosną tuż pod ziemią.

- Wyciągnął rękę i zakrzywił palce, by pokazać, o co mu chodzi. - Drzewa mają główne korzenie i korzenie poboczne, podobne do naczyń krwionośnych, które dostarczają im wodę i składniki odżywcze. Można odciąć jedno z takich naczyń, ale nie dwa. Jeśli odetnie pani dwa, drzewo ginie.

Elinor poczuła, że jej odcięto oba. Męża i szansę posiadania dziecka.

- Będzie pan tu? - zapytała.

- Słucham?

- Kiedy będą ścinać drzewo, też pan przyjedzie?

- Nie, muszę... - Noah Orch spojrzał na trawnik, potem na Elinor. Poklepał ją po ręce delikatnym gestem, w którym nie było ani cienia protekcjonalności. - Jasne - powiedział.

- Będę na pewno.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W sprzątaniu Roger najbardziej nienawidził jednej rzeczy: kiedy kobiety pytały go, czym się zajmuje, musiał odpowiedzieć: „Sprzątam domy”. Jaka zechce umówić się z dwudziestosześcioletnim facetem ze starym gruchotem i studenckimi pożyczkami do spłacenia, który na dodatek jest sprzątaczką? Jedyną, która chciała z nim sypiać, była Sallie Mae. Zastanawiał się, czyby nie zacząć mówić, że jest nauczycielem fizyki. Jego przyjaciel Phil uczył w szkole średniej nauki o ziemi i dziewczyny to uwielbiały. *Och, nauczyciel!* Zupełnie jakby Phil przybił się do pieprzonego krzyża.

Roger sprzątał rewelacyjnie. Zacieki na wannie? Amoniak i soda oczyszczona. Kocia sierść? Dwa pociągnięcia wilgotną gumową rękawiczką. Krew? Białą ocet i woda utleniona. Dziękuję ci, Internecie. Gdyby nie miał tak kiepskiego żołądka, mógłby sprzątać po porachunkach mafii.

Jego klientka pani Wilcox kazała mu raz posprzątać w namiocie.

- Proszę się pozbyć tych igieł - zażądała, wskazując na maszt cyrkowego szkaradztwa w żółto-zielone paski rozbitego na podwórku. Chciała, żeby był idealnie czysty. To po co w ogóle rozbijać namiot? Roger pozbierał igły i zdechłe pająki, wydrapał pleśń. Wysuszył ściany suszarką do włosów, podłączoną do długiego pomarańczowego przedłużacza włączonego gdzieś w domu. Wyobrażał sobie, że owija przedłużacz wokół kostek pani Wilcox i powala ją jak drzewo.

Roger nie znośił, gdy podczas sprzątanego gospodarze pozostawali w domu. Nie mógł wtedy puścić radia na cały regulator ani sprawdzić zawartości szafek w łazience. Musiał z nimi rozmawiać i wysłuchiwać bzdur. Był więc bardzo rozczarowany, gdy zjawiwszy się w domu nowej klientki, pani Mackey, zobaczył, że ona nigdzie się nie wybiera. Kiedy zadzwonił do drzwi, otworzyła je powoli, osłaniając ręką oczy. Wyglądała przez szparę jak obudzone z zimowego snu zwierzę. Roger wbił wzrok w skrzynkę pocztową, bo pani Mackey nie była kompletnie ubrana. Z jej talii zwisały męskie spodnie od piżamy, a przez różowy top z napisem THE RAMONES przebijały sutki. Przy uchu przytrzymywała ramieniem słuchawkę bezprzewodowego telefonu. Spojrzała obojętnie na odkurzacz Rogera i wiaderko z przyborami do sprzątania. Po chwili przypomniała sobie, że do niego dzwoniła, i uśmiechnęła się, odsłaniając idealnie białe, drobne jak u dziecka zęby. Gestem zaprosiła go do środka.

- Ted może sobie wsadzić dietę Zone do tyłka - powiedziała do słuchawki. Roger cofnął się o krok.
- Ja jestem na Atkinsie. Co rano jajka na bekonie. I tyle. - Otworzyła szerzej drzwi. Na nogach miała podniszczone traperki, a rozwiązane sznurówki plątały się wokół kostek. Roger przeciągnął odkurzacz przez próg.

- Przychodzę nie w porę? - szepnął.

- Zaraz kończę - odparła również szeptem. - Proszę usiąść. - Wskazała na krzesło w holu. Roger usiadł posłusznie. Podobała mu się intymność tego ich szeptania. Z trzepotem sznurówek pani Mackey zniknęła za wahadłowymi drzwiami jadalni. Roger nadal słyszał, jak rozmawia.

- Mam jeszcze do zrzucenia pięć kilogramów po terapii in vitro. Powiedz mi, co może być gorszego od bycia grubą, zmęczoną i bezpłodną.

W holu pachniało wełną i cytryną - zapach wydawał się taki dorosły. Purpurowe wschodnie dywany, antyki z mahoni, lustra w złożonych ramach - to miejsce przypominało muzeum. W college'u Roger odwiedzał dzieciaki, które mieszkały w takich domach. Prawdziwych, z wielkimi holami i obrazami na ścianach. Niepodobnych do wynajmowanych przez matkę mieszkań, z panelami na podłodze i wykładzinami, które służyły jako słaba ochrona przed znajdującym się pod nimi betonem. Nie chroniły też przed świadomością, że zawsze mieszkali w przerobionym na mieszkanie garażu lub piwnicy w cieniu prawdziwego domu.

- Tak, po prostu nie jedz bułek. - Pani Mackey wpadła do holu przez drzwi. Wyłączyła telefon i uśmiechnęła się do Rogera. Krótkie jasne włosy sterczały jej we wszystkie strony. Wyglądała jak Meg Ryan po huraganie.

- Dziękuję, że przyszedłeś - powiedziała. - Przepraszam, że kazałam ci czekać. Masz fajne spodnie.

- Co? Dzięki. - Roger spojrzał nieśmiało na zwykłe spodnie z poliestru, które kupił na wyprzedazy. Gdyby nie był tak cholernie chudy, wyglądałyby o wiele lepiej. Lubił sprzątać w podkoszulku i starych spodniach od garnituru z lat osiemdziesiątych. Jeśli popłami je wybielaczem lub innym środkiem, może je po prostu wyrzucić.

Roger nie mógł się zdecydować, czy pani Mackey jest miła czy irytująca. Podniosła odkurzaczy i zabrała go do kuchni. To pierwsza rzecz, która mu się w niej spodobała. Dlaczego to ona zniosła odkurzaczy? No dobra, może pierwsze były traperki i sutki.

W kuchni zaproponowała mu kawę i jajka na bekonie. Wypił tylko kawę, choć był głodny, bo nigdy nie udaje mu się zjeść śniadania.

- Przepraszam, że nie jestem jeszcze ubrana. - Pani Mackey spojrzała na stopy w traperkach. - Przez piętnaście lat wstawałam o wpół do szóstej, wkładałam rajstopy i jechałam do biura. Teraz jestem na długim urlopie i mogę robić, co zechcę. - Rozejrzała się po kuchni. Pachniało w niej jak u Denny'ego, ale było dość czysto. - Pewnie myślisz, że mogłabym przynajmniej się ubrać i posprzątać w swoim własnym domu.

Roger zauważył na blacie zniszczony egzemplarz „Iliady”.

- Jest pani profesorem?

Pani M. wybuchnęła śmiechem.

- Nie. To nie urlop naukowy. Udzieliła mi go moja firma. Poświęcasz jej sześćdziesiąt godzin w tygodniu przez dziesięć lat i w końcu dają ci sześć tygodni płatnego urlopu. To taka zachęta z ich strony. Najpierw marnujesz dziesięć lat życia, a potem przez półtora miesiąca możesz robić, na co tylko masz ochotę. - Mówiąc to, grzebała w lodówce. W końcu znalazła to, czego szukała: papierosa.

- Super. - Roger wyjechałby w długą podróż.

- Dołożyłam też kilka tygodni zaległych wakacji. Tylko nie wiem, co chciałabym robić. - Włączyła elektryczny palnik. - To efekt pracowania sześćdziesiąt godzin przez dziesięć lat. Człowiek zapomina, co naprawdę chciałby robić. Na przykład urodzić dziecko albo pojechać do Włoch i zobaczyć kopułę Brunelleschiego.

Kiedy pochyliła się nad rozgrzanym do czerwoności palnikiem, by zapalić papierosa, w powietrzu uniósł się słodkawy zapach spalonych włosów.

- Pali sobie pani włosy. - Roger odstawił kubek z kawą.

- Och - rzuciła spokojnie pani Mackey. Zaśmiała się i pomachała dłonią przed nosem. Trzymając w dwóch palcach zapalonego papierosa, odwróciła się do okna i podniosła pasmo spalonych włosów, by przyrzeć mu się w świetle. Potem wyjęła ze stojaka nożyce do krojenia drobiu i obciąła końcówki włosów, które posypały się do zlewu.

Pani Mackey była pierwszą klientką, która traktowała go jak człowieka, a nie robota do sprzątnięcia. Zapytała, gdzie mieszka i czy bez problemu dojechał do jej domu. Jej niechlujny wygląd był bardzo seksowny - zupełnie jakby dopiero co wstała z łóżka lub miała do niego pójść. Policzki Rogera zaczęły płonąć, gdy opowiadał jej o spokojnej jeździe do jej domu.

Kiedy tak rozmawiali, pochyliła się nad zlewem i wydmuchała dym przez okno.

- Przepraszam - powiedziała, machając dłonią. - Tak naprawdę nie palę. To tylko tymczasowe. Teraz wszystko jest mniej więcej tymczasowe. - Zalała papierosa wodą, strzepnęła i wrzuciła do śmieci. - Mój mąż właśnie się wyprowadził.

- Przykro mi. - Zapadła długa cisza. Nie macie dzieci? chciał zapytać Roger. - Byłem we Florencji - powiedział.

- Jest niesamowita. Tę kopułę budowali przez dwadzieścia osiem lat. - Pociągnął kępkę włosów pod dolną wargą, która pozostała mu po koziej bródce. Zgolił ją z nudów wczoraj wieczorem. Teraz żałuje, bo skóra jest zaczerwieniona i nierówna. Nagle zrobiło mu się głupio, bo poczuł, że wygląda jak idiota.

- Naprawdę? Sprawdzę dziś, jak można się tam dostać

- odparła bez wielkiego przekonania pani Mackey. Nie ruszyła się od okna. - Lubisz sprzątać? - zapytała.

- Tak. - Zabawne, pani Mackey była chyba pierwszą osobą, której to wyznał. Zdrapywanie zaschłej pasty do zębów z umywalek i szorowanie przypalonego sosu do spaghetti z kuchenek było do niczego, ale przynajmniej te zajęcia można skończyć w przeciwieństwie do portfolio, którego jakoś nie mógł skompletować. Poza tym wolał czyścić toalety, niż siedzieć w jakimś boksie i zajmować się pieprzonym marketingiem. A już na pewno nie miał ochoty być asystentem fotografa na ślubach. Jego przyjaciel Devon miał rewelacyjną pracę: robił rozkładówki ze zdjęciami eleganckich domów dla magazynu poświęconego dekoracji wnętrz. Miał też śliczne mieszkanie w centrum miasta. Ale Roger nie palił się do fotografowania równo ułożonych poduszek i kuchni jak ze snu.

- Jestem fotografem - powiedział. - Skończyłem szkołę artystyczną. - Przewrócił oczami. - Ale jeszcze nie znalazłem pracy. - Tak naprawdę chciał się zająć robieniem czarno-białych portretów. Twarze ludzi były dla niego najbardziej interesującymi pejzazami.

- Fotografem? Naprawdę? - Pani Mackey dziwiła się tak, jakby usłyszała, że jest specjalistą od budowy rakiet kosmicznych. - Bardzo bym chciała obejrzeć twoje zdjęcia.

- Mam problemy ze skompletowaniem portfolio. Kiedy połączy się ociąganie z perfekcjonizmem, daje to fatalny efekt.

Po ukończeniu studiów dostał pracę w gazecie. Jeździł razem z reporterami z działu wypadków. Jednakże nadmierna skłonność do wymiotów nie pozwalała robić mu zbyt wielu zdjęć. Przyjeżdżał na miejsce wypadku samochodowego lub strzelaniny i kończył zgięty w pół, wymiotując do rynsztoka.

„To przecież nic takiego” - mówił zdenerwowany reporter. W końcu ten poślizgnięty od papierosów dupek załatwił mu przeniesienie do działu kulinarnego. Wtedy musiał robić zdjęcia crème brûlée i kalafiorów. Albo ciastek z owocami lśniących od szelaku. Niedługo potem został zwolniony.

„Ostatni przyjęty, pierwszy zwolniony” - powiedział redaktor przydzielający zlecenia.

- Może będę mogła ci pomóc - zaproponowała pani Mackey.

- Przynieś mi swój życiorys. Przeczytam go i zasugeruję jakieś poprawki.

- Dzięki. - Roger nagle poczuł się nieswojo. Sięgnął po odkurzacz i wiaderko z przyborami do sprząkania. Niektórzy ludzie chcieli, by korzystał tylko z ich środków (jedna pani nalegała, by używał wyłącznie octu i wody oraz przyjaznego środowisku sprayu, który czyści gówna), ale on wolał swoje własne.

- Posłuchaj, Roger. - W głosie pani Mackey zabrzmiał poważny ton. - Muszę pokazać ci pralnię. - Powiedziała to tak, jakby pralnia była ciałem ukrytym na podwórku.

- Jasne. - O co ten krzyk? Ruszył za nią korytarzem do ciemnego, ciepłego pokoju na tyłach domu. Stały tam kosze z ręcznikami i bielizną. Pani Mackey otworzyła szafki nad pralką i suszarką, by pokazać mu imponujący zbiór płynów i proszków do prania, specjalnego mydła do usuwania kurzu, płynów do płukania, wywabiacza plam z tkanin kolorowych, wybielaczy, sprayów, szczotek do usuwania kłaczek.

- Super.

- Próbuję odzwyczaić się od prania. - Oparła rękę na gałce od szafki.

- Niektórzy nie lubią, by obcy ludzie, zwłaszcza płci męskiej, prali ich rzeczy. Ale ja z chęcią to robię - powiedział Roger lekko drżącym głosem. Dlaczego przy pani Mackey tak się denerwuje? - Jeśli pani sobie życzy. - Cholera, może lepiej by było, żeby pracowała sześćdziesiąt godzin tygodniowo. Nie potrafił tego dokładnie określić, ale z panią Mackey coś było nie tak. Może to alergia, ale wyglądała, jakby płakała. Miała w sobie jakąś bezbronność, która była jednocześnie wzruszająca i dziwna.

- W każdym razie... - Pani Mackey spojrzała na kosze z praniem. Rogerowi podobał się jej lekko zadarty nos. Wyglądał jak skocznia narciarska. Gdyby mógł zrobić jej portret, ustawiłby ją pod lampą zalewającą pralnię miękkim światłem, które tworzyło cienie na jej włosach.

- W swoim następnym życiu będę miała życie. - Z roztertaniem poklepała go w ramię i przeciskając się obok niego, wyszła z pralni.

Roger najpierw nasypał proszek. Pokazała mu to Elissa, jego pierwsza dziewczyna w college'u. Proszek, woda, ubrania. Kiedy skończyli szkołę, Elissa zapisała się na prawo i poznała innego faceta. Powiedziała mu o tym dopiero wtedy, gdy przyleciał na drugi koniec kraju, by ją odwiedzić. Pomyślała, że lepiej będzie, gdy powie mu o tym osobiście. Świetnie. Mogła mu przynajmniej oszczędzić pieprzonego wydatku na bilet. Jej spokój tylko pogorszył mu nastrój.

„Nie rób tego sobie” - powiedziała.

Rozbił o ścianę jej angielski czajnik do herbaty.

„Co ty tu w ogóle robisz?” - wrzasnął. - „Co ze sztuką?” - Zrobiła dyplom z malarstwa. - „Sprzedajesz się!”

Boże, jakież był pompatyczny. Noc spędził na trawniku na dziedzińcu, a potem poleciał do domu, by przez trzy godziny robić zdjęcia talerza z zupą z dyni do jesiennej rozkładówki. Poprzedniej nocy prawie nie zmrużył oka. Zmęczony czuł się jak na hajcu.

„Trzasnąłeś zupę?” - zapytał go po południu na korytarzu dyrektor artystyczny.

Zupełnie jakby była osobą, którą trzeba sprzątnąć! Wybuchnął histerycznym śmiechem. Śmiał się i śmiał, potem kaszlał i dusił się. Łzy płynęły mu do ust. Pieprzone łzy. Osunął się na kolana. Bał się, że zobaczy je dyrektor, że zaraz zwymiotuje.

„Stary, wszystko w porządku” - powiedział dyrektor, poklepując go po plecach.

Sprzątając dom, można poznać historię jego mieszkańców. Cała historia pani Mackey zamknięta była pod umywalką w dużej łazience, gdzie Roger znalazł zapas najróżniejszych specyfików. Pierwszą rzeczą, która wpadła mu w oko, był czerwony pojemnik na zużyte środki medyczne, bardzo przypominający te szpitalne. Przez cienki plastik zobaczył, że wypełniają go zużyte igły. Może miała cukrzycę. Ale znalazł też ampułki ze środkiem, który na pewno nie był insuliną. Wziął jedną do ręki. GONAL-F. Odwrócił się, by zamknąć drzwi łazienki na klucz, a potem włączył wiatrak. Nigdy nie zabierał niczego z szafek z lekami, ale zawsze lubił tam zaglądać. Wstydził się tej fascynacji, ale nie umiał się od niej uwolnić.

Siedząc po turecku na podłodze, zajrzał do szafki. Były tam pudełka z małymi ampułkami pergonalu, wyłącznie do zastrzyków domięśniowych. Auć. Jezu. W innym pudełku stały ampułki z Gonalem-F. W niektórych był biały proszek, w innym sterylny płyn fizjologiczny. Roger rozwinął ulotkę informacyjną. *Gonal-F pobudza u kobiet wytwarzanie jajeczek...* Jezu. Pani Mackey musiała się czuć jak królik doświadczalny. I na dodatek to musiało boleć. Nic dziwnego, że jej odbija. W szafce było też dużo innych rzeczy - kapsułki z progesteronem, strzykawki, nasączone spirytusem gaziki, plastry, testy ciążowe. Co u diabła? Jak można nie zajść w ciążę? A teraz, kiedy jej mąż się wyprowadził, co ona z tym wszystkim zrobi?

Roger zamknął szafkę i zrobiło mu się trochę niedobrze, jakby zjadł za dużo frytek i hamburgerów. Umył umywalkę, toaletę i kabinę prysznicową, które i tak były czyste. Odkurzył książki stojące na wbudowanej przy toalecie półce. Mackeyowie czytali wszystko, począwszy od dzieł Szekspira, na magazynach dekoratorskich skończywszy. Część książek stała odwrócona grzbietami do ściany. Wspiął się na toaletę, by do nich dosięgnąć. Warstwa szarego kurzu wywołała kaszel. „Nowe techniki leczenia bezpłodności”. „Księga płodności”. „Co robić z bezpłodnością?” Boże. w dzisiejszych czasach mają poradniki na wszystko. Zanim się obejrzymy, ktoś napisze poradnik, jak się naćpać. To smutne, że książki stały odwrócone grzbietami do ściany. Zupełnie jakby pani Mackey zabrakło energii na coś więcej. Skończył je odkurzać i znów postawił grzbietami do ściany.

W sypialni odkurzył abażury i stoliki przy łóżku. Pan Mackey wyprowadził się niedawno i pewnie nie na dobre, bo na jego stoliku nadal leżał stos magazynów podiatrycznych i kryminałów. Na wodzie w szklance unosiła się warstewka kurzu. Może ta separacja jest tylko tymczasowa. Ze względu na panią Mackey miał nadzieję, że tak. A może nie. Może jej mąż to dupek.

Wyglądził i tak równą narzutę i strzepnął poduszki. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie odgiąć rogów koldry. W zeszłym tygodniu zaczął zostawiać w łóżkach swoich klientów drobne przedmioty: żołądka, ulotkę reklamową, kawałek sznurka. Śmieci. Można powiedzieć, że zaśmiecał sprzątane domy. Bo ludzie na nic nie zwracają uwagi. Może gdyby się trochę wysilili, potrafiliby docenić fotografię artystyczną.

Z drugiej strony, choć można to było uznać za nieco gejowskie, kiedyś robił dla swoich klientów dodatkowe rzeczy. Zaginał końcówkę papieru toaletowego w zgrabny trójkącik. Ścinał kwiaty w ogrodzie i stawiał je w wazonie na stole w kuchni. Robił porządek w lodówce. Ale nikt tego nie zauważał. A jeśli

nawet, nie komentował. Uznał więc, że może zauważą te nowe szczegóły. U Rowinsonów włożył do łóżka trzy sosnowe szyszki z podwórka. Ta dwójka pracoholików, która wieczorami przesiadywała na kanapie, powinna zbliżyć się do natury. Prześcieradła Waxmanów były zawsze starannie wygładzone i wsunięte pod materac; widać było, że w tej sypialni niewiele się dzieje. Wsunął im pod poduszki płatki róż. W domu Carterów panowały ciemności jak w domu pogrzebowym, więc wsunął im pod kołdrę wyrwaną z magazynu reklamę świetlików. Wyobraził sobie tłustą panią Carter przesuwającą palcami u nóg po zimnej pościeli. „Co to jest?” - dopytuje się, wyciągając reklamę. - „Skąd się to tu wzięło?”.

Poirytowany mąż wzrusza ramionami. „A skąd, do cholery mam wiedzieć?”.

Wszedł ukradkiem do saloniku pani Mackey i zabrał z pianina kartkę z nutami, by wsunąć ją pod kołdrę. Preludium Chopina. Wyobraził sobie, jak pani Mackey przechodzi na palcach przez ciemny dom w długim białym szlafroku, który wisiał na drzwiach w łazience. Zobaczył ją przy pianinie, jak przesuwa drobnymi palcami po klawiszach.

Po zakończeniu sprzątanía znalazł ją na kocu pod drzewem na frontowym trawniku. Obok niej leżał laptop, książki, notatniki i długopisy. Ona jednak wpatrywała się w niebo, leżąc na wznak.

- Moje biuro - powiedziała, siadając. W domu był elegancki gabinet z wielkim biurkiem i bardzo skomplikowanym fotelem.

- Ładne - odparł Roger. Pani Mackey była chyba bardziej stuknięta od pani Warrington, która obsesyjnie zbierała i myła puszki, po czym ustawiała je na stole w kuchni. Ale co tam. Gdyby to jego ktoś kłął w tyłek tymi wszystkimi igłami, też by mu odbiło.

Pani M. popatrzyła na gałęzie drzewa i lekko się skrzywiła.

- Przyjadą ściąć ten piękny dąb.

- Dlaczego?

- Umiera.

- Naprawdę? - Roger podniósł wzrok. Drzewo było sękaté i mocno powykręcane. To dziw, że pani Mackey potrafiła dostrzec w nim piękno. - Wygląda w porządku.

- Tylko z zewnątrz. Od środka jest całé spróchniałé.

- Coś o tym wiem. - Z jakiegoś powodu poczuł ulgę, że jej to powiedział.

Pani Mackey odwróciła się do niego i uroczo zmarszczyła drobny nos. Na ten widok miał ochotę położyć się na kocu obok niej.

- Chce pani, żebym przychodził co tydzień? - zapytał. - Może pani wszystko sprawdzić i dać mi znać.

- Jestem pewna, że wszystko jest idealne. Przyjedź w przyszłym tygodniu. Dziękuję, Robercie.

- Mam na imię Roger.

- O Boże, przepraszam. Jakież to niegrzeczne! - Klepnęła się w czoło.

Chciałby zrobić jej zdjęcie, gdy słońce oświetla ją od tyłu, rozjaśniając otaczające jej twarz zmierzwione włosy. Wskazał palcem „Iliadę”.

- W college'u nienawidziłem tej książki.

- Wiem. - Pani Mackey przysiadła na piętach. - Ja też. Ale to nowe tłumaczenie. - Popatrzyła szeroko otwartymi oczami na dom. - Myślałam o kochance mojego męża jak o Helenie Trojańskiej, ale szczerze mówiąc, to zbyt pochlebna opinia. - Spojrzała na Rogera. - Wiesz, co mam na myśli?

Kiwnął głową. Nie miał pojęcia, o co jej chodzi, ale patrzyła na niego z tak wielką nadzieją, że raz po raz kiwał głową.

- W tych ładnych dzielnicach nigdy nikogo nie ma w domu, prawda? - zapytał.

Pani M. wzruszyła ramionami.

- Musimy wszyscy pracować, żeby spłacić hipotekę.

- Ludzie są tu szczęśliwi? - Natychmiast pożałował, że zadał to uczniowskie pytanie.

- Takie wrażenie odnosisz, sprząając domy? Można posprzątać w kuchni i zmyć plamy po kawie, ale nie da się zamieść smutku?

- Coś jakby.

- Może mógłbyś wynaleźć taki środek. Czyści tłuszcz i smutki.

Roger wybuchnął śmiechem.

- Wywabić kochankę męża!

Auć. Nie przyszła mu do głowy żadna zabawna riposta. Pani M. pokiwała głową i spojrzała na dom sąsiadów po drugiej stronie ulicy.

- Te domy są bardzo ładne. Niektóre mają baseny. Inne wyszukane kuchnie i jacuzzi. Ale żadnego z nich nie sprzedają ze szczęściem. Ani z dziećmi.

- Te udogodnienia sprzedawane są za dodatkową opłatą. - Roger wszedł do cienia, po czym przykucnął obok pani Mackey.

- Zgadza się.

- Wie pani, mój profesor powiedział kiedyś, że Hemingway prawdopodobnie napisał kiedyś opowiadanie złożone z pięciu słów: „Na sprzedaż: dziecięce buciki. Nieużywane”.

Pani M. odwróciła się do niego. Na jej twarzy malował się wyraz oscylujący pomiędzy zdumieniem i wdzięcznością.

- Och... ja... Czasami nie potrzeba wielu słów, prawda?

- Nikt nie wie na pewno, czy je napisał. - Może ją zmartwił? Chyba powinien już pójść. Wstał.

- Następnym razem przynieś swoje portfolio i życiorys. Bardzo chciałabym zobaczyć twoje prace. - Uśmiechnęła się. Te drobne białe zęby!

- Dzięki. - Roger odchylił głowę, by przyjrzeć się dębowi. - Strasznie mi żal tego drzewa - powiedział, starając się ją trochę pocieszyć. Picuś i tyle. Gadał, jakby był pieprzonym surferem.

- Napisałeś już podania do szkół podyplomowych? - zapytała matka Rogera, gdy wieczorem jak co miesiąc zadzwoniła do niego. Starła się nie naciskać ani nie krytykować. Musiał jej oddać sprawiedliwość. Jak zwykle mruknął w odpowiedzi, że nie skończył jeszcze portfolio.

- Daj mi znać, jeśli będziesz potrzebował pieniędzy, kochanie - odparła. - Żebyś miał dość czasu na te podania.

Nie zamierzał prosić jej o pieniądze. Sama miała głodową emeryturę. Koniecznie chciał zdobyć stypendium. Żeby matka była z niego dumna.

Odłożył słuchawkę i położył się do łóżka z Lettermanem i piwem. Ręce miał zniszczone od sprzą-tania. Niektóre pęknięcia zaczęły krwawić. Wyglądało to całkiem seksownie. Nie, chyba jednak nie. Zimna butelka chłodziła obolałą skórę.

Wyobraził sobie, że to on siedzi w studiu u Lettermana.

- Doskonale - mówi Dave, przeglądając jego portfolio.

- Dzięki - odpowiada (próbuje sobie wyobrazić, że naprawdę gdzieś jest taka planeta, na której lu-dzie zachwycają się fotografiami, a nie tylko aktorkami i modelkami).

- Sypiasz z tą laleczką Elinor Mackey? - pyta Dave. - I jak wam się układa?

Roger uśmiecha się do publiczności.

- Rewelacyjnie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Wybierz sobie parę koni i stawiaj nisko, mała - powiedział radośnie Barry do Giny. Uśmiechnął się od ucha do ucha, rzucając kilka dwudziestek przez okienko do bukmachera na torze wyścigowym. - Kiedy stawki są niskie, to tylko zabawa.

Gina przyjrzała się imionom koni wypisanym wysoko na tablicy - Dumna Atena, Nieustępliwy Harry - i rozkoszowała się świadomością, że w wypadku Barry'ego rzeczywiście wchodziły w grę tylko niskie stawki. Nie kochała go. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że można się czuć tak dobrze, nie kochając kogoś. Z Tedem perspektywa jego utraty zawsze ją dobijała. Bojąc się go wystraszyć, zawsze próbowała mitygować swoje uczucia, tłumić niepohamowaną radość, jaką napępniało ją każde z nim spotkanie. Czuła się przez to głupio, jak szczeniak zamknięty w samochodzie.

Kiedy już obstawili gonitwy, przeszli do stoiska z przekąskami. Barry kupił popcorn, hot dogi, fi-staszki, mleczne dropsy, wodę w butelkach i piwo. Sprzedawca śpieszył się, by zrealizować zamówienie, tytułując Barry'ego „sir”. Coś w Barrym budziło w ludziach respekt i robili wszystko, by jak najszybciej go obsłużyć. Może było to połączenie drogich ubrań i pewności siebie.

Barry zapłacił młodemu człowiekowi i wrzucił pięć dolarów do puszki na napiwki. Mimo że była sobota, Barry miał na sobie odprasowane czarne spodnie i koszulkę z kołnierzykiem. Linia czarnych wło-sów układała się w kształt odwróconej litery U na czole, warstewka potu lśniła na łysiejących polach po obu stronach głowy. Barry miał mały, bulwiasty nos. Choć nie w typie Giny, był seksowny w stylu Ton-y'ego Soprano. Wiedziała, że wiele kobiet nie potrafi się temu oprzeć.

To dobre węglowodany, miała ochotę powiedzieć, wsuwając rękę w popcorn. Kogo to obchodzi? Białe kulki były ciepłe i słone. Zjadła jeszcze garść, kiedy Barry prowadził ją w stronę dwóch wolnych miejsc w środku rzędu. Wytarł dla niej fotelik serwetką. Kiedy usiadła, podał jej hot doga. Od lat nie jadła hot doga. Piwo szło jej prosto do głowy, słońce ogrzewało twarz. Jasna żółta musztarda smakowała jak lato.

Barry poklepał ją po kolanie.

- Ty, moja kochana, masz najpiękniejsze nogi na ziemi.

Kopertowa spódnica rozchyliła się i Gina wyciągnęła rękę, by ją poprawić. Uśmiechnęła się do Barry'ego i swoją serwetką wytarła mu z brody musztardę. Czy kiedykolwiek była związana z mężczyzną, z którym kochaliby się w takim samym stopniu? Skąd można mieć taką pewność? Świadomość takiej równowagi musi być radosna i z pewnością daje poczucie bezpieczeństwa. To zdrowe niskie stawki. Ale skoro jednocześnie ma się świadomość, że coś może się przytrafić twojej jedynej miłości, stawki gwałtownie rosną. A mając poczucie bezpieczeństwa, każdy prędzej czy później zaczyna uważać uczucie za rzecz oczywistą, jak Ted i jego żona. Gina zmięła w dłoni opakowanie od hot doga. Dlaczego wszystko kojarzy mi się z Tedem? sarknęła w duchu i wypila duży łyk piwa, próbując wypchnąć go z myśli. Poszły! Gdy konie wypadły z bramek, Barry zerwał się z miejsca. Gina stanęła obok niego. Objął ją i przyciągnął do siebie. Pachniał jak świeżo kupiony w drogerii drobiazg - wodą kolońską i bawełną.

- Daj im popalić, Harry! - krzyknął.

- Pędź, Ateno! - zawtórowała mu Gina.

Nawet kiedy robili rzeczy, które nigdy nie przysłyby jej do głowy, zawsze świetnie bawiła się z Barrym. Jeśli Ted był jej heroiną, to Barry był metadonem. Czy to oznacza, że go wykorzystywała? Że szukała w nim oparcia? Wypila jeszcze jeden łyk piwa, zanim zrobiło się ciepło. Powinna przestać wszystko analizować. Przecież to on zawsze do niej dzwonił. Domyślała się, że ma inne przyjaciółki, ale wcale o to nie dbała. No proszę! Czyżby zaczynała być pewna siebie?

Postawili jeszcze w dwóch gonitwach, wygrali dziewięćdziesiąt dolarów i zjedli lody, które kapaly im na dłonie. W końcu wyszli z hipodromu i wsiedli do jaguara Barry'ego.

- Czy jestem najprzystojniejszym skurwysynem, z jakim się kiedykolwiek umawiałaś? - Barry parsknął śmiechem i sprawdził włosy w lusterku, poprawiając przy tym wykałaczkę w kąciku ust.

- Nie przeklinaj - zachichotała. Nie była pruderyjna, ale nie lubiła przekleństw, które zawsze rodzą się z gniewu. - Oczywiście - droczyła się z nim. - A wszystko dzięki tej wykałaczkę.

Barry nie miał nic przeciwko temu, by z niego żartowała. Potrafił być ostry i surowy - słyszała, jak besztal przez telefon swoich pracowników - lecz samego siebie nie traktował zbyt poważnie.

- Wykałaczkę jest lepsza od cygara. - Dodał gazu i wyjechał z parkingu. - To już rok. Od papierosów, przez cygara, doszedłem do wykałaczek. Daj mi jeszcze rok i wykałaczki też rzucę. Dobrze, moja śliczna?

Na czerwonym świetle Gina pochylała się, wyjęła mu z ust wykałaczkę, a potem przesunęła językiem po jego dolnej wardze.

- Mmmmm. - Barry pocałował ją, zakrywając jej usta grubymi wargami. Gina zamknęła oczy, marząc, by pojawiła się chemia. Zawsze zamykała oczy, gdy się całowali lub kochali. Kiedy kochał się z nią Shane, dotykała jego długich czarnych włosów i podziwiała, jak odcinają się ostro od białej skóry. Shane zawsze zamykał oczy, wzdychając głęboko.

Mówił, że ją kocha, po czym wpadał w tę samą głęboką zadumę, z którą grał na basie. Kiedy kochał się z nią Ted, patrzył jej prosto w oczy. Tego nie robił żaden mężczyzna przed nim. Zmieniło się światło i Gina odsunęła się od Barry'ego. Opuściła szybę, by wpuścić trochę powietrza.

Zaskoczył ją dzwonek do drzwi, który rozległ się wieczorem o wpół do jedenastej. Może to Barry czegoś zapomniał? Wyjrzała przez judasza i zobaczyła chwiejącego się na nogach Shane'a. Otworzyła drzwi w samą porę, by ujrzyć wycofującą się z podjazdu taksówkę.

- Skarbie. - Włosy Shane'a były mokre na końcach i tworzyły dwie ciemne plamy na ramionach niebieskiej flanelowej koszuli w kratę. Pod nią miał biały podkoszulek, a na nogach czarne dzinsy.

Gina skrzyżowała ramiona na piersi. Poczowała, że to bardzo licha barykada.

- Jesteśmy razem, zerwaliśmy czy co? - zapytał zbyt głośno Shane.

- Przestałeś pić?

- Miałem zły dzień. - Pochylił głowę. - I co z nami jest? - Shane zawsze miał zły dzień.

- Jesteśmy przyjaciółmi. Dopóki nie pijesz, jesteśmy przyjaciółmi. A gdy zaczniesz pić, to nie jesteśmy nawet nimi.

- Może gdybyśmy byli czymś więcej niż tylko przyjaciółmi, jak kiedyś, jak powinno być, może bym nie pił - powiedział, plując lekko.

W porządku, to ja wszystko zniszczyłam. Gina nie potrafiła mu nic wytłumaczyć, gdy był pijany.

- Zrobię ci kawy. - Filiżanka kawy, pół godziny rozmowy, najwyżej, a potem zamówi mu taksówkę. Ruszyła w stronę kuchni.

Shane siedział skulony przy stole, kiedy Gina programowała ekspres. Wyjęła odtłuszczone mleko i cukier. Wyjęła też pełnoziarnisty chleb, ser i indyka z lodówki i zrobiła mu kanapkę.

- Potrafisz sprawić, że każde miejsce jest domem - powiedział Shane. - Nawet pieprzona zimna dziura w ziemi. Bo to ty jesteś domem. - Te romantyczne gadki zauroczyły ją, gdy zaczęła się z nim umawiać. Jednakże jego mroczny charakter okazał się raczej paskudny niż intrygujący. Pod oczami miał czerwone kręgi, śmierdział whisky i papierosami. Przypominał jej bar po ostatniej kolejce przed zamknięciem - kiedy gasnące światła odsłaniają ponury wygląd tego miejsca.

W drzwiach stanął Toby. Kiedy zobaczył Shane'a, przewrócił oczami, zatupał bosymi stopami po podłodze i odwrócił się, by wyjść.

- Hej, łajzo - zawołał za nim Shane.

Toby prychnął i zatrzęsął za sobą drzwi pokoju.

- Nawet nie jest jeszcze nastolatkiem - powiedział z odrazą Shane.

- Zgadza się. - Gina położyła na stole podkładkę i postawiła przed nim kanapkę. - To jeszcze dziecko, Shane. Dziecko, które ma prawo denerwować się, kiedy po dziesiątej wieczorem przychodzą do domu pijani mężczyźni.

Shane spojrział na nią zaskoczony. Choć raz nie próbowała go pocieszyć ani spojrzeć na wszystko z jego perspektywy. Nie negocjowała. Nie dziś wieczorem.

- Co się stało z AA?

- Skomplikowało się. - Wypił łyk kawy i dostał czkawki. Plując, poplamił brązowymi kroplami koszulę. Pięknie. A kiedyś tak jej się podobał! Przypomniała sobie dzień, na samym początku ich bliższej znajomości, kiedy zaplótł jej włosy w dwa idealnie równe warkocze. Wcześniej kochali się.

„Robiłem to co rano dla mojej młodszej siostry” - wyjaśnił skupiony na trzech pasmach włosów. - „Ale nie będę ci wiązał butów. To musisz robić sama”.

Zakochała się w nim właśnie w tej chwili: gdy siedział za nią z owiniętymi wokół niej nogami. Skończył pleść warkocze i łaskotał ją w policzki koniuszkami. Czuła na plecach dotyk jego ciepłej piersi, a jego głos odbijał się echem wzdłuż jej kręgosłupa, jakby Shane był jej częścią.

Teraz usiadła przy stole naprzeciwko niego.

- Powinieneś zadzwonić dziś wieczorem do swojego sponsora - powiedziała. - Musisz chcieć z tym zerwać, Shane. To musi stać się twoim najważniejszym celem.

- Ty jesteś moim celem. - Sięgnął po jej dłoń. Szybko ją cofnęła. - Skarbie - powiedział cicho, ze smutkiem. Odsunął gwałtownie kanapkę, która rozpadła się na części. Gina wstała od stołu i stanęła przy zlewie plecami do niego.

- Jeśli chcesz się ze mną widywać, musisz rzucić picie. Nie możesz mieć wszystkiego. - Sięgnęła po telefon. - Zamówię ci taksówkę.

- Jeszcze nie. Poczekaj.

Shane mówił z pełnymi ustami. Kiedy się odwróciła, zobaczyła, że pochłania kanapkę wielkimi kęsami.

- Pycha! - Podniósł na nią wzrok, szaleńczo kiwając głową i przelitykając. Pod jej spojrzeniem zamarł. - Porozmawiajmy. Tylko przez chwilę. - Wypił łyk kawy. Wyraźnie grał na czas. Nie różnił się niczym od dziesięciolatka, który chce jeszcze przez piętnaście minut pooglądać telewizję. Ale Gina miała już dość targowania się z ludźmi. Targowania się z synem, żeby przestał grać na swoim głupim game boyu. Targowania się z klientami, żeby zrobili jeszcze pięć powtórzeń, jeszcze tylko pięć! Targowania się z Shane'em, żeby poszedł na spotkanie AA. W pewnym momencie myślała nawet, że mogłaby za niego wyjść, gdyby tylko przestał być dwoma osobami.

- Umawiałaś się z kimś? - zapytał.

- Tak. - Westchnęła i natychmiast pożałowała, że dała się wciągnąć w tę rozmowę.

- Z kim? Z Barrym?

Kiwnęła głową.

- To pieprzony promotor koncertów! - Shane wstał i zacisnął dłonie w pięści. - Najgorsza szumowina na ziemi. - Z jego ust popłynęła ślina.

- Koniec gry. - Gina sięgnęła po magnes na lodówkę z numerem sieci taksówkowej.

Shane rzucił się w jej stronę. Szybko odsunęła się na bok, a on uderzył pięścią w drzwi lodówki. Potem odwrócił się do stołu, jakby czegoś szukał. Podniósł cukierniczkę i cisnął nią o ścianę.

- To miłe. - Gina nie miała w sobie dość energii, by dalej się z nim kłócić. - Jest późno, a ty jesteś pijany. Wezwę taksówkę. Możemy zjeść jutro lunch. Przyjdź do klubu. Postawię ci lunch, usiądziemy na zewnątrz. Zapowiadają piękny dzień. - Nie miała najmniejszego zamiaru spotykać się z nim jutro. Nie będzie jej w klubie. Ale tylko to przyszło jej do głowy, by go uspokoić i skłonić do wyjścia.

- Klub - rzucił szyderczo Shane. - Dla pieprzonych japiszonów. Jeśli ci ludzie mieliby prawdziwe życie, nie musieliby ćwiczyć na maszynach. Biegną na bieżni w stronę telewizora. Jezu. Gdyby byli prawdziwymi ludźmi, jak farmerzy, samo życie byłoby dla nich ćwiczeniem.

- To rozwiązałoby problemy na całym świecie - odparła Gina, zaskakując samą siebie szybkością swojej reakcji.

- Gdyby wszyscy byli farmerami.

Kiedy wystukiwała numer sieci taksówkowej, Shane zaczął wymachiwać jej pięściami przed nosem i zrzucił telefon. Aparat przeleciał przez podłogę, gubiąc po drodze baterie.

- Dobra. Skoro chcesz, żebym sobie poszedł, idę. - Wypadł z kuchni.

Gina zebrała z podłogi rozbitą telefon i złożyła go. Przycisnęła guzik REDIAL i pobiegła po schodach za Shane'em.

- Charley's Taxi - rozległ się w słuchawce głos dyspozytorki.

Gina rzuciła, że natychmiast potrzebuje taksówki, zastanawiając się, czy nie powinna zadzwonić na policję. Weszła za Shane'em do swojego pokoju. Shane przeskoczył łóżko, potem wspiał się na stojące przy oknie biurko, przewracając przy tym zdjęcia Toby'ego i jej matki. Zanim zdążyła do niego dopaść, otworzył okno i wyszedł na dach.

- Shane! - Gina rzuciła telefon na łóżko, wspięła się na biurko i uklękła na parapecie. - Shane, wracaj. - Próbowała szeptać; bała się, że mogą ją usłyszeć sąsiedzi.

- Nie. Chcesz, żebym poszedł do domu? To idę. Idę prosto do doooooomu!! - Gramolił się po dachu i widziała go już tylko kątem oka.

Wystawiła jedną nogę przez okno, by wyjść za nim. Szybko uświadomiła sobie jednak, że Shane bez trudu może pociągnąć ich oboje na dół. Cofnęła się więc i oparła na biurku na czworakach, wystawiając przez okno tylko głowę. Włączyła lampkę. W jej świetle nie widziała, co się dzieje na zewnątrz, szybko ją więc zgasiła.

- Prosto do domu - powtórzył Shane.

Teraz już krzyczał. Śmiał się, krzyczał i stał na dachu z wyciągniętymi ramionami, jakby pływał na desce surfingowej.

- Hej, palancie - krzyknął Toby z okna swego pokoju poniżej. - Co robisz na naszym dachu?

- Zaraz skoczę, łajzo.

- To skacz! - wrzasnął Toby ochrypłym od kataru i hormonów głosem.

- Shane! - W głosie Giny zabrzmiała jeszcze większa empatia. - Chodź, kochanie. Chodź do mnie. - Wyciągnęła do niego rękę.

- Próbujesz się zabić? - krzyknął Toby z pogardą i niedowierzaniem w głosie.

- Bingo, łajzo.

- Chyba żartujesz. Nie umrzesz. Połamiesz sobie tylko nogi. Albo strzeli ci kręgosłup. - Toby był kopalnią wiedzy na ten temat, gdyż nauczył się na pamięć większości tysiąca straszliwych i przerażających faktów. - Palant - dodał. - Nie będziesz mógł chodzić ani jeździć samochodem. Ofiara losu i tyle! - Toby parsknął śmiechem, ubawiony tą perspektywą.

- Toby! - Gina nadal próbowała szeptać.

- Masz rację, jestem ofiarą losu - powiedział głośno Shane. - Gówniany zespół. Instalowanie światełek - mruknął pod nosem.

W tej chwili Gina dostrzegła zarysy sylwetek swoich sąsiadów, starszych państwa Jensenów, którzy co wieczór wychodzili na spacer ze swoim golden retrieverem.

- Gina? Kochanie? Wszystko w porządku?

- Nic jej nie jest! - krzyknął Shane.

- Toby, synku? - zawołał pan Jensen. - Złaz stamtąd natychmiast.

Gina wybrała numer 911 i wyszeptała do słuchawki swój adres.

- Ja jestem tutaj - zawołał z okna Toby. - Tam jest Shane! - dodał podekscytowany. - On chce skoczyć! No skacz, palancie, skacz!

W głosie syna Gina usłyszała sześć tygodni paskudnego traktowania przez kolegów w szkole. Usłyszała klasowego osiłka i ojca, który nie chce, by syn z nim mieszkał.

- Shane? - zapytała pani Jensen. - Jesteś przyjacielem Giny?

- Już nie - odparł. - Ona mnie nie chce.

- Zejdź z dachu - powiedział pan Jensen.

Gina była przerażona. Toż to prawdziwa rewelacja dla sąsiadów: jest nie tylko żalostną samotną matką, lecz również bohaterką dramatu z szalonym pijakiem na dachu domu.

- Jestem ofiarą - powtórzył Shane, pochylając się niebezpiecznie nad krawędzią dachu, by porozmawiać z Tobym. - Mądry z ciebie dzieciak.

- A z ciebie idiota - odpalił Toby.

- Shane! - Tym razem Gina krzyknęła. Odwrócił się do niej i zrobił kilka chybliwych kroków w jej stronę. Nagle pod jego stopami obsunęła się jedna z dachówek i z głośnym stukotem wylądowała na

podjeżdżcie. - Myślisz, że nie ma takich dni, kiedy ja chcę wyskoczyć z tego okna? - Gina zniżyła głos w nadziei, że nie usłyszą jej Jensenowie.

- Co? - zapytał Shane.

- Myślisz, że w niektóre noce nie mam ochoty wyskoczyć z dziesiątego piętra?

Shane usiadł.

Przełknęła ślinę. Jej głos brzmiał w miarę spokojnie, ale kolana wciąż dygotały i czuła pieczenie w żołądku.

- Ale nie mogę. Bo mam syna. Kocham go i muszę się nim opiekować. A ty nie możesz się zabić, bo masz swoją muzykę.

- Moja muzyka to gówno. Jensenowie wycofali się z ulicy na chodnik.

- Policja - powiedziała pani Jensen.

- Nie, to nie jest gówno. Jesteś utalentowany i świat potrzebuje twojej muzyki. Jest potrzebna ludziom. - Boże, jakże miała dość prób wspierania i inspirowania innych.

- A ja potrzebuję ciebie. Kocham cię.

- To wracaj do środka. Porozmawiamy. - W jej pokoju zapaliło się górne światło. Wsunęła głowę do środka.

W drzwiach stał Toby.

- Sympatyczny chłopak. Gina zmrużyła oczy.

- Kochanie, on nie jest... Przepraszam. Zgaś światło. Nic nie widzę.

Toby zgasił światło, lecz nie ruszył się z miejsca.

- Nie opuszczaj mnie - błagał Shane.

- Shane, wszystko będzie dobrze. Obiecuję. Proszę, wróć do środka. - Gina wychyliła się z okna. Shane znów stał tuż przy krawędzi dachu.

W tej chwili nocne niebo rozdarły żółte i czerwone światła. Zza rogu wyjechał wóz strażacki. Gina zastanawiała się, dlaczego nie włączyli syreny. Pewnie żeby nie przestraszyć potencjalnego samobójcy. Westchnęła z ulgą i na moment zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, zobaczyła, jak Shane skacze z dachu. Widok był bardzo dziwny: najpierw wyskoczył w górę, jakby chciał pofrunąć. Przez ułamek sekundy flanelowa koszula tworzyła trójkątną pelerynę wokół jego chudego ciała, a rozłożone ręce przypominały śnieżnego anioła. Potem zniknął. Początkowo zapadła cisza, a potem rozległy się trzy dźwięki: krzyk pani Jensen, trzask krzewów i głuchy stukot ciała Shane'a uderzającego o ziemię. Ale o co? Trawę? Krzewy? Beton? Gina w szoku usiadła na brzegu łóżka.

- Mamo? - zapytał Toby. Raniący jej serce głos zniknął. Patrzył na nią nachmurzony, ale drżały mu wargi. - Myślisz, że on nie żyje?

Kiedy Gina zeszła z werandy na trawnik, sanitariusze ułożyli już Shane'a na noszach. Jęczał coś niezrozumiale. Gina trzymała się blisko domu, nie chcąc, by ją zobaczył. Nocne powietrze było chłodne i

wilgotne. Toby wyjrzał zza frontowych drzwi. Jensenowie spuścili głowy i odeszli szybko razem ze swoim psem.

Policjant przesłuchał Ginę. Opowiedziała mu wszystko, co zaszło tego wieczoru, o problemach Shane'a z alkoholem i wybuchach złości. Ponieważ Shane był agresywny i groził jej, policjant zapytał, czy chce, by zadzwonił do lokalnego ośrodka pomocy ofiarom.

- Gdzie...? - Przecież ona nie była maltretowaną kobietą. Nie mogła znieść myśli, że przez Shane'a policja i sąsiedzi pomyślą, że jest ofiarą przemocy. - On mnie nie zranił - powiedziała do policjanta. Dlaczego w ogóle zakochała się w kimś w barze?

- Rozumiem. - Policjant pokiwał głową. - Ale jest agresywny i jest alkoholikiem. Może kiedyś zechce pani złożyć prośbę o sądowy zakaz zbliżania się. - Podał Ginie broszurę. - Tu jest numer telefonu. Nie musi pani mieć adwokata. Wystarczy pójść do sądu rodzinnego i złożyć zeznanie o incydentach, do których doszło. Tego samego dnia dostanie pani zakaz tymczasowy. Potem razem z tym panem zostanie pani wezwana do sądu na oficjalne przesłuchanie w sprawie. Sąd na pewno zakaże temu panu zbliżać się na mniej niż pięćdziesiąt metrów do pani, syna lub do pani domu.

- Dziękuję. - Gina wzięła broszurę. Ten pan. Niezły żart.

- To moja praca.

Widząc litość w oczach policjanta, skuliła się. A może wpada w paranoję? Może to tylko dobroć. Kiwnęła głową i zmusiła się do uśmiechu.

Kiedy policja odjechała, Toby i Gina usiedli przy stole w kuchni. Gina naląła sobie kawę, a Toby'emu zrobiła gorącą czekoladę.

- Chcesz pograć na game boyu?

Pokręcił głową.

- Pooglądać Disney Channel?

Westchnął zde gustowany.

- To dla dzieciaków.

- Dobrze już, przepraszam. - Wstała, by umyć dzbanek po kawie.

- Czy będziemy musieli odwiedzić Shane'a w szpitalu? - zapytał.

- Nie, kochanie. - Zamierzała zadzwonić tylko do szpitala, by upewnić się, że nic mu nie jest, ale na pewno nie wybierała się z odwiedzinami. Gdyby znów zaczął ich niepokoić, złoży wniosek o zakaz sądowy.

- Mamo?

- Hmm? - Ciekawe, czy szpital udzieli jej informacji przez telefon.

- Nie mogłabyś wyjść za doktora Mackeya?

Gina wyłączyła wodę. Lodówka stukała i wzdychała.

- Kochanie, technicznie rzecz biorąc, on jest nadal żonaty.

- Ale wydaje mi się, że się rozwiedzie.

- Musiałby mnie najpierw poprosić o rękę. - Odstawiła dzbanek na suszarkę i odwróciła się do syna.

- A dlaczego ty go nie poprosisz?

- Zobacz, jak zrobiło się późno. - Wskazała palcem zegar. - Jest już po północy!

Toby zmarszczył brwi.

- No cóż, nawet gdyby doktor Mackey się rozwiódł...

- Co? I tak byś go nie poprosiła?

Gina pokręciła głową.

Toby kopnął w stół. Z blatu zsunął się dzbanuszek na śmietankę i spadł na podłogę. Połowa zawartości wylała się cienkim strumyczkiem.

Toby podniósł wzrok, jakby wiedział, że będzie miał kłopoty.

Gina wzruszyła ramionami.

- Wiem, kochanie - powiedziała. - Wiem. - Otworzyła dolną szufladę przy telefonie, wyjęła młotek i podała go Toby'emu. - Możesz rozbić dzbanek, jeśli chcesz. Dziś wieczór straciliśmy już cukierniczkę. - Kiedyś miała nadzieję, że uda się jej skompletować cały serwis porcelany Viceroya w fioletowe afrykańskie fiołki i liście ze złotymi żyłkami. Naczynia były drogie, więc kupowała je pojedynczo. Teraz już jej na nim nie zależało.

Toby przekrzywił głowę i spojrzał na nią. Gina położyła młotek na stole obok niego.

- Wiesz, że cię kocham? - zapytała.

Toby kiwnął głową. Ścisnęła go za ramię. Był stanowczo za chudy. Jutro wieczorem zrobi mu wielką kolację z domowym makaronem, serem i hot dogami.

- Chcesz zadzwonić do taty i porozmawiać z nim przez chwilę?

Pokręcił głową.

- Dlaczego nie możesz poprosić doktora Mackeya?

Bo znam odpowiedź. Bo czułabym się jeszcze bardziej zraniona i upokorzona, niż jestem. Nie sądzę, żeby mnie kochał, ale jestem gotowa z nim sypiać. Kocham go niemal tak mocno jak ciebie i niczego bardziej nie pragnę dla całej naszej trójki, niż zamieszkać razem w domu w miłej okolicy ze szkołą, która ci się spodoba, i dziećmi, które cię polubią. I chcę, żebyśmy potem mieli z doktorem Mackeyem dziecko. Ale tylko wtedy, gdy ty też będziesz tego chciał. Tylko wtedy, gdy będziesz na to gotowy. Najpierw jednak chcę, żebyśmy pobyli razem we trójkę.

- Ponieważ, kochanie... - Wsunęła palce w gęste włosy syna, szukając właściwych słów. Włosy, choć splątane, były miękkie i jedwabiste. Choć raz Toby nie cofnął się pod jej dotykiem. - To w ten sposób nie działa.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Elinor obudziło bzyczenie komara. Grozi jej gorączka Zachodniego Nilu! Nie, to tylko odkurzacz do liści na podwórku z tyłu domu. Nie, zaraz, brzmi raczej jak piła łańcuchowa przed domem. Drwale, ścinacze czy jak tam się nazywali - mordercy - już się zjawili. A nie było nawet ósmej. Mieli przyjechać dopiero na dziewiątą! Kiedy Elinor odrzuciła kołdrę, na podłogę spłynęła płachta papieru. Przykucnęła na podłodze. Nuty. Co Chopin robił w jej łóżku? Wrzuciła walca, który zawsze uważała za zbyt skomplikowany, do śmieci, weszła chwiejnym krokiem do łazienki, spryskała twarz wodą i przesunęła szczoteczką po zębach. Potem naciągnęła dzinsy pod koszulę nocną, bluzę przez głowę i wybiegła przed dom.

Na zewnątrz sierpniowe słońce już paliło niebo. Gniewny warkot piły odbijał się echem w sąsiedztwie. Drzewo było co prawda własnością miasta (nie wiedziała o tym, dopiero Noah jej powiedział), lecz mogli przynajmniej zadzwonić do drzwi. Jeden z robotników zwiślał z wysokiej gałęzi, przypięty do skórzanej obręczy wokół drzewa. Pomarańczowe pachołki odgradzały część ulicy. Wielka ciężarówka z przyczepą blokowała podjazd. Elinor nigdzie nie dostrzegła Noaha.

- Hej! - krzyknęła do mężczyzny na drzewie. Widziała tylko jego nogi w dzinsach. Na podjazd spadła wielka gałąź. Zza ciężarówki wyszedł drugi mężczyzna, pochylił się i wrzucił ją do rozdrabniarki. Jej warkotowi towarzyszył szum i pisk, zupełnie jak w blenderze wypełnionym po brzegi lodem.

- Proszę to wyłączyć! - Elinor ruszyła w stronę mężczyzny, machając rękami. Po piersiach pod bluzą płynęły strumyczki potu. - Proszę to wszystko wyłączyć!

Mężczyzna podskoczył przestraszony.

- Proszę pani? - krzyknął.

Elinor oparła dłonie na biodrach, próbując pokazać, kto tu rządzi, mimo że zwiślała z niej nocna koszula.

- Mielście tu być dopiero na dziewiątą. - Wskazała palcem dąb, który wyglądał, jakby ktoś wygryził mu kawałek korony. - Chciałam się jeszcze napić pod nim kawy.

Zmieszany mężczyzna zmarszczył brwi. Wyłączył rozdrabniarkę i pomachał ręką w powietrzu, sygnalizując wiszącemu na drzewie koledze, by wyłączył piłę. Jej warkot zamienił się w cichy szum.

- Zaczynamy wcześniej z powodu upału - powiedział, zdejmując czapkę i wycierając czoło wierzchem dłoni.

- No cóż, ja... - Zazwyczaj Elinor proponowała fachowcom lemoniadę lub kawę. - Nie możecie poczekać? Chcę tylko...

- Co? Chciała, aby sobie poszli, żeby mogła wziąć prysznic, wyjąć koc i książkę, położyć się pod drzewem i odzyskać ranek.

Kat zawiozła już dzieci do szkoły i właśnie parkowała na podjeździe. Na widok Elinor wyłączyła silnik i wyskoczyła z samochodu.

- Już? Na pewno chcesz to oglądać?

Elinor kiwnęła głową.

- Przykro mi, proszę pani - powiedział facet od rozdrabniarki, drapiąc się w umięśnione ramiona. Zmrużył oczy.

- Choroba może się przenieść na inne drzewa. Wiedziała pani, że przyjedziemy?

- O dziewiątej.

- Czy możemy zostać na chwilę same z tym drzewem? - zapytała Kat.

Mężczyzna przewrócił oczami.

- Zaczekaj! - krzyknął do faceta z piłą.

Kat pociągnęła Elinor w stronę dębu i obie stanęły w jego cieniu.

- Koniec z kawą z Warrenem. - Elinor poklepała pień dębu otwartą dłonią, jakby poklepywała kogoś po plecach. Drzewo wydawało się takie solidne. To ona miała spróchniałą i pustą głowę, w której brzęczały korniki.

- Nadal możemy pić codziennie kawę przed domem - przypomniała jej Kat. - Możesz przerzucić katalog i wybrać inne, zdrowsze drzewo.

- To będzie kosztowało. - Elinor zastanawiała się, ile kosztuje rozwód i czy za pół roku będzie jeszcze mieszkać w swoim domu. - Drzewa sporo kosztują.

- Drzewa nie rosną na drzewach! - Kat szturchnęła ją lekko w ramię.

Elinor parsknęła śmiechem.

- Spójrz na mnie. Muszę dochodzić do siebie po rozstaniu z drzewem... - Odwróciła się do Kat. - Czy byłaś taka cierpliwa, zanim miałaś dzieci?

Kat zastanowiła się, marszcząc mały, lekko spiczasty nos.

- Ja uważam twoją cierpliwość za oczywistą - powiedziała Elinor, zanim przyjaciółka zdążyła odpowiedzieć. Kat musiała chyba czuć się tak, jakby ona była jej czwartym dzieckiem.

Kat wzruszyła ramionami.

- Nie przejmuj się tym.

- W porządku? - zapytał poirytowany mężczyzna wiszący na gałęzi. Chyba było mu bardzo niewygodnie. - Proszę się odsunąć! Niektórzy z nas mają tu robotę do wykonania!

- Facet od rozdrabniarki zgasił na podjeździe papierosa jakby na potwierdzenie tego faktu.

Elinor wypadła z cienia i pobiegła na werandę. Kat ruszyła za nią. Dąb umierał i zagrażał innym drzewom. Ci faceci mieli robotę do wykonania i pocili się w upale. Kat musiała zająć się swoimi sprawami. Piła łańcuchowa wyla i skrzeczała, a gałęzie opadały z hukiem na podjazd. Elinor i Kat przykucnęły na schodach.

- Zrobić ci kawy? - Elinor próbowała przekrzyknąć ryk piły.

- Nie, dzięki! - odkrzyknęła Kat.

Elinor przyjrzała się pomarańczowej rozdrabniarce z wrzeszczącymi ostrzami i naklejkami UWA-GA, NIEBEZPIECZEŃSTWO. Nagle poczuła potrzebę, by wrzucić do niej jakąś rzecz z domu. Laptopa ze

wszystkimi e-mailami z biura. Dlaczego zgodziła się zajmować nimi w czasie urlopu? A może powinna wrzucić książkę o diecie Zone? Co się z nią w ogóle stało? Czy Ted oddał ją Ginie? Książka bez trudu prześliznęłaby się przez ostrza rozdrabniarki. Tak. Elinor wstała.

- Zaraz wrócę - powiedziała do Kat. - Minutkę. - Kat kiwnęła głową i krzywiąc się na hałas, czytała informacje ze szkoły odbite na kolorowych kartkach.

Elinor wpadła do domu, przebiegła przez hol, sypialnię i popędziła do łazienki. Sięgnęła na półkę po książki o bezpłodności. Kartki drapały ją w szyję i brodę. Zgarnęła je wszystkie, przerzucając z drżeniem leżącą na wierzchu. Przypomniała sobie dzień, gdy po raz pierwszy kupiła poradniki. Przerazały ją procedury, o których czytała. Z każdym rozdziałem stawały się coraz bardziej skomplikowane: histeroskopia, pobieranie jajeczek, zapładnianie, wstrzykiwanie plemnika do cytoplazmy. Dzięki Bogu, że nigdy nie będziemy musieli się do tego uciekać! myślała, kupując książki. Jednakże stopniowo przechodzili z Tedem przez każdy rozdział, a teraz wszystkie kartki pełne objaśnień i wykresów miały pozaginane uszy i pełno w nich było podkreśleń. Zatrzymała te książki, bo miała nadzieję, że razem zbiorą siły na kolejny cykl in vitro. Ale siła nie miała nic wspólnego z efektem. Przycisnęła stos książek do piersi i wypadła z łazienki.

- Co jest? - krzyknęła Kat, gdy Elinor przebiegła obok niej.

Elinor czekała przy żywopłocie, aż facet od rozdrabniarki odwróci się i sięgnie po świeżą gałąź. Podeszła do maszyny. Nie miała dość czasu, by wrzucać książki pojedynczo, więc cisnęła wszystkie naraz. Grzbiety, okładki i kartki zaczęły wirować, w słońcu migotały kolorowe podkreślenia. Grube tomiska wywołały w rozdrabniarce zupełnie inny dźwięk: tępe, żałobne dudnienie zamiast piskliwego jęku. Facet obrócił się, by wrzucić kolejną gałąź. Był cały spocony i marzył tylko o tym, by skończyć pracę. Elinor odstąpiła od maszyny, nareszcie uwolniona od ciężaru książek.

Kiedy usiadła obok Kat na werandzie, na podjazd wjechał duży zielony pikap, z którego wysiadł Noah. Spojrzał spod daszka czapeczki, by ocenić sytuację. Kiedy zobaczył Elinor, podszedł do niej szybko.

- Dzień dobry! - powiedział.

- Z czego się tak cieszysz? - zapytała.

- Przepraszam - odparł z zakłopotaniem. Zdjął czapkę i miętosił ją w dłoniach. Czy ucieszył się na jej widok? Był bardzo postawnym mężczyzną: miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, szerokie bary i umięśnione ramiona. Och. Toż to facet z reklamy papierowych ręczników firmy Brawny. Trochę starszy i bardziej łysy. Ale wcale nie wyglądał głupio. Było w nim coś naturalnie atrakcyjnego - jak u kogoś, kto spędza większość czasu na świeżym powietrzu. Elinor szybko przebiegła w myślach swój wygląd: biała koszula nocna wisząca nad starymi džinsami, stara bluza męża, boso stopy, różowy lakier na paznokciach, włosy w nieładzie. Przesunęła językiem po zębach w nadziei, że znajdzie resztki pasty. Kiedy przedstawiła Noaha Kat, pomachali do siebie na powitanie.

- Dużo jest ostatnio chorych drzew? - krzyknęła Kat.

- Niestety.

- Prowadzicie tu bardzo skuteczną operację - skarżyła się Elinor.

- Przykro mi z powodu drzewa. - Noah usiadł obok niej, opierając łokcie na kolanach. Włoski na jego przedramionach skręcały się w siwiejące kępki. Pachniał ostrym, czystym zapachem, jak eukaliptus. Elinor naciągnęła bluzę na kolana, próbując nieudolnie zakryć koszulę.

Uroczy, powiedziała bezgłośnie Kat, gdy Noah skupił uwagę na drzewie.

- Zrobię kawy - zawołała do niego trochę zbyt radośnie, jak stewardesa w pierwszej klasie. Noah podziękował, lecz Kat mrugnęła do Elinor i zniknęła w domu.

Warren został zredukowany do wysokiego na trzy metry pala totemowego. Pozostała tylko jedna z grubych gałęzi, skierowana w niebo jak ramię Statuy Wolności. Na pniu widać było białe kółka w miejscach, gdzie odcięto gałęzie. Facet na ziemi nadal wrzucał je do rozdrabniarki.

- Czy to za dużo chceć mieć swoje drzewo? - zastanowiła się na głos Elinor, gdy maszyna dusiła się i pluła trocinami.

Noah nie usłyszał.

Piła łańcuchowa wydawała z siebie jęk, a mężczyzna na drzewie chybotął się na ostatniej gałęzi. Po drugiej stronie ulicy trzy chude brzozy wykonały zalotny taniec na wietrze. Szumiały liśćmi, szydząc z Warrena swoim giętkim urokiem. Elinor odwróciła się do Noaha. Jego siwiejące wąsy były gęste i niezwykle równe na końcach. Poczła pragnienie, by ich dotknąć.

Ostatnia gałąź Warrena była bardzo uparta. Mężczyzna walczył, by ją ściąć. Wreszcie konar opadł na ziemię i potoczył się do stóp faceta od rozdrabniarki. Musiał się odsunąć i Elinor poczuła mściwą satysfakcję.

Obaj mężczyźni przyłożyli piłę do pnia i z całych sił próbowali go ściąć. Pod ich pachami widać było plamy potu. Wokół nich w powietrzu unosił drzewny pył. Wreszcie Warren zachwiał się i z głuchym dudnieniem padł na ziemię. Mężczyzna z piłą stracił na chwilę równowagę i wyrzucił ramiona w powietrze, jakby wykonywał nieudany strzał podczas gry w golfa. Padł na kolana i wyłączył piłę. Wreszcie hałas umilkł - nagle, jak mija ból głowy. W uszach Elinor nadal jednak dźwięczało jego echo. Gdzieś wysoko zakrakała wrona.

Wróciła Kat z kawą. Noah kiwnął głową z wdzięcznością i siedzieli we trójkę, popijając. Patrzyli, jak mężczyźni toczą ostatnią część pnia do ciężarówki, liczą do trzech i wrzucają ją na pakę. Zaraz potem wrzucili pomarańczowe pachołki, zamietli ulicę, pomachali do Noaha, wsiedli do kabiny i odjechali, ciągnąc za sobą rozdrabniarkę.

Bez dębu na trawniku było zbyt jasno, zupełnie jak na prześwietlnym zdjęciu. Elinor zrobiła kilka kroków, czując pod bosymi stopami wilgotną, lepką trawę. Noah i Kat ruszyli za nią. Warren wyglądał teraz jak niski stolik. Elinor podniosła liść. Był wybrzuszony i zjedzony w kilku miejscach. Kiedy go upuściła, dostrzegła, że włoski na ramionach ma pokryte żółtym pyłem drzewnym. W powietrzu unosił się zdrowy zapach, jakby tutaj dopiero coś zbudowano.

- Czy ona może posadzić tu coś dużego, co od razu dawałoby cień? - zapytała Kat Noaha.

- Miasto płaci tylko za sadzonki - wyjaśnił Noah - ale mieszkańcy mogą pokryć różnicę za większe drzewa. Mam w samochodzie książkę. Jeśli chcecie, mogę wam pokazać kilka zdjęć.

- Książkę! - wykrzyknęła Kat, jakby Noah powiedział, że ma tysiąc dolarów. - Ja muszę pędzić i zamówić wizytę u ortodonta. Wyobrażacie sobie, że to już? Ale byłoby wspaniale, gdybyś pomógł Elinor wybrać nowe drzewo. - Ścisnęła dłoń Noaha i pobiegła w stronę domu.

- Może teraz, kiedy to drzewo mi już nie zasłania, uda mi się dojrzeć las - powiedziała Elinor.

Noah przekrzywił głowę i uśmiechnął się.

- To miłe, że tak zależy ci na roślinach. Większość ludzi nawet ich nie dostrzega.

Nagle Elinor poczuła się nieswojo.

- Naczelne mnie zawiodły.

- Na pewno nie chcesz mieć ambrowca - powiedział Noah, pochylając się nad książką przy stole w kuchni Elinor. - Mają okrągłe lepkie szyszki, które są prawdziwą udręką, gdy na takiej staniesz. Och! - Jego oczy rozjaśniły się, gdy wpadł na nowy pomysł. - Powinnaś posadzić *Ginkgo biloba*, miłorząb. Spójrz. - Pokazał zdjęcie jasnozielonego liścia w kształcie wachlarza z ząbkowanym brzegiem. - Jesienią liście żółkną. Kiedy oświetla je słońce, wyglądają cudownie. I trafiły na spis drzew zatwierdzonych przez miasto.

- No proszę. - Elinor próbowała podzielać entuzjazm Noaha do zdjęcia żółtych liści. Nagle jednak wybór nowego drzewa i związana z tym myśl o zaczynaniu wszystkiego od początku przygnębiły ją. Ile jeszcze nowych rzeczy będzie potrzebowała w ciągu paru następnych miesięcy? - Może nawet nie zostaną w tym domu - powiedziała do zdjęcia jasnoróżowych kwiatów jakarandy. Jeśli nie dogadają się z Tedem, tak duży dom nie będzie jej potrzebny. Zamierzała wypełnić go mężem i dziećmi. - Co rano przesiadywałam pod tym drzewem, bo nie wiem, co zrobić ze swoim życiem.

- Wszystko po kolei - odparł Noah. - Nowe drzewo jest ci potrzebne, bo jeśli posadzisz jakieś ładne, dom tylko zyska na wartości.

- Racja. - Elinor próbowała skupić się na książce.

- Trudno uwierzyć, że jest ich aż tyle gatunków. - Zanim usiadła z Noahem przy stole, wpadła do łazienki, by zrobić siusiu, przebrać się w podkoszulek, umyć porządnie zęby i pomalować usta błyszczącym. Spryskała się też pod pachami wodą toaletową zamiast prysznicą, a teraz boi się, że pachnie jak bezpłatna próbka dołączana do magazynów.

Noah rozводził się nad akacjami. Są ładne, ale łatwo się rozsiewają, co niekoniecznie wychodzi na dobre.

- Nagle masz pełno korzeni i gałęzi tam, gdzie wcale ich nie chcesz...

Elinor zauważyła, że dziś też nie ma obrączki.

- Różowa jakaranda pięknie odcina się od tła... Drzewa, drzewa, drzewa.

- Jesteś żonaty? - zapytała nagle.

- ...liściaste... Co takiego? - Noah wpatrywał się w książkę, jakby tam mógł znaleźć odpowiedź. Pokręcił głową. - Rozwiedziony.

- Och, przykro mi. Jak długo? - Miała nadzieję, że nie jest zbyt wścibska, ale chciała się dowiedzieć, dlaczego ludzie się rozwodzą.

- Osiem miesięcy. Myślałem, że świetnie się z żoną dogadujemy. Oboje uwielbialiśmy spędzać czas na świeżym powietrzu... Ale pewnego dnia powiedziała, że jestem nudny, a ona potrzebuje czegoś więcej. Pomyślałem, że zaraz mi wyjaśni, czego potrzebuje... że będzie to coś, co mogę jej dać lub zmienić. Ale ona już to znalazła... Wiceprezesa do spraw sprzedaży w jej firmie produkującej oprogramowanie do komputerów. Jakby to nie było nudne. - Przerzucił kartkę w książce.

- Przykro mi - powtórzyła Elinor.

Jak na mężczyznę Noah był niezwykle rozmowny. Ale nie chciała już słuchać o drzewach.

- Ten facet zarabia góry pieniędzy - ciągnął. - Pobrali się, ot tak - strzelił palcami. - W podróż poślubną pojechali wspinać się do Tybetu. - Otworzył książkę na stronie z chorobami korzeni. - Ale ona spadła i wróciła do domu cała w gipsie. Okazało się, że bogacz jest kiepskim przewodnikiem górskim. Odwiedziłem ją raz w szpitalu, kiedy go tam nie było. Próbowałem pomóc jej przy kolacji i przypadkowo upuściłem groszek. Wpadł do gipsu. Zaczęła na mnie wrzeszczeć. „To jest metafora wszystkiego!”, krzyczała. - Odwrócił się z niedowierzaniem na twarzy. - Jeden groszek okazał się dla niej podsumowaniem wszystkiego.

Elinor wybuchnęła śmiechem na myśl o groszku wędrującym pod gipsem.

- Przepraszam - powiedziała. - To musi strasznie łaskotać albo swędzieć. Wyobrażasz sobie? - Zakryła usta dłonią, nie mogąc powstrzymać śmiechu.

Noah zmarszczył brwi.

- To był wypadek.

- Wiem. Dlatego to jest takie ironiczne i zabawne.

Noah wyglądał na urażonego. Im bardziej było mu przykro, tym bardziej Elinor dusiła się od śmiechu. Musiała zakryć twarz dłońmi i odwrócić się. Kiedy wreszcie spojrzała na niego, na jego twarzy malował się ten sam pełen urazy wyraz, któremu nie mogła się oprzeć. Ujęła jego twarz w dłonie.

- Przepraszam, przepraszam. Wiem, że to musiało być trudne. - Przysunęła się i potarła palcem jego ostre wąsy.

Ku jej zaskoczeniu Noah ugryzł ją w palec, przymknął jedno oko i uśmiechnął się szerokim, łobuzerskim uśmiechem pirata. Widząc to, pomyślała, że być może Noah ma jeszcze inne oblicze i potrafi nie tylko snuć nudne wywody na temat akacji. W tej chwili jednym szybkim ruchem podniósł ją z krzesła, zaniosł do saloniku i położył na podłodze.

- A ja chciałam tylko drzewo! - krzyknęła.

- Zaraz ci je dam - odkrzyknął.

Uklęknął obok niej i przyglądał się jej przez chwilę. Patrzyli na siebie, jak patrzy się na obraz w muzeum, chłonąc wszystkie szczegóły. Elinor wyprostowała ręce, objęła go za kark i przyciągnęła do siebie, by ją pocałował.

Kiedy jest się mężatką, nie tarza się po podłodze salonu o wpół do jedenastej rano z miejskim chirurgiem drzew. A Elinor była mężatką. Czy tak smakuje romans? Leżysz oszołomiona na plecach, oglądając po raz pierwszy w życiu spód stolika do kawy? Jakim cudem nigdy wcześniej nie całowała mężczyzny z wąsami? Były gęste i szorstkie, jak pędzel. Podobało się jej ciepło i ciężar ciała pochylonego nad nią Noaha. Odgarnął jej włosy z oczu i pocałował w obie brwi, łaskocząc ją przy tym w czoło wąsami. Potem podniósł jej podkoszulek i zaczął całować między żebrami. Elinor westchnęła i zamknęła oczy.

- Jesteś urocza - szepnął Noah, podnosząc głowę, by pocałować ją w usta. Ten pocałunek był głębszy, cieplejszy i bardziej słony. Jednakże w głowie Elinor wciąż wirowało słowo „urocza”. Czy to coś gorszego od „ładna”? Czy parę stopni niżej od „piękna”? To babcie są urocze. Powinna się odprężyć i... Duża i przyjemnie szorstka dłoń Noaha masowała jej piersi. To było o wiele lepsze od kawy pod drzewem.

Nagle zadzwoniła komórka Noaha. Jęknął i przewrócił się na bok, by spojrzeć na zegarek.

- Cholera - szepnął. - Dwadzieścia minut temu miałem być w innym domu.

- Nie ma sprawy. - Elinor poczuła ulgę.

Na razie wystarczy. Przede wszystkim musi wziąć prysznic.

Wstała, poprawiła stanik i bluzkę.

- Było zabawnie.

- Rozumiem, że mogę do ciebie zadzwonić?

- Masz przecież numer.

- Na razie nie przejmuj się drzewem - powiedział, wkładając buty, które rozwiązał i rzucił na bok. - Pomogę ci. - Pocałował ją w policzek. Elinor podobało się lekkie pieczenie, które czuła na skórze po dotyku jego wąsów.

Kiedy Noah biegł przez podjazd do swojego pikapa, pomyślała: „Strata: jedno drzewo, zysk: jeden chirurg drzew”.

Ted i Gina wypracowali już pewien schemat działania. W każde wtorkowe popołudnie Ted odbierał Toby'ego z klubu i jechali do księgarni Barnes & Noble, gdzie się uczyli. Potem Gina robiła im kolację u siebie w domu. Po kolacji Ted i Toby kończyli zadania lub grali w gry. Kiedy Ginie udało się namówić Toby'ego, żeby szedł już spać, razem z Tedem pili kawę lub wino, a potem szli do jej sypialni, gdzie jak najciszej się kochali. Ted uważał to wyzwanie za bardzo podniecające. Bali się kochać na łóżku, w obawie że zaskrzypi. Zamiast tego kładli się na podłodze lub sadzał Ginę na blacie toaletki. Pewnego razu przycisnął ją do ściany, a ona objęła go nogami w pasie. Kiedy Ted podniecał się nieco bardziej, zakrywała mu usta dłonią, która pachniała cebulą, czosnkiem i cytryną. On kreślił językiem kółka, spoglądając w jej jasnozielone oczy. Potem zazwyczaj kładli się do łóżka i zasypiali ze splecionymi nogami. Ted zawsze wychodził przed świtem. Ustawiał budzik w zegarku na piątą, jeszcze zanim przyjeżdżał do Giny na kolację,

bojąc się, że pewnego ranka obudzi się w jej ramionach. Sypialnię zaleje blask palącego słońca, a obok łóżka będzie stał Toby.

Kiedy wychodził w środowe ranki, było jeszcze ciemno, a trawa lśniła od rosy. Ulicą z grzechotem przejeżdżał stary biały ford kombi, a Wietnamczyk rzucał gazety na podjazdy. Godziny poświęcone na odrabianie lekcji, kolację, gry, seks i krótki, lecz głęboki sen napępniały Teda radością. Żałował, że wtorek nie jest codziennie.

Seks nie był nawet jego ulubioną częścią dnia. Najbardziej lubił siadać do kolacji z Giną i Tobym. Czasami grali w dwadzieścia pytań. Toby był bardzo dumny, bo zawsze z nimi wygrywał. Pewnego wieczoru zniszczył ich dwa razy z rzędu, „Howardem Johnsonem” i „wieczkiem”.

- Howard Johnson żył naprawdę? - zapytała Gina.

- Tak - odparł Ted. - Wymyślił ulepszone lody, dodając tłuszcz i różne inne składniki. Wiesz, że Wieczko też żył naprawdę? Był Wietnamczykiem i nazywał się Wie Chi Ko. Ale my mówimy „wieczko”.

- Naprawdę? - Gina uniosła z niedowierzaniem brew.

- Mamo! - Toby roześmiał się, jednocześnie poirytowany i rozbawiony. - Wiececzko! - krzyknął.

Z Giną łatwo było się przekomarzać, bo nie przemawiał do niej humor podszyty ironią. Ta szczerość urzekała Teda. Sarkazm zupełnie nie leżał w jej naturze. Zawsze mimo wątpliwości wierzyła ludziom na słowo i we wszystkim szukała dobrych stron. Na zasadzie kontrastu Elinor zawsze ze wszystkiego sztydziła.

- Nie macie dzieci! Możecie jechać do Europy, kiedy tylko przyjdzie wam ochota! - mawiała w dobrej wierze znajome na przyjęciach, udając, że im zazdrości. El zmuszała się do uśmiechu i popijała drinka. Jednakże w drodze do domu wściekała się.

- Czy Unia Europejska zamyka przed tobą drzwi, kiedy tylko się rozmnożysz? Wiem, że to haniebne ciągnąć dziecko przez Atlantyk i wmawiać mu, że Mona Liza jest tego warta. Rozumiem to!

- Wiem - odpowiadał Ted. - Wiem. - Ale czuł, że gniew Elinor jest wymierzony przeciwko niemu. Kiedy się tak wściekała, on kulił się i przekrzywiał głowę na bok. Lecz doceniając w pełni optymizm i pogodę ducha Giny, tęsknił za czarnym humorem Elinor. Bardzo by chciał, żeby jego pogląd na świat obejmował obie te perspektywy. Problem polegał jednak na tym, że nie myślał w dość szerokich kategoriach, by wyrobić sobie jakikolwiek pogląd na świat. Elinor mawiała, że jest zbyt krótkowzroczny. Może stało się tak dlatego, że przez cały dzień oglądał stopy. Nie ma nic bardziej krótkowzrocznego niż odcisk na dużym palcu. A duży palec jest bardzo ważny. Bez niego ledwie można chodzić. Nie można stać, a co dopiero wędrować przez życie.

- Jesteś taki milczący - powiedziała Gina, nakładając mu drugą porcję sałatki. Na przegubie ręki zadzwoniły srebrne bransoletki.

Ted uśmiechnął się i zjadł kawałek soczystego, pachnącego przyprawami kurczaka. Gina podała go z sałatą z musztardowym sosem i awokado. Popił wszystko łykiem wina Zinfandel, które sam przyniósł. Kiedy przełknął, zamknął oczy i przez moment wydawało mu się, że kocha dwie kobiety. Nie mógł sobie

wyobrazić, że mógłby nie kochać Elinor, a fakt, że w tej chwili nie chciałby się znaleźć w żadnym innym miejscu na świecie, musiał oznaczać, że kocha też Ginę. Kiedy otworzył oczy, pokój zdawał się kołysać. Chwytał brzeg stołu. Wypił wodę, potem znów wino. Rozgrzało mu pierś i sprawiło, że zatęsknił za nieosiągalnym: równoległym wszechświatem Zinfandela, gdzie możliwa jest każda kombinacja: małżeństwo z Elinor, życie z Giną, zadania domowe z Tobym.

- Wielkie nieba! - Gina śmiała się do Toby'ego, który naśladował nosowy sposób mówienia nauczyciela matematyki. Z jej ust wypadł kawałek marchewki.

- Suuuma! - zawył Toby.

Zakłopotana Gina zakryła usta serwetką. Zakaszła, wypła łyk wody, a w jej oczach zaśniły łzy śmiechu. Ted przebiegł spojrzeniem od Giny do Toby'ego. Mieli swoją chwilę - chwilę bez niego. Poczuł, że powinien wymknąć się z domu, bo ta dwójka wreszcie się pogodziła.

Został jednak i po kolacji pomógł Toby'emu z wierszem „Paul Revere galopuje”. Przekonał chłopca, żeby nauczył się go na pamięć, bo usłyszał w radiu, że można pozbyć się starych nawyków, zastępując je nowymi. Sądził, że jeśli Toby nauczy się wiersza na pamięć, uwolni się od liczenia i bębnienia palcami w stół. Powiedział mu, że kiedy tylko będzie chciał liczyć, powinien powtarzać w myślach strofy wiersza.

- „Jeden jeśli lądem, dwóch jeżeli morzem; a ja na drugim brzegu stanę” - recytował Toby, kołysząc się na piętach.

Wyglądało na to, że podoba mu się rosnące napięcie w wierszu i wszystkie wykrzykniki zmuszające do podniesienia głosu. - „Tam hen! Spojrzał na dzwonnicy szczyt, błysk, a potem promień światła!”.

- Mamo! - krzyknął z dumą do krzątającej się w kuchni Giny. - Nauczyłem się pięciu zwrotek!

Kiedy Toby położył się spać, Ted i Gina usiedli przy stole w kuchni i popijali porto. Gina wstała, by wyjąć z szafki pudełko czekoladek.

- Pomyślałem, że moglibyśmy uczyć się z Tobym we wtorki i czwartki - powiedział Ted. Giny wyprostowała plecy. Przez moment trzymała rękę w powietrzu. W końcu wzięła owinięte w złotą folię pudełko. Odwróciła się, położyła je na stole, lecz nie usiadła.

- Skontaktowałeś się już z prawnikiem? - zapytała.

- Po co?

- Żeby załatwić oficjalną separację. - Zniżyła głos.

- Rozwód.

- Och. - Wiedział, że powinien był o tym pomyśleć. Żył przecież jak w zawieszaniu, a to rodziło problemy. - Nie.

- Bardzo chciałby móc powiedzieć „Jeszcze nie”, ale to byłoby oszustwo. Czekał, by to Elinor zrobiła ten ruch. Powinien wreszcie skończyć z tą pasywnością. Powinien wiedzieć, czego chce, i zdobyć to. Nagle ogarnęła go nadzieja, że Gina złoży mu ultimatum.

Ale ona nic nie powiedziała.

- Poniedziałek i środa też wchodzi w grę - rzucił, czując się jak ostatni idiota.

Gina usiadła, odsunęła kieliszek i splotła ręce na kolanach.

- Jeśli złamiesz serce mojemu dziecku... - Podniosła wzrok na Teda. W jej głosie i oczach kryła się chłodna stanowczość, której nigdy wcześniej nie widział i która niemal go przerażała. - Elinor może zachcieć, żebyś wrócił, i w efekcie możecie się pogodzić. Wtedy nie będziesz już mógł spotykać się z Tobym. Im więcej czasu będziesz spędzał z nim teraz, tym bardziej będzie to przeżywał później. - Odwróciła wzrok. - Będę ci gotować kolację w jeden wieczór w tygodniu, bo mój syn cię uwielbia, i będę z tobą sypiać, bo jestem z tobą szczęśliwa i jestem idiotką, ale nie pozwolę ci... - Odrzuciła głowę do tyłu i przycisnęła dłonie do kącików oczu, by powstrzymać łzy. - Co ja wygaduję? - Kopnęła nogę od stołu zupełnie jak Toby. - Przecież już ci pozwoliłam.

- Wtorek - powiedział Ted. - Trzymajmy się na razie wtorków - Starał się uważnie dobierać słowa, bo chciał okazać zrozumienie i współczucie. - Przykro mi, że nie rozwiązałem swoich problemów. Bardzo chcę. Mam nadzieję, że w czwartki też będę mógł przychodzić. Kiedyś. - Cholera, jeśli nie była to zawołana, eufemistyczna obietnica, to nie miał pojęcia co.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Kiedy Elinor otworzyła drzwi, na werandzie stał Roger ze swoim wiaderkiem z przyborami do sprzątania. W ręce trzymał małą paczkę owiniętą w komiks z gazety.

- Wiem, że lubi pani czytać. - Wyciągnął paczkę w jej stronę. Na wierzchu Charlie Brown próbował kopnąć piłkę. Roger pochylił głowę, a jego blade policzki oblały się purpurą od бакów aż po linię jasnych włosów. Zawsze rumienił się bardzo szybko, jakby życie było po prostu zbyt żenujące.

Elinor wzięła podarunek.

- Dziękuję. - Może Roger durzy się w niej. A może czuje się swobodnie tylko ukryty za aparatem fotograficznym.

Kiedy mocował się z odkurzaczem, z głośnym stukiem na podłogę spadł mop.

Elinor przykucnęła, by mu pomóc.

- Mam większość z tych rzeczy - powiedziała. - Jeśli nie chcesz aż tyle przynosić. - Już w domu Elinor otworzyła paczkę, a palce poplamiała jej farba drukarska. W środku znalazła powieść zatytułowaną „Cal”.

- Och, Roger. Uwielbiam powieści. I pewnie powinnam przeczytać coś współczesnego. Ale niepotrzebnie zadałeś sobie tyle trudu. - Dotknęła jego ramienia. Jego skóra była lepka jak u chłopca. Żałowała, że nie ma małego, niechlujnego syna. Dzięki Tedowi wiedziałyby, jak rzucić mu piłkę do softballu.

Przeczytała notę na okładce. Dziejąca się w Irlandii historia opowiadała o losach młodego chłopaka, który zaangażował się w działalność IRA, a potem zakochał w starszej kobiecie. Na koniec razem się ukrywali. Aha.

- Czytaliśmy to w college'u na zajęciach z literatury irlandzkiej. - Roger wszedł do kuchni za czytającą Elinor.

- Zawsze chciałam pojechać do Irlandii. - Starła się mówić lekkim tonem. Położyła książkę na blacie w kuchni.

- Pamiętałeś, żeby przynieść życiorys i portfolio?

Roger strzelił palcami.

- Zapomniałem.

- Następnym razem. - Elinor chwyciła torebkę. - Bardzo dziękuję za książkę. Muszę już pędzić. Umówiłam się z mężem.

- Och - rzucił Roger i zarumienił się jeszcze bardziej.

- Powodzenia.

- Dzięki. Chyba będzie mi potrzebne.

Po drodze na spotkanie z Elinor Ted ćwiczył, co zamierza jej powiedzieć.

- Życie jest zbyt krótkie, by tkwić w zawieszaniu - mówił do radia. - Podejmijmy decyzję, co dalej. - Boże, to brzmi tak oficjalnie, jakby negocjował jakąś transakcję.

Ale co powinni zrobić? Jeśli Elinor chce walczyć, by ocalić małżeństwo, on też będzie walczył. W innym wypadku powinni załatwić oficjalną separację. Wtedy przestanie czuć się jak podstępny cudzołóżnik, który tylko czyha, żeby zranić Ginę i Toby'ego.

Ubierając się rano, miał nadzieję, że Elinor będzie dążyć do separacji. Ale teraz, w drodze do kawiarni, cieszył się tylko, że ją zobaczy, że z nią porozmawia. Czuł nieodparte pragnienie, by opowiedzieć jej o Ginie. Oczywiście nigdy tego nie zrobi, bo z pewnością by ją zranił. Elinor znała go jednak lepiej niż ktokolwiek, mimo że byli razem tylko parę lat. To ją chciał prosić o radę, jak rozwiązać problemy z życiem miłosnym. W przeszłości była zawsze pełna empatii i wspierała go pod każdym względem. Kiedy przez pewien czas nienawidził swojej pracy, to ona pomogła mu znaleźć współnika, by mógł otworzyć prywatną praktykę. Przy niej nigdy nie czuł się osaczony, nigdy nie wywierała na niego presji. Zawsze potrafiła znaleźć jakieś wyjście. Zupełnie jakby szli razem przez ciemną jaskinię, a ona trzymała latarkę. To dlaczego do cholery zdecydowali się na separację? Niecierpliwy kierowca zatrafił, gdy Ted ociągał się z ruszeniem na zielonym świetle.

- Jezu! - warknął, walcząc z impulsem, by pokazać mu palec. - Jest niedziela, na miłość boską! Wyluzuj! - Dodał gazu i ruszył z piskiem opon.

Elinor czekała na Teda w rodzinnej kawiarence w centrum miasta. Było chłodno, a ona wyglądała ślicznie w dzinsach i jasnoniebieskim sweterku z dekoltem w serek, który podkreślał błękit jej oczu. W środku Ted odsunął dla niej krzesło przy malutkim marmurowym stoliku. Usiadła i w zamyśleniu raz po raz maczała w filiżance torebkę z herbatą darjeeling.

- Tęsknię... - zaczął Ted.

- Spotykam się...

Ted roześmiał się, lecz Elinor mu nie zawtórowała.

Często zaczęli mówić równocześnie. Dawniej jednak mówili o podobnych rzeczach, chichocząc z powodu swego wycucia; teraz chodziło im o coś zupełnie innego.

- Za tobą - dokończył. - Miałem powiedzieć, że tęsknię za tobą. - Odsunął kawę, na którą nie miał ochoty. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów miał dość kawy, mleczka i pianki.

- Och. - Elinor zmarszczyła brwi. - Ja też za tobą tęsknię. - Zabrzmiało to jak rzecz najbardziej oczywista. Wszystkie przełomowe myśli, jakie przychodziły Tedowi do głowy, dla Elinor były oczywiste. Zawsze znajdował się pięć kroków za nią. Wreszcie wyjęła torebkę z filiżanki i wypła łyk herbaty.

- Nadal cię kocham - powiedział. Choć to wyznanie nie znalazło się w jego przeciwiczonej mowie, z pewnością było zgodne z prawdą. Zamęt spowijał mu głowę jak chmura. Pisk ekspresu do kawy działał na nerwy.

- Ja też cię kocham, Ted. - Spuściła głowę, by spojrzeć mu w oczy. - Zawsze będę cię kochać. Wiesz o tym. Ale czy na pewno sądzisz, że wyjdzie to nam na dobre?

Ted wzruszył ramionami.

- Jakie „to”? Co my robimy? To właśnie chcę wiedzieć. Dokąd to wszystko zmierza?

- Chodzi mi o tę przerwę. Spotykam się z kimś. - Odwróciła wzrok.

- Spotykasz się - powtórzył beznamiętnie Ted. - Co to dokładnie oznacza? - Przesunął ręką pod stolikiem i z obrzydzeniem natrafił na przyklejoną gumę do żucia.

- Umawiamy się. Chodzimy na wycieczki.

- Sypiacie ze sobą?

- Nie na sto procent. No wiesz, jeszcze nie. Ale nie o to chodzi.

- Czym on się zajmuje?

- Jest chirurgiem drzew. Przyszedł zbadać nasze drzewo.

- Chirurg drzew? Wygląda na to, że zbadał nie tylko drzewo. Czy skatalogował twoje krągłości?

- Daj spokój. - Elinor westchnęła sfrustrowana. - Musimy sobie coś wyjaśnić. Ty miałeś romans, a teraz masz mi za złe, bo umawiam się z kimś, gdy jesteśmy w separacji?

- We wszystkich greckich tragediach faceci są pełni wad, prawda?

Kąciki ust Elinor uniosły się w półuśmiechu. Wyrzała przez okno na samochody szukające miejsca do zaparkowania i na ludzi, którzy marzyli o dawce kofeiny.

- Myślisz, że mamy nad tym kontrolę? Może to rzeczywiście przypomina grecką tragedię. No wiesz, jak z Dydoną i Eneaszem. Ona kocha jego, on kocha ją, ale on mówi: „Do zobaczenia! Muszę iść do biura, bo bogowie tak postanowili”.

- To bogowie są dupkami.

- Nie żartuj.

- Ten twój klub jest strasznie ambitny. Nie czytacie nigdy kryminałów ani nic w tym stylu?

- One chcą czytać takie książki. Ale ja wybrałam „Iliadę”, a Kat „Eneidę”. Próbujemy mieszać literaturę współczesną z klasyką. Szczerze mówiąc, nie bardzo tam pasujemy. My chcemy rozmawiać o książkach. To wielkie faux pas. Mamy rozmawiać o książkach przez sześć i pół minuty, a potem narzekać na męża i dzieci.

Choć raz Elinor nie była zła na Teda. Mały romans z chirurgiem drzew i stała się zupełnie inną osobą. Świetnie, ale Paul Bunyan może już sobie iść. Co ten Tarzan wiedział o jego żonie? Z pewnością nie miał pojęcia, że nie znosi lizać kopert i woli staniki zapinane z przodu, lubi jeść wieprzowinę moo shu bez naleśników, jej ulubionym komiksem jest „The Quigmans”, a ulubioną piosenką „Can't You Hear Me Knocking” Rolling Stonesów. Nie wiedział, że wygrała kiedyś konkurs talentów na obozie, tańcząc hula z patelnią na głowie. Ten pasterz drzew nie miał o tym wszystkim pojęcia!

- No cóż, nadal wyglądasz jak grecki bóg - powiedziała Elinor. - Ćwiczyłeś?

- Grałem w piłkę nożną z chłopakami.

- I sypiałeś z Giną?

Ted skinął opuszczoną głową. Nie był pewny, co powinni zrobić, ale wiedział, że musi być z nią szczerzy.

- A ty będziesz sypiać z tym facetem od drzew? Z Tarzanem?

- Jak tam w pracy? - Elinor zmieniła temat.

Ted odwrócił się do okna. Wszyscy przechodnie byli tacy zaabsorbowani. Wszyscy zdawali się mieć konkretne plany na ten dzień.

- W porządku - odparł w końcu. - Jak tam twój urlop?

- Dobrze. No wiesz, jak wakacje. Czujesz, że powinienesz spędzić je jak najlepiej. Że wszystko powinno być wspaniałe.

- Tak.

Siedzieli w milczeniu. Jeszcze rok temu Elinor miałaby swojego „New Yorkera”, a Ted dodatek sportowy i oboje czytali by sobie najlepsze kawałki i dzielili się słodkościami, które jedliby do kawy.

- Może powinniśmy załatwić oficjalną separację - powiedziała. - Znam prawnika, który mógłby pomóc nam obojgu. Moglibyśmy przeprowadzić to na zasadzie mediacji. - Dotknęła delikatnie brody Teda i odwróciła jego twarz w swoją stronę. Na jej twarzy malował się uprzejmy, pytający wyraz.

- Ten sam prawnik reprezentuje obie strony. Celem jest trzymanie się z dala od sądu i osiągnięcie porozumienia. - Jej słowa wydawały się przeciwiczone. Zupełnie jakby też odbyła próbę w drodze do kawiarni. Mimo to brzmiała niepewnie, jakby i ona miała podobne wątpliwości jak Ted.

- Jeśli mamy to zrobić, to najlepsze wyjście - zgodził się.

- Nie mam ochoty wyrzucać zawrotnych kwot na honoraria dla prawników, którzy zaczną pracować. - Nie interesowała go walka o majątek: pieniądze lub dom. Z Elinor nigdy nie walczyli o rzeczy, które mieli. Walczyli o to, czego nie mogli mieć lub co stracili: dzieci, seks, namiętność.

- W porządku - odparła. - Zadzwoń do niego.

Prowadzili dziwną, kulturalną rozmowę. Słuchając jej, Ted miał ochotę przewrócić marmurowy stolik. Siedzieli, wytyczając wyraźne granice. Czyli to, czego Ted pragnął lub wydawało mu się, że pragnie, u Giny w domu. Teraz nie był już jednak pewny, czego chce. Chciał mieć ciastko i je zjeść. Chciał, żeby Gina je upiekła, a Elinor zamroziła, by mógł je zjeść gdzieś daleko, w krainie ponad tęczę, gdzie lody nigdy się nie topią. Co za idiota.

Elinor sięgnęła przez stolik i dotknęła jego dłoni. Opuszki jej szczupłych palców były takie miękkie.

- Co o tym myślisz? - zapytała.

- Nie wiem. To co ty. Zrobisz, co zechcesz.

Cofnęła rękę.

- Nie każ mi podejmować decyzji.

- Dobra - uległ Ted. Nic więcej nie przychodziło mu do głowy.

- Zadzwońię do niego. - Elinor odsunęła krzesło. - Umówię nas na spotkanie.

Jezu. Stale się z kimś umawiali. Z lekarzami, specjalistami, terapeutką, a teraz z prawnikiem. Może dla ich małżeństwa rzeczywiście nie było już nadziei.

Elinor zmiażdżyła w dłoniach pusty papierowy kubek.

- Nie chcesz chyba posadzić drzewa za sto dolarów w dziurze wartej dziesięć - powiedział Noah stając na łopacie, by wykopać głębszy dół na nowy miłorząb Elinor. - Zawsze powtarzam to moim chłopakom. - Wyjaśnił jej już, że powinni posadzić miłorząb co najmniej półtora metra od miejsca, w którym rósł kiedyś Warren. Resztki dębowego pnia zostały wykopane w pierwszej kolejności. - Pozostałości korzeni wyjedzą z gleby cały azot, a my chcemy zapewnić temu drzewku dobry start. Dodam trochę nawozu.

- Dzięki - powiedziała Elinor. Była sobota, wolny dzień Noaha. Mieli sadzić drzewko razem, ale tak naprawdę ona tylko podziwiała jego plecy. Miał szerokie, proste ramiona w przeciwieństwie do Teda, którego ramiona opadały od szyi. Nie oznaczało to wcale, że jedne były gorsze od drugich. Różniły się po prostu. Noah opowiadał dalej o miłorzębach, które pochodziły z Chin i można je było znaleźć w świątyniach buddyjskich w całej Azji. Na Zachodzie pojawiły się, gdy pewien Holender zakochał się w nich i przywiózł sadzonki do ojczyzny.

- No proszę. - Elinor czuła, że Noah trochę ją zmusza, by pokochała to drzewko. Lubiła przebywać na świeżym powietrzu, ale nie uwielbiała wszystkich drzew i krzewów, podobnie jak nie darzyła sympatią wszystkich ludzi.

Kiedy Noah skończył kopać, pomogła mu użyźnić glebę, wsypując nawóz i rozdrabniając go grabiami. Wreszcie wyjęli miłorząb z wiaderka i wsadzili do ziemi. Noah najpierw przysypał korzenie ziemią, a potem uklękął i palcami zrobił dookoła rowek na wodę. Elinor podobało się, że kopie w ziemi gołymi rękami.

Kiedy skończyli, pojechali na Skyline Boulevard i poszli na długą wycieczkę. Po wejściu na górę zdyszana i mokra od potu Elinor poczuła podniecenie jak na pierwszej randce. Zatrzymali się, by odpo-

cząć, a Noah przycisnął ją do drzewa i długo całował. Tak bardzo różnił się od Teda - wzrostem i budową, miał wąsy i łysinę. Dotykając go, czuła ten sam przypływ energii, który towarzyszy podróżom w obcym kraju.

Zawsze podniecały ją takie eskapady. Czuła się teraz trochę jak w szkole średniej, gdy z Timem Curringtonem uciekali z lekcji francuskiego i wybierali się nad jezioro, by pić z puszek piwo colt 45 i kąpać się nago.

„Zupa dnia!” - krzyczeli, skacząc z wysokiej skały do zimnej wody. Potem owijali się ręcznikami wykradzionymi z sali gimnastycznej i w ramach pracy domowej ćwiczyli francuskie pocałunki.

Na czwartej randce - Noah zaprosił ją do siebie na kolację - Elinor miała nadzieję, że będą się kochać. Przygotowując się w domu, wzięła długi prysznic i wysmarowała się balsamem do ciała zadowolona, że po grypie żołądkowej ma dużo bardziej płaski brzuch. Nie była pewna, czy to efekt nerwów, czy wirusa, ale od trzech dni było jej niedobrze i wymiotowała. Miała tylko nadzieję, że nie jest to zaraźliwe i Noah nie ugotuje nic zbyt pikantnego.

Kiedy kroił cebulę, siedziała przy wyspie w jego kuchni i obserwowała go. zaproponowała, że mu pomoże, lecz on nalegał, by się odprężyła i wypła kieliszek wina.

- Wiesz, że miłorząb liczy sobie podobno co najmniej dwieście milionów lat? - powiedział, otwierając pudełko z grzybami. - Nazywają go nawet czasem „nieśmiertelny”. Chińczycy używają jego liści od tysięcy lat w leczeniu różnych chorób.

- Naprawdę? - Elinor pragnęła gorąco, by rozmowy z Noahem sprawiały jej równie wielką przyjemność jak pieszczoty. Jego umiłowanie przyrody było urocze, lecz (przyznała to z niechęcią) trochę nudne. Nigdy nie słyszał o żadnej książce, którą czytała, i uważał, że Monty Python to facet. Czy Ted miał z Giną więcej wspólnego? Po raz pierwszy zaczęła podejrzewać, że ich związek jest głębszy. Odsunęła wino i popijała wodę, którą jej żołądek tolerował znacznie lepiej.

Noah kroił grzyby i narzekał na ludzi z Doliny Krzemowej, którzy kupowali domy i niszczyli ogrody tylko dlatego, że było ich na to stać.

- Zupełnie jakby chcieli powiedzieć: „Teraz tu mieszkam, więc muszę obsikać swoje terytorium”. - Uderzył się w pierś i zaryczał, po czym pokręcił głową z niedowierzaniem i wrócił do krojenia. - Jedna para wyrwała krzewy prusznika, które rosną bardzo powoli. Wiesz, to te, które mają na wiosnę piękne niebieskie kwiaty... - Wrzucił cebulę i grzyby na rozgrzany na patelni olej.

- Chyba tak. - Elinor nie była pewna.

Zapach gotowanego jedzenia odrzucał ją.

Po kolacji usiedli na kanapie przed kominkiem. Dom Noaha pachniał bardzo po męsku - skórą, mydłem do jej czyszczenia i mieloną kawą.

- Miłe rzeczy już nie są dobre - powiedział, patrząc posepnie na polano spreparowane przez firmę Duraflame leżące na kominku. - Uwielbiam prawdziwy, trzaskający ogień, ale to jest szkodliwe dla środowiska.

Gorycz w jego głosie przypominała Elinor ją samą. Najbardziej łączyła ich chyba skłonność do ponuractwa. Należeli do ludzi, których potrafi przygnębić głupie polano. Gdyby kiedykolwiek zostali parą, żyliby w pesymistycznym świecie, na zawsze zawieszeni w smutku i przygnębieniu.

- Kilka miłych rzeczy jeszcze zostało - mruknęła Elinor. Przysunęła się do niego i sięgnęła do szlufek jego spodni. Przesunęła językiem pod jego węsami, zaskoczona niemal narkotycznym uniesieniem, jakie wywołało całowanie nowej osoby. Próbowала sobie przypomnieć, kiedy wyparowała euforia, którą czuła na początku z Tedem. Zgodnie z jej rozumieniem małżeństwa nie powinna się wcale ulotnić, lecz zamienić w coś lepszego, głębszego, bardziej znaczącego. W rzeczywistości przypominała lekarstwo, które po pewnym czasie przestaje działać. Złapała się na tym, że stojąc w kolejce do kasy w supermarkecie, zaczęła czytać artykuły, jak ożywić życie seksualne, i z wdzięcznością patrzyła na wypełniony po brzegi wózek osoby stojącej przed nią, wiedząc, że zdąży przedrzeć się przez dziesięć sposobów, mimo iż znała je już na pamięć.

- Kobieta - zawarczał Noah. - W mojej jaskini. Brrrr. To dobrze. - Z pewnością lubił się wygłupiać. Miał w sobie radosną agresję, która bardzo się Elinor podobała. Podniósł ją z kanapy i zaniósł do sypialni. Rzucił ją plecami na łóżko i przycisnął ręce nad głową. Kiedy schował twarz pod bluzką, drapał ją w brzuch węsami ostrymi jak rękawica do masażu.

Seks był bardzo inny i bardzo dobry. Elinor poczuła się jednocześnie pobudzona i zmęczona. Kiedy Noah przewrócił się na bok, by objąć ją ramieniem w talii, włączył się telewizor.

- Położyłem się na pilocie! - powiedział ze śmiechem.

Królik Bugs szedł ostrożnie przez ciemną burzową noc w stronę zamku, w którym straszło. Elinor usiadła.

- Och, zostaw to! - To jej ulubiona kreskówka: z szalonym naukowcem podobnym do Petera Lorre'a i potworem w wysokich trampkach porośniętym rudą sierścią. Oparła się o poduszki i położyła głowę na nagim ramieniu Noaha. Przekrzywił głowę i uśmiechnął się do niej, a jego łysa czaszka zaśniła w niebieskawym świetle telewizora. Patrzył na nią, jakby była rzadkim okazem drzewa, które ogląda z radością, lecz nie do końca rozumie.

- Nie lubisz tej kreskówki? - zapytała. Noah nie śmiał się jak ona.

- W głębi serca pozostałaś dzieckiem - powiedział w zamyśleniu.

- Nie całkiem. - Elinor wskazała palcem ekran. - To klasyka.

Królik Bugs odwrócił uwagę potwora, proponując mu manikiur. Kiedy potwór włożył szpony do wody z mydłem, zaniósła się od śmiechu.

Noah skinął głową i uśmiechnął się blado.

- Skoro tak twierdzisz.

Nie lubił tej kreskówki? Czy może pociągać fizycznie ktoś, kto nie uwielbia Królika Bugsa? Czy łatwiej jest mężczyznom sypiać z kobietami, z którymi nie mają nic wspólnego?

Nagle Elinor nie mogła już dłużej zastanawiać się nad tym problemem. Grzyby, cebula i risotto paliły jej gardło i musiała popędzić do łazienki, by zwymiotować.

Rano, w drodze do pracy, Ted zadzwonił do Giny. Był dopiero czwartek i nie chciał czekać aż do wtorku, by spędzić wieczór z nią i Tobym. Tęsknił za nimi - zwłaszcza za optymizmem Giny. Jakimś cudem zawsze mówiła rzeczy, które podnosiły go na duchu. Była mądra jak terapeuta. Nawet jej głos był kojący. Ted z ulgą uświadomił sobie, że nie tęskni tylko za seksem z Giną. Tęsknił za jej uśmiechem, zapachem, za wszystkim.

- Cześć - rzucił, gdy podniosła słuchawkę.

- Co się stało? - zapytała. Musiała chyba wyczuć desperację w jego głosie.

- Nic. - Ted nie znosił rozmawiać przez telefon, prowadząc samochód. To nieostrożność, której rzadko ulegał. Ale musiał pojechać do gabinetu i chciał się dowiedzieć, kiedy będzie mógł się zobaczyć z Giną.

- Posłuchaj, chodzi o te czwartki. Chciałbym się z wami spotykać. - Zdjął stopę z gazu, uświadamiając sobie, że zbliżając się do skrzyżowania, jedzie zbyt szybko. - Chcę was widywać częściej. Nie pogodzę się z Elinor. Kontaktuje się z prawnikiem. Chcemy załatwić... - głos uwiązł mu w gardle - ...oficjalną separację.

- Dobrze - powiedziała po chwili wahania Gina.

- Czy mogę was zabrać dziś na kolację?

- Nie. Mam... mam już plany na wieczór. Może jutro, w piątek?

- Plany? Z kim? - Odchrząknął, próbując zachować spokój. - Z kim?

- Barry zabiera mnie na koncert. Oczywiście. Dziany elegancik.

- Niech będzie piątek. - Wieczór weekendowy. Wtedy umawiają się prawdziwe pary. - Wybierz restaurację.

- Zamówię gdzieś stolik - zaproponowała.

- Świetnie! A więc to prawdziwa randka. - Wtorki, czwartki i piątki. Niebawem wożone jaguarem dupsko Barry'ego zniknie z horyzontu. - Świetnie - powtórzył. - Tęsknię za tobą. Cholera, potrzebuję cię.

- Mnóstwo ludzi mnie potrzebuje - powiedziała bezbarwnie Gina. - Moi klienci. Mój syn. Shane.

Ted był zaskoczony jej tonem. Z pewnością ostatnim, czego pragnął, była jeszcze jedna osoba potrzebująca Giny. Ona z pewnością chciała mieć przy sobie kogoś, kto by ją kochał. Jednakże Ted nie potrafił wypowiedzieć tych słów.

- W porządku - rzucił. - Do zobaczenia w piątek.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła bolesna cisza.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Druga różowa kreska. Przez dwa lata Elinor żyła nadzieją, wypowiadała życzenie na widok każdej spadającej gwiazdy i zdmuchując na wietrze dmuchawca. A teraz z domowego testu ciążowego leżącego na kawałku papieru toaletowego na brzegu umywalki w łazience wpatrywały się w nią dwie kreski. No tak. Nie miała żadnej grypy żołądkowej. Okres spóźniał się o dziesięć dni, ale podejrzewała, że to wina nadciągającej menopauzy. Przypisywała chęć popołudniowej drzemki depresji. I bała się, że okres zbiegnie się z randką z Noahem. Jak zwykle martwiła się nie o to co trzeba.

Umyła ręce i wytarła je w spodnie od piżamy, nie odwracając wzroku od malutkiego okienka. Druga różowa kreska była bledsza od pierwszej, która zawsze pojawia się po zetknięciu z moczem na dowód, że test się powiódł, puls jest wyczuwalny lub coś w tym stylu. Nie była pewna. Przez dwa lata okienko szydziło z niej: puste, puste, puste. Myślała o drugiej różowej kresce jak o podstawowym symbolu kobiecości. Jego brak stał się największym symbolem porażki. Czasami przerzucała śmieci godzinę po zrobieniu testu, by sprawdzić wynik jeszcze raz. W inne miesiące siedziała w sypialni i kazała sprawdzać Tedowi.

Opuściła klapę toalety i usiadła oszołomiona. To nie mogło przyjść w gorszym czasie i nie mogło jej mniej obchodzić. Razem z nią w łazience była jej córka lub syn. Dziecko! Dziecko Teda. Z pewnością nie zaszła w ciążę po pierwszym zbliżeniu z Noahem zeszłej nocy. (Boże, już okazała się okropną matką. Wskoczyła do łóżka z obcym mężczyzną, nie będąc nawet w separacji z ojcem dziecka.) Cofnęła się myślami do nocy, kiedy kochali się z Tedem po raz ostatni - gdy znalazł ją śpiącą pod dębem. To było szaleństwo, ale czuła potrzebę, by zacząć robić wszystko inaczej i pożegnać się na dobre z dawnym życiem. Kiedy przypominała sobie, jak delikatnie kochali się tamtej nocy, ogarnęła ją czułość wobec Teda. To uczucie było spokojniejsze niż namiętność, zdrowsze, może łatwiejsze do utrzymania. Kiedy wstała, nudności powędrowały od kolan aż do gardła. Podniosła pokrywę i usiadła na podłodze obok toalety.

Musiała porozmawiać z Tedem. Razem zastanowią się, co dalej. Co ze spotkaniem z prawnikiem, na które ich umówiła. Gdy próbowała zadzwonić do kancelarii po raz pierwszy, rękę chwycił skurcz i nie była w stanie wystukać numeru. Ti-ti-ti!, szydził z niej telefon. Wyłączyła go na chwilę, by pomyśleć. Spotkanie z prawnikiem nie oznaczało wcale, że się rozwiodą. Dowiedzą się tylko, co niesie ze sobą oficjalna separacja i jakie mają przed sobą opcje. Na studiach prawniczych nigdy nie zwracała uwagi na szczegóły prawa rozwodowego, które wydawało się jej takie antagonistyczne. Wreszcie umówiła się. Kiedy tylko uda się jej wyczołgać z łazienki, wszystko odwoła.

Podniosła się z podłogi i odkręciła prysznic. Będą żyli z Tedem w separacji, a dziecko będzie mieszkać z nią. Będą mieli wspólną opiekę. Choć to może się okazać za trudne dla Teda. Czy mogą być tylko współlokatorami? Zdjęła spodnie od piżamy i top i weszła pod strumień wody. Kiedy się namydlała, poczuła, że piersi są bardzo tkliwe. Opuściła głowę i poddała się jeszcze silniejszej fali mdłości. Może taki optymizm to głupota? Czy rzeczywiście uda im się z Tedem dogadać? Myśl pozytywnie, powtarzała w duchu, wdychając głęboko parę. Od tej pory będzie myśleć wyłącznie pozytywnie.

Przestanie przeklinać. Będzie kupować tylko produkty organiczne. Zażywać kwas foliowy. Wyłączy radio w samochodzie i będzie słuchać tylko Mozarta.

Wycierając się ręcznikiem i myjąc zęby, raz jeszcze spojrzała na test. Druga różowa kreska wydawała się co prawda, lekko rozmyta, ale była. Włożyła spódnice, podkoszulek i sandały i potrząsnęła mokrymi włosami. Jak powie o tym Tedowi? To zbyt ważne, by zadzwonić do niego do pracy. Zatelefonuje i zaprosi go na kolację - powie, że ma do przekazania dobre wieści. Kiedy zastanawiała się nad przyrządzeniem steku z beszamelem, znów zebrało jej się na wymioty. Nie będzie się silić na wymyślną kolację. Za sprawą Giny, królowej domowych posiłków, gotowanie dla męża napępiało ją irracjonalnym strachem. Kupi sałatki w delikatesach i wybiorą się na piknik do parku - zupełnie jak dawniej, gdy umawiali się po pracy.

Zapach przejrzałego banana znów wywołał mdłości. Elinor zwymiotowała do zlewu, splukała wszystko wodą i opadła na stołek. Zadzwoniła na komórkę do Kat.

- Jesteś zdyszana - powiedziała przyjaciółka.

- Jestem w ciąży.

- Co? O mój Boże... - Kat zawiesiła głos. - Kto?

- Ted. - Elinor była zaskoczona świadomością, iż czułaby się szczęśliwa bez względu na to, kto jest ojcem. Zawsze pragnęła poślubić swoją wielką miłość i mieć dziecko w odpowiednim czasie. Teraz byłaby szczęśliwa, gdyby zaszła w ciążę z facetem z UPS roznoszącym paczki.

- Och, El.

- Nie mogę przestać rzygać. - Ogarnęła ją panika. Dziecko potrzebowało przecież składników odżywczych. A jeśli znów poroni?

- Musisz jeść.

- Wszystko zwracam.

- Spróbuj jeść lekkie węglowodany przez cały dzień. Tosty, krakersy i płatki. Trzymaj coś w torebce i zjadaj krakersa, jeszcze zanim wstaniesz z łóżka. Połóż je na nocnym stoliku, zanim pójdziesz... O mój Boże! - krzyknęła Kat.

- Na nocnym stoliku - powtórzyła Elinor, sięgając ociężale po chleb i wkładając kromkę do tosterka. Powinna była wiedzieć o krakersach! Poczucie niższości, które towarzyszyło jej zawsze, gdy próbowała zajść w ciążę, powróciło, a jakiś głos w jej głowie powtarzał, że się do tego nie nadaje.

- Czy Ted wie? - zapytała Kat.

- Nie. Najpierw zadzwoniłam do ciebie. - Ciepły tost był bardzo dobry. Starła się nie jeść go zbyt szybko.

- Pochlebia mi to, ale musisz zadzwonić do niego...

- Wiem - odparła Elinor z ustami pełnymi chleba. - Najpierw tost, potem Ted. - Nie miała dość sił, by zwierzyć się Kat ze swoich planów przekazania tej doniosłej wiadomości podczas pikniku.

- Mam tyle rzeczy, które mogą ci się przydać! - ucieszyła się Kat. Elinor, dołączywszy do sióstr, próbowała odepchnąć od siebie obawy przed poronieniem.

Po powrocie do sypialni odwołała spotkanie z prawnikiem. Powiedziała sekretarce, że później zaproponuje inny termin. Wszystko po kolei. Zaraz potem zadzwoniła do kliniki.

- Druga kreska jest trochę przerywana. Czy to w porządku? - zapytała pielęgniarkę.

Kobieta wybuchnęła śmiechem.

- Tak. Jest pani w ciąży.

Elinor usiadła na brzegu niepościelonego łóżka. Kiedy usłyszała, jak mówi to inna osoba - zawodowiec - zaczęła płakać.

- Tak się czasami dzieje, gdy pacjentka przerywa leczenie - wyjaśniła pielęgniarka. - Pani organizm jest jeszcze trochę pobudzony po lekach. Miała pani po prostu szczęście. Jedno z dobrych jajeczek wreszcie przedostało się przez jajowód.

Kiedy pielęgniarka zapytała o datę ostatniego okresu, Elinor musiała zajrzeć do kalendarza. Dawniej obsesyjnie obserwowała swoje cykle. Gdy zrezygnowała z leczenia, przestała zwracać na nie uwagę. Pielęgniarka dokonała jakichś obliczeń i powiedziała, że Elinor powinna przyjść jutro na badania krwi, żeby mogli zmierzyć poziom hormonów. Przepiszą jej również na wszelki wypadek progesteron i witaminy. Ponieważ okres spóźniał się już o dziesięć dni, Elinor mogła przyjść za cztery dni na badanie USG, by sprawdzić puls dziecka. Po dwóch tygodniach zrobią jej drugie badanie tego samego typu. Jeśli wszystko będzie w porządku, zwolnią ją i oddadzą pod opiekę ginekologa.

Oddadzą. Elinor poczuła się, jakby została skazana na odsiadkę w klinice. Żałowała, że nie może ominąć surowych gabinetów i wszystkich badań, pojechać windą prosto na oddział położniczy i czekać tam aż do porodu.

- Tyle przeszkód do pokonania - powiedziała na głos, a niepokój palił tosta w jej żołądku. Położyła się na łóżku i znalazła ukryty w pościeli liść klonu. Co do diabła? Podniosła go. Był ciemnoczerwony, idealnie ukształtowany i wyglądał zupełnie jak skórzany. Położyła go na stoliku nocnym zdenerwowana skomplikowanym rozkładem badań dyktowanym przez pielęgniarkę. Zaczęła szukać kawałka papieru. Jedyną przydatną rzeczą okazała się wizytówka prawnika, zapisała więc plan badań na jej odwrotnej stronie.

- Dzwoni pańska żona - powiedziała recepcjonistka do Teda, gdy szedł w stronę gabinetu, by zbadać wrastające paznokcie pani Carson. Postanowił odebrać telefon u siebie. Poza Larrym nikt nie wiedział, że są z Elinor w separacji.

- Cześć - rzuciła zdyszana, gdy podniósł słuchawkę.

- Mam wiadomości. - Po głosie było słychać, że stara się ukryć podniecenie. - Możesz się ze mną spotkać po pracy w Watson Creek Park przy stole piknikowym nad strumieniem?

- Jakie wiadomości? - Ted nienawidził niespodzianek.

Elinor zawiesiła głos.

- Wyjątkowe. Wszystko ci opowiem. Porozmawiamy. Urządzimy sobie piknik. Do zobaczenia więc? Nad strumieniem?

Ted oparł się o biurko. Jakie wieści mogą okazać się ważniejsze od „załatwmy oficjalną separację”? Nie załatwiamy separacji? Spojrzał na czarno-białe zdjęcie Elinor zrobione w dzień ich ślubu. Oglądała się przez nagie ramię, uśmiechała do niego od ucha do ucha, a na jedno oko opadało seksownie pasmo jasnych włosów. Świetnie się bawili na swoim weselu. Wszyscy twierdzili, że będą zbyt zdenerwowani i przejęci, lecz oni tańczyli z przyjaciółmi do północy, a potem przenieśli się ze wszystkimi do hotelowego baru.

- Dobrze - zgodził się.

Kiedy wyszedł po południu na zewnątrz, uderzyła go fala gorąca. Był jeden z tych dusznych od smogu jesiennych dni, kiedy trudno oddychać piaszczystym powietrzem. W takie dni marzył o wyjeździe z Doliny Krzemowej. Może przeniesie się do Calistogi i otworzy niewielką praktykę w starym wiktoriańskim domu. Ostatnio częścią tej fantazji stała się Gina. Rankami ćwiczyła jogę na drewnianej podłodze lśniącej w słońcu, a wieczorami na zabudowanej werandzie na tyłach domu. Ted i Toby grali w „Ryzyko” przy świetle latarni.

Wsiadł do samochodu, włączył klimatyzację na pełny regulator i ukołyszany jej szumem ruszył w stronę parku. „Wyjątkowy” to nie było typowe dla Elinor słowo. Z reguły odrzucała je za jego niejasność i nadużywanie. Można nim było określić wszystko: od nabywającego nowych umiejętności niepełnosprawnego dziecka po przyjęcie weselne. Wesele. Ted uderzył dłonią w kierownicę. A więc o to chodzi: Elinor chciała wyjść za chirurga drzew. Określenie „wyjątkowa” miało tylko osłodzić tę wiadomość. Walnął w kierownicę pięścią. Dlaczego do cholery Elinor nie zadzwoniła do niego, gdy drzewo zachorowało? To przecież i jego dom. Jego drzewo. Potrafił obchodzić się z piłą łańcuchową! Kim był ten facet, który zabił jego drzewo i odebrał mu żonę?

Choć wiedział, że to irracjonalne, egoistyczne i dziecinne, Ted czuł zazdrość o innych mężczyzn w życiu Elinor i Giny. Shane, Barry, Tarzan czy jak się tam ten dupek od drzew nazywa. Powinni wszyscy razem skoczyć w przepaść.

Wjechał na parking przy jeziorze. Razem z El spacerowali tutaj w czasie weekendów, kiedy jeszcze potrafili godzinami rozmawiać o pracy, życiu, książkach, które czytali, i remontach w domu. Zanim wszystkie rozmowy zaczęły koncentrować się na ich problemach. Znalazł miejsce w cieniu, wysiadł i ruszył po zeschniętej ściółce w dół zbocza. Zatrzymał się na widok Elinor, która stała w świetle padającym przez liście drzew i w letniej sukience wyglądała jak obraz impresjonisty. Krótkie włosy miała upięte, a pojedyncze pasma przyklejały się jej do szyi. Ted zamknął oczy i wyobraził sobie wilgotne, pachnące jabłkami miejsce na karku. Wziął głęboki oddech i pył podrażnił jego nos i gardło.

- Cześć! - zawołał, starając się, by zabrzmiało to wesoło.

Elinor podniosła wzrok znad stołu przykrytego plastikowym obrusem w biało-czerwoną kratkę. Na nim stała butelka wina, butelka gazowanej wody, pudełko z pieczonym kurczakiem i kilka kartonów z delikatesów z kawałkami melona, serem, chlebem i figami.

- Kolacja. - Uśmiechnęła się i usiadła, wycierając czoło papierową serwetką.

Przytulił ją szybko.

- Ślicznie wyglądasz. Co to jest? - zapytał, wskazując na stół.

- Chciałam z tobą porozmawiać w spokoju. Wina? - Nalała mu kieliszek pinot grigio, jeszcze zanim zdążył odpowiedzieć. Sama popijała wodę z plastikowego kubka. Posmarowała dla niego kawałek chleba serem.

Ted zaczął jeść. Kiedy jeszcze ze sobą chodzili, Elinor często organizowała takie pikniki. Chleb, sery i wędliny z delikatesów. Winogrona i wino. Choć nienawidziła gotować, zawsze świetnie radziła sobie z zakupami.

Elinor usiadła przy stole naprzeciwko Teda. Wydawało się, że ma problemy ze znalezieniem właściwych słów, by rozpocząć rozmowę. Jej twarz była niepokojąco czerwona z gorąca, a na czole i nosie lśniły kropelki potu.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Ted.

- Wspaniale. - Wstała, przełknęła ślinę, po czym znów usiadła. - Strasznie gorąco. - Uśmiechnęła się i skubnęła winogron.

Nagle zerwała się z miejsca, potknęła, próbując wyswobodzić nogi spod stołu, i popędziła w dół zbocza w stronę strumienia. Przy drzewie zwinęła się w pól i zwymiotowała.

- Dostałaś udaru! - Ted pobiegł w jej stronę, a pod jego stopami trzaskały gałązki.

Elinor podniosła głowę i spojrzała na niego. Nagle pobladła, a jej skóra wyglądała jak z wosku.

- Nie. - Roześmiała się i otarła łzę z policzka. - Jestem w ciąży.

- Jesteś w czym? - Ted stanął jak wryty i wypluł chleb. - W ciąży? - Marzył o tej chwili i miał nadzieję, że tak właśnie będzie wyglądać: Elinor powie mu o tym w najbardziej niespodziewanym momencie. W ciąży. Jego żona będzie miała dziecko. On zostanie ojcem.

- Naprawdę? Chodzi mi... - Usłyszał niedowierzenie w swoim głosie i wystraszył się, że urazi uczucia Elinor. Co za szalony zbieg okoliczności.

Przełknął ślinę, bo wydawało mu się, że w gardle utknął mu kawałek chleba. Chwileczkę. A jeśli Elinor była w ciąży z tym facetem od drzew? Może to on był przez cały czas bezpłodny? Niska ruchliwość... Zrobił krok w stronę Elinor.

- Ty... i ten chirurg od drzew...

- Ted! Nie. Ty. - Wytarła usta wierzchem dłoni. - My. - Zdania dłuższe niż jedno słowo wymagały od niej zbyt wiele energii. - Nasza ostatnia noc... Znalazłeś mnie pod drzewem, pamiętasz? Pielęgniarka powiedziała, że to prawie szósty tydzień.

Tedowi zakręciło się w głowie. Było mu gorąco, był zmęczony, stary, szczęśliwy i zbity z tropu. Wziął Elinor za rękę i ostrożnie poprowadził w stronę stołu. A więc znów będą razem. Jeśli ona spodziewa się dziecka, ich dziecka, muszą pozostać małżeństwem. Kiedy szli przez wyboisty teren, ugięły się pod nim kolana. Wypatrywał wystających korzeni, żeby Elinor się nie potknęła. Może rzeczywiście Grecy mieli szczęście w tych swoich tragediach: trudne decyzje podejmowano za nich. Wolna wola bywa ciężarem. Wystarczy o to zapytać wszystkich filozofów.

- Zrobiłam badania krwi i poziom hormonu HCG wynosi sto pięćdziesiąt jeden - mówiła z ożywieniem Elinor, gdy szli w stronę stołu. - To dobry wynik. Więc prawdopodobnie nie skończy się to... - urwała.

Poronieniem, pomyślał Ted. Ale mdłości i poziom hormonów nastrojały go optymistycznie.

Elinor zatrzymała się nagle i podniosła wzrok na Teda. Spocone włosy przykleiły się jej do czoła. Wyrwała rękę z jego uścisku.

- Nie przejmuj się. To nie oznacza, że znów musimy być razem. - Wyglądało na to, że błędnie wzięła jego milczenie za wahanie bądź rozczarowanie. - Chcę oczywiście, żebyś był obecny w życiu dziecka, ale nie chcę, żebyś czuł się zmuszony do czegokolwiek. - Wbiła w ziemię posępny wzrok. - Nie jestem pewna, co powinniśmy zrobić. Chyba coś... spokojnego.

- Kochanie. - Ted znów wziął ją za rękę i ścisnął mocno, prowadząc ją w stronę stołu. - Ja tylko przetwarzam informacje. - Chciał, by zabrzmiało to jak żart podkreślający nadużywane przez terapeutów słowo, lecz Elinor nadal patrzyła na niego ze zmarszczonymi brwiami. - Wprowadzę się do domu - powiedział. - Jeśli tylko zechcesz - dodał szybko.

Posadził ją na ławce, chwycił papierowe serwetki, zmoczył je wodą i wytarł jej czoło:

Elinor pokręciła głową.

- Musimy porozmawiać.

Ted przez moment rozważał możliwość, że będą wychowywali dziecko, nie mieszkając razem. To mogłoby się udać. Ale potem wyobraził sobie Tarzana, który wprowadza się do jego domu i przytula jego dziecko.

- Koniec z gadaniem - oświadczył. - Podejmijmy decyzję. Ja wracam do domu. Ty jesteś w ciąży, ja wracam do domu. - Podał jej butelkę gazowanej wody. - Wyplucz usta, ale wypluj wodę. Bąbelki tylko wywołają mdłości. Zaraz kupię ci wodę bez gazu. - Rozejrzał się po parku. Widział tylko otaczające go drzewa. - Chodźmy stąd.

Elinor wyplukała usta, wypluła wodę i skinęła głową.

- Nie dość, że mam poranne mdłości, to muszę jeszcze brać progesteron, który wszystko dziesięć razy pogarsza.

- Nie musiałaś tego robić. Chodzi mi o... - Ted wskazał przygotowane jedzenie. - To urocze. - Po całował ją lekko w czoło, grzbiet nosa i w oba policzki. - Dzięki.

Elinor skinęła bez przekonania. Schyliła głowę na kolana. Najwyraźniej była odwodniona i pewnie brakowało jej białka. Poziom elektrolitów musiał być okropny. Ted szybko zebrał jedzenie, wrzucając je do brązowych papierowych toreb. Zawiezie ją do domu, położy do łóżka i będzie miał na oku. Jeśli nie przestanie zwracać płynów, być może będą musieli pojechać do szpitala na kroplówkę.

- Wracajmy do domu. - Tedowi bardzo podobało się brzmienie słowa dom. Pojedyncza sylaba była przyjemnie stanowcza. „O” i „m” brzmiały jak medytacja. Jego żona go potrzebowała. Wracali do domu.

- Bardzo mi przykro - powiedział Ted do Giny.

Zgodnie z planem zabrał ją na kolację, tylko że teraz musiał z nią zerwać.

- Boże, wiedziałam, że tak będzie. - Odsunęła sałatkę. Przełknęła ślinę i przyglądała się parom siedzącym przy nakrytych białymi obrusami stołach i ściskającym się za ręce w blasku świec. Jezu, czy może być coś bardziej okrutnego od zrywania z kimś w romantycznej francuskiej restauracji? Tedowi dopiero teraz przyszło to do głowy. Co za dupek z niego. Tylko tchórze zrywają z kochankami w restauracjach. Przecież nie można okazać gniewu ani przerażenia, jedząc foie gras w miejscu publicznym.

- Złożyłem obietnicę tobie i Toby'emu i złamałem ją. Jest mi strasznie przykro. - Wyciągnął rękę, by nalać jej wino. Gina zakryła kieliszek dłonią. - Jesteś wspaniałą kobietą, a Toby wspaniałym dzieckiem i wiem, że znajdziesz...

- Och, oszczędź mi tego. - Gina odrzuciła włosy i dumnie wyprostowała plecy. - To mnie jest strasznie przykro, że byłam taka głupia. Wiedziałam, że kiedy tylko Elinor będzie chciała cię odzyskać, natychmiast do niej popędzisz. Toby i ja byliśmy tylko wynajętą rodziną.

- To niesprawiedliwe...

- W takim razie dlaczego... - Gina wciągnęła powietrze i złapała torebkę, próbując się opanować.

- To tylko na razie... - zaczął Ted. - Nie jesteśmy z Elinor pewni, co zrobimy. Potrzebujemy tylko trochę czasu, żeby wszystko przemyśleć. - Co on u diabła wygadywał i jakiej oczekiwał odpowiedzi na te słowa?

Gina patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Przepraszam. - Włożyła brązowy aksamitny blezer i odwróciła się, by wyjść.

- Porozmawiam z Tobym - zawołał za nią cicho Ted.

Gina odwróciła się gwałtownie i dźgnęła stół palcem wskazującym.

- Nie, nie porozmawiasz. Tego jestem pewna.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Mój mąż chce ze mną być - wyjaśniła Elinor Noahowi. Wiedziała, iż nie powinno się zrywać z kimś przez telefon, ale spotykali się od tak niedawna i miała tak mało energii, że nie chciała przeciągać tej sytuacji. - Jutro idziemy na badanie ultrasonograficzne.

- Rozumiem. - Rozczarowanie w jego głosie zaskoczyło ją. - Wiesz, na czym polega twój problem? - zapytał tak grzecznie, że Elinor nie miała ochoty się bronić.

- Który?

- Spodziewasz się, że wszystko wydarzy się w odpowiednim czasie.

- Wolalabym myśleć, że ten problem mam już za sobą.

- Chcesz być ze mną, ale nie możesz, bo chwila nie jest odpowiednia.

- Noah, dziecko to coś znacznie ważniejszego niż odpowiednia chwila. - I nie chcę z tobą być, pomyślała. Lubię cię, ale nie jesteśmy sobie przeznaczeni. Nie rozumiesz tego? Westchnęła. - Jesteś naprawdę miłym facetem.

- Miłym. To chyba przekleństwo. Dla mojej żony miły oznaczało nudny. Poza tym wcale nie czuję, że jestem miły. Mam ochotę kopnąć twojego męża w tyłek.

- Miły to wcale nie przekleństwo. Wiele dla mnie znaczyło, kiedy przyjechałeś, gdy ścinali drzewo, a potem pomagałeś mi posadzić nowe.

- Myślałem, że jesteś słodka.

- Dziękuję - powiedziała.

- Nie ma sprawy. Zajmowanie się chorymi drzewami to moja praca.

- Nie, chodzi mi o to, że spędzałeś ze mną czas. - Zawiesiła głos, szukając właściwych słów. - Dziękuję, że dzięki tobie poczułam się seksowna.

- Cieszę się, że na coś się przydałem. - Głos Noaha zabrzmiał weselej. - Poza tym jesteś seksowna.

- Świetny z ciebie facet, Noah. - Nie dla mnie, lecz dla kogoś innego. - Nie przestawaj w to wierzyć bez względu na to, co wygaduje twoja eks.

Cztery dni po ukazaniu się różowej kreski Elinor i Ted pojechali, by zobaczyć bijące serce. Tak naprawdę Elinor tylko udawała, że je widzi. Leżała na wznak z nogami w strzemionach. Biały papier pod nią zaszeleścił, gdy odwróciła się, by obejrzeć zamazany obraz na ekranie w ciemnym pokoju. Początkowo doktor Weston milczała, wpatrując się w ekran z pełną troski powagą.

- Tutaj. O, tu. - Twarz lekarki rozjaśniła się, kiedy pokazała małą rozmazaną kulę w szarej masie. - To bijące serce.

Elinor zamknęła oczy, po czym otworzyła je w nadziei, że zobaczy coś pulsującego.

- Jeju. - Ted przybliżył się do ekranu. Ty też go nie widzisz, pomyślała Elinor.

- To przez tę maleńką kulkę mam ochotę zdrzemnąć się na czerwonym świetle i rzygać do rynszto-ka? - Elinor zakryła usta dłonią. O Boże. Już zaczyna krytykować. Zupełnie jak matka, której nie podoba się strój córki wybrany na pierwszy dzień w szkole. - Miałam na myśli... Jest takie maleńkie.

W domu Ted przykleił zdjęcie z ultrasonografu do lodówki. Trójkątny obraz łona Elinor był szary i pełen zakłóceń - jak wadliwy obraz na czarno-białym telewizorze.

- Witaj - powiedziała Elinor do ich dziecka, które było małym białym punkcikiem w kształcie fi-staszka niewiele większym od innych białych punkcików widocznych na zdjęciu. Zaśpiewała piosenkę na melodię „Ta-Ra-Ra Boom-De-Ay”:

Kocham cię, embrioniku!

Proszę, niech ci wyrosną paluszki u rąk i nóg.

Chcę kupić ci ubranka, mój mały embrioniku!

Śpiewanie odpędzało niepokój związany ze wszystkim, co mogłoby zaszkodzić dziecku. Chlor w basenie, robiony na receptę krem do twarzy, spray przeciwko mrówkom w garażu, ser pleśniowy, Bóg je-den wie czemu. Świat jest pełen toksyn. Jak można chłonać te wszystkie informacje, nie wpadając przy tym w paranoję?

Elinor nie miała ochoty nic jeść i Ted stawał na głowie, by znaleźć przepisy i przygotować potrawy, które nie wywołają mdłości.

- Wiesz, skąd się wziął makaron Alfredo? - zapytał układając na blacie ser, mleko i masło.

Nie wiedziała. Powinna bardziej interesować się takimi sprawami.

- Rzymski kucharz żyjący na początku dwudziestego wieku nie mógł zmusić żony do jedzenia w czasie ciąży. Była coraz słabsza, a on rozpacział, że nie może jej nakarmić, a przecież to właśnie potrafił najlepiej. Ugotował więc świeży makaron, dodał stopione masło, parmezan, śmietankę, odrobinę gałki muszkatołowej i pieprzu i *voilà!* - Ted postawił na kuchence wodę na makaron.

- Brzmi dobrze. - Elinor była wzruszona troską Teda. Tak bardzo się starał. Kochała go za to. Czy można sobie życzyć lepszego ojca? Pogładziła się po brzuchu. Odkąd Ted się wprowadził z powrotem, był taki czuły i dobry. Taki... nabożny. To słowo, którego szukała. Tak przejął się nią i ciążą, że czuła się o wiele ważniejsza niż tylko żona i przyszła matka. Zupełnie jak pomnik narodowy lub zagrożony gatunek. Jej nowa pozycja sprawiła, że ich związek stał się bardziej oficjalny, jakby ich małżeństwo zostało zaaranżowane. Byli dla siebie niezwykle uprzejmi, co mogło działać na nerwy. Jeśli wpadali na siebie w kuchni lub łazience, natychmiast odskakiwali, a potem przeproszali się, całując w przelocie.

- Jak leci? - pytała matka, gdy dzwoniła, mając na myśli nie tylko ciążę, ale i małżeństwo.

- Świetnie, po prostu świetnie - odpowiadała Elinor. Choć nie była to wygładzona, przeznaczona tylko dla matki odpowiedź, nie bardzo pasowała do ich nowej sytuacji.

Elinor przypominała sobie, jak jej współpracowniczki radziły sobie w ciąży: pracowały do późna, podróżowały służbowo - wszystko bez najmniejszych problemów. A ona z trudem otwierała puszkę z zupą!

- To nadejdzie w drugim trymestrze - obiecywała Kat. - Poczujesz wielki przyływ energii.

Elinor czekała więc na tę energię, marząc, by tymczasem hormony nie igrały tak z jej emocjami. Kiedy w ogrodzie zoologicznym w Oakland umarł słoń, była niepokieszona. Oglądając w gazecie zdjęcie malucha, zakryła usta dłonią. Szczeciniaste uszy były za duże w stosunku do głowy i falowały w oczekiwaniu, by do nich dorósł. Ale nie będzie mu to dane. Pod nim widniało zdjęcie słonicy matki na wybiegu, która wyglądała na bardzo opuszczoną i przybitą.

- Słoń! - jęknęła Elinor do słuchawki, dzwoniąc do Kat.

- Co takiego?

- Umarł!

- Kto? - Kat była gotowa rzucić słuchawkę i popędzić przez trawnik do domu Elinor.

- W zoo. Umarł mały słoń. Zajrzyj do gazety.

- Och - Po drugiej stronie rozległ się szelest. - Biedactwo. Ale wszystko będzie dobrze - obiecała Kat.

Elinor nie mogła przestać płakać.

- Och, kochanie - powiedziała ze współczuciem Kat. - Słoń zastrzelił cię dziś rano jeszcze w piżamie.

- Yhy. - Elinor stłumiła szloch.

- To miała być nowa wersja tego żartu... - Kat zaczęła mówić głosem Groucho Marxa. - Zastrzeliłem słonia w piżamie...

- Wiem. - Elinor zupełnie straciła poczucie humoru. Zniknęło razem z energią. Oboje siedzieli teraz razem w jakimś motelu, popijając bez niej napoje z kofeiną.

- Hormony - powiedziała Kat.

- Wiem - powtórzyła Elinor. To była odpowiedź na wszystko. Powinna się uspokoić. Histeria tylko zaszkodzi dziecku. - Kiepsko sobie radzę - wyznała.

- Och, El. Będziesz wspaniałą matką. Zobaczysz. Postaraj się nie przejmować.

- Dobra.

- I nie czytaj gazet. Świat to jedno wielkie szaleństwo.

- Masz rację - zgodziła się Elinor. Będzie czytać tylko o ciąży.

Wzięła prysznic i ubrała się. Na górnej półce w łazience znalazła jedyną książkę, którą pozwoliła sobie kupić, próbując zająć w ciąży. „Czego się spodziewać, kiedy się spodziewasz”.

W kawiarni Starbucks popijała odtłuszczone ciepłe mleko z odrobiną cynamonu i przerzucała „Czego się spodziewać”. Na początek zawałowała zupełnie, zjadając rano babeczkę z białej mąki zamiast pełnoziarnistego tosta. I jak mogła w ogóle myśleć o kofeinie - to paskudztwo podobne do kokainy. Aten gorący prysznic wczoraj wieczorem? Pewnie poparzył IQ dziecka. Książka potwierdziła tylko, co Elinor wiedziała od dawna: jest niezdolna i niegodna, by zostać matką. Pieprzę cię, szepnęła do okładki. Wstała, zabrała mleko, które miało dla niej kwaśny smak, i przez podwójne oszklone drzwi wyszła na parking. Obok

jej samochodu stał kontener na śmieci. Podeszła szybko i wrzuciła do środka „Czego się spodziewać”. Pieprzę cię, powtórzyła, wrzucając za książką letnie mleko. Kiedy włączyła stacyjkę, poczuła, że wnętrzości skręca jej poczucie winy. Nic dziwnego, że tak długo nie mogła zająć w ciąży. Nie potrafiła nawet przeczytać książki o ciąży. Musi ich być więcej, i to znacznie przyjemniejszych. Zapyta Kat. Bez niej nie dała by sobie rady.

Wyjechała z parkingu i ruszyła w stronę In-N-Out, by kupić cheeseburgera i frytki. Marzyła o mrożonej herbacie, lecz znowu zamówiła odtłuszczone mleko. Tęskniła za kofeiną, jakby była utraconym kochankiem. Była gotowa zabić za herbatę, kawę lub colę. Wszystko, byle nie ziołowa herbatka z cynamonem, która pachniała jak potpourri w pralni.

Kiedy siedziała w samochodzie na zacienionym parkingu, wsuwając do ust frytki i przeklinając książkę „Czego się spodziewać”, pomyślała o Ginie, jej zdrowych przepisach o siemieniu. W ciągu kilku minionych dni nie mogła przestać o niej myśleć. Przymusowy pobyt w domu pozostawiał zbyt dużo wolnego czasu na myślenie - setki samotnych chwil, podczas których mogła rozważać wszystkie cechy, jakie przyciągnęły Teda do Giny. Cechy, których ona nigdy nie będzie posiadać: optymizm i pogoda ducha typowe dla uczennicy szkoły średniej, zamiłowanie do sportu, sylwetka smukła jak brzozy na podwórku sąsiadów.

Tego wieczoru Ted był zbyt zmęczony, by gotować, i zgodził się przywieźć Elinor pizzę z serem i pepperoni.

- Pycha - jęknęła. Siedzieli przy stoliku w salonie przed telewizorem. Z brody zwisał jej ser.

Ted popijał piwo korzenne. Postanowił być solidarny i też zrezygnował z wina, piwa i kawy. Pochylił się, by wsunąć poduszkę pod plecy Elinor. Nagle uświadomiła sobie, jaki dobry jest jej mąż. Takie samo współczucie okazywał swoim pacjentom. Nic dziwnego, przecież tym teraz właśnie była - pacjentką.

- Mogę ci coś podać? - skinął głową w stronę kuchni.

- Nowy mózg. Tak łatwo się wzruszam. - Zwinęła serwetkę w kulkę. - To na pewno nie jest dobre dla dziecka.

- To normalne - Ted wzruszył ramionami. - Hormony.

Elinor opuściła wzrok na poplamione tłuszczem pudełko po pizzy. Zastanawiała się, czy Ted tęskni za domowymi posiłkami Giny.

- Tęsknisz za nią czasami? - zapytała.

- Za kim?

- Za Giną.

- Raczej nie. - To dobra odpowiedź, bo nie musiał uciekać się do kłamstwa. Ted był bardzo uczciwy. Zawsze mów prawdę, jeśli nie jest okrutna, radziła matka Elinor. Jednakże wyraz twarzy Teda zdradził go. Jego czoło zmarszczył smutek, który pokazał, że tak naprawdę tęskni za kochanką. Elinor była tego pewna. Ale zrezygnował z niej, by zostać z żoną i mieć dziecko.

- Ja myślę o Noahu tylko trochę - powiedziała.

W pozycji horyzontalnej, pomyślała.

- Super. - W głosie Teda słychać było zazdrość.

- To ty miałeś...

- Będziemy to przerabiać dziś wieczór? Wskakujemy do autobusu z napisem „Przerabiamy wszystko od nowa”? - Ted wrzucił niedojedzony kawałek pizzy do pudełka.

- Nie. - Elinor przyciągnęła kolana do brzucha, zastanawiając się, jak będzie wyglądała, gdy już znacznie się zaokrąglała. Ona jeździła tym autobusem codziennie. Rozmowy o romansie zamiast udawania, że nigdy go nie było, pomagały jej uciekać przed czarnymi myślami. Kiedy rozmawiała z Tedem, nie była zła. Potrafiła zachować typowy dla prawnika analityczny dystans - próbowała jedynie uporządkować cały ten bałagan. - Przepraszam - mruknęła. Przysunęła się do męża, odsuwając stół, by móc oprzeć głowę na jego udzie. Ted pogładził ją po włosach. Zawsze lubiła jego ręce pachnące szpitalnym mydłem - ten zapach nappełniał ją poczuciem bezpieczeństwa.

- No proszę! - Doktor Weston westchnęła z ulgą. - Jest tutaj. - Pokazała palcem miejsce na ekranie ultrasonografu.

- Wasze dziecko.

Elinor i Ted pokonali następną przeszkodę: drugie badanie ultrasonograficzne w ósmym tygodniu ciąży.

Dziecko. Elinor po raz pierwszy usłyszała to słowo w klinice leczenia bezpłodności. Pęcherzyk Graafa, jajeczko, zygota, embrión, bijące serce, dziecko. Zamiast wpatrywać się w ekran, podniosła głowę, by odszukać twarz Teda.

Jej mąż nie odrywał wzroku od zamglonego szarego ekranu.

- Jejku - powiedział zdumiony. - Tyle zachodu, by dotrzeć do miejsca, w którym większość ludzi zaczyna.

- Już w nim jesteście - powiedziała lekarka, włączając światło. - Nie bierzcie tego do siebie, ale uwielbiam sytuacje, gdy nie muszę już więcej oglądać przyszłych rodziców.

Elinor wzruszył fakt, że doktor Weston wydawała się równie przejęta i pełna nadziei jak oni.

Ted pomógł jej usiąść. Jego oczy były pełne łez, które nie płynęły jednak po policzkach.

- Proszę zadzwonić do swojego ginekologa - powiedziała doktor Weston - i umówić się na pierwsze badanie prenatalne. - Stała, opierając dłonie na ramionach ich obojga.

- Tylko koniecznie przyjdźcie pokazać mi dziecko. - Puściła do nich oko, po czym wybiegła z pokoju, by zająć się następną pacjentką.

- Dziękuję - zawołał za nią Ted.

Elinor zsunęła się ze stołu do badań i włożyła majtki i spodnie.

- Dziecko - szepnęła. A już myślała, że to słowo nigdy nie znajdzie się w jej słowniku.

- Chcesz odnowić przysięgę małżeńską? - zapytał Ted wieczorem, gdy leżeli już w łóżku. - Czy to nie nazbyt cikliwe?

- Nie. - Elinor odwróciła się, by się do niego przytulić, ukojona ciepłem jego ciała.

- Moglibyśmy pojechać na Hawaje - myślał na głos Ted.

- Chyba nie powinnam latać.

- Kiedy dziecko już się urodzi. Jakies pół roku po wielkim wydarzeniu. Pojedziemy na Maui. Wynajmiemy apartament. - Odwrócił się do niej i leżąc na boku, oparł głowę na rękę. - Wyszłabyś za mnie drugi raz?

- Wiesz, że tak.

- Nie chodzi mi o to, żeby cofać czas, ale po tym wszystkim, co się stało. Czy wyszłabyś za mnie teraz? - Spojrzał jej prosto w twarz. Wygładziła mu włosy, by zyskać na czasie. Usłyszała nie zadane pytanie: „Wybaczysz mi, że cię zdradziłem?”

- Tak - odparła. - Wyszłabym.

Ale chciałabym się dowiedzieć, dlaczego zdradzałeś swoją żonę, pomyślała. Jak to uzasadnisz. Czy zrobisz to jeszcze raz.

Ted objął ją jeszcze mocniej. Elinor rozluźniła się, gdy masował jej piersi. Zamknęła oczy i westchnęła, czując jego erekcję w dole pleców. Choć raz czuła się zgrabna i seksowna, a nie jak Naczynie.

- Seks nie robi dziecku krzywdy - szepnęła.

Ted schował twarz w jej włosach i pocałował ją w szyję.

Kiedy Elinor wyprostowała nogi i wygięła plecy w łuk, poczuła w nogach łóżka coś miękkiego i wilgotnego. Usiadła i odrzuciła pościel. Zobaczyła garść żółtych płatków róży z ogrodu rozrzuconych na prześcieradle. Wilgotne przyklejały się do jej palców.

- Jakież to romantyczne. - Odwróciła się do Teda. Zamknęła oczy i przyłożyła płatek do nosa, by wdychać słodki zapach.

- Uhm... Tak - powiedział Ted.

- Co byś powiedziała na Boże Narodzenie w Dublinie? Prosto z powieści Jamesa Joyce'a? - Elinor natychmiast rozpoznała w słuchawce głos swojego szefa, Phila, mimo że się nie przedstawił ani nie powiedział „Cześć”. Kiedy był czymś podekscytowany, często zaczynał rozmowę bez żadnych wstępów.

- Phil, to ty? - zapytała. - Czy może irlandzkie biuro podróży?

- Chciałabyś stanąć na czele zespołu do spraw przejęć w Dublinie? - ciągnął. - Z chęcią wyślę tam z tobą na jakiś czas Teda, jeśli będzie mógł się wyrwać.

- U mnie wszystko w porządku, a u ciebie? - droczyła się z nim, przyciskając słuchawkę ramieniem do ucha. Robiła listę zakupów bogatych w kwas foliowy. Koniec z tłustym jedzeniem!

- Przejmujemy bardzo prężną małą sieć w Dublinie. To rewelacyjna grupa inżynierów, a ty jesteś najlepszym specjalistą od międzynarodowych spraw personalnych, jakiego mam. Chciałabyś tam popracować przez sześć tygodni? Pomyślałem, że ci się to spodoba jako posiadaczce dyplomu z literatury angielskiej.

Elinor właściwie nie powinna mieć nic przeciwko pracy za granicą. Lubiła uczyć się praw pracowniczych i związkowych, obowiązujących w innych krajach, opracowywać przyzwoite pakiety dla zatrudnianych i odchodzących pracowników. Teraz jednak była uziemiona.

- Bardzo bym chciała, ale muszę odmówić. Jestem...

- Nie zamierzała mówić o ciąży nikomu w firmie, dopóki nie będzie jej widać w drugim trymestrze. Jednakże przed Philem nie kryła kuracji in vitro. Jak inaczej mogła wytłumaczyć częste wyjścia do lekarza? Mógłby pomyśleć, że wpadła w narkomanię. - Jestem w ciąży.

- Och. - Elinor usłyszała rozczarowanie w jego głosie.

- To wspaniale. Gratulacje!

- Nie martw się - uspokoiła go. - Oszalałabym w domu. Wracam do pracy pierwszego listopada, zgodnie z planem.

- To właśnie chciałem usłyszeć - zapewnił ją. Jakby tego sama nie wiedziała.

Podlewając miłorząb, nie musiała trzymać węża. Noah powiedział, żeby włączyć rozproszony strumień wody i wrócić po dwudziestu minutach. Elinor lubiła jednak czuć przyjemne ciepło na plecach i patrzeć, jak woda wsiąka w glebę. Pozostawało po niej ciemnobrązowe kółko pachnące jak las sekwojowy. Nagle ujrzała przed sobą zielone oczy Noaha, gęste wąsy i dwa dołki w policzkach. Przypomniała sobie jego śmiech. Ogarnęła ją lekko pijana radość, kiedy wyobraziła sobie ostry dotyk wąsów na swoich wargach i piersiach.

Zadrzała i wyciągnęła rękę, by dotknąć jeden z jasnozielonych liści na drzewie. Zamiast o Noahu pomyślała o pokoju dla dziecka. Początkowo martwiła się, że to może rzucić zły urok na ciążę, ale teraz coraz częściej snuła plany, jak umebluje słoneczny pokój. Przy jednej ze ścian postawi kanapę, gdzie będzie karmić dziecko piersią i być może odpoczywać, gdy maluszek zapadnie w drzemkę. Wyobrażała sobie też wbudowane w ścianę półki, na których będzie stała równo dziecięca klasyka: „Stuart Malutki” i „Jagody dla Sal”. Będąc w ciąży, Elinor uwielbiała wyobrazać sobie przyszłość. Przyszłość z prawdziwą pracą - bezpieczny azyl, który sama stworzy.

Towarzyszyła jej jednak dziwna obawa, że będzie kochać to dziecko zbyt mocno. Pewnego dnia, gdy pojechali razem z Tedem na zapłodnienie in vitro, w klinice na korytarzu zauważyła rząd malutkich wózków inwalidzkich. Dla dzieci. Oczywiście. Ta świadomość była dla niej jak cios prosto w żołądek. Można mieć dziecko, a potem coś może mu się przydarzyć. Wiedziała, że takiego smutku nie byłaby w stanie znieść.

Podskoczyła przestraszona, gdy Ted dotknął ją w ramię.

- Ja - powiedział, uderzając w drzewo w pięść, jakby sprawdzał oponę - nie wybrałbym tak rozłożystego drzewa od ulicy. Każdy, kto zaparkuje pod nim jesienią, będzie miał cały samochód w liściach.

Rozbawiła ją pogarda w jego głosie.

- Zauważyłeś te? - Pokazała na rząd wspaniałych miłorzębów rosnących w dole ulicy. - Są przepiękne.

Wzruszył ramionami.

- Skoro tak twierdzisz.

Elinor parsknęła śmiechem.

- Właśnie tak twierdzą.

- Pani Mackey? - zapytał cichy głos, gdy Elinor podniosła słuchawkę.

- Przy telefonie. - Wyglądała narzutek szczęśliwa, że wreszcie pościeliła łóżko, bo aż do tej chwili nie znalazła w sobie dość energii.

- Hmm... Chciałem zapytać, czy mógłbym zaopiekować się dzieckiem. No wie pani... kiedyś.

- Kto...

- Mieliśmy dziś w szkole zajęcia. Przynależenie do życia w rodzinie. Wiem, to głupia nazwa. Ale uczyliśmy się, jak opiekować się dzieckiem. Każde z nas dostało swoją lalkę i pokazali nam, jak trzymać niemowlę. Trzeba podtrzymywać mu główkę zwiniętą dłonią, bo gdy dzieci są naprawdę małe, nie mogą same utrzymać główki...

- Toby? - Elinor rozpoznała zdyszany głos syna Giny. Jego gorączkowo-astmatyczny sposób mówienia, jakby brakowało mu powietrza. Usiadła na łóżku.

- Ach tak! Zapomniałem powiedzieć, że mówi Toby.

- Chciałbyś porozmawiać z doktorem Mackeyem? - Elinor starała się opanować irytację.

- Szczerze? Chciałem porozmawiać z panią. - Jego głos zabrzmiał radośniej. - Zapytać, czy mógłbym zaopiekować się dzieckiem.

- Skarbie, my nawet jeszcze nie mamy dziecka. - Starła się zachować spokój. Z pewnością nie chciała, by Toby powiedział swojej matce: „Ta baba jest okropna!”.

- Zawsze chciałem mieć brata, ale moja mama go nie urodzi, bo wie pani, ona nawet nie potrafi znaleźć sobie męża. Straszny z niej nieudacznik.

- No cóż, ja... - Niezły numer z tego chłopaka. Gina nie jest nieudacznikiem. Dziwką. Cudzołożnicą. Ale z pewnością nie jest nieudacznikiem.

- Pomagałbym we wszystkim w domu i nie grałbym tak dużo na game boyu, opiekowałbym się dzieckiem i pomagał pani w ogródku, sadił cebulki i tak dalej. Moja mama wścieka się, bo jej w niczym nie pomagam. Marudzi, żebyśmy robili razem różne rzeczy. Tyle że ona chce robić same nudziarstwa. Ale gdybym mieszkał u pani...

- Mieszkał? - Elinor poczuła, jak całe jej ciało ogarnia żar i fala nudności. Wstała, zdjęła sweter i rzuciła go na podłogę.

Toby urwał, by nareszcie zaczerpnąć trochę powietrza.

- Toby, zawołam doktora Mackeya.

- Ale...

- Toby, chyba muszę zaraz zwymiotować. - Rzuciła słuchawkę na łóżko i popędziła do łazienki. - Ted! - Czowała, jak gardło pali jej wodnista żółć.

- Co?

- Telefon! - Ted macał w poszukiwaniu słuchawki, gdy ona pochylona nad toaletą zwracała jajka na miękko, które zjadła na śniadanie. Jeszcze jedna potrawa, jaką będzie musiała skreślić z listy. Chciała podслуchać rozmowę, ale ciężko jest słuchać i równocześnie wymiotować. Gdyby nie ten przekłety progesteron, który ma wpływać skutecznie na błonę macicy, na pewno nie cierpiałaby już na poranne mdłości. Spuściła wodę i sięgnęła po szczoteczkę.

Stojąc w holu i szorując zęby, słuchała, jak Ted słucha Toby'ego.

- Wiem - uspokajał go. - Wiem. Oblałeś? Musisz się uczyć, Toby. Uda ci się. Wiem to na pewno, kolego. Nie, Toby. Przepraszam. Wiem, że twoja mama rozwiesiła w college'u wiele ogłoszeń. Na pewno niedługo znajdziecie bardzo mądrego korepetytora. Nie wolno ci tu dzwonić. Pani Mackey nie czuje się najlepiej i mogłaby się zdenerwować. Wiem. Wiem. Muszę już kończyć. Toby? Nie chcę odkładać słuchawki, dopóki się ze mną nie pożegnasz. W porządku? Do widzenia.

Elinor opuściła ręce. Nagle zrobiło jej się żal tego chłopca, tak samo jak było jej żal słońca w zoo.

Jak na dwudziestoparoletniego faceta Roger był niezwykle staranny i dokładny. Nie wzdragał się, gdy Elinor poprosiła go, by umył duże okno w kuchni wychodzące na podwórko na tyłach domu. Stojąc przy zlewie, obserwowała, jak atakuje smugi i zabrudzenia windexem i papierowymi ręcznikami.

Jego spodnie w szkocką kratę wyglądały na część męskiego garnituru z mniej więcej 1975 roku. Na podkoszulku widniał napis SQUIRREL NUT ZIPPERS. Choć był bardzo szczupły, miał mocno umięśnione ręce i ramiona. Ładując naczynia do zmywarki, Elinor doszła do wniosku, że jest całkiem przystojny. Na pewno spodobałby się każdej młodej kobiecie. Modna bródka. Niebieskie oczy, szczupła sylwetka i miłe usposobienie. Toby z pewnością by go polubił. Ta myśl przyszła jej do głowy nagle, zupełnie jak ogarniające ją od tygodni fale mdłości. Tylko że teraz poczuła falę energii. Z radością powitała znajome uczucie radości, które pojawiało się zawsze, gdy w jej głowie kielkował nowy pomysł, choćby nawet szalony. Roger byłby świetnym chłopakiem dla Giny i doskonałym towarzyszem dla Toby'ego. Gina była chyba o jakieś siedem, osiem lat starsza, ale Roger wydawał się dojrzały i wyglądało na to, że lubi starsze kobiety. Ile Gina miała w ogóle lat? Elinor najeżyła się, nie chcąc zbyt głęboko zastanawiać się nad tym pytaniem.

Od czasu gdy zadzwonił do nich Toby, Elinor czuła, że chłopak i Gina wiszą gdzieś nad obrzeżami jej życia z Tedem, jak chmura na pogodowej mapie, ciągnąca nad morze huragan. Wymykająca się spoza wszelkiej kontroli. Nie powinna się przejmować Giną i Tobym! Zateśkniła za dniami, kiedy zobojętniała na wszystko leżała wyciągnięta na trawie pod drzewem, wpatrując się w niebo. Życie było o wiele mniej przerażające, kiedy rezygnowało się z ambicji i przestawało snuć marzenia. Ale taka niefrasobliwość w ciąży nie była wskazana. Co oznaczało, że nie mogła pozwolić, by Toby i Gina wisieli nad nią jak chmura gradowa.

- Co powiesz na śniadanie? - zapytała Rogera, wyjmując ostatni kubek ze zmywarki.

- Dziękuję.

- Jadłeś już?

Pokręcił głową.

- To najważniejszy posiłek w ciągu dnia. - Wyjęła z lodówki bekon, angielskie muffinki, jajka, ser, cebulę i grzyby. Nareszcie odkryła coś, co potrafi ugotować: solidne śniadanie. Tost, marmolada, duże cząstki brzoskwini z targu zanurzone w jogurcie z miodem. Wbiła jajka do miski i mieszała je tak energicznie, że żółtko rozchlapało się na blat. Kto by pomyślał: stała w kuchni na przedmieściach, bosa, w ciąży i gotowała. Kiedy była w college'u, nie marzyła o żadnej z tych rzeczy. A jednak była zadowolona.

Roger odsunął się od okna, by ocenić swoją pracę.

- Jeśli zrobię sobie przerwę, będę miał opóźnienie. A muszę posprzątać dziś jeszcze jeden dom.

No proszę: sumienny. Jeszcze jedna godna podziwu cecha.

Teraz miała już pewność, że Roger będzie idealny dla Toby'ego i Giny.

Wrzuciła bekon na patelnię.

- Jedzenie zajmie ci najwyżej dziesięć minut. - Kiedy będzie jadł, porozmawiają, jak Roger ma umówić się z Giną. Pokroiła cebulę i upieczone poprzedniego dnia ziemniaki i usmażyła na oliwie z odrobiną rozmarynu.

- Musisz o siebie dbać!

- W porządku - roześmiał się i zarumienił.

Usiedli razem przy stole. Elinor patrzyła, jak je. Zamknął oczy i wsunął do ust kawałek ziemniaka zamoczony w żółtku.

- Super. - Otworzył oczy i ugryzł kawałek grzanki. Elinor rozpromieniła się. Roger przełknął i wytarł usta. Na jego policzki znów wypłynął rumieniec.

- Zastanawiałem się... - zaczął.

Elinor nałożyła mu na talerz plasterki świeżo pokrojonych pomidorów.

- Wybrałaby się pani ze mną do San Francisco na otwarcie wystawy Avedona? - zapytał.

- Och, Roger. - Elinor miała nadzieję, że nie zabrzmiało to zbyt protekcjonalnie. - Bardzo bym chciała. Ale wiesz, że nie jestem już wolna. - Klepnęła się dłonią w czoło. - Ale plama. Zapomniałam ci powiedzieć, że doktor Mackey znów się wprowadził. Wiem, że to oznacza dla ciebie dodatkową pracę. Musisz sprzątać po jeszcze jednej osobie. Ale on jest bardzo porządny i z chęcią zapłacimy ci więcej.

Nie miała ochoty roztrząsać faktu, że Roger właściwie chciał się z nią umówić na randkę. Jeśli zmiesz się jeszcze bardziej, twarz chyba zapłonie mu żywym ogniem.

Wstała, by nalać kawę.

- A ty jesteś sam? - zapytała nonszalancko, napełniając mu filiżankę.

- Mam dziewczynę - odparł bez przekonania. - A raczej miałem. Rozstaliśmy się. - Przesunął bekon na talerzu. - To ona ze mną zerwała.

- Och, tak mi przykro. - Elinor złożyła serwetkę. - To takie trudne. Rozstania są najgorsze. Wiem coś o tym.

- Ale spotykam się z kimś - dodał szybko Roger. Wziął do ręki grzanekę.

- Naprawdę? Bo znam dziewczynę, która byłaby tobą zachwycona. Jest urocza i pracuje w siłowni, do której chodzę. Ależ ma figurę! - Czoło Elinor zmarszczył wyraz bólu.

- Uhm. Randka w ciemno? - zapytał z przerażeniem Roger.

- Jesteś dobry w matematyce?

- Ona jest matematyczką?

- Nie, ale muszę ci powiedzieć, że ma syna.

- Super.

- A on potrzebuje pomocy w lekcjach. Wiem, że to by dużo dla niej znaczyło, gdybyś pomógł jej synowi - Elinor klepnęła się w udo. - To świetny dzieciak. Prawdę mówiąc... - Wstała od stołu, wzięła torebkę i wyjęła z portfela kartę członkowską siłowni. - Możesz do niej zadzwonić do pracy.

- Przepisała numer i włożyła Rogerowi pod talerz. - Powiedz, że możesz pomóc jej synowi w lekcjach.

Roger patrzył na karteczkę, marszcząc brwi. Elinor usiadła i przykryła jego dłoń swoją.

- Wyświadczyłbyś mi wielką przysługę. Naprawdę chcę, żeby poznała kogoś miłego. Wydaje mi się, że byłbyś idealny. Tylko nie mów jej, że to moja inicjatywa. To straszne, gdy ktoś cię tak wystawia, prawda?

- Coś o tym wiem.

- Och! Chodziło mi o kobiety. Czasami... - zająknęła się.

- No, w każdym razie ona jest urocza i bardzo wysportowana. Poza tym co masz do stracenia? W najgorszym razie będziesz miał trochę dodatkowej pracy przy udzielaniu korepetycji.

- Zgadza się. Co nieudacznik może mieć do stracenia?

- Roger! Ty, przyjacielu, wcale nie jesteś nieudacznikiem.

- Sprzątanie domów? Randki w ciemno? - Rzucił z obrzydzeniem serwetkę na stół. - Muszę skończyć studia podyplomowe.

- Musisz. I skończysz. Staraj się tak bardzo nie przejmować. Jesteś młody.

Roger wstał i zaniósł talerz do zlewu.

- Dobra. Zadzwonię do niej - obiecał już radośniejszym głosem. - Wygląda na superbabkę. Dzięki. Ale teraz muszę już wracać do pracy.

- Świetnie. - Elinor zakreśliło się w głowie. Czy to szaleństwo wyobrazić sobie, że ten plan może się powieść? Przypominała jednego z tych podstępnych greckich bogów, którzy zawsze coś knuli, by pomieścić szyki bezradnym śmiertelnikom w „Iliadzie” lub „Eneidzie” i raz po raz rzucali im głązy pod nogi.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Pieprzyć Teda. Gina była już zmęczona myśleniem o nim przez cały czas. Jak dotąd nie udało jej się przestać, ale zamierzała bardziej się postarać. Jakoś. Kiedy tylko będzie chciała pomyśleć o Tedzie, natychmiast pomyśli o czymś innym. Tak powinno się pozbywać złych nawyków - zastępować je innymi, lepszymi. Zamiast tęsknić za Tedem, pomyśli o tym, jak założyć własną firmę. Jako osobisty trener i dietetyczka konsultant będzie odwiedzać ludzi w domach. Może przy okazji będzie zawierać ubezpieczenia na życie? Postanowiła nosić przy sobie notes i zapisywać pomysły i pytania takie jak te.

Zrozpaczona oparła się o framugę drzwi do pokoju Toby'ego. Kiedy na horyzoncie był Ted, w środku panował porządek - idealny jak na chłopca - a on sam odrabiał zadania i wypełniał obowiązki. Teraz zupełnie sobie odpuścił. Pokój wyglądał, jakby przeszedł przez niego huragan. Brudne ubrania, paski i trampki leżały rozrzucone wśród innych rzeczy - płyt kompaktowych, książek, komiksów, na wpół zbudowanego z klocków lego statku kosmicznego, wnętrza rozebranego komputera, gitary z połową strun (skąd ona się tu wzięła?). Styropianowy Układ Słoneczny, który kiedyś wisiał na suficie, leżał teraz popłątany na podłodze, a jedna planeta była zupełnie zmiądzona. Na biurku piętrzył się stos brudnych naczyń - miski z zaschniętymi resztkami płatków i mleka, szklanki z podejrzaną mazią na dnie.

Gina nie mogła przekonać Toby'ego, żeby zrobił porządek w swoim pokoju. Prosiła, łajała i krzyczała. Próbowala wzbudzić w nim właściwą motywację, klaszcząc w dłonie jak na zbójce kibiców przed meczem.

- Popracujemy nad tym razem przez pół godziny - zachęcała go, ustawiając na komodzie minutnik.
- A potem zamówimy pizzę.

Toby przewracał oczami. Sprzątał z nią, ale był tak marudny i ślamazarny, że niewiele z tego wyszło.

W minionym tygodniu odebrała mu czas ekranowy. Powiedziała, że nie może oglądać telewizji, korzystać z komputera ani grać na game boyu, jeśli nie posprząta. Toby wzruszył ramionami i zaszył się u siebie. Gdy tam zajrzała, siedział z nosem w książce o średniowiecznych rycerzach.

Kiedy Gina była w szkole podstawowej, razem z klasą pojechała do Metropolitan Museum w Nowym Jorku. Jej ulubionym działem była kolekcja egipska - majestatyczne sfinksy i skarabeusze. Jednakże wszystkim chłopcom najbardziej podobało się ogromne atrium pełne naturalnej wielkości rycerzy i koni w pełnych zbrojach. Przypomniawszy sobie tę wyprawę pewnego dnia w pracy, wpadła na pomysł: pojedą z Tobym do Nowego Jorku. Nie potrzebowali wcale Teda. Polecą samolotem na Wschodnie Wybrzeże, spędzą tam cały weekend, pójda obejrzeć zbroje i zjedzą wielki kawał słynnego sernika w restauracji Carnegie Deli. Kiedy przy kolacji zwierzyła się Toby'emu ze swych planów, otworzył szeroko oczy i zacmokał, najwyraźniej zapalony do tego pomysłu. W końcu jednak zmarszczył brwi i zrezygnował z wyjazdu.

„Nuda” - powiedział, przewracając oczami i kopiąc w stół.

„Nie, to nie jest nuda” - odparła Gina. - „Prawdziwe eksponaty są o wiele ciekawsze od obrazków w książce. Ale jeśli chcesz zrezygnować ze świetnej wycieczki tylko po to, żeby zrobić mi na złość, to bardzo proszę”.

Trzeba po prostu zeszkrobać największy brud, powiedziała do siebie w duchu, zaglądając do pokoju syna. Zdecydowała się posprzątać cały ten bałagan, zanim Toby wróci do domu ze szkoły. Kiedy tylko przekroczyła próg, natychmiast pośliznęła się na płycie kompaktowej i wykręciła sobie kolano. Najpierw rozległ się trzask, a potem przyszedł piekący ból. Wyprostowała się, podniosła płytę, pokuśtykała do biurka i zaczęła układać rzeczy. Ból w kolanie wywołał łzy, które na moment zaćmiły jej wzrok.

- Do diabła z tobą! - krzyknęła do pokoju. Miała już dość uszczęśliwiania Toby'ego za wszelką cenę. - Do diabła z Tedem! - Bez końca próbowała go przekonać, żeby ją pokochał. Zupełnie jakby starała się o jakiś urząd. Jakby postawiła na podwórku jeden z tych głupich transparentów: GŁOSUJ NA MNIE! MOGĘ BYĆ TWOJĄ MATKĄ! MOGĘ BYĆ TWOJĄ KOCHANKĄ! WYBIERZ MNIE! KOCHAJ MNIE! - Pieprzyć ich! - krzyknęła, następując stopą na Jowisza. Styropian zatrzeszczał pod jej adidasem. Ha! No proszę, zaklęła. Jak wszyscy dorośli. Może jej optymizm, niechęć do przeklinania i przyzwoitość to właśnie przekleństwo. Zaproszenie. Cześć! Jestem Gina! Możecie wchodzić mi na głowę!

Wrzuciła do kosza brudne ubrania razem z kilkoma płytami. I co z tego? W pokoju unosił się kwaśny zapach zmieszany z odorem brudnych skarpetek, od którego robiło się niedobrze. W niektóre dni nie potrafiła nawet przekonać Toby'ego, żeby wziął prysznic.

„Chcesz, żeby cię nazywali śmierdziuchem?” - zapytała go pewnego ranka, gdy wychodził do szkoły. Nie było to zbyt miłe, ale nie znalazła innego sposobu, by do niego dotrzeć.

„Tak! Chcę być śmierdziuchem bez ojca!” - wrzasnął.

„Po pierwsze, masz ojca” - odparła, starając się być jednocześnie stanowcza i optymistyczna. - „Po drugie, mnóstwo dzieci w twojej klasie ma rozwiedzionych rodziców. Przykro mi, że tak jest. Nie oznacza to jednak wcale, że masz być nieszczęśliwy i dobijać nas oboje”.

Ale byli nieszczęśliwi oboje i Gina była w kropce. Przeciągnęła kosz do holu. Podniosła wzrok na biały sufit. Często tak robiła, gdy musiała zebrać energię. Czasami trzeba przez moment popatrzeć na coś białego i pustego. Lecz kiedy wróciła wzrokiem do pokoju, wcale nie czuła się silniejsza. Gdyby tylko mogła zebrać wszystko w jeden stos. Tak: jeden stos. Ruszyła do garażu.

Nadal trzymała tam sprzęt z Maine, gdzie poznała ojca Toby'ego: przenośny odkurzacz, małą skrzynkę z narzędziami i dmuchawę do liści. Zawsze była chętna do pomocy i zręczna. Jej ojciec, który zmarł na raka płuc, gdy miała dwadzieścia lat, był przedsiębiorcą budowlanym i kiedy była dzieckiem, zabierał ją ze sobą w soboty do pracy. Pozwalał jej podawać sobie narzędzia, a nawet wyciskać silikon z pistoletu. W szkole średniej nadal chodziła z nim na budowy, a on jej płacił. Jadali razem lunch na desce opartej na dwóch kozłach w czyimś garażu. Obierali pomarańcze i jajka i czytali horoskopy z gazety. Gina wciąż uwielbiała zapach sklepów żelaznych i stoiska z narzędziami u Searsa - zapach miedzi, aluminium i

nierdzewnej stali, wilgotną woń drewnianych podłóg. Sklepy żelazne zawsze pachniały jak sobota, jak ojciec. Jak wszystko, co kochała w mężczyznach.

Znalazła dmuchawę i wyciągnęła ją z dolnej półki. Zakup takiego urządzenia w Maine nie wydawał się wcale dziwny. Tam była bardziej niezależna i liczyła niemal wyłącznie na siebie. A może przed poznaniem Teda nigdy tak naprawdę nie była zakochana? Chwyciła rurę do dmuchawy i pomarańczowy przedłużacz i wróciła do pokoju Toby'ego. Przedarcie się przez ten cały bałagan zajęłoby wiele godzin, więc postanowiła przedmuchać wszystko do jednego kąta. Potem każe mu wszystko poukladać.

Gdy schyliła się pod biurko, by włączyć przedłużacz do kontaktu, kłęby kurzu podrażniły jej nos i zaczęła kichać. Maszyna była cięższa, niż zapamiętała. Powinna też była znaleźć słuchawki. Kiedy tylko nacisnęła guzik, uszy przeszył jej ostry pisk, a ramiona zadrżały od wibracji. Obniżyła moc na najniższą, 125 mil na godzinę, i zaczęła zdmuchiwać wszystko od drzwi aż do przeciwległego kąta. Papiery wylatywały w powietrze i przyklejały się do siatek w oknach, jakby chciały uciec. Kiedy podniosła rurę, żeby je zdmuchnąć (błąd!), siatka wypadła i zleciała w krzaki pod oknem. Gina wstrząsnął nagły atak śmiechu i musiała ugiąć kolana, by nie upuścić rury. To nie było wcale zabawne, ale ją śmieszyło. Najlepiej by zrobiła, wydmuchując te śmieci przez okno!

Kiedy ostatni raz śmiała się naprawdę? Wtedy gdy jeszcze była z Tedem. Ale to nie on ją rozśmieszył, lecz Toby. Ted rozśmieszył Toby'ego, a Toby ją. To prawda, wszystko układało się lepiej, gdy był z nimi Ted.

W kącie pokoju zgromadził się pokaźny stos. Spodnie od dresu, kąpielówki, pudełka po grach komputerowych, papierki po cukierkach, szkolne wypracowania, brudne skarpetki, czyste skarpetki - kto je odróżni? Cięższe przedmioty - książki i adidas - stawiały opór dmuchawie, więc kopnęła je nogą, zadowolona z postępu prac. Pomyślała, że tak naprawdę Ted nigdy nie był z nimi. Na tym polegał cały problem. Była głupia, myśląc, że z nimi zostanie. Na wpełń pełna szklanka z colą przewróciła się i brązowy słodki napój wylał się na dywan. Gina zmieniła kierunek i wymierzyła dmuchawę w kołonoatnik. Kartki przewracały się szaleńczo. Na jednej z nich dostrzegła napisane drobnym pismem Toby'ego słowa: „Kochany tato”. Wyłączyła dmuchawę i podniosła notes. *Kochany Tato! Teraz nie mieszka się z mamą tak źle. Wiedziałaś, że jest naprawdę ładna i ma powodzenie? Chodzi mi o to, że ma powodzenie u facetów i w pracy. Wszyscy chcą, żeby z nimi ćwiczyła.* Gina przycisnęła notes do piersi i zaczęła się zastanawiać, jaki Toby ma plan. Czy chce pogodzić ją ze swoim ojcem, mimo że jest już żonaty z inną kobietą? *Podoba mi się w Kalifornii, bo we wrześniu jest nadal ciepło jak w lecie. Można pływać w basenie i...* I nic. List urywał się w tym miejscu. Gina wyrwała kartkę, złożyła i wsunęła do kieszeni. Spojrzała na dmuchawę. Na dużej żółtej naklejce widniał numer do serwisu. Chciałaby tam zadzwonić i zapytać, jak ma wychować swojego syna.

- Hej! Co się tu u diabła dzieje? - Gina podniosła wzrok i ujrzała Toby'ego stojącego w drzwiach. Miał na sobie szerokie spodnie do kolan, czarny podkoszulek i pomarańczowe trampki bez skarpetek. - Co ty wyprawiasz? - Oddychał płytko i gwałtownie.

- Przygotowuję dla ciebie stosik. Możesz go posprzątać, kiedy odrobisz lekcje. - Gina starała się zachować spokój.

- Co chciałbyś zjeść?

Toby rzucił plecak na biurko.

- Odciełaś mnie od ekranów! Wynoś się z mojego pokoju!

- Toby, prosiłam cię grzecznie tuzin razy, żebyś tu posprzątał...

- Nie chcę sprzątać w tym pokoju, bo go nienawidzę! Nienawidzę tu być!

Gina splotła ramiona na piersi.

- Zgoda. Tu jest okropnie, źle się czujesz w miejscu, gdzie masz swój pokój, telewizor, basen praktycznie dla siebie i jadamy poza domem co najmniej raz w tygodniu. - Wsunęła rękę do kieszeni. - Ale napisałeś do taty, że ci się tu podoba.

- Wyjęła kartkę, rozłożyła i pokazała mu list.

- To było wtedy, kiedy doktor Mackey pomagał mi w lekcjach. Hej! Czytasz moje zapiski.

Gina położyła kartkę na biurku.

- Nienawidzisz tu być? Nienawidzisz mnie? Świetnie. Zadzwońię do twojego ojca i Cruelli i powiem im, że jesteś w drodze. - To koniec. Poddała się. Odsunęła wiszące na krześle dzinsy, by usiąść przy komputerze Toby'ego. Klawisze na klawiaturze pokryte były kurzem, okruchami i sezamem z bajgla. Wystukała adres expedia.com, a potem wpisała Bangor, Maine.

- Co ty wyprawiasz? - zapytał Toby.

- Kupuję ci bilet na samolot. - Nie groź dziecku konsekwencjami, których nie masz zamiaru wobec niego wyciągnąć, bo uzna cię za oszusta, usłyszała głos z podręcznika dla rodziców. Ale ona chyba rzeczywiście powinna kupić Toby'emu bilet do Maine.

- Zostaw. - Ginę zaskoczyła panika w głosie Toby'ego, kiedy przeszukiwała rozkład lotów. - Nie dotykaj mojego komputera - wrzasnął. - Kup sobie swój! Ten dostałem od taty. - Rzucił się na nią, wymachując rękami.

Gina zdjęła ręce z klawiatury i oparła je na kolanach.

- Dobrze. Kupię bilet przez telefon. - Pomyślała, że może zrobić rezerwację. To na pewno nie zaszkodzi. Bilet można wykupić po dwudziestu czterech godzinach.

Wyszła z pokoju, zatraskując za sobą drzwi. Raz jeszcze zniżyła się do poziomu Toby'ego. List, strach w głosie chłopca. Nie rozumiała. Zdaje się, że ludzie potrzebują nie tylko miłości. Pragną miłości trudnej, skomplikowanej, poplątanej. Posprzątaj pokój! Jeszcze dziesięć powtórzeń! Spotkajmy się za salą. Nic już nie rozumiała. Dlaczego ludzie tak bardzo utrudniają sobie życie? Nagle w domu rozległ się ryk dmuchawy, a po nim brzęk rozbitego szkła i śmiech Toby'ego. Gina zawróciła w stronę drzwi.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Poczekalnia w gabinecie ginekologa położnika była dla Elinor i Teda wyspą Ellis. Przebyli drogę z krainy bezpłodności do krainy ciąży. Elinor ścisnęła w jednej ręce podkładkę z najnowszymi wynikami, a w drugiej palce Teda.

- Au! - zajęczał Ted.

- Przepraszam! - Nerwowym ruchem ugniała i ścisnęła w dłoni palce męża. Rozluźniła uchwyt, czerpiąc ukojenie z jego ciepłej ręki.

Kobiety w różnym stopniu zaawansowania ciąży wachlowały się w dusznej poczekalni. Jakiś malec zaczął popłakiwać i jego matka wyjęła z dużej torby serowe sznureczki. Ted był jedynym mężczyzną. Elinor poczuła się jak mięczak, że go tutaj przyprowadziła. Dla wszystkich zebranych tu kobiet ciąża to rutyna. Jedna z nich właśnie ziewnęła. Czyli nawet nuda. Ale Ted chciał przyjść. Nie poznał jeszcze lekarki Elinor, doktor Kolcheck, a ponieważ Elinor kończyła już pierwszy trymestr, mieli dziś zamiar omówić amniopunkcję. Ted przerzucił magazyn zatytułowany „Rodzice” i zatrzymał się przy tabelce ukazującej przewagę świeżych jabłek nad sokiem i jabłecznikiem. Elinor dotknęła brzucha. Czowała się o wiele lepiej od czasu, gdy przestała zażywać progesteron. Teraz została już tylko ona, dziecko, kwas foliowy i Matka Natura. Kiedy budziła się rano, nie przytłaczała jej fala mdłości i zmęczenia.

Za biurkiem recepcjonistki otworzyły się drzwi.

- Elinor Mackey? - zawołała pielęgniarka. Kiedy wstali, Ted ścisnął Elinor za rękę.

Doktor Kolcheck była młodsza od nich. Wydawała się miła i mądra i bardzo szybko mówiła. Elinor nie wyobrażała sobie, jak można mieć tyle energii, nawet nie będąc w ciąży i pijąc kawę. Lekarka opisywała dobre i złe strony amniopunkcji oraz wcześniejszego testu, CVS, który przeprowadza wiele kobiet w wieku Elinor. Jego dobrą cechą było to, że można wcześniej wykryć nieprawidłowości w chromosomach dziecka. Elinor mogłaby się poddać badaniu już za tydzień, a wyniki otrzymaliby po kilku dniach. Amniopunkcję można przeprowadzić dopiero w szesnastym tygodniu ciąży, a na wyniki trzeba czekać dwa tygodnie. Niektóre kobiety po otrzymaniu wyników decydują się na usunięcie ciąży, co wiąże się oczywiście z dużym wstrząsem. W wypadku biopsji kosmówki ryzyko poronienia jest odrobinę wyższe. Korzyści płynące z wcześniejszej diagnozy trzeba więc przeciwstawić większemu ryzyku.

Skróty, procenty, zalety i wady wirowały w mózgu Elinor jak w blenderze. W pracy nie miała problemów z przyswajaniem sobie złożonej terminologii technicznej ani z oceną ryzyka. Jednakże teraz jej zdolność myślenia powstrzymywało użyte przez lekarkę określenie „usunięcie ciąży”. Chciała urodzić to dziecko bez względu na to, jakie się okaże. Ted gładził ją po nodze. Poczuła wielką ulgę, mając go przy sobie. W sytuacjach takich jak ta zachowywał spokój, magazynował informacje i zadawał inteligentne pytania.

Doktor Kolcheck urwała. Razem z Tedem spojrzeli na Elinor, która nie powiedziała ani słowa. Zaszło jej w ustach.

- Jeśli wyniki będą złe, może nasze dziecko będzie mogło pójść do szkoły specjalnej? - Elinor próbowała zmusić się do śmiechu. Nie możecie mi go zabrać bez względu na to, co z nim będzie nie tak, krzyczała w duchu.

Doktor Kolcheck uśmiechnęła się ze współczuciem i sięgnęła przez biurko, by uściśnąć rękę Elinor.

- Przepraszam. Zarzuciłam was informacjami. Możecie zastanowić się nad wszystkim w domu. Poczytajcie i omówicie wszystko sami. Proszę do mnie zadzwonić, gdybyście mieli jakieś pytania.

Kiedy przyszła pora na badanie, Ted wrócił do poczekalni.

- Tak się cieszę ze względu na panią. - Doktor Kolcheck wsunęła słuchawki do uszu, by posłuchać pulsu i oddechu Elinor. - Było mi przykro, że miała pani problemy.

- Odbyliśmy bardzo kosztowną wyprawę do piekła i z powrotem - zgodziła się Elinor i posłusznie położyła. - Ale najgorsze już minęło. Za tydzień wracam do pracy. - Tak naprawdę nie mogła się już do czekać powrotu do firmy z jej uporządkowanymi dniami, szumem, krzątaniną i mile widzianymi przerwami. Tam będzie miała mniej czasu, by się zamartwiać.

Badając macicę i szyjkę Elinor, doktor Kolcheck lekko zmarszczyła brwi.

- Miejmy nadzieję, że dziecko nie będzie zbyt duże. - Uśmiechnęła się. - Ma pani bardzo wąskie biodra. - To miał być komplement, bo Elinor była w istocie bardzo drobna. Ale przyniósł ze sobą dobrze znane poczucie nieprzystosowania. Elinor dopiero budowała pewność siebie. W poczekalni wyobrażała sobie nawet, jak wraca tu w drugiej ciąży. Jedno dziecko na rękach, drugie w drodze.

- Obejrzyjmy dziecko na ultrasonografie - powiedziała lekarka. - Proszę zawołać męża.

Elinor wyjrzała do poczekalni. Ted patrzył przed siebie z uśmiechem. Puściła do niego oko i pokiwała palcem, by poszedł za nią.

Ruszyli za lekarką do ciemnego gabinetu na końcu korytarza. Elinor przywykła już do badania przez pochwę, które było bezbolesne i w pewnym sensie kojące. W ciągu tych wszystkich miesięcy, kiedy nie mogła zająć w ciążę, czuła się zdradzona przez swoje ciało i zastanawiała się, co się z nim dzieje. Przynajmniej ultrasonograf wyjaśniał część tej zagadki.

Ted oparł się o ścianę, pozostawiając sporo miejsca dla Elinor i doktor Kolcheck. Elinor westchnęła i zamknęła oczy. W pokoju było ciepło i cicho - jak w łonie. Oddychała głęboko, by się zrelaksować. Tak, w testach CVS kryły się tysiące markerów genetycznych, ale ona była w ciąży. Myśl pozytywnie. Aparat cicho tykał, gdy doktor Kolcheck badała obraz na ekranie. Elinor przekreśliła głowę, by zobaczyć trójkąt zamglonego światła. Niektóre kropki były większe od pozostałych, a jedną z nich było jej dziecko. Witaj.

- Och - powiedziała doktor Kolcheck. Jej głos brzmiał inaczej, słyhać w nim było niedowierzanie. Dotknęła koniuszkami palców uda Elinor. - Och, tak mi przykro.

Przykro?

- Nie ma pulsu. Tak mi przykro. - Koniuszki palców pogładziły nogę Elinor.

Elinor wybuchnęła śmiechem.

- Ależ jest. - Ta poszarpana kuleczka była taka mała. Doktor Weston odnajdywała puls dopiero po kilku minutach.

- Straciliście dziecko. - Lekarka wskazała ekran.

Elinor wysiliła wzrok. Obraz wydawał się taki sam jak zawsze: szary, zamglony i pierwotny. Odwróciła głowę do Teda, który przycisnął plecy i ręce do ściany, jakby ktoś go postrzelił.

- Jest tam na pewno - powtórzyła Elinor.

Doktor Kolcheck delikatnie gładziła ją po nodze. To nie był dotyk oznaczający badanie, lecz gest współczucia.

Powiedz jej, Ted! Jest tam! Nasze dziecko! Jest! Ted zsuwał się po ścianie, aż zniknął jej z pola widzenia. Pochyliła się i zobaczyła, że siedzi po turecku na podłodze. Elinor wyobraziła sobie, że stół do badania jest statkiem, a Ted wypadł za burtę. Co się tu dzieje? Odwróciła się do lekarki.

- Tak mi przykro - powtórzyła doktor Kolcheck.

Nic się nie stało, chciała jej powiedzieć Elinor. Jest tam z pewnością. Było przecież podczas ostatniej wizyty. Trudno tylko je znaleźć, to wszystko. To taka maleńka kropeczka. Te aparaty są zwariowane. Ted! Powiedz jej. Znów spojrzała na męża. Ted pokręcił głową.

Doktor Kolcheck wstała i spojrzała na niego ponad stołem. Zniżyła głos.

- Tak mi przykro. Nie wyczuwam pulsu. Nie ma żadnych załączków kończyn - powiedziała przepraszającym tonem. Zdawała się mieć nadzieję, że skoro Ted jest lekarzem, będzie w stanie przyswoić sobie tę informację.

Elinor nawet nie wiedziała, że powinny się już pojawić załączki kończyn. Czy pisali o tym w książce? W tej, którą wyrzuciła do kosza... Gdyby o tym wiedziała, mogłaby o nich myśleć, wyobrażać je sobie, a nie tęsknić za herbatą earl grey.

- Ale... - Elinor nie mogła usiąść.

Doktor Kolcheck wyjęła głowicę ultrasonografu i wyłączyła aparat.

- Dam wam minutkę, dobrze? - powiedziała.

Ted wstał. Jego twarz była zupełnie pozbawiona koloru. Zemdleje?

- Ale... - Elinor zacisnęła kolana.

Nagle poczuła się śmieszna i obnażona.

Ted patrzył na nią, kręcąc głową.

Elinor podciągnęła kolana do piersi, przewróciła się na bok i jakoś udało się jej usiąść na brzegu stołu. Ted stanął przed nią i objął ramionami. Czowała na twarzy zimne guziki jego koszuli. Spuściła głowę i ukryła twarz na jego brzuchu.

- Nie włączaj światła - poprosiła błagalnie. Poczwała, że Ted skinął głową. - Proszę. Nie włączaj.

Ted raz po raz gładził ją palcami po włosach.

- Nie włączę, skarbie. Nie włączę.

Ted uruchomił samochód i powoli zaczął się oddalać od gabinetu doktor Kolcheck. Nie miał jednak pojęcia, dokąd powinni jechać. Do domu? Po co?

Doktor Kolcheck zaleciła łyżeczkowanie macicy nazajutrz rano. Elinor nie powinna nic jeść od północy i stawić się w szpitalu zaraz po przebudzeniu. Choć była w stu procentach pewna, że stracili dziecko, nie sądziła, by Ted i Elinor w to uwierzyli, dopóki nie zobaczą drugiego obrazu USG. Mieli więc przyjechać najpierw do gabinetu, skąd Ted zabierze Elinor do szpitala, gdzie zostanie przyjęta tylko na pobyt dzienny. Przynajmniej doktor Kolcheck miała świetne podejście do pacjentów. Tylko na tyle mogli teraz liczyć.

- Gdzie jedziemy? - zapytał Ted.

Chciał przytulić żonę i przez chwilę pomyśleć. Nie. Chciał ją przytulić i nie myśleć. Chciał, żeby było wczoraj, zeszły tydzień, cztery i pół roku temu, kiedy się pobrali. Dlaczego nie wyrzucił pigułek antykoncepcyjnych przez balkon hotelu na Kauai w czasie podróży poślubnej? Dlaczego nie wylądowały w fontannie albo w krzakach i dlaczego nie zapłodnił jej tam jak prawdziwy mężczyzna? Powinien był ją przekonać, żeby odeszła z tej wyczerpującej pracy. Zamiast tego jednak dostała wielki awans i firma domagała się od niej coraz więcej czasu i energii. Kawalka jej duszy. Powinien był ją namówić, żeby odrzuciła propozycję. Ale wtedy okazałoby się, że jej nie wspiera.

- Możesz jechać - powiedziała Elinor, pokazując zielone światło.

- Racja. - Ted nacisnął pedał gazu zbyt mocno i samochód szarpnął gwałtownie. - Przepraszam. Dokąd?

- Nie wiem. - Elinor zmrużyła oczy i osłoniła dłonią twarz przed słońcem wpadającym przez okno od jej strony.

W mieście panował spory ruch. Matki jechały po dzieci do szkoły. Na następnych światłach stał strażnik. Zagwizdał i wychodząc na przejście, spojrzał oskarżycielsko na samochody, by pozwoliły dzieciom przejść.

- Tam - powiedziała Elinor, wskazując stację benzynową. - Do myjni. Spójrz, nie ma kolejki.

Samochód był czysty. Mimo to Ted podjechał na stację. Napełnił bak i przycisnął guzik myjni. Był przekonany, że mycie „deluxe” i „kompleksowe” są dokładnie takie same, ale tym razem wybrał „deluxe”, bo miał nadzieję, że jest dłuższe.

- To dlatego czułam się lepiej - powiedziała Elinor, gdy wsiadł do samochodu. - Myślałam, że to dlatego, że byłam już prawie w drugim trymestrze. Ale straciliśmy dziecko, więc poziom HCG obniżał się.

- Przesunęła dłonią po brzuchu. Ten gest omal nie złamał Tedowi serca. - Nie ma hormonów, więc nie ma nudności. - Oparła dłoń o deskę rozdzielczą. - Na dodatek wzięłam gorący prysznic. A nie wolno.

- Nie, Ellie. W naszym wieku ryzyko rośnie. To statystyka. To nie ty, to życie.

- Raczej: śmierć.

Ted zamknął oczy i ścisnął grzbiet nosa. Otworzył oczy, włączył silnik i podjechał do myjni. Opuścił szybę i wystukał na klawiaturze kod z paragonu.

- Nie powinnam była odstawić progesteronu. - Elinor spojrzała na niego błagalnie.

- Kochanie. - Poglądził ją po ramieniu i pocałował w policzek. - Doktor Weston nie kazałaby ci przestać go zażywać, gdyby istniało jakieś zagrożenie. Ona zawsze jest bardzo ostrożna.

Elinor skinęła głową i spuściła wzrok na złożone na kolanach ręce.

- Dzięki, że mnie pocieszasz - powiedziała cicho. - Przepraszam. Ja nie robię nic, żebyś ty poczuł się lepiej.

Kierowca w czekającym za nimi samochodzie nacisnął klakson.

- Nadal chcesz umyć samochód? - zapytał Ted.

Elinor zakryła twarz dłońmi.

- Rozumiem. - Wrzucił bieg i wjechał do myjni. Zahamował i zgasił silnik, gdy zapaliło się czerwone światło. Rozległ się szum i warkot i zaraz potem na samochód opadły niebieskie szczotki. Otoczyły ich, odcinając światło, upał i panujący na zewnątrz chaos. Ted odpiął pas i pochylił się, by objąć Elinor. Ona przytuliła czoło do jego piersi. O dach i okna bębniła woda. Ted poczuł pieczenie pod powiekami i w gardle. Nagle myjnia zaczęła wyć jak kocur, który zaraz zacznie walczyć. Ted podniósł głowę zaskoczony, że dźwięk wydobywa się z głębi jego piersi.

W szpitalu albo uśmiechali się i dotykali Elinor, albo podawali jej leki. Nie wiedzieli, że to ona zabiła swoje dziecko. Nie mieli pojęcia o błędach, które popełniła - o dwóch filiżankach herbaty darjeeling, jakich sobie jednak nie odmówiła, ciemnych jak karmel. Tanina paliła ją w usta, a kofeina rozerwała pajęczyny w mózgu. Wypiła herbatę dwa razy! No i zmyła lakier z paznokci u nóg, zasłaniając co prawda usta i nos papierową maską, by ochronić się przed oparami. Aceton! Wygięła się w łuk podczas zajęć z jogi. Czy to właśnie tej pozycji nie wolno przybierać, kiedy jest się w ciąży lub ma się miesiączkę? Pojechała na rowerze do drogerii. Świeże powietrze i ruch odpędziły nudności, ale jej puls na pewno przekroczył dozwolone sto czterdzieści siedem uderzeń na minutę, gdy wracała do domu z balsamem do ust i szamponem. Zabiła swoje dziecko, a teraz wszyscy byli dla niej tacy mili i powtarzali, że to nie jej wina. Jeśli rzeczywiście tak było, to dlaczego stale do tego wracali? Najwyraźniej chcieli ją pocieszyć - sprawić, by poczuła się lepiej. Zabiłaś swoje dziecko. To się zdarza. Strasznie nam przykro.

Gdy wieźli ją na wózku do sali operacyjnej, obserwowała, jak nad jej głową przesuwają się płytki na suficie. Nagle pojawiła się nad nią twarz, przystojna i uśmiechnięta, tak blisko jak twarz kochanka. Mężczyzna przedstawił się - doktor Przystojniak, anestezjolog.

- Umieram z głodu - rzuciła Elinor zawstydzona, że w takiej chwili myśli o jedzeniu.

- Mam coś lepszego niż jedzenie - zagruchał lekarz. - Mogę pani podłączyć kroplówkę? - Elinor poczuła ukłucie, a po nim płynące do ramienia ciepło. Wjechała do sali. To byłoby naprawdę przerażające, gdyby działo się naprawdę. Gdyby nie unosiła się w powietrzu i nie zakochiwała we wszystkich dookoła.

- Proszę liczyć do tyłu - powiedział Przystojniak. - Dziesięć, dzie...

Pomiędzy smutkiem i szaleństwem istnieje wyraźna różnica. Taka myśl przebiegła Elinor przez głowę, gdy siedziała na toalecie, ściskając w dłoni zwiniętą zakrwawioną podpaszkę. Nie mogła jej wypuścić. Nie chciała się z nią rozstać. Powinna schować ją w bezpiecznym miejscu.

- Boże! - krzyknęła, wrzucając ją w końcu do kosza.

- Wszystko w porządku? - zawołał z kuchni Ted. Od powrotu do domu miał ją stale na oku. Bał się niepożądanych skutków narkozy.

- W jak najlepszym! - odkrzyknęła. No proszę: znów jest okropna dla męża. Walnięta, a do tego głupia, cholera jasna! Woda sparzyła ją w dłonie, gdy odkręciła kurek. Strzepnęła palce i wyszła z łazienki.

Objęła Teda w pasie i przycisnęła ucho do jego piersi. Wczoraj nosiła w sobie coś, co było częścią ich obojga. Teraz to coś zniknęło, ale miała przynajmniej jego. Połowę całości.

Ted nie odezwał się, tylko mocno ją przytulił.

Kiedys uwielbiała tak stać, słuchając odgłosów jego ciała: bulgotania, bicia serca, oddechu. Ted kołysał ją, gładząc po włosach. Pocałował w czubek głowy. To chyba najlepszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek знаła. Czy zdążyła już o tym zapomnieć?

Przez cały tydzień Elinor i Ted nie obejmowali się w łóżku, lecz wtulali w siebie z całych sił. Ich splecione ramiona i nogi tworzyły jedną spoconą ośmiornicę, która zapadała się na środku łóżka - uściskiem odcinali się od reszty świata.

Kiedy Elinor budziła się rano, utrata dziecka uderzała ją jak policzek.

- Och! - jęczała, budząc Teda.

Zabawne, przed łyżeczkowaniem zapadła w sen, licząc od dziesięciu do jednego, a gdy obudziła się po zabiegu, pielęgniarka poprosiła ją, by oceniła ból w skali od jednego do dziesięciu. Fizyczny czy psychiczny, zastanawiała się Elinor. Morfina podpowiedziała pięć, więc powtórzyła to pielęgniarce. Kobieta poklepała ją po ręce i uśmiechnęła się. Elinor bardzo się podobało, że wszyscy jej dotykają. Teraz, gdy nadal ją bolało i krwawiła, pragnęła, by ludzie ją dotykali. Chciała, żeby sprzedawca w supermarkecie zapytał ją o ból w skali od jednego do dziesięciu.

Czy znalazła pani wszystko, czego pani szukała? Jak jest natężenie bólu w skali od jednego do dziesięciu?

Chciała włączyć radio w samochodzie i usłyszeć:

- *Pozostałe wiadomości: Elinor i Ted Mackey stracili dziecko. „I tak już byli w separacji”, skomentowała sąsiadka Mackeyów. „Nie mamy pojęcia, jak się między nimi układa”, dodała inna. Wskaźnik S&P podskoczył na giełdzie o pięć punktów...*

Smutek uderzał ją najmocniej po południu. Przygniatał jej ramiona i plecy, tak że zastanawiała się, czy chodzi jak Groucho Marx. Kiedy była w domu, chciała tylko z niego wyjść; kiedy znajdowała się poza domem, nie mogła się doczekać, by wrócić. Teraz gdy mogła do woli pochłaniać kofeinę, bała się iść do kawiarenki w sąsiedztwie, gdzie kiedyś tak lubiła czytać na słońcu. Rankami aż roiło się w niej od mamus,

które ustawiały wkoło ogromne wózki. Popijały kawę, jadły ciasteczka, gruchały i dzieliły się przeżyciami. Były wykończone. Razem przeżywały męczeństwo macierzyństwa.

Elinor bała się, że może zacząć na nie krzyczeć. Świetnie! Oddajcie to cholerne dziecko mnie! Próbowała skoncentrować się na „Eneidzie”, lecz nie mogła odseparować się od cmokających kobiet. Myśli biegły jak szalone, a puls walił jak oszalały, jakby była pajacykiem, który zaraz wyskoczy z pudełka. Popędzi do samochodu, żeby się ukryć. Potem próbowała zaglądać do kawiarni popołudniami po drodze do sklepu, lecz wtedy zjawiały się tam matki z uczniami, którzy chcieli po szkole zjeść coś słodkiego.

Cały świat ranił jej uczucia. Nawet samochód z lodami. Pewnego popołudnia przyszło jej do głowy, że mijając ich dom, furgonetka przyśpiesza. Kierowca chyba był przekonany, że w tej małej enklawie emerytów i bezdzietnych Mackeyów nie ma żadnych dzieci. Piosenka obwieszczająca jego przybycie grała dużo szybciej, kiedy samochód sunął ulicą obok ich domu. Właśnie że są tu dzieci! wrzeszczała Elinor do zamkniętego okna salonu. Kat ma trójkę! Aldersonowie mają wnuki! Zwolnij! Ja też mogę kupić batonik migdałowy! W pewnym momencie chciała zadzwonić na policję i zgłosić, że kierowca przekracza dozwoloną prędkość. Najwyraźniej jej odbijało. Potrzebowała lekarstw ze szpitala, które pomagały jej uwierzyć, że wszystko będzie dobrze. Zapytała Teda, co to było. Fentanyl. Czy mógłby wypisać jej receptę? Nie. Czy mógłby pojechać do Meksyku i zdobyć go tam nielegalnie? Nie, to lek znieczulający. No tak, ale ją naprawdę trzeba znieczulić...

Jedynymi osobami, w których obecności czuła się swobodnie, byli Kat i Ted. W dniu zabiegu, po południu, Kat stała w jej salonie z ciasteczkami, lodami waniliowymi, sosem karmelowym, butelką char-donnay i nową piżamą.

- Wyprałam ją - powiedziała. - Jest mięciutka i gotowa do użytku wieczorem.

- Kocham cię! - jęknęła Elinor.

- Ja też cię kocham - odparła Kat. - I wścieka mnie, że nic nie mogę dla ciebie zrobić.

Elinor ukryła twarz w miękkiej i ciepłej piżamie z bawełny, wdychając kojący zapach płynu do płukania, i rozplakała się.

- Chyba będzie też z niej dobra chusteczka - roześmiała się Kat.

W końcu Elinor zrezygnowała z wypraw do kawiarni i sklepu, gdzie półki ugięły się od pieluch i wszędzie czaiły się dzieci. Została w domu i zajęła się drobnymi pracami, takimi jak choćby przynoszenie i sortowanie poczty. Potrafiła jednak przerwać ją w jednej sekundzie, zamierając z przerażenia. Kiedy widziała kopertę z gabinetu ginekologa, wiedziała, że to tylko rachunek, ale wyobrażała sobie list: „Z przykrością informujemy, że nie nadaje się Pani do macierzyństwa. Proszę odesłać kombinezon z frędzelkami i pożegnać się z fantazjami o uczestnictwie w ceremonii wręczenia dyplomu pani córce”.

Ted robił zakupy i gotował, a Roger dbał o porządek w domu. Z jakiegoś powodu Ted nie lubił Rogera.

- Może nas okrada - narzekał.

- Co? Nie bądź śmieszny - odparła Elinor.

- Dlaczego stale się wzdryga? Poczucie winy otacza go jak zapach wody po goleniu.

Elinor zastanowiła się nad jego słowami. Roger rzeczywiście był zdenerwowany w obecności Teda. Kiedy przedstawiła ich sobie, Roger zmieszał się tak straszliwie, że upuścił butelkę olejku cytrynowego, która rozbiła się na podjeździe.

Trochę się we mnie durzy, pomyślała. Czy tak trudno to sobie wyobrazić? Widzisz, mogę okazać się atrakcyjna dla młodego nieznanego mężczyzny!

Elinor poczuła ulgę, gdy nadeszła pora, by w poniedziałek rano wrócić do pracy. W biurze nie było dzieci ani wózków. Przed wyjściem z domu zadzwoniła do prezesa i poprosiła, by nikomu z wyjątkiem jej asystentki nie mówił o poronieniu. Dał jej słowo. Kiedy weszła do firmy, na jej biurku stał ogromny bukiet białych róż z prostym bilecikiem: „Witaj z powrotem”.

Przez całe rano do jej gabinetu wchodzili ludzie, by się przywitać.

- Jak twój urlop? - pytali z zazdrością.

- Świetnie! - odpowiadała ostro.

- Co porabiałaś?

- Ja... - Powinna była wymyślić jakąś historyjkę. - Czytałam, spałam, nic ciekawego. Pracowałam w ogródku. Wiecie, jak czas szybko leci. - Byłam w separacji z mężem, pogodziliśmy się, poroniłam. Spałam z chirurgiem drzew. Miała nadzieję, że jej uśmiech nie jest wymuszony i że nie widać, jak drżą jej ręce. To mogło się wydawać nieistotne, ale naprawdę nie mogła się doczekać chwili, gdy zacznie kupować nadające się do pracy ciążowe ubrania na drugi i trzeci trymestr.

W połowie ranka zajął jej szef. Przysiadł na brzegu biurka i podciągnął nogawkę spodni.

- Fajnie, że wróciłaś.

- Dzięki. I bardzo dziękuję za kwiaty. - Sięgnęła do szuflady biurka po ibuprofen. Przez stałe zmuszanie się do uśmiechu nabawiła się tylko bólu głowy. - Miło jest wrócić.

- Jak już mówiłem, jesteś najlepszym prawnikiem w Dolinie zajmującym się międzynarodowymi sprawami personalnymi. Bardzo bym chciał wysłać cię do Irlandii, żebyś zajęła się tym przejęciem. Uwierz mi, będę lepiej spał w nocy. - Wstał i spojrzał na nią ciepło. - Ted lubi guinnessa?

Elinor żałowała, że nie jest najlepsza w Dolinie w byciu żoną i matką. W byciu kobietą, która potrafi zająć w ciąży i ją donosić.

- Zastanowię się nad tym - odparła, przywołując ostatni uśmiech. - Porozmawiam z Tedem. To brzmi interesująco. Naprawdę.

We środę Elinor nie mogła się już doczekać, by pierwszy tydzień w pracy nareszcie się skończył. Bała się, że wybuchnie płaczem w środku zebrania. Jednakże kiedy nadeszła sobota, zaczęła odnosić wrażenie, że weekendy będą najtrudniejsze. Wystarczyło tylko pomyśleć o rodzinach spacerujących po ulicach i bawiących się w ogródkach. Starła się zachować dobry humor, gdy w niedzielę Ted zrobił na śniadanie naleśniki z mąki gryczanej i bekon z indyka. Kiedy posprzątał już w kuchni, zaczęła sporządzać listę rzeczy do załatwienia. Załatwić, napisała. Co załatwić? Była pewna, że jeszcze przed chwilą o czymś myślała.

- Sama nie wiem - powiedziała Elinor, gdy przyszła Kat, by zabrać ją na spotkanie kółka czytelniczego. - Chyba nie powinnam tam iść.

- Może dobrze ci zrobi, jak wyjdiesz z domu. - Kat podniosła butelkę chardonnay i talerz z małymi przekąskami.

W tym miesiącu skończyły czytać „Eneidę”, której Elinor nie miała ochoty omawiać.

- Dobra. - Chwyła dzinsową kurtkę. Miała do powiedzenia parę rzeczy o Eneasz, którego uważała za palanta.

Jak na wszystkich spotkaniach kobiet mieszkających na przedmieściach, rozmowa zaczęła się od dzieci, mężów, nauczycieli i piłki nożnej, lecz na koniec wróciła do dzieci. Elinor popijała herbatę.

- Możemy już iść? - rzuciła do Kat przez zaciśnięte zęby.

- Dziesięć minut - szepnęła Kat. - Drogie panie - zwróciła się do grupki. - Możemy zacząć omawiać książkę?

- Muszę wam powiedzieć - powiedziała Janice Meads, przesuwając palcami po krótkich brązowych włosach - że wcale nie podobała mi się bardziej niż w college'u. Może to moja wina, ale uważam ją za... - Spojrzała w sufit, szukając odpowiedniego słowa. - Nieprzystępną.

- To ładne określenie na nudną - wtrąciła Doreen Whiting.

- Jest taka smutna - powiedziała Fran. - Chodzi mi o część opowiadającą o Dydonie i Eneasz. Poruszyła mnie.

- Mnie też - zgodziła się Elinor. - I tym razem byłam zła na Eneasza. - Kobiety spojrzały na nią z zainteresowaniem.

- Kiedy się nad tym zastanowić, to przypomina bardzo historię z Doliny Krzemowej. Są zakochani, ale on przedkłada pracę nad miłość.

- Ma poczucie obowiązku - powiedziała Kat.

- No właśnie - zgodziła się Elinor. - Ale to obowiązek w stosunku do firmy zamiast do rodziny. Kocha Dydonę. Ale potem bogowie wzywają go, żeby ruszył do Rzymu, i rzucają.

- Tak - powiedziała Cathy. - Nie doszłam do tego momentu, ale masz rację. - Mąż Cathy był wiceprezesem do spraw marketingu, który nigdy nie wracał do domu na kolację ani kąpiel dzieci. Choć Cathy rzadko kończyła książki, Elinor lubiła ją, bo piła wino i wybuchała beztroskim śmiechem.

- Dlaczego Dydona nie mogła pojechać razem z nim? - zastanowiła się Kat.

- Musiała zostać i zatroszczyć się o swoje królestwo - odparła Janice. Podchodziła do wszystkiego bardzo poważnie, nawet do dipu szpinakowego. Kiedyś przez pięć minut rozwodziła się nad wyższością zielonej cebulki nad drobno krojoną czerwoną.

- Ale dlaczego? - Elinor spodobał się pomysł Kat. - Była tak załamana, że królestwo nie miałyby z niej żadnego pożytku. Dlaczego nie mogła zrezygnować ze wszystkiego dla miłości? Eneasza przeniesiono do innej pracy, ona jedzie z nim. - Elinor klepnęła się w udo. - Pieprzyć królestwo.

Doreen skuliła się. Po raz kolejny Elinor okazała się trochę zbyt obcesowa jak na przedmieścia. Porzuciła herbatę na rzecz wina, bo teraz do woli mogła pochłaniać kofeinę i alkohol. Pewnego popołudnia może nawet zrobi kawę po irlandzku.

- Obowiązek szałek - dorzuciła Kat.

- Fakt, co ma do stracenia, jadąc razem z nim? - zapytała Fran. Elinor lubiła tę wrażliwą beznaziejną romantyczkę. - Ale nie może z nim jechać, bo on jej o to nie prosi - dodała ze smutkiem.

- Konkludując: Eneasze nie ma wolnej woli - stwierdziła Janice. - Tak samo jest we wszystkich miastach. Dlatego uważam je za takie nieprzystępne.

Przestań używać stale tego słowa, pomyślała Elinor. Jest zbyt pompatyczne.

- Kawy? - zapytała Sharon, gospodyni.

- Z rozkoszą - odparła Doreen. - Jestem wykończona. Te ciasteczka są takie pyyyyyyszne. - Odwróciła się do Sharon. - Skąd wzięłaś przepis?

- Z klasowej książki kucharskiej Matty'ego. Zrobili ją, żeby zebrać fundusze. To taki uroczy pomysł. Nauczycielka poprosiła każdą matkę o przepis, dzieci narysowały ilustracje i napisały krótki komentarz do każdej potrawy. Potem zrobili odbitki, oprawili i sprzedawali. Zebrali prawie dziewięćset dolarów!

- Próbowalaś owsiane ciasteczka z rodzynkami? - Elinor zjadła kawałek, próbując odepchnąć od siebie przygnębienie.

- Ja nie mogę nic upiec, bo mam remont w kuchni - powiedziała ze znużeniem Doreen, jakby było to poważne przewinienie. - Czy Matty ma w tym roku lekcje z panią Matson? - zwróciła się do Cathy.

- Mój Boże! Taylor ją uwielbiał - wtrąciła Sharon.

- Posłuchajcie tylko, jak Dydona się wścieka! - powiedziała Fran do Elinor. Zaczęła czytać fragment książki: - „Tuszę, że jeśli bóstwa łaskawe coś mogą, o skały rzucon, miana Dydony ze trwogą często wezwiesz. Z płomieni cię będę czeluści ścigać”.*

- Widać wyraźnie, że zamierza przeciąć mu opony - zgodziła się Elinor.

- O mój Boże, ależ ty jesteś zwariowana - powiedziała do niej czule Cathy.

* Przetłumaczył Tadeusz Karyłowski (przyp. tłum.).

Elinor odwróciła się do Fran, jedynej, która wydawała się zainteresowana omawianiem książki.

- Wiesz, wydaje mi się, że to Eneasze postanawia zrezygnować z wolnej woli. Wie, co jest słuszne, ale nie robi tego, bo jest mięczakiem popychanym przez bogów. - Żałowała, że powiedziała to z tak wielką nienawiścią w głosie.

Janice wydawała się skonsternowana.

Kat zaśmiała się z interpretacji Elinor. Jej śmiech rozległ się jak chichot hieny - zbyt głośny i spóźniony. Janice zmarszczyła gniewnie brwi. Pozostałe kobiety chrząkały i spoglądały na siebie zmieszane. Zdawały się wyczuwać, że tak naprawdę chodzi tu o małżeństwo Elinor.

Wieczór był ciepły i Elinor wyobraziła sobie, jak nurkuje przez okno w salonie, by stamtąd uciec. Nikt jej nie złapie. Czy ktoś kiedykolwiek ją złapał? A po co? Jest bezpłodną, rozgoryczoną, użalającą się nad sobą zrzędą. I nienawidzi tego kółka. Uśmiechnęła się i rozluźniła palce zaciśnięte na nóżce kieliszka, bojąc się, że ją złamie.

Cathy i Doreen siedziały po obu stronach Elinor i Kat i teraz wychylając się lekko, wróciły do rozmowy o nauczycielkach i pozaszkolnych zajęciach swoich dzieci.

Kat przerzucała kartki książki, czytając notatki zapisane na marginesie. Elinor bardzo się zdenerwowała, gdy pierwszy raz zobaczyła, że Kat pisze po książce.

„Czemu?” - spierała się Kat. - „To przecież moja książka. Lubię wracać do zanotowanych wrażeń”.

Elinor doszła do wniosku, że to słuszna uwaga. Zaczęła więc pisać po swoich egzemplarzach. To właśnie podobało się jej w życiu po czterdziestce. Przystawało się zwracać uwagę na drobiazgi. Może dlatego, że wielkie sprawy groziły zmiążdżeniem.

- Kat, czy trenerem piłkarskim Jasona jest Bill Swanson? - zapytała Doreen.

Kat podniosła wzrok i uśmiechnęła się blado.

- Elinor - powiedziała Cathy, zniżając głos i pochylając się w jej stronę. - Gadamy bez końca o dzieciach. Tak mi przykro, że poroniłaś.

- Dziękuję. To było trudne. Dzięki. - Elinor skinęła głową, walcząc ze łzami. Żałowała teraz, że powiedziała wszystkim sąsiadkom i kasjerce, że jest w ciąży. Ale razem z Tedem widzieli bijące serce, i to dwa razy. Doktor Weston kazała im przyjść i pokazać dziecko.

- Wiesz - zaczęła Doreen - wydaje mi się, że wszystko dzieje się z jakiegoś powodu.

Elinor opróżniła kieliszek i odstawiła go na stół.

- Dzięki za wsparcie, ale ja tak nie uważam. Moim zdaniem holocaust nie wydarzył się z jakiegoś powodu. Joanna Fried też nie odkryła guza w piersi z jakiegoś powodu. - Joanna, ich wspólna sąsiadka, była zbyt słaba po chemioterapii, by przyjść na spotkanie. Kto wymyślił to uproszczone powiedzenie, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło? I podobne: jeśli coś się nie wydarzyło, to znaczy, że tak miało być. Elinor uśmiechnęła się do Doreen.

- Mimo wszystko dziękuję - powtórzyła. Wstała z krzesła i cicho wzięła pozostawioną w kącie pokoju kurtkę i torebkę.

Na palcach ruszyła w stronę drzwi, zaglądając do kuchni, by przed wyjściem podziękować Sharon.

- Nie czuję się najlepiej. Ale wszystko było wspaniałe.

- Och, tak mi przykro...

- Migrena. - Elinor usłyszała za sobą głos Kat.

Skierowała się w stronę drzwi, Kat ruszyła za nią. Wyszły na werandę i cicho zamknęły za sobą drzwi.

- Dobra, przepraszam. - Kat wsunęła rękę pod ramię przyjaciółki. - Zły pomysł. Chyba moje dni w kółku czytelnicy są policzone.

- Nie powinnam tyle zrzędzić.

- Założymy nasze własne dwuosobowe kółko - zaproponowała Kat.

Kiedy szły przez podjazd, rozległ się trzask, a po nim z głowicy zraszacza wystrzelił w powietrze strumień wody, oblewając im spodnie. Kat wybuchnęła śmiechem i pociągnęła Elinor na chodnik.

- Dokąd? - zapytała Elinor, próbując dotrzymać jej kroku.

- Do Raya i Eddiego? Partyjka bilardu?

Elinor przyśpieszyła kroku.

- Tak! Partyjka bilardu. - Gdyby była Dydoną, to właśnie zrobiłaby po wyjeździe Eneasza: poszła do baru na kufel piwa i partyjkę bilardu.

Niemal codziennie Elinor musiała dodawać coś do listy rzeczy, których należy unikać. Ostatnio trafiła na nią reklama żeberek „Baby Back Ribs” restauracji Chili's. Denerwująca melodyjka z równie denerwującym tekstem „I want my baby back, baby back, baby back, baby back! I want my baby back, baby back, baby back!”. Chór radosnych, śpiewających a cappella głosów zmuszał Elinor do natychmiastowego wyłączenia radia lub telewizora. Najwyraźniej sieć restauracji wyłożyła sporo pieniędzy na reklamę, bo grali ją na okrągło. I bez względu na to jak szybko Elinor ją wyłączała, wbijała się w jej psychikę jak drzazga pod paznokieć.

Pewnego ranka stała właśnie pod prysznicem, gdy reklama rozległa się w radiu w łazience. Elinor wyciągnęła rękę, kapiąc na podłogę pianą i wodą, i gorączkowo naciskała wyłącznik, lecz elektroniczna klawiatura nie reagowała.

„I waaaant my baby - back.....”

- Zamknij się! - Elinor nie mogła wyciągnąć wtyczki z gniazdka, bo była cała mokra, więc waliła w guzik drewniakiem. Nagle otworzyła się szuflada na płyty kompaktowe i leżąca na niej płyta złamała się na pół. Elinor stała skulona nad całym tym bałaganem, ociekając wodą i przeklinając pod nosem, kiedy w drzwiach dostrzegła bosą stopę Teda. Podniosła wzrok. Podał jej ręcznik.

- Co się stało? - zapytał.

- Wyłącz to - powiedziała błagalnie i cofnęła się.

Ted naciskał guziki jeden po drugim, po czym wyszarpał wtyczkę z gniazdka.

- To ta cholerna reklama. - Elinor przycisnęła ręcznik do piersi i wskazała radio.

- Co?

Jak Ted mógł nie znać tej piosenki? Dlaczego świat wokół niego się nie rozpada?

- Reklama żeberek. No wiesz, I want my baby back... - Spojrzała na niego. Wydawał się taki spokojny. Cienie pod oczami zniknęły. Znow mógł spać.

- Ach tak! Radio i tak było do niczego. - Wrzucił je do kosza, jakby chciał pokazać, kto tu jest szefem. - Kupimy nowe.

- Dzięki. - Elinor ubrała się, wytarła włosy i nałożyła szminkę. Przypomniawszy sobie, że sweter ma w suszarce, poszła na tył domu, wabiona ciepłem pralni. Pranie nadal obracało się w bębnie. Zaczęła

słuchać metalicznego dźwięku guzików i zamków. Wyobraziła sobie dzinsy Teda wirujące razem z jej dzinsami, splecione nogawki. Wyobraziła sobie ich łańcuchy DNA splecione w jednej małej osobce, która ciągnie zamszowe frędzelki kowbojskich spodni. Ciepło płynące z suszarki było jak okład na nękającą ją stale skurcze. Przybliżyła się i pochyliła nad suszarką, przyciskając brzuch do przodu urządzenia, a pierś i policzek do górnej części. Wyciągnęła ręce, jakby chciała przytulić emanującą ciepłem suszarkę. Ludzie myślą, że pranie trzeba segregować tylko ze względu na kolor. Ale dobrze jest też dzielić je ze względu na fakturę materiału - pod względem ciężkości. Nie należy prać ręczników razem z podkoszulkami. Ręczniki będą wilgotne, a podkoszulki się skurczą. I okaże się, że tylko zmarnowało się energię.

Ciepło koło brzuch Elinor, kiedy tak ścisnęła suszarkę, ciesząc się, że jest niezawodnie mocna i solidna.

- El, wszystko w porządku? - zapytał z troską Ted.

Elinor podniosła policzek, lecz zaraz znów oparła go na blacie.

- Jest taka ciepła - powiedziała.

- Och. - W głosie Teda zabrzmiało zrozumienie i ulga.

Elinor zdziwiła się, gdy poczuła jego talię na swoim krzyżu, krocze przyciśnięte do pośladków. Pochylił się. Jego pierś przykryła jej plecy, a ramiona i ręce zwinęły się nad jej ramionami. Odwrócił głowę i oparł policzek na jej ucho. Elinor początkowo spięła się, czując, że ją miażdży. Ale był bardzo ostrożny. Owijał ją swoim ciałem. Zrobiło się jej jeszcze cieplej, poczuła się bezpieczna i pocieszona. Czy naprawdę potrzebują reszty tego domu? Czy nie mogliby zamieszkać w pralni? Przykucnąć obok proszków i płynów?

Dopiero po chwili Elinor uświadomiła sobie, że to nie jej łzy płyną jej po policzkach.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Gina była w pracy, kiedy odebrała telefon od dyrektora szkoły, który chciał, by spotkała się z nim i z Tobym.

- Mogę przyjechać we wtorek lub czwartek rano - powiedziała, wyjmując zza lady terminarz.

- Obawiam się, że musi pani przyjechać zaraz - odparł dyrektor. - Doszło do pewnego incydentu i Toby jest ze mną w gabinecie. To już trzeci raz w tym tygodniu.

- Incydent? Trzeci raz? - Gina poczuła ucisk w żołądku. Miała nadzieję, że Toby nie zranił nikogo ani siebie. Może coś zniszczył: coś drogiego, za co nie będzie w stanie zapłacić.

Incydent, jak dowiedziała się po przyjeździe do szkoły, był tak naprawdę tylko wybrykiem. Toby zakradł się przez gabinet pielęgniarki do pokoju nauczycielskiego, a stamtąd do damskiej toalety, gdzie wsunął pod kłapy torebki z keczupem. Pani Fritz poplamiała sobie spódnice.

- Trzeba je włożyć dokładnie pod te dwie gumowe uszczelki z przodu - wyjaśnił Toby, podskakując na krześle - albo nic z tego nie będzie!

Dyrektor spojrział na niego z niedowierzaniem. Gina westchnęła z ulgą, że nikomu nic się nie stało. Oczywiście nie była to reakcja, na jaką czekał dyrektor.

- Toby! - upomniała syna. - Przepraszam - zwróciła się do dyrektora. - Cieszę się tylko, że nikt nie został ranny.

- Mimo wszystko - powiedział dyrektor. Gina podejrzewała, że nie jest to właściwy człowiek na właściwym miejscu.

Może powinien znaleźć się w wojsku. Była właśnie w połowie sesji, kiedy do niej zadzwonił, i musiała zostawić klientkę z resztą ćwiczeń do wykonania. Coś jej mówiło, że gdyby była mężczyzną, dyrektor nie nalegałby, żeby przyjechała natychmiast.

- Proszę przeprosić ode mnie panią Fritz. Oczywiście ja, my, Toby pokryje koszty prania.

- To będzie jak najbardziej na miejscu. - Dyrektor spojrział na Toby'ego. - Najwyraźniej w domu są problemy z dyscypliną.

- Nieprawda...

Dyrektor nie był zainteresowany, co Gina ma do powiedzenia.

- Toby, co według ciebie powinniśmy zrobić z twoim zachowaniem?

- Proszę mnie wyrzucić ze szkoły. - Toby wbił wzrok w podłogę.

- Czy o to właśnie ci chodzi? - zapytał dyrektor. Chłopiec wzruszył ramionami.

- Może odwiedzisz szkolnego psychologa, pana Chambersa? To bardzo miły człowiek.

Gina zakaszłała. Ona sama musiała kiedyś iść do szkolnego psychologa, kiedy Tina Taylor odcięła jej warkocz na zajęciach z plastyki. Chłopcy przezywali ją „Mały Cycek”, więc mściła się na dziewczynkach z klasy. Kulminacją zemsty było obcięcie warkocza Ginie. Po tym incydencie Tina została przeniesiona do poprawczaka. Gina przeżyła traumę - straciła włosy i rozplakała się przed całą klasą. Poza piwem

korzennym pani psycholog miała jej niewiele do zaoferowania. Nie mogła przykleić jej włosów, podobnie jak doktor Chambers nie był w stanie zmusić ojca Toby'ego, by częściej do niego dzwonił. Toby spojrzął na matkę i przewrócił oczami. Gina zmarszczyła nos, tłumiąc uśmiech. Na moment coś ich połączyło.

W drodze do domu Gina nie miała pojęcia, co powiedzieć synowi. Kazania, pełne optymizmu gadki. Próbowала już wszystkiego.

- Toby, mam już dość ciągłych prób, by cię uszczęśliwić, i przekonywania, żebyś był grzeczny - powiedziała, odwracając się do niego. Siedział nachmurzony, wyglądając przez okno od strony pasażera. Ogarnęło ją pragnienie, by go przytulić, ścisnąć jego drobną pierś i potrząść ostre łopatki. - Czego ty chcesz? Wiesz chociaż?

Toby skinął głową.

- Zamieszkać z doktorem i panią Mackey i ich nowym dzieckiem.

Gina nadepnęła gwałtownie hamulec, kiedy jadące przed nimi samochody nagle zwolniły. Nie patrzyła przed siebie. Plecak Toby'ego spadł na podłogę.

Zabawne, pomyślała, chwytając mocno kierownicę. Ja też tego chcę. Może powinniśmy założyć komunę? Nawet nie nienawidzę żony Teda. Chciałabym jej nienawidzić, ale kiedy się spotkałyśmy, była zabawna i miła. Samochody ruszyły. Gina trzymała się w bezpiecznej odległości od jadącego przed nimi land-rovera.

- Toby, pozwól, że ci coś powiem. Do końca życia będziesz pragnął rzeczy, których nie możesz mieć. Będziesz przez to bardzo nieszczęśliwy. Może ci się wydawać, że właściwym rozwiązaniem jest robić wszystko, by tylko je zdobyć. Ale jedynym rozwiązaniem jest zrobić wszystko, by chcieć rzeczy, które już masz. Wiem, że to brzmi oklepanie. Ale nie ma innego wyjścia. Nie musisz chcieć ani lubić wszystkiego, co posiadasz, ale przynajmniej część. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Toby zacmokał z dezaprobatą.

- Zastanów się nad tym.

Westchnął ciężko.

- Wyznaczę ci zaraz pewne zadanie. - Uderzyła się w pierś tak mocno, że trochę zabolalo.

- Raaany.

- Dopiszę je do listy razem z wynoszeniem śmieci i będziesz musiał je wykonać, żeby dostać kieszonkowe. - Wcześniej zastanawiała się, czy nie umieścić na liście porządku w pokoju, ale bała się, że i tak nie będzie sprzątał, rezygnując z kieszonkowego, którego nie wydawał. Miał na razie wszystkie książki i gry, których pragnął, dzięki ojcu i Tedowi. Poza tym, nie zależało mu na rzeczach materialnych. Tak naprawdę chciał posiadać bliskich mu ludzi. Pod tym względem mieli wiele wspólnego. - Musisz tylko zrobić listę trzech rzeczy, które chcesz - ciągnęła. - Jedna z nich może być za pieniądze. Pozostałe dwie nie. Kiedy już zrobisz listę, spojrzymy na nią razem i zastanowimy się, czy możesz te rzeczy mieć lub czy mogą ci się przydarzyć. Jeśli nie, wymyślimy coś innego.

Zapadła długa cisza. Kobieta jadąca land-roverem przed nimi spojrzała w lusterko wsteczne i śmiejąc się, rozmawiała z dzieckiem siedzącym na tylnym siedzeniu.

- Tak jakby chciało się zamówić frytki, ale nie ma ich w karcie, więc trzeba wybrać smażone ziemniaki? - powiedział w końcu Toby.

Gina z ulgą przyjęła zmianę w jego podejściu.

- No właśnie. To może nie wydaje się łatwe... ale kiedy już to zrobimy...

- O kurczę!

- Posłuchaj mnie przez chwilę. Pojedziemy do Nowego Jorku do Metropolitan Museum i obejrzymy zbroje. Zaufaj mi: kiedy to zobaczysz, na pewno wpiszesz na listę rzeczy, których pragniesz. Zapragniesz zostać miliarderem jak Mick Jagger czy ktoś tam i mieszkać w domu ze zbroją stojącą w holu. Dobra wiadomość to ta, że do końca twojego życia wystawa tam będzie i zawsze będziesz mógł pojechać i ją zobaczyć. Tak więc w pewnym sensie jest twoja. Wszyscy mogą się nią cieszyć.

Toby wyprostował się z entuzjazmem.

- Czy mogę opuścić szkołę, żeby pojechać do Nowego Jorku?

- Tak. Odbiorę zadania od nauczycieli i opuścisz dwa dni szkoły, a ja dwa dni pracy. Zrobimy sobie czterodniowy weekend. Jeśli nie będziesz się dobrze bawił, otrzymasz zwrot kosztów.

Toby zmarszczył brwi.

- To był żart - powiedziała.

- Ubawiłem się po pachy.

- I...

- Wypiłaś dziś za dużo kawy czy co?

- Następne wypracowanie do szkoły napiszesz na temat rycerskości. Kiedy próbowałam posprzątać twój pokój, zajrzałam do książki o rycerzach i sporo miejsca poświęcają tam rycerskości. Wiesz, nie chodzi tylko o topory i miecze. Rycerze potrafili doskonale walczyć, ale byli też bardzo uprzejmi i eleganccy i zawsze prezentowali dworskie maniery w stosunku do kobiet, zwłaszcza swoich matek.

- Co to znaczy „dworskie”? Gina nie była pewna.

- Tego właśnie musisz się dowiedzieć. Napiszesz wypracowanie i postarasz się być bardziej rycerski, jak prawdziwy rycerz.

Toby siedział odwrócony i przyglądał się migającej za oknem scenerii. Przez szyberdach wpadały promienie słońca, rozświetlając jego splątane loki.

- Mogę się przebrać za rycerza na Halloween - powiedział raczej do siebie niż do matki.

Gina liczyła właśnie skłony, które z piłką lekarską robiła jej klientka Suzanne, kiedy znów zadzwonił telefon. Miała nadzieję, że to nie dyrektor szkoły.

- Jeszcze dziesięć z każdej strony - powiedziała, wycofując się do biura.

- Czy to Gina? - Rozmówca brzmiał jak Shane naśladowujący trzeźwą osobę.

- Shane?

- Nie. Nazywam się Roger. Pani syn podobno potrzebuje korepetytora?

- Och! - Gina wyjęła z szafki torebkę i przez chwilę w niej grzebała. W końcu znalazła listę pytań. Student? Którego roku? Studiuje matematykę? W jakich godzinach jest dostępny? Po chwili przebiegło jej przez myśl parę następnych. Molestuje dzieci? Złodziej? Powinna była zadzwonić do centrum pomocy w lekcjach, które reklamowali w telewizji. Koleżanka z pracy, Brenda, powiedziała jej jednak, że tam za dużo sobie liczą, a Ted sądził, że ogłoszenie w college'u to dobry pomysł. Ale co on tam wiedział. Przecież nie miał dzieci!

Gina zadała Rogerowi pytania z listy i wszystkie, które przyszły jej do głowy. Dowiedziała się, że nie jest studentem, lecz absolwentem szkoły artystycznej i ma dyplom z fotografii. Matematyka znalazła się jednak w programie jego studiów.

- Miałem sporo zajęć z matematyki, bo jest dla mnie bardzo łatwa i pomocna w fotografii - wyjaśnił. - Ale może chce pani poczekać i znaleźć studenta matematyki. Nie ma sprawy. - Miał młody głos, który brzmiał jednak inteligentnie i przyjaźnie. Takiego wzoru potrzebował Toby dla siebie. Poważny student matematyki mógłby nie nadążyć za nietypowym poczuciem humoru chłopca.

Roger zgodził się spotkać z Giną przy stoisku z kawą niedaleko wejścia do kina w centrum handlowym. Gina zdążyła już zbadać teren. Miejsce było łatwo znaleźć, znajdowało się na otwartej przestrzeni, a jednak popołudniami panował tam spokój, po szczycie w czasie lunchu i przed wieczornymi seansami.

- Świetnie - powiedziała. - Do zobaczenia we czwartek o drugiej.

- Chyba znalazłam kandydata na korepetytora - powiedziała do Toby'ego przy kolacji złożonej z organicznego makaronu z serem. - Wydaje się bardzo miły.

- Nie chcę innego korepetytora.

- Wiem.

- Nie zamierzam się więc z nim spotykać. Czy z nią. Kimkolwiek jest!

- Na razie to ja się z nim spotkam. Nazywa się Roger. Jest fotografem.

- Przyjdzie tutaj?

- Nie. Umówiłam się z nim o drugą we czwartek, kiedy będziesz w szkole. W centrum handlowym przy nowym kinie. Wydaje się bardzo sympatyczny, Toby. Jest młody. Najpierw jednak muszę z nim porozmawiać.

- Akurat będziesz go wypytywać o matematykę. Już to widzę. Pewnie będziesz chciała się z nim umawiać.

Gina zignorowała kąśliwą uwagę syna.

- To ty zadasz mu pytania o matematykę. Ja zamierzam się dowiedzieć, czy chce pracować z najbardziej zwariowanym dziesięciolatkiem na świecie.

Kiedy później tego samego wieczoru Gina podeszła do drzwi pokoju Toby'ego - na palcach, by sprawdzić, czy odrabia zadanie - usłyszała, że z kimś rozmawia. Zatrzymała się w holu.

- Powinieneś odpuścić, ośle. Moja mama ma chłopaka. A nawet trzech.

Boso Gina zbliżyła się do drzwi.

- Tak. Barry, doktor Mackey i ten nowy, Roger.

Co u diabła? Z kim on rozmawia? Zajrzała do pokoju i zobaczyła, że Toby siedzi pochylony nad biurkiem, rozmawiając przez okno z kimś stojącym na werandzie. Wycofała się i na palcach podeszła do frontowych drzwi, by wyjrzeć przez judasza. Shane! Stał na krawędzi werandy, opierając się na kulach, i przez krzak jaśminu pochylał się w stronę okna Toby'ego.

Prawą nogę miał w gipsie. Kiedy Gina zadzwoniła do szpitala po wypadku, nie udzielono jej żadnych informacji. Polityka prywatności, wyjaśniła pielęgniarka. Powiedziała jej, że powinna przyjechać do szpitala, by dowiedzieć się o stan zdrowia Shane'a. A tego z pewnością nie zamierzała robić. Dwa dni później przeczytała w gazecie raport policji, z którego wynikało, że Shane został opatrzony i zwolniony ze szpitala. Awantura na Lone Pine Lane. Zabrzmiało to jak tytuł kiepskiego filmu. Nie postawiono żadnych zarzutów. Trzydziestopięcioletni mężczyzna. Zadowolający stan zdrowia. Postanowiła pojechać na posterunek i wypełnić formularz niezbędny do wydania zakazu zbliżania się do niej i do Toby'ego.

Teraz chwyciła telefon z kuchni i wróciła pod pokój Toby'ego.

- I wychodzi za mąż - ciągnął wojowniczo chłopiec.

- Za mąż? - Zamiast gniewu usłyszała w głosie Shane'a niedowierzanie. Smutek i wyrzuty sumienia. Zamknęła oczy.

- Tak, za doktora Mackeya.

- Toby! - syknęła Gina, starając się szeptać. Nie chciała, by Shane dowiedział się, że jest w domu. Będzie musiała wezwać policję i dojdzie do kolejnej awantury. Nie chciała, żeby jej adres po raz kolejny pojawił się w kronice kryminalnej. Co to, to nie. Miała nadzieję, że gadanina Toby'ego odpędzi Shane'a.

- Kim do cholery jest doktor Mackey? - zapytał już głośniejszym głosem Shane. Było słychać, że pił.

Gina ścisnęła telefon.

- Lekarzem i tyle - rzucił Toby.

- Super. - Shane z trudem starał się zachować spokój.

- Tak, będzie musiała powiedzieć innym facetom, że wychodzi za doktora Mackeya. Ale ten Roger też może dać jej pierścioneł i nie wiem, co ona wtedy zrobi. Zaprosił ją we czwartek do centrum handlowego i założy się o wszystko, że się oświadczy.

- To świetnie. Nie mam z tym problemu. W którym centrum, staruszk?

- Oakmont, o drugiej...

Gina wpadła do pokoju syna, następując stopą na ołówek. Chwyciła Toby'ego za szczupłą talię i ściągnęła na podłogę.

- Powiedziałem ci, że nie chcę innego korepetytora - szepnął jej prosto w twarz.

- Zgoda - odparła również szeptem. - Co się z tobą dzieje? - Stopa paliła ją po starciu z ołówkiem. Sprawdziła, czy się nie skaleczyła.

Toby wykręcił się z jej uścisku i położył na wznak na podłodze z wyciągniętymi rękami i nogami.

- A co się dzieje z tobą?

Gina czekała, aż Shane zacznie krzyczeć, walić do drzwi lub Bóg jeden wie co jeszcze. Musiałaby wtedy zadzwonić na policję. Ale usłyszała, że schodzi z werandy, stukając kulami, a potem szura butami po chodniku. Szuranie w końcu ucichło, a później rozległo się trzaśnięcie drzwi samochodu i warkot silnika. Dzięki Bogu: taksówka lub przyjaciel w końcu go stąd zabrali.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Odpuściłem dietę Zone, pomyślał Ted, pochłaniając biszkopty z masłem i miodem w Kentucky Fried Chicken podczas przerwy na lunch. Przyszedł tu już drugi raz z rzędu, lecz rezygnował z kurczaka i sałatki coleslaw. Zamawiał tylko trzy biszkopty i karton mleka, które stało na czerwonej plastikowej tacy. Ostatnio miał wielki apetyt na węglowodany: bajgle, płatki śniadaniowe i ciasteczka. Z pewnością nie na siemię lniane. I dzięki Bogu nie na alkohol. Lubił od czasu do czasu wypić kieliszek dobrego caberneta, ale nigdy nie szukał pociechy w alkoholu. Zamiast tego wstawał w środku nocy, żeby zjeść płatki. Stał w kuchni, której mrok rozjaśniał tylko wpadający z ulicy żółty blask lamp, i jadł cheerios z bananami i cukrem. Kiedy wyobrażał sobie kwas foliowy i witaminę B₁₂ wpływające do jego naczyń krwionośnych, odczuwał spokój.

Teraz rozkroił i posmarował masłem drugi biszkopt. Wyglądało na to, że zerwali z Elinor w nowy sposób. Elinor doświadczała jeszcze innej odmiany bólu, którego on nie potrafił złagodzić. Zamiast osuwać się na podłogę w gabinecie ginekologa, powinien był stać obok niej i trzymać ją za rękę. Był przecież lekarzem, na miłość boską! Powinien radzić sobie ze złą diagnozą. Ale w podiatrii nie ma ich zbyt wiele: wrastające paznokcie, grzybica stóp, może nerwiak lub młotowaty palec u nogi. Najgorszy scenariusz to konieczność amputacji palca lub palców u cukrzyka. Nic jednak nie mogło się równać z utratą dziecka.

Dlatego właśnie wybrał podiatrię. Można sporo pomóc pacjentom bez wielkiego ryzyka ich utraty. Nie miał pojęcia, jak sobie z tym radzą onkolodzy. On by oszalał, gdyby stracił pacjenta. Zarówno Elinor, jak i Gina powtarzały mu, że jest wrażliwy. To ładne określenie na mięczaka. Gdyby był naprawdę wrażliwy, nigdy nie wdałby się w romans i nie skrzywdził żony.

Ted wylizał ostatni paperek po miodzie, nie dbając wcale, czy ktoś to zauważy. Powoli nabierał kilogramów, które Gina pomogła mu zrzucić. Jedząc, zwalczał pragnienie, by wskoczyć do jej łóżka. Tego ranka, stojąc w kolejce po kawę, rozmarzył się. Przypomniawszy sobie, jak budził się w jej pokoju o piątej rano, jak dzwonił budzik w jego komórce, jak leżała zwinięta w kłębek, przytulając pośladki do jego talii, a jej długie włosy spoczywały rozrzucone na poduszce, a czasami na jego twarzy. Siadał i wyglądał przez firanki na granatowe niebo przed świtem, nadal usiane gwiazdami. Potem pochylał się i patrzył, jak Gina śpi. Zawsze była taka spokojna; jej czoła nigdy nie marszczyły niespokojne sny. Wdychał zapach jej perfum, przypominając sobie dzień, gdy poznał ich nazwę. China Rain. Po wypiciu kieliszka wina, ale jeszcze

zanim się kochali, znalazł się w łazience i przeglądał stojące na półce flakoniki, szukając buteleczki perfum. Musiał ją zobaczyć i dotknąć, by poznać nazwę. „Co ty tam robisz?“, zaśmiała się Gina za drzwiami. Ted wpuścił ją i wyznał, że musi się dowiedzieć, jak nazywają się perfumy, których używa. Roześmiała się i pokazała mu flakonik z małą szklaną kuleczką jak w dezodorancie, którą przesuwiała za uszami, między piersiami i po nadgarstkach. Rankami, kiedy obserwował ją, jak śpi, do upojenia wdychał słodki zapach. Zanim wstał, odsuwał jej włosy i całował ją w policzek i skroń - dwa delikatne pocałunki, które składał na szczęście, jakby wrzucał pieniądze do fontanny.

W pracy Ted zaczął popełniać błędy. Nie było to nic wielkiego, ale i tak go martwiło. Zapomniał zadzwonić w sprawie recept, zwrócił się do starszego pana per pani Dawson. Pewnego ranka zjawił się w gabinecie, mimo że powinien był stawić się w szpitalu, gdzie miał przeprowadzić zabieg. Kiedy pogwizdując strzepywał parasol, zdyszana recepcjonistka zameldowała, że jego pacjent od czterdziestu pięciu minut leży na wózku przed salą operacyjną.

- Potrzebujesz trochę wolnego? - zapytał jego wspólnik Larry.

- Może - odparł. - Chyba powinienem zabrać Elinor w jakieś miłe miejsce...

- Koniecznie! Jedźcie do Wenecji. Tam jest tak romantycznie. Musisz ją zobaczyć, zanim zatonie! - Nagłący ton głosu Larry'ego zdziwił Teda, zupełnie jakby poziom wody podnosił się już w gabinecie.

Wieczorem w drodze do domu Ted kupił przewodnik po Wenecji. Kazał go specjalnie zapakować, a potem dorzucił do koszyka dwa steki, ziemniaki, groszek i bukiet żółtych róż. W domu przygotował kolację dla Elinor i położył kwiaty i przewodnik przy jej nakryciu.

Elinor rozpakowała książkę i przesunęła dłonią po okładce, najwyraźniej próbując wzbudzić w sobie entuzjazm.

- Och, Wenecja.

- Wybierzmy się tam - zaproponował Ted. - To podobno dobra strona braku dzieci. Możemy podróżować.

Elinor wbiła wzrok w talerz.

- Może powinniśmy oszczędzać pieniądze na podróż do kraju, w którym byśmy adoptowali dziecko.

- Och. W porządku. - Ted odłożył sztucce. - Może.

- No wiesz - ciągnęła. - Najwięcej komplikacji jest z adopcją w kraju, bo tu matki biologiczne mogą legalnie zmienić zdanie. Lepiej więc zdecydować się na adopcję za granicą.

Ted pomyślał, że najprawdopodobniej będzie to kraj, w którym ludzie od pokoleń cierpieli głód i nie mieli dostępu do elementarnej choćby opieki medycznej. Nie chciał podcinać Elinor skrzydeł, ale nie był gotowy przeskoczyć z szaleństwa związanego z leczeniem bezpłodności prosto w szaleństwo związane z międzynarodową adopcją. Przez jakiś czas chciał stać mocno nogami na ziemi. Jednakże Elinor już zaczęła wycinać i zbierać do szarej teczki artykuły na temat adopcji. Te jej szare teczki wprawiały go w zdenerwowanie. Były znakiem, że Elinor planuje coś naprawdę wielkiego.

- To nie będą prawdziwe wakacje, jeśli będziemy szukać możliwości adopcji - nie ustępował. - To nie będzie wypoczynek.

Elinor kroila ziemniaka.

- Ja nie chcę już dłużej wypoczywać - powiedziała cicho. - Wydaje mi się, że kiedy robię sobie urlop, zmierzam donikąd.

- W porządku. - Ted silił się na radosny ton. - Jeszcze o tym porozmawiamy, dobrze?

- Dobrze. - Elinor poklepała przewodnik. - To miłe. Dzięki za książkę. - Ona też nie miała ochoty na żadne spory. W ciągu paru ostatnich dni prześcigali się w uprzejmościach. A jednak można było odnieść wrażenie, że są coraz bardziej dalecy, przez cały czas odnosząc się do siebie z grzecznością, z jaką traktuje się współpracownika lub gościa w domu.

- Bardzo proszę - powiedział Ted. Stracił już apetyt na kolację.

Na wyświetlaczu pojawił się napis G. ELLISON. Ted sięgnął po telefon w swoim gabinecie, bojąc się, że odbierze go Elinor.

- Cześć - rozległ się w słuchawce nosowy głos Toby'ego.

- Toby! - Ted poczuł ukłucie rozczarowania, że to nie Gina, a po nim falę wyrzutów sumienia. Z całej siły wbił knykcie w blat biurka, aby ból oczyścił mu myśli. - Nie możesz dzwonić...

- Mój nowy korepetytor chciałby się z tobą spotkać i porozmawiać o mojej matematyce.

- Wiesz, że nie mogę tego zrobić. Sam mu powiedz, nad czym pracowaliśmy.

- Ale on chce porozmawiać z tobą. Powiedział, że wtedy lepiej mi pomoże.

- Toby, przykro mi, ale razem z panią Mackey przechodzimy bardzo trudne chwile i nie mogę przysparzać jej dodatkowych zmartwień.

- Jakim cudem zmartwi ją moja matematyka?

Ted usłyszał stukot odkurzacza zjeżdżającego na drewnianą podłogę na dole. Elinor sprzątała. Dywan, potem podłoga, potem znów dywan. Odkąd poczuła się lepiej, sprzątała codziennie, mimo że ten dziwny młody fotograf przychodził co drugi tydzień.

- Toby, spotykałem się kiedyś z twoją matką, ale to już się skończyło. - Odkurzaczy przestał warczeć i Ted szybko ściszył głos. - Nie mogę już z wami być. Przykro mi. Wiem, że to trudne, gdy dzieci zostają wplątane w takie sprawy. - Spojrzał na stos medycznych magazynów na biurku. Od jakiegoś czasu próbował przeczytać artykuł „Debata przeciwzapalna”, ale za nic nie mógł się nad nim skupić.

- Nie. Nie wiesz. Wszyscy to mówią. Ale i tak najważniejsze jest to, co poprawia dorosłym samopoczucie. Decydują o wszystkim. Gdzie mam mieszkać i kto może być moim ojczymem. Dlaczego ja nie mogę o niczym decydować?

- Toby, wiem, że twoja mama konsultuje z tobą swoje decyzje. Niestety, nie ma żadnego wpływu na decyzje twojego taty. To mina i już. Nie będę cię przekonywał, że jest inaczej. - Ted rozmawiał na stojąco, bo w ten sposób bronił się przed zbyt długimi rozmowami. A Toby miał irytujący talent do wciągania rozmówcy w długą debatę. - A co teraz przerabiasz z matematyki?

- Obliczamy objętość brył i pole figur.

- To ci dopiero zabawa. - Ted wyjrzał przez okno. Była niedziela i ulicą sunął pochód ludzi z psami, całych rodzin i amatorów joggingu. Dni stawały się coraz krótsze. Blade, rozmyte światło przygnębiało go.

- Oblewam testy jeden po drugim! - rzucił ostro Toby. Po chwili ciągnął już łagodniejszym tonem: - Wydaje mi się, że ten korepetytor zaleca się do mojej mamy. A ona potrafi zawrócić facetowi w głowie. Musiała złożyć zażalenie na Shane'a i załatwić zakaz zbliżania się. I wiesz? Ten Barry kupuje jej biżuterię. Ostatnio kupił jej piękny pierścionek z brylantem.

Ted poczuł ukłucie zazdrości, gdy wyobraził sobie, jak Barry wręcza Ginie aksamitne pudełeczko. Nagle przeraziła go świadomość, że być może Toby wie, że zazdrość jest jego słabą stroną. Na dodatek musiał wiedzieć, że słabą stroną jego matki jest wielkie serce i że oboje mają słabość do siebie nawzajem. Może Toby był najmądrzejszy z nich wszystkich, choć miał dopiero dziesięć lat. Ted opadł na krzesło. Ten dzieciak powinien szanować prywatność innych, do cholery.

- Twoja mama to wspaniała osoba i na pewno znajdzie cudownego partnera, który ci się spodoba.

- Tak. Barry załatwił mi bilety na koncert White Stripes. Chcesz iść ze mną?

Ted parsknął śmiechem.

- Toby, nawet gdybym mógł z tobą iść, nie mam pojęcia co to takiego White Stripes.

- Ja też nie. Ale dzieciaki z mojej klasy ich lubią. Barry powiedział, że mogę zaprosić kogoś z klasy. Chciałbym zaprosić jedną dziewczynkę, Melanie. Ale wydaje mi się, że ona też nie wie, co to takiego White Stripes. Gra na skrzypcach.

- To dobrze, kolego. Może mógłbyś ją zaprosić gdzie indziej.

- Tak. Ja się ożenię z bardzo mądrą kobietą. Nie z taką głupolką jak moja mama.

Ted znów zniżył głos.

- Toby, posłuchaj, twoja mama wcale nie jest głupia. Nie jesteś dla niej miły ani nie traktujesz jej sprawiedliwie. Robi dla ciebie wszystko co w jej mocy. Założę się, że bez zastanowienia potrafisz przypomnieć sobie pięć miłych rzeczy, które zrobiła dla ciebie tylko w tym tygodniu.

- Jak rozpierducha w moim pokoju za pomocą dmuchawy do liści?

- Co takiego?

- Tak. To jej nowy sposób na sprzą...

Ted wstał. Prąd Toby'ego znów zaczął go wciągać.

- Toby, muszę już kończyć.

- Dobra. Idziesz na zakupy dla dziecka?

Ted wstrzymał oddech i zaczęło mu się kręcić w głowie. Po chwili odetchnął głęboko i poczuł leśny zapach środka do czyszczenia, którego używała Elinor. Znów opadł na krzesło.

- Przykro mi to powiedzieć, Toby, ale nie będziemy mieli dziecka.

- Jak to?

- Pani Mackey poroniła.

- Co?

- Straciliśmy dziecko.

- Gdzie?

- Coś jakby w gabinecie lekarza. Dowiedzieliśmy się, że nie żyje.

- Och. - W głosie Toby'ego nie słyhać było już entuzjazmu. - Chcesz powiedzieć, że dziecko umarło w środku pani Mackey? Jak to możliwe?

- No cóż, kolego. Nie wiemy. Czasami natura rządzi się swoimi prawami. Kiedy posadzisz pomidory lub kwiaty, nie wszystkie przeżyją, prawda? Z dzieckiem dzieje się tak zazwyczaj, kiedy coś na samym początku jest nie tak. Jakieś problemy z chromosomami. Jest to więc rodzaj błogosławieństwa. - Ted jakoś nie potrafił przekonać samego siebie, że to prawda.

- A co to są chromosomy?

- To łańcuch genów w jądrze komórki. Są bardzo małe. Nie widać ich bez mikroskopu. Pani Mackey jest bardzo smutna. Musimy się o nią troszczyć, dlatego proszę cię, żebyś już tu nie dzwonił.

- W porządku - prychnął chłopiec.

- Toby, jesteś wspaniałym dzieciakiem. Wiesz tyle o historii i potrafisz każdego rozbawić. Wszystko się ułoży. Teraz tego tak nie odbierasz, ale ja jestem przekonany, że tak będzie. - Tak bardzo pragnął mu pomóc. Nie będzie miał już ku temu okazji i na myśl, że tego żałuje, ogarnęły go wyrzuty sumienia.

- Moja mama też to powtarza. Nie możesz robić wszystkiego, co chcesz, ale wszystko się ułoży! Dorośli w to wierzą, żeby sami mogli poczuć się lepiej.

- Toby, naprawdę muszę już kończyć. Bądź miły dla mamy. I zaprosz tę skrzypaczkę do kina.

Ted usłyszał trzask odkładanej słuchawki. Wyjrzał przez okno. Chodnikiem szła młoda para, popychając duży czerwony wózek. Omawiali coś z pochylonymi głowami. Dziecko - chłopiec czy dziewczynka? - wyrzucało z torby przymocowanej z tyłu wózka kawałki jedzenia i piszczało z radości. Nagle Ted pojął, dlaczego Elinor uciekała do pralni. Nie znaczy to wcale, że wcześniej nie rozumiał jej potrzeby ukrycia się w ciepłym, ciemnym miejscu. Jednakże po raz pierwszy odczuł ból na widok pary z dzieckiem. Miał zostać ojcem. Skupił wzrok na oknie, nie na ulicy. Zauważył, że szprosły między szybami zespolonymi są wykonane z aluminium. To były drogie okna, zaprojektowane, by powstrzymywać zimno, deszcz i włamywaczy. Mimo to Ted żałował, że nie mieszka w starym domu z oknami, które mają prawdziwe szyby i drewniane szczeliny. Zaczął się zastanawiać, czy nie powinni się przeprowadzić jak najdalej od tego miejsca.

Elinor wypila łyk herbaty darjeeling i zamykając oczy, chłonęła ciepło i słodki smak miodu. Zdjęła kosz pełen złożonego prania z blatu w kuchni i po drodze do sypialni oparła go na biodrze.

Mijając gabinet Teda, zobaczyła, że stoi przy biurku ze słuchawką w dłoni i wpatruje się w przestrzeń. Odwrócił się w jej stronę. Wyglądał na ogłuszonego, jakby odebrał przed chwilą złą wiadomość. Może dzwoniła lekarka z wynikami histopatologii. Ale co mogło być gorszego od wyroku: straciliście dziecko?

- Co jest?

- Nic. - Ted odłożył słuchawkę na bazę i wygładził dłońmi spodnie.

- Kto dzwonił? - Przełożyła kosz na drugie biodro.

- Toby. - Potarł twarz. - Przepraszam. Chyba tym razem udało mi się go przekonać, żeby więcej tu nie dzwonił.

Elinor postawiła kosz na podłodze i oparła się o framugę drzwi.

- Nadal chce opiekować się dzieckiem? - Była poirytowana, ale też wzruszona przywiązaniem chłopca do Teda.

- Nie. Powiedziałem mu, że straciliśmy dziecko.

To prawdziwa ulga usłyszeć, że Ted mówi my. W popołudniowym słońcu wpadającym przez okno jego włosy lśniły jak mahoń. Nie miał jeszcze ani jednego siwego włosa, odziedziczył to po ojcu. Elinor poślubiła mężczyznę, który pięknie się starzał. Jakie to szczęście. Bez względu na to jak bardzo był zmęczony czy przybity, bez względu na to jak bardzo była na niego wściekła, zawsze uważała, że jest przystojny. Jednakże jej miłość do niego uległa zmianie. Teraz raczej przypominała miłość, którą odczuwała do Kat czy matki. Może właśnie tak powinno zmieniać się małżeństwo. Żałowała, że nie jest tego pewna.

Ted potarł kark i wbił wzrok w podłogę. Powinna coś dla niego ugotować. Może filet mignon. Przede wszystkim powinna zapisać się na lekcje gotowania. O wiele mądrzej byłoby skoncentrować się na gotowaniu zamiast na praniu.

- Toby chce, żebym spotkał się z jego nowym korepetytorem i porozmawiał o matematyce. - Ted wyjrzał przez okno. - Powiedziałem mu, że nie mogę.

Co to za różnica na tym etapie? zastanowiła się Elinor. Nie mogła uwolnić się od poczucia, że straciła już wszystko, co miała do stracenia. Co rano, kiedy się budziła, powtarzała sobie: „Nie, to nieprawda”. Mogli przecież stracić dom, Ted mógł stracić praktykę (pacjenci oddają czasem sprawę do sądu!), jedno z nich mogło mieć raka. Myśli o tych posępnych scenariuszach wyrzucały ją z łóżka. Napędzała ją szaleńcza wdzięczność, która wraz z upływem dnia zamieniała się w smutek.

- Wiesz co? - Elinor objęła się rękoma, zbierając się na odwagę, by mu to zaproponować. Spojrzał na nią. - Idź tam. Zobacz się z tym dzieckiem. Jeden raz nie zaszkodzi. Porozmawiaj z korepetytorem i zaproś Toby'ego na lody.

- Sam nie wiem - odparł. - To przypomina bardzo śliskie zбочe.

Śliskie zбочe prowadzące dokąd? Do serca Toby'ego czy do łóżka Giny? Elinor wzruszyła ramionami.

- Inaczej stale będzie tu dzwonił.

- Moglibyśmy zmienić numer.

Pokręciła głową.

- Coś mi mówi, że ty naprawdę dużo znaczysz dla tego dziecka. My mamy złamane serca, ale nie musimy łamać serca i jemu.

Ted potarł oczy.

- Nic mu nie będzie.

Elinor wiedziała, że Ted nie zadzwoni do Toby'ego. Ale wiedziała też, że bardzo chce. Chyba wydawało mu się, że tylko Toby'emu umie pomóc. Nie chciała mu tego odbierać. Przeszła przez pokój, wzięła telefon i wystukała *69. Czuła, jak przyspiesza jej puls na myśl, że dzwoni do domu byłej kochanki męża. Potem wyciągnęła słuchawkę w stronę Teda i wyszła z pokoju, zostawiając pranie.

- Obiecuj, że mi powiesz, jeśli będziesz się z nią pieprzył - zawołała przez ramię. Była wstrząśnięta, gdy usłyszała echo swoich słów odbijające się w korytarzu. Ale naprawdę chciała to wiedzieć. Obróciła się na pięcie, czując chłód posadzki pod stopami w samych pończochach. Zamarła tyłem do gabinetu Teda.

- Jesteś pewien, że nie powinienem zadzwonić do tego gościa? - zapytał Ted. - Centrum handlowe? W porządku. - Usłyszała, jak zapisuje coś na małym bloczku firmy farmaceutycznej. - Przy kinie. Dobra. Dobra. Nazywa się Stan? Rozumiem. Powiedz mu, że tam będę.

Elinor ruszyła szybko do kuchni. Dziś wieczór zrobi dla męża prawdziwą kolację. Cordon bleu i gotowane na parze szparagi pod beszamelem. To łatwe. Kat pokazała jej raz, jak się to robi - trzeba rozbić piersi kurczaka przykryte pergaminem, potem położyć szynkę i ser i zwinąć wszystko w roladę. Bułka z masłem.

W gabinecie terapeutki Ted ścisnął dłoń Elinor. Znał swoją żonę od tylu lat, lecz nadal dziwiło go, że ma tak drobne palce - zupełnie jak dziecko.

- Ważną częścią dochodzenia do siebie po utracie dziecka jest danie sobie czasu na żałobę - powiedziała doktor Brewster. - To się nie dzieje z dnia na dzień.

Oboje skinęli głowami. Powiedz mi coś, o czym nie wiem, pomyślał Ted.

- Teraz możecie czuć, że nie ma już żadnej nadziei - ciągnęła terapeutica. - Ale są przecież inne opcje.

- Tak jest - zgodziła się ze znużeniem Elinor. - Adopcja. Jajeczka innej kobiety. Porwanie dziecka z centrum handlowego.

Doktor Brewster uśmiechnęła się.

- I życie bez dzieci w przeciwieństwie do bezdzietności.

- Tak, uwielbiam to określenie - powiedziała Elinor. - To zupełnie jak życie bez pieniędzy, jedzenia lub powietrza. Coś takiego nie oznacza wcale wolności.

Ted nie orientował się zbytnio w psychologii, ale uważał, że to pozytywna zmiana. Postanowienie, które pozwala żyć dalej. Kiedy pierwszy raz odpoczywali od terapii in vitro, kupił książkę zatytułowaną „Słodkie winogrona: Jak przestać być bezpłodnym i żyć dalej”. Pomyślał, że będzie czytał Elinor kilka stron przed snem. Ale książka tylko doprowadzała ją do płaczu.

Był więc zaskoczony, kiedy Elinor wstała i zaczęła mówić do doktor Brewster, zupełnie jakby była na sali sądowej.

- Chcę mieć wnuki. Rozumiesz? Tu nie chodzi o posiadanie dziecka, lecz rodziny.

- Oczywiście - zgodziła się doktor Brewster. - Omówimy to w najbliższym czasie.

Dla Teda jej słowa zabrzmiały jak wyrok. Dlaczego znów znaleźli się z Elinor w dołku, a on nie potrafił ich stamtąd wydostać? I dlaczego Elinor nie wspomniała o jego spotkaniu z nowym korepetytorem Toby'ego? Martwił się, że tak bardzo nie może się go doczekać - a raczej okazji, by dowiedzieć się, jak radzi sobie Gina. Obiecał sobie, że nie będzie się starał wyciągnąć od chłopca zbyt dużo informacji na jej temat.

- Umówiłem się z korepetytorem Toby'ego - rzucił. Potarł kolana. To wyznanie przyniosło mu ulgę.

- Toby'ego? - zdziwiła się doktor Brewster.

- Ominął cię ten rozdział - wyjaśniła Elinor. - Była kochanka Teda miała dziecko. Ma dziecko. I chłopiec zapalał do Teda ogromną sympatią. Powiedziałam Tedowi, żeby się z nim spotkał.

- Uważasz, że utrzymywanie tej znajomości jest zdrowe? - zapytała Teda doktor Brewster.

- Co w ogóle jest zdrowe - przerwała jej Elinor - jeśli się nad tym zastanowić? Co jest zdrowe poza zieloną herbatą?

- Pytałam Teda - przerwała jej doktor Brewster. Elinor usiadła i przygryzła wargę.

Ted zakaszłał i zaczął starannie dobierać słowa.

- Bardzo mi zależy na tym chłopcu. Chcę, żeby mu się powiodło w życiu. Z jakiegoś powodu mam na niego dobry wpływ. I na razie zamierzam się spotkać z jego korepetytorem.

- A co ty w związku z tym czujesz? - Doktor Brewster popatrzyła na Elinor.

- Chyba nie mogłabym się już czuć gorzej - odparła.

- Więc co za różnica?

Ted wyciągnął rękę, by pogłodzić ją po karku. Nie odprężyła się pod jego dotykiem.

- On i tak będzie do nas wydzwaniał - dodała z goryczą Elinor.

- Masz prawo wściekać się z tego powodu - oświadczyła doktor Brewster.

Elinor wstała i znów zaczęła chodzić po pokoju.

- Mam już dość prawa do wściekania się! Doktor Brewster przesunęła się na brzeg krzesła.

- Mam dość prawa do bycia smutną - ciągnęła Elinor.

- Chcę mieć prawo być szczęśliwa! - Raz po raz przesuwiała dłonią przez włosy, ciągnąc za wystrzępione końce. - Przez ostatnie dwa lata wszystko się poplątało, a ja tylko jestem wściekła.

Kiedy go mijala, Ted chwycił ją za rękę, ścisnął lekko i pociągnął na krzesło. W przeszłości Elinor powtarzała mu, że jej zdaniem terapeutka zachęca ją do podtrzymywania uczuć, zamiast się ich pozbywać.

„Mój gniew opłaca hipotekę za jej domek w górach” - narzekała.

„Och, daj spokój” - mówił Ted. - „Ona tylko wykonuje swoją pracę. Nie płacimy jej za to, żeby siedziała przy linii bocznej”. Ale zgadzał się z nią. Czasami w gabinecie doktor Brewster - może przez elegancki skórzany fotel - czuł wyraźnie, że tonie lub zsuwa się na bok, a ich problemy są nie do rozwiązania.

- I wiesz co? - ciągnęła Elinor. - Może rozmowy nie pomagają. Może tylko zaogniają terazniejszość, wiążąc nas w przeszłości. Przypominają nam stale wszystko, co poszło nie tak i co mogliśmy zrobić inaczej i dlaczego wściekamy się na siebie. O tak! Teraz pamiętam, dlaczego jestem na ciebie wściekła! - Zniżyła głos i odzyskała panowanie nad sobą.

- Może nie musimy omawiać wszystkiego. - Spojrzała na doktor Brewster, a potem błagalnie na Teda.

Ted kiwnął głową z podziwem i wyciągnął rękę, by pogładzić ją po włosach. Jak zwykle mówiła dokładnie to, o czym on tylko myślał. Tyle że dawniej robiła to w zabawniejszy i bardziej wyszukany sposób.

„Co też ona wygaduje!” - żartował w takich chwilach.

- Przykro mi - powiedział teraz.

- Wiem - odparła Elinor. - Mnie też.

- Przecież nic nie zrobiłaś - powiedział.

- Nie zaczynajmy od nowa - rzuciła.

- Dobra - zgodził się Ted.

- Posłuchajcie - odezwała się terapeutka po długiej chwili milczenia. - Masz rację. To nic przyjemnego czuć, że żyje się w stałym kryzysie. Oboje dużo przeszliście. Musicie sobie oddać sprawiedliwość za to, jak ciężko pracowaliście i jak świetnie wam idzie.

- Dziękuję - powiedziała Elinor. - Naprawdę. Nie chciałam cię zaatakować. Naprawdę uważam, że świetnie wykonujesz swoją pracę. - Spojrzała na zegarek. - Ale wiesz co? Nasz czas się skończył.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Przytłaczający zapach jedzenia, który unosił się w części restauracyjnej centrum handlowego, przypomniał Rogerowi, że nie jadł lunchu. Bombardowany aromatem ciastek, wafli, popcornu smażącego się w maśle i czegoś ociekającego tłuszczem na grillu, poczuł jednocześnie głód i nudności. Spojrzał na trzymaną w ręce kartkę: „Gina Ellison, 14:00, część restauracyjna”. Było dziesięć po drugiej. Gdzie więc jest ta dama? Jezu, zrobiłby wszystko, o co poprosiłaby go pani Mackey. Dobrze, że nie stoi na czele jakiejś sekty. Roger przechadzał się przed kasami kina, bo tam właśnie umówił się z Giną. Nie wiedział nawet, że teraz w centrum jest kino. Pobliskie ruchome schody prowadziły na drugi poziom z multipleksem, a tutaj kasy otaczał spory obszar ze stolikami i krzesłami pełen barów szybkiej obsługi, oferujących wszystko: od cukru, przez tłuszcz, po kofeinę.

- Roger? - Odwrócił się i zobaczył szczupłą kobietę z długimi włosami, która podeszła do jakiegoś innego faceta, obdartego gościa w wełnianej czapeczce naciągniętej na czoło i workowatych spodniach ze zwisającym z kieszeni łańcuchem.

- Nie - mruknął dzieciak.

Cholera, musiała się chyba ucieszyć. W porównaniu z tym włóczęgą Roger wyglądał jak Clark Kent.

- Pani jest mamą Toby'ego? - zapytał. Wyglądała młodo jak na matkę. - Pani Ellison?

Odwróciła się i z ulgą skinęła głową.

- Mów mi Gina.

Roger czuł się o wiele swobodniej, gdy zwracał się do swoich klientów per „pan” i „pani”.

Wyciągnęła rękę. Wszystko było w niej jakieś długie. Długie ręce i długie palce, długie włosy sięgające do pasa. Facetom pewnie się to podoba. Ale nie była w jego typie. On był chyba najmniej wysportowaną osobą na ziemi.

Miała na sobie lekki błękitny dres i japonki z błyszczącymi kryształkami. Bluza od dresu była krótka i odsłaniała brzuch. Był ładny i płaski, lecz Roger próbował na niego nie patrzeć. Może będzie pomagał synowi w nauce, ale na pewno nie będzie umawiał się z mamą.

- Cześć. - Starał się, by uścisk jego dłoni był typowy dla biznesmena: szybki i mocny.

Gina przycisnęła do piersi notes.

- Usiądźmy. - Przebiegła wzrokiem całe rzędy stolików.

Roger siedł za nią aż do stoiska z hot dogami. Usiedli pod wielką sztuczną palmą. Ciekawiło go, czy w donicy jest też sztuczna ziemia, więc próbował zajrzeć do środka.

Gina rozłożyła notes na stoliku i zaczęła szukać w torbie długopisu. Wyglądała na zestresowaną.

- Mój syn Toby jest bardzo bystrym chłopcem, ale ma problemy z koncentracją i naprawdę potrzebuje pomocy w matematyce. W przeszłości korepetytor bardzo mu mógł. - Przerzuciła włosy przez ramię i spojrzała w notes. Gdyby Roger miał zrobić jej zdjęcie, poprosiłby ją, żeby powiesiła się głową w dół na drabinkach na placu zabaw przy jego domu. Jej włosy opadłyby na ziemię, może rozłożyły się na piasku i widać byłoby więcej brzucha. Pewnie by się roześmiała, a żyła na jej czole nabrzmiałyby wyraźnie.

- W porządku. - Miał nadzieję, że zamówią kawę, bo wtedy mógłby zjeść wafła albo cokolwiek, by zneutralizować kwas w żołądku.

- No tak. - Gina zajrzała do notatek. - Nigdy wcześniej nie udzielałaś korepetycji? - W jej głosie słychać było zmieszanie, a nawet podejrzliwość.

- Nie, ale bardzo chciałbym zacząć. - Po jaką cholere to powiedział? Dlaczego nie siedzi w domu, pracując nad swoim portfolio i podaniem do szkoły podyplomowej? Na studiach miał praktyki w szkole podstawowej i nawet zastanawiał się, czyby nie zostać nauczycielem. Lubił dzieci, ale trzeba było odbyć mnóstwo zajęć, żeby zdobyć stosowne uprawnienia, a poza tym pensja zawsze byłaby beznadziejna. Wykorzystywał więc inne, łatwiejsze sposoby, by zarabiać, przygotowując portfolio.

- W porządku. - Gina skinęła głową. - Pracuję w siłowni. Chciałabym, żeby Toby miał korepetycje trzy razy w tygodniu. Umówisz się z nim w księgarni Barnes & Noble, pomożesz mu kupić lunch i będziecie pracować przez półtorej godziny. Potem po niego przyjadę. Pasuje ci? - Podniosła lekko głos, przekrzykując hałas panujący w centrum. To bardzo dziwne zjawisko: ludzie rozmawiali, z głośników płynęła

pseudojazzowa muzyczka, na grillach dźwięczały łopatki, szumiały bankomaty, ale wszystkie te odgłosy wzajemnie się wykluczały, tworząc w mózgu jednostajny szum. Roger mógłby tu nawet spać.

- Co teraz przerabia w szkole? - zapytał. Kto wie, może zacznie regularnie udzielać korepetycji. Będzie sprzątać domy rankami, a po południu uczyć dzieci. To przerwałoby monotonię czyszczenia toalet i mycia podłóg. Jego była dziewczyna, Elissa, twierdziła, że on o nic nie walczy, czeka tylko, by wszystko samo przyszło. I co z tego? Teraz jednak zbierze się do kupy. Zacznie udzielać korepetycji, będzie nadal sprzątał, skończy portfolio i wreszcie złoży podanie do szkoły podyplomowej. Nagle dotarło do niego, dlaczego jeszcze tego nie zrobił. Co będzie, jeśli się nie dostanie?

- ...Ułamki i rachunki pisemne - wyliczała Gina. - Powoli program zaczyna robić się trudny. Przygotowanie do prawdziwej algebry. - Machnęła ręką w powietrzu. - Ja byłam okropna z matematyki. Dorośliłam się wrzodów.

- Nie martw się - pocieszył ją Roger. - Algebra to kicha, ale nie jest taka trudna, jeśli się ją raz rozgryzie. - Czuł, że musi uspokoić Ginę, która wyglądała na szczerze zmartwioną.

- Masz jakieś referencje? - zapytała. - Chciałabym zadzwonić do trzech osób.

- Dobrze. - Zupełnie jak prawdziwa rozmowa w sprawie pracy! Mógł podać jej numer opiekuna roku i kilku klientów.

- Świetnie. - Gina po raz pierwszy się uśmiechnęła.

Nie była wcale taka zła. Wyglądała na bardzo miłą. Oby tylko dzieciak nie okazał się koszmarem. Szczęściarzem z niego, że ma taką mamusię.

- Wydaje mi się, że mój syn będzie zadowolony, mając młodego, modnego korepetytora.

Ludzie często powtarzali mu, że jest modny. Nie miał pojęcia dlaczego. Wcale nie czuł się modny.

- Kiedy będziesz mógł zacząć? Jeśli potwierdzą się referencje?

- Chyba szybko.

Roger rozejrzał się dookoła. Z marmurowymi posadzkami, metalowymi barierkami i wysokimi ścianami wewnątrz centrum przypominało świątynię. Kościół kapitalizmu. Może przed rozpoczęciem studiów podyplomowych powinien pojechać do Tybetu albo na Bali. Powłóczyć się po Himalajach. Odnaleźć siebie. Tyle tylko że wcale nie chciał odnaleźć siebie. Chciał znaleźć kogoś drugiego. A właściwie już znalazł: panią Mackey. Ale ona była mężatką, a teraz będzie miała dziecko.

Słodki zapach pieczonych ciastek przytłaczał go. Czuł się tak, jakby miał w gardle kulę z ciasta. Spojrzał na gablotę ze słodyczami. Spody były o wiele za duże i wyglądały na nedorobione, jak wszyscy klienci w centrum. Zakrztusił się i żołądek podszedł mu do gardła, zupełnie jakby miał kaca.

Kątem oka zobaczył migające białe gwiazdki. Cholera, chyba nie zemdleje? Na moment spuścił głowę. Może jest cukrzykiem. A nawet nie ma ubezpieczenia zdrowotnego! Jaki palant nie ma ubezpieczenia? Co on do diabła wyprawia ze swoim życiem?

- Wszystko w porządku? - Gina wstała i pochyliła się nad nim. Pasma włosów opadły mu na koszulę.

- Tak. Muszę chyba tylko coś zjeść.

- Zaraz coś ci przyniosę. - Macierzyński ton głosu Giny przyniósł mu ukojenie. - Zaraz wracam.

Roger siedział z opuszczoną głową, wzdrygając się na chrobot krzesła przesuwanego po podłodze. Skupił się na odgłosie jej japonek - klap, klap, klap - i cieszył, że na moment został sam.

Ted nie był jeszcze w centrum po remoncie. Kiedyś było dość obskurne - sklepy kategorii B, mroczne parkingi i słaba oferta w restauracjach. Teraz powstało całe nowe skrzydło z gigantycznym zapleczem restauracyjnym i kinem.

Toby umówił go ze Stanem, korepetytorem, w pobliżu kas. Usiadł na długiej pokrytej winylem ławce, która biegła za rzędem stolików. Stamtąd miał dobry punkt obserwacyjny. Było kilka minut po drugiej, ale ludzie już stali w kolejkach do kina, kupując tańsze, popołudniowe bilety. Powinni się wybrać na taki seans razem z Elinor. A nawet zostać tu przez kilka miesięcy, dopóki nie miną ich problemy. Nad ramię śniło mu się, że Elinor obudziła go z dobrymi wieściami. „Jest dla nas dziecko”, mówiła potrząsając go za ramię. „Ubieraj się! Możemy zaraz je odebrać. Ale musimy być tam pierwsi, bo inaczej weźmie je ktoś inny!”. We śnie ogarnęła go fala podniecenia. Cieszył się. Nie miał żadnych wątpliwości ani obaw. „Wspaniale!”, powiedział, budząc się ze snu.

„Co jest takie wspaniałe?” - zapytała Elinor. Nie spała już. Leżała przykryta kołdrą pod brodę, trzymając w ręce filiżankę z herbatą i książkę na piersiach. Nie miał serca opowiedzieć jej, co mu się śniło.

Obserwował ludzi przechodzących przez zaplecze restauracyjne. Większość z nich to młode matki z wózkami wyladowanymi pieluchami i torbami z zakupami. Teraz już rozumiał, dlaczego Elinor żartowała o porwaniu dziecka z centrum handlowego. Większość młodych kobiet była gruba, z tatuażami i wałkami tłuszczu wylewającymi się nad spodniami biodrówkami. Powinien był przynieść coś do czytania. Ale wtedy nie mógłby wypatrywać Stana. Toby powiedział, że nie wie, jak on wygląda, ale miał być sam gdzieś w okolicy kas do kina.

Może powinien rozejrzeć się po drugiej stronie kas. Pewnego dnia umówił się z Elinor po pracy w restauracji z ogródkiem. Na środku stał okrągły bar z wielkim akwariem z tropikalnymi rybami i okazało się, że on siedział przy stoliku po jednej stronie, a El po drugiej. Oboje zaczęli się już denerwować. Wreszcie Elinor postanowiła się rozejrzeć i zobaczyła Teda. Kiedy się odnaleźli, wybuchnęli śmiechem. W tamtych czasach byli przekonani, że taka wpadka jest zabawna i przypadkowa, że nie stanowi kolejnego potwierdzenia, iż wszystko w ich życiu idzie nie tak.

Ted przeszedł na drugą stronę, szukając osoby, która siedziałaby przy stoliku sama. Dostrzegł jednak tylko starszą panią w białym trenczu, która rozwiązywała krzyżówkę. Zajrzał do ułożonych w podkole restauracji. Serce zabiło mu mocniej, gdy dostrzegł Ginę, która płaciła za tacę z jedzeniem w chińskiej knajpce. Zdziwiło go, jak szybko ją rozpoznał - jej złote włosy opadające na plecy, jej idealną pupę, jej długie chłopiące nogi. Schował się za rośliną w dużej donicy. Gina przesuwała się zwinnie między stolikami, balansując tacą, na której stał też karton mleka. Może to lunch dla Toby'ego.

Ale dlaczego przyszli tu o tej samej porze co Stan i on? Postawiła tacę na stoliku i przesunęła w stronę chłopaka, który był na pewno starszy od Toby'ego. Chłopak skinął głową w podziękowaniu, wziął widelec i wbił go w jedzenie. Gina usiadła z uśmiechem. Karmienie ludzi zawsze sprawiało jej przyjemność. Ted od początku był tym zauroczony. Sprawiało jej przyjemność gotowanie, seks, miłość do dziecka, pomaganie ludziom. To właśnie w niej kochał. Kochał? Tak, nadal kochał Ginę. A teraz chował się za rośliną w wielkiej donicy, oficjalnie ją śledząc. Wcześniej złamał jej serce. A może jednak nie? Może świetnie sobie radziła. Wyglądało na to, że jest na randce. Chłopak jedzący chińszczyznę odwrócił się, by na coś spojrzeć, i Ted mógł lepiej zobaczyć jego twarz. Z pewnością nie był to Barry, promotor koncertów. A jednak go rozpoznał. Te truskawkowoblond włosy i kozia bródka. To chłopak, który u nich sprzątał! Co u diabła? Co oni robią razem? Gdzie był Toby? I Stan? Dlaczego Gina kupiła temu chłopakowi od sprzątania lunch?

Bez względu na wszystko Toby nie powiedziałby matce, że Ted ma się spotkać z jego nowym ko-repetytorem. Ted wyszedł zza rozłożystej rośliny. Gdzieś za sobą usłyszał dziwny dźwięk. Ktoś się zbliżał. Ted odwrócił się i zobaczył faceta o kulach kuśtykającego przez hol. Robił długie kroki i lekko podskakiwał, a splecione czarne włosy powiewały mu nad głową jak niechętny współtowarzysz. Jego twarz pociemniała z gniewu i determinacji. Mijając Teda, otarł się o niego połamami rozpiętej flanelowej koszuli. Wyglądało na to, że marmurowe posadzki mimo remontu nie mogły pozbyć się ciemnych typów. Ted ze zdziwieniem dostrzegł, że facet zmierza prosto do stolika Giny. Gina mówiła i zapisywała coś w notesie, patrząc, jak chłopak je. Kiedy jednak dostrzegła faceta o kulach, opadła jej szczeka. Wstała i odsunęła krzesło, zwijając serwetkę w kulkę. Chłopak od sprzątania - Roger, przypomniał sobie Ted - odwrócił się i przestał jeść.

Ted nie słyszał, co Gina mówi do faceta o kulach. Ale wyglądała na rozgniewaną i kręciła głową z dezaprobatą. Facet wybuchnął śmiechem. Nikt poza nim nie był jednak rozbawiony. Brwi Rogera uniosły się w zdumieniu, kiedy intruz uderzył go w nogę kulą. Roger podniósł ręce nad tacę z jedzeniem, jakby chciał powiedzieć „Hola!”.

Wyglądało na to, że facet o kulach jest pijany. Shane. To musiał być Shane, chłopak Giny, gwiazdor rocka. Oczywiście nie był żadną gwiazdą, ale od chwili gdy Gina o nim wspomniała, Ted idealizował informację, że mężczyzna zarabia na życie, grając w zespole. A teraz wyglądał jak przerażający szczur z centrum handlowego.

Roger wstał i zachwiał się na nogach. Wytarł usta serwetką, rzucił ją na tacę i skinął głową w stronę Giny, jakby chciał się pożegnać. Tymczasem Shane oparł się na zdrowej nodze i jednej kuli, drugą wymierzając Rogerowi cios prosto w pierś.

- Jezu, facet! - Ted usłyszał krzyk Rogera.

Shane coś syknął. Ted nie rozpoznał słów, ale wyczuł rozdrażnienie. Ludzie przy sąsiednich stolikach zamarli. Wyraz ich twarzy mówił: „Oho, awantura. Poczekajmy, co się dalej wydarzy”.

- Dość! - krzyknął Ted nad monotonnym szumem rozmów.

Pobiegł wśród stolików, wpadając na krzesła i przewracając drinki, napędzany gniewem, który go przerastał.

Roger odwrócił się na pięcie.

- Doktor Mackey! - Na jego twarzy odmalowała się nadzieja.

- Ted? - Gina cofnęła się od stolika.

Ścisnęła się za brzuch i Ted od razu wiedział, że dostała skurczy.

- Wszystko w porządku - powiedział.

Rozejrzał się po holu. Jezu, normalnie w tych miejscach aż roilo się od glin. Gdzie byli teraz? Spojrzał na Shane'a.

Gina pokręciła głową, ostrzegając go subtelnie: nie.

- A więc to ty jesteś tym lekarzem - powiedział kpiącym tonem Shane. Był przystojny w typowy dla gwiazdy rocka sposób. Niesamowite błękitne oczy i młoda twarz okolona czarnymi włosami, które lśniły w świetle. Ale śmierdział whisky i papierosami.

- Rzeczywiście, jestem lekarzem. A ty, przyjacielu, wyrwałeś się z szeregu. Zostaw tych ludzi w spokoju albo wezwiemy policję.

- Przyjacielu? - Shane parsknął śmiechem. - Nawet się nie znamy. Co mamy ze sobą wspólnego? Poza tym, że pieprzyłeś moją dziewczynę?

- Pięknie, Shane - powiedziała z obrzydzeniem Gina.

- Muszę już iść - rzucił Roger.

- Dobrze, ale... - Gina była rozczarowana.

Taki koniec pierwszej randki. No ale Roger był dla niej o wiele za młody.

- Poczekaj chwilę - powiedział do niego Ted. - Zanim sobie pójdiesz, musimy wezwać policję i spisać raport.

- Przecież nic się nie stało. - Roger spojrzał najpierw na Shane'a, potem na Teda. - To tylko małe nieporozumienie. - Podniósł ręce i zaczął się wycofywać, jakby bał się odwrócić do nich tyłem.

Shane skoczył w jego stronę i zamierzył się kulą. Chybił, odwrócił się więc i machnął kulą w stronę Giny. Cofnęła się szybko i kula z brzękiem opadła na podłogę. Ted rzucił się między nich.

- Nie dotykaj jej! - Głęboki gardłowy głos dobywał się gdzieś głęboko z jego wnętrza. Odwrócił się, by stanąć twarzą do Shane'a, osłaniając Ginę wyciągniętymi ramionami.

- Jesteś żonaty i pieprzyłeś moją dziewczynę, dupku. Spadaj.

Ted nie ruszył się. Shane wykonał ruch w jego stronę, jakby chciał mu przyłożyć. Jego dłoń zakrywał rękaw flanelowej koszuli. Teda przeszył ostry ból. Początkowo był bardzo mały - jakby użądliła go pszczoła. Potem zaczął narastać, jakby oblano go wrzątkiem. Poczuł na koszuli coś ciepłego i lepkiego. Przycisnął rękę nad biodrem.

- Nóż. - Usłyszał szept Rogera.

Marmurowe płytki na podłodze zaczęły unosić się w stronę jego wyciągniętych na boki dłoni. Kiedy Shane zbliżył się do niego, czarne źrenice jego błękitnych oczu rozszerzyły się. Za nim pojawił się zamazany obraz Giny, która uniosła metalowe krzesło i opuszczała je na głowę Shane'a. Zupełnie jak w kreśkowie! Jak zdołała podnieść je tak wysoko? Choć szczupła, była jednak bardzo silna. Ted próbował zrobić krok. Kobieta z plakatu wiszącego na wystawie sklepu z bielizną uśmiechała się do niego czerwonymi, lśniąco ustami. Ted zaczął się osuwać na ziemię. Czy można jednocześnie tonąć i unosić się na wodzie? To uczucie zdawało się zadawać kłam prawom fizyki. A potem zrobiło się zbyt ciemno, by mógł myśleć o czymkolwiek.

Kiedy wsuwali go do karetki, lata jasnego nieba razila Teda w oczy. Wymamrotał słowo „buty”, bo czuł wyraźnie, że nie ma ich na nogach. Osoba w bieli - anioł w białym fartuchu - przemawiała do niego kojąco. Czuł, że zaciska wargi, szukając litery C. Co? Ale wiedział już co. Wykrwawił się na śmierć, rany klute rozerwały go jak rybę, ale jakoś nie udało im się wyciąć tych części jego ciała, które gryzły wyrzuty sumienia. Teraz nie żył i pochowają go na cmentarzu. Gdzie jest Elinor? Przecież wiedziała, że chce, by go skremowano! Jego prochy miały zostać rozsypane na szczycie Mount Katahdin w Maine, gdzie wspinał się razem z ojcem w każde Święto Pracy. Miały zostać rozsypane nad Szlakiem Ostrza Noża. Ha. A Elinor twierdziła, że on nie potrafi dostrzec ironii.

Widział długą rurkę biegnącą w górę z jego ramienia, jak sznurek przywiązany do balonu. Nad nim pojawiła się czyjaś twarz.

- Wszystko będzie dobrze - rozległ się szept.

Gina. Wyobraził sobie, że wyciąga dłoń, by dotknąć jej włosów, ale nie mógł podnieść ręki, która została przybita do tego katafalku lub do czegoś tam, na czym leżał. Gina pocałowała go w czoło. Poczuł na skórze ciepły, wilgotny oddech. Włosy połaskotały go w ramię. Złamał jej serce. Zdradził żonę i złamał serce tej pięknej kobiecie. Shane miał rację, przeszywając go nożem. Ale nie powinien był zabijać też Giny. A teraz byli razem - para martwych kochanków. Jak Romeo i Julia w krypcie. Tylko że w tamtej sztuce nie było życia po życiu. Ted nigdy nie wierzył w zaświaty, ale najwyraźniej istniały, bo przecież do nich trafił. Nie powinien był podchodzić do tego tak sceptycznie. Ktoś powiedział Ginie, że powinna odejść. Nie mogła zostać na drugim świecie z Tedem. Proszę pani. Dziękuję. Powietrze przeszył ryk syreny. Jasne: był w karetce.

- Nie... - Wypchnął słowo z ust, w nadziei że dotrze do Giny.

Nie opuszczaj mnie, chciał powiedzieć. Kocham cię. Przepraszam. Nie opuszczaj mnie. Gdzie jest Elinor? Niech ktoś jej powie, że ją też kocham. I też ją przepraszam. Nie...

Ted poczuł, że karetka ostro rusza. Ale nie mogła wyprzedzić bólu, który pędził razem z nią, doganiając go. Podniósł wzrok na dyndającą rurkę od kroplówki i poszukał młodej twarzy sanitariusza. Gdzie jest morfina? Czy z jakiegoś powodu nie mógł jej dostać? Może dlatego że zranił tyle osób. Teraz jego kolej.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Kiedy Elinor dotarła do szpitala, Teda przewieziono już z izby przyjęć na rezonans magnetyczny. Była u siebie w gabinecie, gdy zadzwonił Roger. Zdyszany, wytrącony z równowagi, mówił bardzo szybko. Na dźwięk przerażenia w jego głosie Elinor zamarło serce. Gina, potem ten szalenciec znikąd, nagle Ted, ugodzony nożem, karetka. Kiedy dopadła do drzwi izby przyjęć, lekarz wyjaśnił, że rana od noża była powierzchowna - wymagała założenia tylko kilku szwów - lecz uderzenie w głowę podczas upadku budziło pewien niepokój.

Teraz siedziała na korytarzu na oddziale ratunkowym, czekając na neurologa, który miał z nią porozmawiać po otrzymaniu wyników badania. Martwiło ją, że potrzebny jest neurolog. „Uderzenie w głowę podczas upadku budzi pewien niepokój”. Co to mogło oznaczać? Zazwyczaj Ted tłumaczył jej zawile terminy medyczne. Dla niej były równie zrozumiałe jak różnica pomiędzy lekkim zachmurzeniem a przeważającym słońcem w prognozie pogody.

Z pokoju zabiegowego wyszedł Roger. Na jednym łokciu miał duży plaster. Wyglądał, jakby był na ostatnich nogach: oczy podbiegły mu krwią, a rudawe włosy sterczały we wszystkich kierunkach. Usiadł obok Elinor. Kiedy przesunął dłońmi po kolanach, zadrżały.

- Jak się czuje doktor Mackey? - zapytał.

- Chciałabym to wiedzieć. Nikt mi jeszcze nic nie powiedział. Z tobą wszystko w porządku?

Roger delikatnie dotknął łokcia z plastrem.

- Tak. Chciałem już iść, ale gliny kazały mi poczekać, aż przesłucha mnie inspektor.

- Ale przecież nic nie zrobiłeś.

Roger spojrział na nią gniewnie.

- Jasne, że nie. Chcą zebrać zeznania na temat tamtego faceta.

- Tego, który ugodził Teda? Wiedzą, kto to?

- Jakiś chłopak Giny. Jezu, ilu chłopaków ma ta lala? Nie dość, żeby trzymać się z dala od mojego męża, pomyślała Elinor.

- Co Ted robił w centrum handlowym? - zapytała.

Roger spojrział na nią z niedowierzaniem.

- A skąd ja mam to wiedzieć?! Po prostu się tam zjawił. Najpierw jakby znikąd pojawił się ten Shane o kulach, a potem w samym środku zamieszania znalazł się doktor Mackey i próbował go odciągnąć od Giny.

- Wspaniale. Ted jest jej rycerzem w lśniącej zbroi.

- Coś w tym stylu - rzucił poirytowany Roger, pocierając guza na łokciu. To zdarzenie chyba wyleczyło go z uczucia do pani Mackey.

Elinor spojrzała w głąb korytarza. Nie знаła tego szpitala. Żałowała, że nie jest w Stage Mill General, gdzie Ted zwykle przeprowadzał operacje. Tam wszyscy go znali.

Wreszcie podeszła do niej pielęgniarka. Powiedziała, że Ted został przyjęty i Elinor może do niego iść. Wkrótce miał zajrzeć do nich neurolog. Roger został, by dokądś zadzwonić.

Elinor nie chciała czekać na windę, więc popędziła po schodach na piętro Teda. Nic mu nie będzie, powtarzała sobie w duchu, przeskakując po dwa stopnie naraz. Gdyby to było coś poważnego, trafiłby na oddział intensywnej terapii.

Kiedy dopadła do pokoju, zamarła w drzwiach. Spodziewała się, że będzie przytomny, lecz on leżał nieruchomo z zamkniętymi oczami i poszarzałą twarzą, jakby nie miał dość tlenu. Tak naprawdę nawet nie wiedziała, czy oddycha. Stała w progu, próbując się uspokoić, by nie wyczuł jej strachu, gdy otworzy oczy.

Nigdy wcześniej nie widziała Teda w roli pacjenta. Był lekarzem. To ona czuła się pacjentką. Pacjentami byli ludzie z grzybicą stóp. Co jest z nim nie tak? Ścisnęła klamkę i zacięła usta, żeby nie wykrzyknąć tych słów. Straciła dziecko, a teraz traci Teda. Znów! Jak można kogoś stracić tyle razy? Raz po raz, jak chłosta. Nagle ucieszyła się, że to ona była poddawana terapii in vitro. Wcześniej nie mogła znieść myśli, że Ted nie doświadcza żadnego bólu fizycznego. Ale nie byłaby w stanie oglądać go przed operacjami i po nich i we wszystkich pozostałych piekielnych scenariuszach pomiędzy zabiegami.

- Podaliśmy mu środki uspokajające, więc nie będzie się ruszał - powiedziała pielęgniarka, przyskakiwając się obok Elinor do pokoju.

- Och - rozległ się głos w pokoju.

Gina.

Elinor zajrzała do środka. Gina siedziała na krześle przy łóżku Teda. Jakim cudem dotarła tu tak szybko? Czy była z Tedem na rezonansie? Fakt, że to Elinor ostatnia dotarła do szpitala, zdawał się tylko potwierdzać, że ma niewielką kontrolę nad wydarzeniami w swoim życiu.

- Och! - powtórzyła Gina i wstała, gdy Elinor weszła do pokoju. Miała na sobie jeden z tych tyćciutkich dresów, w których nikt nigdy się nie poci. W pokoju było ciepło, zdjęła więc bluzę i zawiązała w pasie. Krótki top podkreślał drobne, jędrne piersi.

- Ty tutaj? - zapytała Elinor.

- Detektyw prosił, żebym poczekała. Chce nas wszystkich po kolei przesłuchać. - Gina objęła się rękami i zaczęła wycofywać w stronę drzwi.

Pielęgniarka sprawdziła woreczek z kroplówką, a potem zmierzyła Tedowi ciśnienie.

- A gdzie jest ten detektyw? - zapytała Elinor.

- Jest z... Jest ze sprawcą. - Gina próbowała ją ominąć. - Zaczekam na korytarzu.

- Nie, poczekaj. Chcę się dowiedzieć, co się stało. - Była rozdarta: pragnęła wysłuchać relacji Giny, kogokolwiek, i wziąć Teda za rękę.

Podeszła do łóżka i pogładziła go po wewnętrznej stronie ramienia, zaniepokojona faktem, że się w ogóle nie rusza. Zwykle kiedy spał, poruszał ustami lub powiekami. Ujęła jego dłoń w swoją, gładząc ją raz po raz, jakby głaskała zwierzę. Uświadomiła sobie jednak, że cały jej niepokój i strach mogą przepły-

wać z jej ciała do jego. Położyła więc jego rękę przy boku i pocałowała go w ciepłe i wilgotne czoło. Jego twarz była pozbawiona wyrazu, oddychał płytko. Nagle zapragnęła podwinąć opadające końce prześciera-
dła, by go otulić. Przywarła do metalowej ramy szpitalnego łóżka, czując się jak malec z zabawką. Moja.

Gina stała przy drzwiach.

Jej długie włosy były bardzo ładne, ale cienkie. Można nawet było powiedzieć, że wyglądają jak strąki. No proszę, jej mąż leży nieprzytomny na szpitalnym łóżku, a ona skupia się na włosach jego ko-
chanki. Bylej kochanki. Elinor żałowała, że to nie ona jest nieprzytomna.

- A więc? - powiedziała do Giny.

- Prowadziłam w centrum handlowym rozmowę z kandydatem na korepetytora mojego syna, kiedy
zjawił się mój były chłopak Shane i zaczął nas niepokoić. A na mocy wyroku nie wolno mu się do nas
zbliżać. Nagle pojawił się Ted i Shane, który wypił za dużo, zamierzył się najpierw na Rogera, potem na
Teda, jakimś cudem ugodził Teda nożem i Ted upadł na podłogę.

- Co Ted tam robił?

- Nie wiem. - Gina uniosła ładne brwi. Zrobiła kolejny krok w stronę drzwi.

- Świetnie. Nawet twoi prześladowcy mają swoich prześladowców. - Nic dziwnego, że zakochała
się w Tedzie. Skoro alternatywą był maniackalny zabójca.

Pielęgniarka badała puls Teda, marszcząc gniewnie brwi.

Elinor przeniosła wzrok na skomplikowane urządzenia nad jego głową.

- Najpierw rujnujesz moje małżeństwo - zwróciła się do Giny - a potem mój mąż omal nie traci
przez ciebie życia.

Gina otworzyła usta, by coś powiedzieć, lecz zaraz je zamknęła. Zmrużyła oczy.

- Nie zrujnowałam twojego małżeństwa - powiedziała cicho. - Ja tylko weszłam na zgliszcza. To
był poważny błąd. Nie myśl, że tego nie wiem.

- Małżeństwo to niełatwa sprawa. - Elinor ścisnęła metalową poręcz łóżka. Początkowo była chłod-
na, lecz teraz czuła pod dłonią ciepło i wilgoć. - Mówię to, bo nie jesteś mężatką.

- Nie o to chodzi. - Gina odrzuciła włosy z ramion, zupełnie jakby podwijając rękawy, szykując się
do akcji.

- A o co?

- Chodzi o to - wtrąciła się do rozmowy pielęgniarka - że ten pan ma ranę kłutą i potencjalnie nie-
bezpieczną ranę głowy, więc wy, moje panie, zabierzcie te swoje wynurzenia rodem z programu „Days Of
Our Lives” do poczekalni albo wezwę ochronę. - Pielęgniarka była przysadzistą kobietą z obfitym biustem
i włosami związanymi w ciasny koński ogon, spod którego widać było paski białej skóry na głowie. Stanę-
ła obok Elinor i odsunęła ją od łóżka. Podłączając nowy woreczek z kroplówką, zacmokała, jakby chciała
powiedzieć: że też muszę wysłuchiwać tu takich bzdur. - Pacjent może was słyszeć - dodała. - I wątpię, by
od tego poczuł się lepiej.

- To mój mąż. - Elinor nadal stała z jednym palcem wsuniętym pod metalową poręcz.

Pielęgniarka spojrzała na nią chmurnie.

Nagle Ted odwrócił głowę w stronę drzwi. Zamrugał powiekami i otworzył oczy. Jego spojrzenie spoczęło na Ginie, która odwróciła się, by wyjść z pokoju. Nawet na niego nie patrząc, wyczuła, że jest przytomny. Okręciła się i otworzyła usta.

- Och - powiedziała.

Elinor jeszcze nigdy nie słyszała, by jedna sylaba była tak pełna czułości i rozpacz. Ted uśmiechnął się szeroko.

- Cześć, aniołku - powiedział.

Nie zwracał się do Elinor ani do pielęgniarki. Mówił do Giny.

Oczy Giny zasły łzami.

- Muszę iść. - Zrobiła krok w stronę drzwi.

Elinor chrząknęła. Ted spojrzał w jej stronę.

- Och! - Wydawał się uradowany, jakby to ona została ugodzona nożem i upadła, a teraz odzyskała przytomność. - Cześć! - rzucił.

- Cześć. Dobrze się czujesz? - Elinor ścisnęła go za rękę, a on odpowiedział lekkim uściskiem.

Gina zniknęła za drzwiami.

- Chyba tak. - Mówił bardzo niewyraźnie. Raczej nie zdawał sobie sprawy z faktu, że przed chwilą przywitał się radośnie z kochanką w obecności Elinor. Potwierdzając tym samym, że jest w niej zakochany. Mogła to co prawda spowodować rana głowy lub podane środki, ale Elinor wiedziała swoje. Była jednocześnie zdumiona i urażona radością Teda, kiedy tylko spojrzał na Ginę. I z zaskoczeniem uświadomiła sobie, że nie jest zła, lecz przybita smutkiem i prawdą, która wyszła na jaw.

Pielęgniarka wyszła z pokoju, kręcąc głową.

- Dobrze się czujesz - powtórzyła Elinor.

Mogła stracić Teda na rzecz innej kobiety, ale nie odda go śmierci. Nie dzisiaj.

Nagle do pokoju wpadł Toby, ciągnąc za sobą matkę. W korytarzu za nim Elinor zobaczyła nastolatkę, która odbierała pieniądze od Giny i składała szybki raport na temat zadań domowych i pochłoniętych przekąsek. Gina podziękowała dziewczynie i próbowała wyciągnąć Toby'ego na korytarz, lecz chłopiec już dopadł do łóżka. Na widok kroplówki i cieni pod oczami Teda wybuchnął płaczem.

- Cześć, kolego - powiedział Ted, próbując podnieść głowę z poduszki. - Nic mi nie jest. Ale nie mogłem znaleźć Stana. - Wyglądało na to, że lekarstwa, które podano Tedowi, pozwalały mu wierzyć, że może prowadzić luźną pogawędkę z Giną i Elinor, jakby byli przyjaciółmi na przyjęciu.

- Kto to jest Stan? - Gina chwyciła syna za ramiona i odwróciła go do siebie.

- Nie ma żadnego Stana - wyznał Toby, kopiąc szpitalną podłogę.

Spuścił głowę, chowając twarz za burzą loków.

- Nic dziwnego, że nie mogłem go znaleźć - zachichotał Ted.

- Toby! - krzyknęła Gina. - Wysłałeś doktora Mackeya do centrum, żeby szukał nieistniejącej osoby? Co u diabła? - Najwyraźniej nie panowała nad chłopcem. Elinor musiała uczciwie przyznać, że ona też miałaby z tym problemy.

Toby zarumienił się.

- Chciałem, żeby cię tam zobaczył! - powiedział podniesionym głosem. - Doktor Mackey nie chodzi już do siłowni, więc się wcale nie spotykacie...

A więc to tak! Zarówno Elinor, jak i Toby próbowali zabawić się w swatki.

- Doktor Mackey jest teraz poważnie ranny. - Gina nie spuszczała wzroku z twarzy syna.

- Tak, a wszystko przez tego twojego durnego chłopaka.

- On nie jest moim... Toby! Powiedz pani Mackey, że jest ci bardzo, bardzo przykro. - Gina przełożyła płócienną torbę na drugie ramię i odwróciła chłopca w stronę Elinor.

- Przepraszam. - Toby patrzył na Elinor ze szczerym rozczarowaniem. Jego plan nie wypalił. Elinor nie mogła się zdecydować, co czuje wobec do tego chłopca. Lubił manipulować, to jasne. Ale jego bezradność wzruszała ją. I te potargane loki, jak zniszczony dywan z długim włosiem. I nieustępliwa sympatia do Teda. Elinor chciała tylko, żeby Roger wśliznął się na miejsce Teda. Ale wyglądało na to, że Gina i Toby nie chcieli jakiegokolwiek faceta w swoim życiu. Chcieli Teda. Trudno sobie wyobrazić, że można stanąć przed takim problemem: dwie osoby zakochane w twoim mężu. Spojrzała na Teda, który znów zapadł w sen. Powoli zaczynał mu się tworzyć zarys drugiego podbródka - nabrał ciała i zaczął się powoli starzeć, od chwili gdy znów wprowadził się do ich domu.

Elinor skinęła głową w stronę Toby'ego. Nie mogła powiedzieć „Wszystko w porządku”, bo nic nie było w porządku. Zwłaszcza że wciąż czekała ją rozmowa z neurologiem.

- Toby, idziemy do poczekalni i posiedzimy tam, dopóki nie zjawi się policja - powiedziała Gina, odwracając Toby'ego w stronę drzwi. Obejrzała się na Elinor. - Będziemy tam.

Roger wśliznął się do pokoju i skinął głową Ginie.

- Hej. - Pomachał do Elinor. - Doktor Mackey czuje się lepiej?

- Mam taką nadzieję.

- Mój samochód jest w centrum handlowym.

- Później cię podrzucę.

- Super.

Gina zatrzymała się tuż za progiem.

- Chwileczkę. Wy się znacie? - Pokazała najpierw na Rogera, potem na Elinor.

- Pracuję dla państwa Mackeyów - wyjaśnił Roger. - Sprzątam ich dom. Pani Mackey pomyślała, że mógłbym pomagać Toby'emu w lekcjach.

Gina oparła ręce na biodrach, próbując zrozumieć jego słowa.

- Dlaczego?

- Jezu, nie wiem - odparła Elinor. - Może chciałam pomóc ci znaleźć innego korepetytora niż mój mąż? Może twój syn przestałby wtedy do nas wydzwaniać?

- Toby, czy dzwoniłeś...

- Widzisz, to nie tylko moja wina - zaprotestował chłopiec, wrywając się z uścisku matki.

- Jeszcze ci nie odpuściłam, kolego - powiedziała Gina, wypychając go w końcu na korytarz.

- Ja chyba też tam będę - zamruczał Roger, wychodząc za nimi.

Elinor usiadła na krześle przy łóżku Teda. Owiał ją wir powietrza. Choć był to najdziwniejszy dzień w jej życiu, nie wierzyła, że po utracie dziecka coś jeszcze może ją naprawdę zadziwić. Była w stanie zrozumieć pierwsze poronienie - doszło do niego na bardzo wczesnym etapie ciąży. Ale to drugie, kiedy już widzieli bicie serca, i to dwa razy, i pozwolono im rozstać się z kliniką leczenia bezpłodności?

Ted poprawił się na łóżku i uśmiechnął do niej.

- Pamiętasz, co się wydarzyło? - zapytała Elinor. - W centrum handlowym?

- Niestety tak. Ten szalony chłopak Giny dźgnął mnie nożem, upadłem i uderzyłem się w głowę. - Oblizwał wargi i przełknął ślinę. Jego głos brzmiał chrapliwie. - Przepraszam.

Elinor pokręciła głową.

- Najważniejsze jest to, że dobrze się czujesz. - Ted nie był jej winien żadnych przeprosin. To ona wysłała Rogera, żeby spotkał się z Giną, a Toby wysłał za nimi Teda. Elinor sięgnęła po różowy plastikowy kubek ze słomką i przysunęła go do ust Teda, żeby mógł się napić. Wypił łyk, zamknął oczy i przełknął, a jego twarz odprężyła się z wdzięcznością.

- Budzisz niezłe reakcje w ludziach - powiedziała Elinor. - Dziesięciolatek jest w tobie zakochany, a Kid Rock odchodzi od zmysłów na samą myśl, że mógłbyś dotknąć jego kobiety.

- O Boże. - Ted zamknął oczy.

- Neurolog zaraz powinien tu być - dodała Elinor. Nie powiedziała Tedowi o wstępnej diagnozie: uderzenie w głowę podczas upadku budzi pewien niepokój. - I przyjdzie cię przesłuchać detektyw.

- Och. - Ted był wyraźnie rozczarowany. - Miałem nadzieję, że to się już skończyło. Nie mogę wrócić do domu? Jak długo spałem?

- Może godzinę. Pamiętasz rezonans?

- Nienawidzę tego cholerstwa. Zupełnie jakby leżało się w trumnie. - Gestem poprosił o więcej wody, więc Elinor podsunęła mu kubek. - Śniło mi się - ciągnął Ted - że jechaliśmy razem samochodem. Wybraliśmy się w jakąś podróż i nie mogliśmy znaleźć zjazdu z autostrady.

Zjechaliśmy w złym miejscu wiele miesięcy temu, pomyślała Elinor.

Nareszcie zjawił się neurolog. Elinor patrzyła, jak pochyła się nad łóżkiem i zagląda Tedowi w źrenice, świecąc cieniutką latarką. Raz jeszcze zaskoczyło ją, jak młodzi są teraz lekarze. Próbowwała szybko obliczyć w głowie, ile lat doświadczenia może mieć ten facet.

- Ma pan szczęście - oświadczył neurolog. Był wysoki i mocno zbudowany, z krótkimi włosami i dużymi dłońmi.

- Chyba tak - odparł niepewnie Ted. Siedział już i mówił wyraźniej.

- Przepraszam - zwrócił się lekarz do Elinor, uśmiechając się lekko. Uświadomiła sobie, że stoi zbyt blisko, i odsunęła się szybko. Ted śledził wzrokiem przesuwający się palec neurologa, z prawej na lewą, potem w górę i w dół. Następnie odpowiedział na serię pytań o datę, czas, miejsce gdzie się znajduje i kto jest prezydentem.

Pamiętasz, że jesteś zakochany w Ginie? pomyślała Elinor. I że nadal kochasz swoją żonę? Bo kochasz, prawda? Ale nie tak samo jak ją?

- Dobrze. - Lekarz przysunął stołek na kółkach do łóżka i gestem dał znak Elinor, by usiadła. - Niepokoił się - powiedział, wodząc wzrokiem od Elinor do Teda - utratą świadomości, po której nastąpił krótki okres dezorientacji. Ale wyniki rezonansu nie są złe. Ma pan niewielki krwiak, ale poza nim nie widać żadnego opuchnięcia mózgu. Jednakże to w połączeniu z raną kłutą daje nam podstawy do zatrzymania pana na noc. Podamy panu leki, które mają na celu powstrzymanie wylewu, który na szczęście wydaje się mało prawdopodobny.

- Wszystko w porządku - powiedziała Elinor. Miało to zabrzmieć jak stwierdzenie, ale w jej głosie pojawiła się niepewność. Pragnęła usłyszeć od Teda potwierdzenie, że to właśnie powiedział przed chwilą lekarz. Że wszystko będzie dobrze. Przynajmniej pod względem medycznym. Dotknęła ramienia męża, czując ciepło jego skóry przez cienką szpitalną koszulę.

Ted uniósł brwi i skinął lekko głową, jakby jeszcze nie do końca czuł się dobrze.

Elinor wygładziła pościel. Czowała nieodpartą potrzebę, by stale dotykać łóżka.

- Test kto-co-gdzie-kiedy zdał celująco - potwierdził lekarz. - Amnezja pourazowa trwała krócej niż godzinę, a to dobry znak.

- Dziękuję - powiedziała do niego Elinor głosem łamiącym się z wdzięczności.

- Ja przecież nic nie zrobiłem. - Neurolog uśmiechnął się. - Ale bardzo proszę.

- Mam przewrócone w głowie - zaśmiał się słabo Ted, sięgając ręką do guza wielkości jajka nad prawą skronią.

To nie była prawda. Był świetnym lekarzem, dobrym sportowcem i przystojnym mężczyzną, ale z pewnością nie miał przewrócone w głowie. To jedna z rzeczy, które Elinor zawsze ceniła w swoim mężu.

Dyżur zaczęła nowa pielęgniarka - młodsza, mniej surowa, z długim czarnym warkoczem opadającym na plecy. Elinor udało się ją przekonać, by pozwoliła jej spędzić noc w pokoju Teda na rozkładanym krześle. Zaraz potem zjawił się detektyw i poprosił, by wyszła z pokoju, bo chce porozmawiać z Tedem w cztery oczy.

Poczekalnia była urządzona jak przytulny salonik. Stały w niej kanapy, krzesła i lampy rzucające łagodne światło. Z wielką troską zadbano o to, by nie przypominała w niczym szpitala. A jednak spod ładnego wschodniego dywanu wystawała szpitalna podłoga, lśniąca i typowa dla tego miejsca. Elinor zajęła miejsce o dwa rzędy krzeseł od Giny i Toby'ego. Roger garbił się w przeciwnym rogu i czytał zniszczone kieszonkowe wydanie książki. Siedzieli jak najdalej od siebie, nie opuszczając jednak poczekalni, która na

Elinor robiła wrażenie sceny w teatrze lub planu serialu telewizyjnego. Chciała zadzwonić do Kat, ale patrzył na nią groźnie znak z przekreśloną komórką.

- Hej! Mam listę rzeczy, które chcę mieć - powiedział Toby do matki. - Tę, którą kazałaś mi zrobić - dodał oskarżycielskim tonem. Pochylił się, by wyjąć notes z plecaka opartego o krzesło.

- Nie teraz, kochanie. - Gina odchyliła głowę i zaczęła masować sobie skronie. Jasne włosy przelewały się przez poręcz krzesła. - Porozmawiamy o tym później.

- Dobra. Powiem ci tylko, co jest na pierwszym miejscu. - Toby wydarł kartkę z notesu. - Chcę, żeby doktor Mackey pojechał z nami do Nowego Jorku.

- Do Nowego Jorku? - rzuciła Elinor. Przestała udawać, że czyta zniszczony egzemplarz „Family Circle”.

Gina wyprostowała się na krześle i spojrzała na syna.

- Toby, pamiętasz, jak mówiliśmy, że nie możesz mieć wszystkiego, czego pragniesz? Nie możesz mieć ludzi na własność.

Elinor wróciła do artykułu o babeczkach. Na zdjęciu pokazano je udekorowane na Halloween, z pomarańczowym lukrem i czarnymi plastikowymi pajakami.

- To przestań mnie pytać, czego chcę, dobra? - zajęczał Toby. Wyciągnął nogę i zaczął kopać dywan piętą. - Przestań mnie pytać i już!

Zmęczona kobieta siedząca po drugiej stronie stolika wrzuciła robótkę do plastikowej torby i wstała.

- Zgoda. - Gina uciszyła Toby'ego i próbowała go do siebie przyciągnąć. - Porozmawiamy z policją, a potem pojedziemy do domu. - Sięgnęła do torebki. - Masz tu dwa dolary. Idź do automatu i kup coś sobie. Cukierki albo... Co tylko zechcesz. - Odwróciła się w stronę korytarza, gdzie najpewniej stały automaty, i przechwyciła spojrzenie Elinor.

Elinor znów wróciła do czytania. Toby wpadł w szał, krzycząc, kopiąc i waląc pięściami.

- Pewnie myślisz, że jestem okropną matką - zwróciła się Gina do Elinor. Podniosła głos, by mogła ją usłyszeć, ale jej ton był zupełnie pozbawiony emocji.

Elinor zaskoczyła ta szczerość. Zamknęła magazyn i wbiła wzrok w okno za Giną, gdzie widać było kawałek niebieskiego nieba przeszyty wysoką palmą.

- A ty pewnie myślisz, że jestem okropną żoną. Roger zamknął książkę i potarł oczy wierzchem dłoni.

- A jeśli doktor Mackey umrze? - zajęczał Toby. Rzucił pieniądze na podłogę i zwinął się wpół, żeby Elinor nie widziała jego twarzy.

- Toby! - rzuciła ostro Elinor. - Spójrz na mnie. - Magazyn zsunął się jej z kolan i z cichym plaśnięciem opadł na podłogę. Toby powoli odwrócił się w jej stronę. Na jego twarzy pojawiły się czerwone plamy od płaczu. - Doktor Mackey wyzdrowieje. Był u nas neurolog i wszystko potwierdził. Wynik rezonansu jest bardzo dobry.

- Zgadza się - poparła ją Gina.

Co ty możesz wiedzieć! Elinor podniosła magazyn. Przerzucała strony, starając się zachować spokój. Szukała głupich plastikowych pajaków, które jeszcze przed chwilą koili jej skołatane nerwy.

Toby odwrócił się od matki, skrzyżował ręce na oparciu sąsiedniego krzesła i oparł na nich głowę, cicho popłakując. Gina gładziła go po plecach. Milczeli, lecz łączył ich dotyk. Elinor nie mogła winić Toby'ego za to, że się rozkleił. Ten dzieciak nie miał lekko w życiu - samotna pracująca matka, która romanseje z żonatym mężczyzną, ojciec, który go nie kocha, w innym stanie Mąż Elinor znajdował się na pierwszym miejscu listy rzeczy, których Toby pragnął. A dziesięcioletni chłopiec prawdopodobnie znajdował się na pierwszym miejscu rzeczy, których pragnęła ona. Prawda bowiem wyglądała tak, że trochę się bała mieć malutkie dziecko. Nigdy nikomu się do tego nie przyznała. Nawet Kat. Bała się, że nie poradziłyby sobie z opieką nad czymś tak delikatnym, bała się bezsennych nocy. Bała się, że da plamę przy karmieniu piersią. Bała się, że zawiedzie Teda. A jednak nie mogła się doczekać, by mieć dziecko w szkole podstawowej. Kogoś, z kim mogłyby dekorować babeczki na Halloween. Jeśli, jak Kat, musiałyby piec babeczki do szkoły, starałyby się namówić swoje dzieci, by zrobiły to razem z nią. Ich babeczki na pewno nie byłyby takie ładne jak te na zdjęciach w magazynie. Byłyby bardziej zwariowane, trochę rozpaprane, zabawniejsze. Ale oni mieliby frajdę. Elinor chciałyby być bardziej na luzie. Podejrzewała, że istnieje różnica pomiędzy dobrą zabawą i frajdą. Gina była uosobieniem tej ostatniej. Seks, trawka, gotowanie w woku, ćwiczenia jogi. Elinor może umiała się bawić, ale ostatnio nie dostarczała nikomu zbyt wielu rozrywek.

Z pokoju Teda wyszedł detektyw. Rozmawiał po kolei z Giną, Rogerem i Elinor, a potem ze wszystkimi naraz, gdy siedzieli w półkolu przy stoliku. Detektyw miał czarne jak smoła wąsy i Elinor oblizwała wargi, przypominając sobie dotyk wąsów Noaha. Detektyw z pewnością widział już w życiu niejedno i kiedy powtarzał przebieg całego zajścia, nie wywarło na nim zbyt wielkiego wrażenia, że Elinor namówiła Rogera, żeby skontaktował się z Giną w sprawie korepetycji dla Toby'ego, który poprosił Teda, żeby przyjechał do centrum handlowego i spotkał się ze Stanem; Stana jednak nie było, pojawił się za to Shane, który miał zakaz zbliżania się do pani Ellison z powodu pijaństwa i wcześniejszego zachowania. Potem doszło do „awantury”, której efektem była rana kłuta i rana głowy po uderzeniu o podłogę. Tak jest, zgodzili się wszyscy. Detektyw oświadczył, że Shane został aresztowany bez możliwości wyjścia za kaucją.

- Czy musimy go oskarżyć? - zapytała Gina.

- Nie. Przesłałem już raport do prokuratora okręgowego. Wyznaczy prokuratora sądowego w imieniu stanu. Czy chciałaby pani postawić dodatkowe zarzuty dotyczące złamania zakazu zbliżania się?

Gina skinęła głową.

Elinor cieszyła się, że po ukończeniu studiów postanowiła ograniczyć się do prawa cywilnego. Mimo to nie miałyby nic przeciwko postawieniu kilku zarzutów. Przeciwko Shane'owi o ugodzenie Teda nożem. Przeciwko Ginie o sypianie z Tedem. Przeciwko Toby'emu o wydzwanianie do nich do domu. Przeciwko Noahowi o ścięcie ich drzewa. Przeciwko Bogu o odebranie im dziecka. Tego właśnie nie lubiła

w czynnym uprawianiu prawa - bezustannych prób wymierzenia sprawiedliwości i prostowania krętych ścieżek życia. To pochłaniało tyle energii i wydawało się całkowicie bezcelowe.

- Jest zagrożeniem dla mojego syna i mnie.

I dla mnie, pomyślała Elinor, poprawiając ją w duchu. Ty jesteś ładniejsza, ale ja jestem mądrzejsza. Zaczęła wykręcać palce. Jestem małostkowa. I to jeszcze jak! Czuła, że ogarnia ją zmęczenie płynące z samego jądra Ziemi.

- I stanowi zagrożenie dla społeczeństwa - dodała Gina.

- Nie jest już taki jak kiedyś. - Wydawała się szczerze zasmucona tym faktem.

- To nie twoja wina - powiedział Roger. Dlaczego mężczyźni zawsze pędzą jej na ratunek?

- Ale i tak jest mi przykro - zwróciła się do niego Gina.

- I wygląda na to, że byłbyś bardzo dobrym korepetytorem.

Detektyw zmrużył oczy. Otworzył usta, by zapytać o coś Rogera, ale zmienił zdanie. Poklepał blat stolika zrobiony z tworzywa, które wyglądało jak drewno.

- Jesteście wolni. Wiem, że to był długi dzień.

Wszyscy wstali. Gina odwróciła się, by odejść, ciągnąc Toby'ego za rękę. Chłopiec znów zaczął płakać. Gina pochyliła się więc, by wziąć go na ręce. Był już duży, lecz jej nie brakowało sił. Elinor zdziwiła się, że już idą. Myślała, że zostaną dłużej: pożegnają się z Tedem, będą grać na zwłokę. Wyobrażała sobie, że będzie z nimi walczyć o miejsce przy łóżku Teda przez cały jego pobyt w szpitalu. Bez względu na to czy się jej to podobało czy nie, przyzwyczaiała się już do dzielenia się mężem z tą dwójką. Patrzyła, jak Gina stawia Toby'ego na podłodze i ruszają razem korytarzem - Toby opierał głowę o szczupłą talię matki, a ona leniwie obejmowała go ramieniem. Choć wychodzili ze szpitala i z każdym krokiem robili się coraz mniejsi, wiedziała, że i tak pójda za nią i za Tedem do domu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Kiedy Elinor jechała do domu, by zabrać kilka rzeczy potrzebnych do spędzenia nocy w szpitalu, zadzwoniła do Kat i poinformowała ją, że Tedowi nic nie będzie. Nie miała jednak ochoty opowiadać tego całego zajścia rodem z opery mydlanej, siedząc za kierownicą, więc umówiły się w domu.

Kiedy skręciła w swoją ulicę, słońce opadło już za wzgórze i sadzonka miłorzębu - jasnożółta wraz z nadejściem jesieni - wydawała się skupiać w sobie całe pozostałe światło dnia. Elinor zaparkowała na podjeździe i wysiadła z samochodu, by podlać drzewko. Zdjęła z haka wąż i pociągnęła go przez trawnik. Prawdopodobnie przesadzała z tym podlewaniem, ale bardzo chciała zająć się czymś innym niż korporacyjne przejęcia.

Ludzie zalewają glebę z wierzchu, nie sięgając nawet do korzeni, przypomniała sobie słowa Noaha, który pokazał jej, jak ustawić najmniejszy strumień wody. Teraz patrzyła, jak ziemia robi się ciemna i wilgotna. Może nie powinna traktować tak lekceważąco Noaha i jego wiedzy o drzewach. Nad jej głową zagrział samolot. Dom sąsiadów po drugiej stronie ulicy nadal był udekorowany na Halloween. Małe dmuchane nietoperze powiewały na cienkich gałęziach brzozy. Elinor była zawsze zaskoczona i podekscytowana świadomością, że co roku tak dużo dzieci przychodzi do nich z prośbą o słodycze. Bolała ją myśl, że ta okolica jest tak dobra do wychowywania dzieci.

- Drzewo wygląda świetnie - rozległ się za nią głos Kat. - Ale opowiedz mi coś więcej o Tedzie.

Elinor zrelacjonowała makabryczne szczegóły zajścia w centrum handlowym, a po nich diagnozę neurologa. Kat pokręciła głową.

- Dzięki Bogu, że Tedowi nic nie będzie. - Spojrzała na Elinor. - Roger i Gina? - zapytała pełna sceptycyzmu, lecz bez cienia krytyki. - Dwie pieczenie przy jednym ogniu?

- Teoretycznie. Moja kariera swatki okazała się bardzo krótka. Może jedyne, z czym sobie naprawdę radzę, to praca w biurze.

Jeden z żyłkowanych listków opadł, wirując ku trawie jak mały wachlarz.

- Wiesz, one powinny teraz opadać - powiedziała z troską Kat.

Elinor skinęła głową. Dąb zapewniał więcej cienia, lecz musiała przyznać, że miłorzęb jest ładniejszy. Dąb był powykręcany i artretyczny, a miłorzęb pełen wdzięku i skromny jak gejsza.

- Hej! - Elinor podała Kat wąż. Dramatyczne przejścia sprawiły, że zapomniała o prezencie, który kupiła dla niej rano w mieście. - Wiem, że jeszcze nie masz urodzin, ale nie chciałam czekać. - Wyjęła z torebki małe aksamitne pudełeczko i podała Kat.

Kat oddała jej wąż.

- Co... - Wzięła pudełeczko. - Och! - wykrzyknęła, otwierając je.

Elinor przez całe tygodnie szukała kolczyków ze szmaragdami. Kat miała przekłute uszy, ale rzadko nosiła kolczyki, bo jej zdaniem tylko przeszkadzały. W końcu Elinor poprosiła jubilera w centrum miasta, żeby zrobił krótkie kolczyki, które Kat będzie mogła nosić, nawet biegając i mocując się z chłopcami.

- Jejku. - Kat podniosła jeden z kolczyków z białego złota i podziwiała wiszący na końcu szmaragd. Z trudem wsunęła go do ucha. - Auć! Z jakiej to okazji?

- Za to, że jesteś sobą. Że ze mną wytrzymujesz. - Elinor odwróciła się, by przytulić przyjaciółkę. Kiedy przy okazji podlała jej nogę, obie krzyknęły z zaskoczenia.

Ted zapadł w sen. Nie przyniósł mu jednak ukojenia. Ponieważ jego ciało nie mogło się rzucać i obracać, robił to jego umysł. W niespokojnych snach odtwarzał scenę w centrum handlowym, lecz ze znacznie gorszymi skutkami. Ted przebijał nożem Shane'a, Shane - Toby'ego. Toby leżał rozciągnięty na kremowej podłodze z marmuru. Miał zamknięte oczy, otwarte usta, wszędzie było pełno krwi. Niby to był Toby, ale nie wyglądał jak on, tylko jak jakiś inny chłopiec.

- Jestem lekarzem! - krzyknął Ted.

Tłum rozstąpił się, by mógł dojść do chłopca.

- Wiem - rozległ się czyjś głos.

Ted poczuł znajomy ucisk opaski do mierzenia ciśnienia.

- Jakiej specjalności? - Przy jego boku pojawiła się pielęgniarka. Na jej różowym fartuchu tańczyły myszki Miki i Minnie.

- Słucham? - Za duży język przeszkadzał mu w ustach.

- Powiedział pan, że jest lekarzem. Jakiej specjalności?

- Och, podiatrą. - Zazwyczaj Tedowi było żal pacjentów w szpitalach, bo stale ich budzono. Nie mogli w ogóle odpocząć. Ale cieszył się, że pielęgniarka wyrwała go z koszmaru.

- Pańska żona pojechała do domu po rzeczy. - Pielęgniarka uśmiechnęła się i zdjęła opaskę. - Świetnie pan sobie radzi, ale żona chce zostać przy panu na noc.

- Och, to nie jest konieczne - odparł. Lecz ucieszył się, że Elinor wróci. Bardzo chciałby, żeby pielęgniarka została z nim do jej powrotu; żeby pomogła mu nie zasnąć. Ruszyła jednak w stronę drzwi.

- Czy... - zaczął Ted. Omal jej nie poprosił, by przy nim posiedziała. Jakie to śmieszne. W szpitalu i tak było za mało personelu. A on był dorosłym mężczyzną. Lekarzem!

- Mogę coś panu podać? - zapytała pielęgniarka. - Sorbet lodowy?

- Sorbet lodowy - powtórzył. Jego słowa zabrzmiały bardzo wyraźnie. Cieszył się, że nie mówi już jak pijak. - Sorbet lodowy - powtórzył raz jeszcze, by się upewnić.

Pielęgniarka wzięła jego entuzjazm za zgodę i przyniosła mu loda.

W domu Elinor wykapała się i przebrała w dres. Zamierzała zwinąć się na krześle przy łóżku Teda i czytać. Wcześniej wrzuciła do torby kilka magazynów i kieszonkowe wydanie „The Moviegoer”. Razem z Kat otworzyły swój własny dwuosobowy klub czytelniczy „największych przebojów” i wymieniały się ulubionymi powieściami z czasów college'u. Elinor zdejmowała stare, tanie wydania z górnej półki w gabinecie i przerzucając pożółkłe strony, wdychała ich lekko spleśniały zapach, ciesząc się, że opowieści, które najbardziej lubiła, nadal tu są, słowo w słowo. Zatem nie wszystko było stracone. Kiedy wsuwała powieść Walkera Percy'ego do płócienną torbę razem z butelką wody, spojrzała na starannie zaścielone

łóżko. W pewnym momencie postanowiła wyrzucić pechowy materac i kupić nowy, ale właśnie wtedy razem z Tedem zaczęli spędzać weekendy w hotelach, próbując sprawić, by poczęcie dziecka stało się jednocześnie świetną zabawą. Raz nawet ustawili na podwórku namiot i spędzili w nim noc. Spięli śpiwory, kochali się i szybko zasnęli. Obudzili się jednak o wpół do trzeciej nad ranem, ścierpięci i zmarznięci, i szybko wrócili do domu. Elinor stała się przesadna. Wierzyła, że gdyby leżeli w namiocie do świtu, na pewno zaszłaby w ciążę. Nie można przecież zrywać się w samym środku nocy.

Teraz, gdy siedziała na brzegu łóżka i wkładała wysokie buty z australijskiej skóry, coś zatrzeszczało pod kołdrą. Wstała i odrzuciła pościel. Po jej stronie łóżka leżał kawałek skorupki jajka. Co u diabła? Czy ptaki składają jajka w ich łóżku? Skorupka była biała i nierówna, z przyczepionymi kilkoma fusami z kawy. Może przyniosła ją tu z kuchni na skarpetce. Ostatnio stale znajdowała coś pod pościelą. Położyła skorupkę na stoliku nocnym, nie wiedząc, dlaczego nie chce jej wyrzucić.

Wyprostowała się i zajrzała do garderoby. Kiedy Ted się wyprowadził, zrobił wielką czystkę i oddał mnóstwo starych ubrań, butów, książek i płyt do Armii Zbawienia. I choć wprowadził się z powrotem, jego posprzątana część garderoby wydawała się tymczasowa. Oni też wydawali się tymczasowi - ich małżeństwo było eksperymentem tak delikatnym jak embriony w laboratorium.

Buty Teda zostały zredukowane do sześciu par - trzy pary eleganckich półbutów, para sandałów, traperki i adidas. Elinor nie mogła znieść myśli, że Ted znów może odejść. Kiedy leżał na szpitalnym łóżku, uświadomiła sobie, że tak naprawdę nie może znieść myśli o jego śmierci.

Ciężko jest nie móc iść za głosem serca. Elinor widziała to w twarzy Teda co dnia. Nie była pewna, czy on zdaje sobie sprawę z tego, że jest zakochany w Ginie. Jeśli idzie się za głosem serca, rani się innych. Ale ona nie czuła się już urażona ani zła. Tylko smutna, co było mniej bolesne. Zawsze będzie kochała Teda. Nawet kiedy go nienawidziła, kochała go. I wierzyła, że zawsze pozostaną przyjaciółmi. Była prawie pewna, że podpowiada jej to mądrość, a nie zarozumiałość lub zmęczenie. Kiedy się nad tym zastanowić, łatwo jest kogoś kochać. Najtrudniej jest obdarzać tę osobę współczuciem.

Stanęła przy rozsuwanych drzwiach garderoby i zamknęła je z trzaskiem, pozostawiając za nimi jego adidas i swoje chodaki.

Kiedy Ted obudził się następnym razem, odkrył, że szwy puściły i rana od noża zaczęła krwawić. Na koszuli widać było plamę w kształcie sadzonego jajka.

- Och! - Dźwięk jego własnego głosu zaskoczył go. Parsknął śmiechem. Sorbet lodowy miał wiśniowy smak i jedząc go, zasnął. Sięgnął do dzwonka, by wezwać pomoc, lecz zmienił zdanie. Wszyscy powtarzają, że lekarze są najgorszymi pacjentami na świecie. Nie chciał przyczynić się do tej opinii. Poza tym wkrótce miała przyjść Gina. Nie, nie Gina! Elinor. To Elinor niedługo do niego przyjdzie.

Żuł koniuszek patyczka od lodu, czując między zębami miękkie drewno. Zamknął oczy i wyobraził sobie dotyk Giny - kiedy już się kochali, masowała mu krzyże, a potem ugniatała palcami plecy po obu stronach kręgosłupa. To był niebiański masaż, który zawsze kończyła pocierając energicznie skórę na głowie, a on czuł, jak stres całego dnia odpływa prosto w sufit.

Kiedy Elinor szła przez kuchnię do garażu, dostrzegła migające czerwone światelko automatycznej sekretarki. Nacisnęła guzik i w pokoju rozległ się głos jej ginekologa, doktor Kolcheck. Dostała już wyniki badań histopatologicznych po poronieniu, które było efektem trisomii 15, bez wyjątku prowadzącej do śmierci płodu.

- Innymi słowy - ciągnęła lekarka - zarodek nie miał szans przeżycia.

Przeprosiła, że zostawia taką wiadomość na sekretarce, ale chciała, żeby oboje z Tedem jak naj-
szybciej wiedzieli, że nie popełnili absolutnie żadnego błędu. Oczywiście Elinor napelniły się łzami, gdy usły-
szała słowa „zarodek żeński”. Dziewczynka. Dziś wieczór nic nie powie Tedowi. Poczekaj, aż wyjdzie ze
szpitala i poczuje się lepiej.

Mieliby dziewczynkę. A ona wyobrażała sobie chłopca. Na tym polegał problem. Kowbojki,
spodnie i... nie, nie będzie tego robić.

Automat przerwał przemowę doktor Kolcheck, lecz druga wiadomość pochodziła także od niej.

- Chciałabym przekazać ci więcej informacji. Daj mi znać na pager pod ten numer o każdej porze aż
do jedenastej wieczorem. Nie będę spała.

Elinor zapisała numer, bojąc się, co może oznaczać więcej informacji. Od tej pory zdecydowanie
wolała dostawać ich mniej. Oznaczało to mniej konfrontacji z rzeczywistością. Mimo to wybrała numer.

- O Boże - powiedziała, kiedy w słuchawce rozległ się wesoły głos doktor Kolcheck. - Tak mi
przykro, że przeszkadzam pani wieczorem.

Lekarka zniżyła głos. Elinor usłyszała trzask zamykanych drzwi.

- Nie, ocaliłaś mnie. Jestem na okropnie nudnym przyjęciu. Rozmawiają tu tylko o winie. Rocznik
taki i taki. A przecież trzeba je tylko wypić i się zamknąć!

Elinor parsknęła śmiechem. Byłoby cudownie, gdyby doktor Kolcheck mogła odebrać poród ich
dziecka.

- Posłuchaj - ciągnęła już poważniejszym tonem lekarka. - Ponieważ do poronienia doszło z powo-
du anomalii chromosomów, poleciłam zrobić badanie dotyczące bardzo rzadkiej choroby. Byłam przekon-
nana, że jej nie masz. Ale ku memu zdziwieniu okazało się, że niestety się myliłam.

- Dlaczego nie jestem zaskoczona? - Elinor zamknęła oczy.

Lekarka cmoknęła współczująco.

- To się nazywa zrównoważona translokacja i jest dla ciebie całkowicie nieszkodliwe. Nawet byśmy
o niej nie wiedzieli, gdyby nie to badanie. Nigdy byś niczego nie poczuła.

- Co...? - Elinor usiadła na stołku przy blacie. Takiego właśnie rodzaju informacji nie chciała już
przyjmować.

- To bardzo rzadka choroba. Podobną kombinację chromosomów ma tylko jedna na pięćdziesiąt ty-
sięcy osób. Liczba chromosomów jest odpowiednia, ale dwa z nich są przemieszczone. W twoim wypadku
numer trzy i piętnaście. To tak jakbyś miała jedną łyżkę w przegródce na widelce i jeden widelec w prze-
gródce na łyżki. Dla pacjenta jest to zupełnie nieszkodliwe. Jesteś zdrowa. Problem polega na tym, że...

Zawsze jest jakiś problem. Elinor nie chciała już być pacjentem. Chciała być osobą. Osobą bez dokumentacji medycznej grubej jak książka telefoniczna.

- ...podnosi to ryzyko poronienia i obniża zdolność zajścia w ciążę. Tak więc zanim ruszymy dalej, chciałabym, żebyś razem z Tedem udała się na konsultacje genetyczne. To nie moja działka, ale znam świetnego lekarza w mieście, który może przedstawić ci bardziej dokładne statystyki.

Elinor trzymała długopis uniesiony nad notesem, ale udało się jej tylko zapisać: 3,15, zamienione, sztuczce. W głowie wirowały jej urywki informacji. Jedna na pięćdziesiąt tysięcy osób. Widelec w prze-grońce na łyżki. I słowa: ruszymy dalej.

Upuściła długopis. Nie pójdą z Tedem na konsultację genetyczną. Koniec z konsultacjami. Wyobraziła sobie, jak siedzą przed biurkiem kolejnego lekarza, za kolejnymi zamkniętymi drzwiami, spoglądając nad szerokim blatem na kolejnego życzliwego lekarza w białym fartuchu. Wyobraziła sobie, jak z głuchym hukiem jej głowa opada na biurko specjalisty genetyka i jak wali w nie czołem, aż wyrasta jej guz większy od guza Teda.

- Zobaczymy - powiedziała do doktor Kolcheck.

- Wiem. Pewnie potrzebujesz trochę czasu, żeby to wszystko przetrawić. Jesteś świetną kandydatką, by spróbować z jajeczkami innej kobiety. Najlepsze w tym wszystkim jest to, że nie goni nas czas. Możesz poczekać, aż poczujesz się z tym dobrze. Miałam kilka pacjentek, które były bardzo zadowolone z takiego rozwiązania.

- Uhm - odparła słabo Elinor. Nauczyła się już, że czekanie na odpowiednią chwilę może być błędem. Trzeba być bardziej spontanicznym. A dla niej i dla Teda nigdy nie przyjdzie właściwa pora, żeby kontynuować leczenie. Nie mogła sobie wyobrazić, że Ted robi jej kolejny zastrzyk przy blacie w kuchni. Nie mogła sobie wyobrazić, że stara się dostarczyć kolejną próbkę nasienia w plastikowym kubku w klinice. Powinni zaadoptować dziecko.

To ona powinna je zaadoptować. Ted zrobiłby to dla niej, ale się waha, a ona nie ma ochoty go przekonywać. To nie może być ciągła walka. Walka o ocalenie małżeństwa. Walka o posiadanie rodziny. (Macie dzieci? Próbujemy! Próbujemy! Próbujemy!)

Powinna przyjąć propozycję wyjazdu do Dublina. Powinna odnaleźć dom Oscara Wilde'a, usiąść na schodach, popijać guinnessa, doprowadzić do przejęcia firmy, a potem wrócić do domu i adoptować dziecko. Poczowała ukłucie strachu. Czy pozwolą jej adoptować dziecko bez męża? Ted mógłby pojechać z nią do Dublina, ale wiedziała, że wolałby wykorzystać urlop na nurkowanie w Australii. Mimo to pojedzie do Irlandii, żeby zrobić jej przyjemność. Zrobi niemal wszystko, żeby ją uszczęśliwić. A przecież on też zasługuje na szczęście.

Doktor Kolcheck raz jeszcze powtórzyła, że bardzo jej przykro z powodu takich wieści i że z radością zobaczy Elinor i Teda u siebie w gabinecie, gdy spotkają się już ze specjalistą od genetyki. Elinor podziękowała.

- Umówię nas na wizytę - skłamała, nie chcąc sprawić przykrości doktor Kolcheck. Pożegnały się.

Elinor spojrzała na telefon. Zamiast dzwonić do genetyka, zadzwoni raz jeszcze do adwokata. Przez chwilę perspektywa rozwodu wcale jej nie zasmucała. Wiedziała, że będzie załamana później - pewnie już jutro. Może nawet zasmuci ją to bardziej niż poronienie. Ale teraz stanęła jej przed oczami ona sama za dziesięć lat. Och, mój pierwszy mąż. To był wspaniały facet.

To ona powinna podjąć decyzję o rozwodzie. Ted będzie to przeciągał, stał przy niej murem bez względu na wszystko. Spojrzała na długopis i niewielki notes na blacie. Rok temu, gdyby siedziała na tym samym stolku, zaczęłyby robić listę. Wizyty kontrolne Teda. Umówić się z genetykiem. Jajeczka innej kobiety? Badania. Czas? Kupić książki, by zainteresować Teda adopcją.

Gdy opuściła ją ambicja, poczuła się wyzwolona jak po mocnym drinku. Będzie musiała zadzwonić do matki i o wszystkim jej powiedzieć. Wzięła długopis do ręki i zapisała: Dublin - z pytajnikiem. Potem wstała, włączyła lampkę nad zlewem i przyniosła pocztę ze skrzynki. Zaległe rachunki medyczne. Początek zalewu broszur wakacyjnych. Wrzuciła wszystko do pustej miski na owoce.

W łazience umyła zęby, próbując pozbyć się smaku paskudnej szpitalnej kawy. Może adopcja za granicą byłaby mimo wszystko najlepszym wyjściem. Na przykład w Rosji. Pragnęła zaadoptować więcej dzieci. Już wiedziała, że będzie jedną z tych matek, które pozwalają pociechom spać w swoim łóżku. Dzieci, koty, zabawki, książeczki. Miała nadzieję, że co wieczór będą zasypiać razem nad książką.

Tymczasem, skoro miała być znów wolna, mogłaby sypiać z Noahem. Potrafiła sobie wyobrazić, że spotykają się regularnie. Czy wolno robić coś takiego, gdy ma się czterdzieści lat? Całkiem prawdopodobne, że Noah poznał już kogoś innego. Jeśli tak, pożycz mu wszystkiego najlepszego. W ogóle życzyła mu jak najlepiej. Tedowi też. Ginie życzyła, żeby przytyła piętnaście kilo i żeby wyrósł jej na twarzy gigantyczny pryszcz. „Ropny czyrak”, powiedziała do lustra w łazience, mrużąc oczy. Ta chwila małostkowości dobrze jej zrobiła. Nie musiała przecież lubić kochanki męża, czy też czym ona tam jest lub będzie w przyszłości. Przeczesała włosy palcami i zgasła światło.

Wracając do sypialni po sweter, pomyślała o rozmowie z doktor Kolcheck. Zrównowazona translokacja. Widelec w przegródce na łyżki! Była jak popieprzona szuflada na sztuce. A jednak to pewna pociecha, że coś było zdecydowanie nie tak. Że to diagnoza inna niż: „Jest pani za stara”. Ted zrozumie tę translokację lepiej od niej. Może nawet zacznie namawiać ją do konsultacji z genetykiem. Będzie chciał to dla niej zrobić. Chwyciła zbiór esejów Dave'a Barry'ego z nocnej szafki Teda. Poczyta mu w szpitalu. To jego ulubiona książka. Potrzebował się pośmiać.

Oboje tego potrzebowali.